

KREW FERÓW

MILASTO

SINÓW

ADAM FABER



MIASTO  
SNÓW

A decorative border with intricate, symmetrical floral and scrollwork patterns in a light gray color, framing the central text.

**KREW FERÓW**

**MIASTO SNÓW**

**DOM WIEDŹM**

**CÓRKA SMOKA**

ADAM FABER

MIASTO

SNÓW



Copyright © Adam Faber, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: FecitStudio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66278-13-4

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@weneedy.pl

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

March Sky wcale nie przywykła do przezwisk, mimo że wysłuchiwała ich już od dziesięciu miesięcy spędzonych w tej cholernej szkole w jeszcze bardziej cholernym Finfolk. „Niedorozwój” i „gnida” wcale nie były najgorszymi, ale w ustach Billy’ego Hopkinsa, buca większego od całej reszty chłopaków z jej klasy, nawet zwykłe „Cześć” brzmiałoby jak obelga. Wściekła doskoczyła do niego z nienawistnie płonącymi oczami, wygrażając mu pięścią.

– Spróbuj jeszcze raz mnie tak nazwać! – warknęła.

– I wtedy co? – zadrwił Billy. Jego twarz przybrała swój najbardziej pyszałkowy wyraz; czarne włosy, potraktowane grubą warstwą żelu, sterczały na głowie niczym igły. Zresztą one zawsze sterczały w tę czy inną stronę, codziennie trochę inaczej i na różne sposoby, co on szumnie nazywał fryzurami. Opierał się teraz o szkolny mural, ozdobiony wygrawerowanymi na złoto imionami dawnych dyrektorów, i wcale nie wyglądał na zbyt chętnego do kłótni. Zebrało mu się na poniżanie innych chyba tylko z nudów.

– Dostaniesz w pysk, właśnie to! – odgrażała się March.

– Jasne – prychnął Billy. – Najpierw spróbuj doskoczyć.

Och, March doskoczyłaby do jego wrednej gęby z wielką przyjemnością i pięścią starła z niej ten pieprzony uśmiezek. Mogłaby to zrobić, zwłaszcza że od dawna nie musiała udawać, że ma w sobie choć resztki dobrego wychowania. Niestety, sęk w tym, że faktycznie miałyby problem z doskoczeniem do Billy’ego, mimo najszczerzych chęci.

Bo rzeczywiście była mała. Bardzo mała. Może wyzwiska tak by jej nie denerwowały, gdyby była po prostu niska i miała te dziesięć czy dwadzieścia centymetrów mniej od przeciętnej szesnastolatki. Ale ona ledwo sięgała Billy'emu do brzucha, a on nie był przecież szczególnie wysoki.

Tak, March Sky była dość... nienormalna. Nie chodziło o żadną chorobę. Wszystkie możliwe zaburzenia mogące spowodować to, że liczyła sobie tylko sto dwadzieścia centymetrów wzrostu, dawno już wykluczono, jedno po drugim. Właściwie to po którymś z kolei spotkaniu z lekarzem wściekła się, że nic jej nie jest. Bo choroba oznaczałaby możliwość leczenia, a skoro choroby nie było, teoretycznie nie było też problemu.

– Taka po prostu jesteś – powtarzała jej matka. – Takie masz DNA. A jeśli chodzi o to, że cię nie lubią... – dodawała szybko – cóż, to może być kwestią twojego charakteru.

Charakter oczywiście mógł być wytłumaczeniem, ale bez przesady. March nienawidziła tylko tych, którzy nienawidzili jej. Tak się akurat złożyło, że była to znaczna większość ludzkości, co przecież mogło się jeszcze zmienić.

– O, idzie maciora – powiedział Billy, wskazując drzwi szkoły, w których pojawiła się Isel Bini, jedyna osoba, która nie uważała, że przebywanie obok March w odległości mniejszej niż dziesięć metrów zepsuje jej wizerunek. Cóż, w zasadzie nie mogło tego zrobić, bo obie cieszyły się mniej więcej tą samą popularnością, i to z dość podobnych powodów. Wyluczając z nich charakter, bo Isel była aniołem.

– Pewnie zeżarła drugi lunch, co? – śmiał się dalej Billy. – Kto wie, może i trzeci? A ty, Sky, jako dobra przyjaciółeczka, postanowiłaś na nią zaczekać.

– Jeszcze jedno słowo, a...

– Dobra, dobra. Już spadam, bo jak ona tu przylezie, to ziemia nie wytrzyma ciężaru.

March zacisnęła pięści i zęby tak, że z wściekłości zaczęła jej drżeć powieka. Miała teraz kilka sekund na zastanowienie: rozkwasić Billy'emu ten wielki, krzywy nochal czy dać sobie spokój. Gdyby go walnęła, musiałyby tłumaczyć się z tego Isel, musiałyby powiedzieć jej prawdę: że poszło o nią. A to nie byłoby przyjemne. Na szczęście Billy podjął decyzję za nią, bo ulotnił się, nim March wykonała jakikolwiek ruch.

Isel podeszła do niej, odprowadzana wyzwiskami podobnymi do tych, które przed chwilą serwował pod jej adresem ten buc Hopkins. A ona jak zwykle je ignorowała. W tym była mistrzynią: w udawaniu, że nie słyszy tego, jak ją poniżają, zupełnie jakby celowe głuchnięcie miało sprawić, że obelgi będą mniej bolały.

– Czego chciał? – spytała, patrząc za oddalającym się Billym.

– Tego samego, co zwykle. – March wzruszyła ramionami. – Pajac chciał pajacować.

Isel odprowadzała chłopaka podejrzliwym wzrokiem do czasu, aż zniknął za szkolną bramą. Potem jakby uleciało z niej całe powietrze. Największe zagrożenie minęło, a wyzwiska miotane w nią przez inne dzieciaki wciąż zdawały się nie trafiać. March dobrze wiedziała, że zdanie Billy'ego dla Isel liczyło się o wiele bardziej niż opinie pozostałych. Idiotka, podobnie jak połowa ich klasy, kochała się w tym kretynie.

– Idziemy? – spytała szorstko March, próbując odwrócić uwagę przyjaciółki od tamtego pajaca.

Isel skinęła głową.



Droga szkolnym autobusem na najbliższy przystanek, gdzie March i Isel mogłyby wysiąść, zajmowała pięć minut. Pięć minut wśród drwin, rozrzuconych okruchów chipsów,



dźwięków beznadziejnej muzyki z MP4-ek i słodkiego do obrzydzenia zapachu perfum Belindy Gordon. Dystans lepiej było pokonać pieszo.

March dokładnie pamiętała swoją pierwszą podróż autobusem wraz z innymi dziećmi. Omal nie zgnetli jej w przejściu. Wmawiała sobie, że wcale nie ignorowali jej naumyślnie. Później, podczas zajęć, starała się nawet uśmiechać, słysząc ich żarty na temat swojego wzrostu. A potem, któregoś dnia, pobiła Billy'ego (po raz pierwszy) – po prostu z rozpędu walnęła go kilka razy w brzuch. Zwijał się i ryczał jak dzieciuch. Szkolna psycholog nazwała jej reakcję na żart o karłach przesadzoną i skierowała dziewczynę na dalsze badania pod okiem specjalisty. Chcieli nawet przepisać jej jakieś leki, wmawiali depresję, a przecież remedium było proste: to nie ona powinna łykać jakieś świństwo, ale świat musiał wreszcie wyleczyć się z kretynizmu.

Potem, ku wielkiej uldze March, do klasy dołączyła Isel. Od samego początku mówiło się tylko o tym, że miała problemy we wcześniejszej szkole – zrezygnowała z niej już po dwóch tygodniach. Nauczyciele w Finfolk próbowali ukryć przyczyny tej decyzji, przed pojawieniem się dziewczyny informując resztę klasy jedynie półsłówkami o tym, jak należy się wobec niej zachowywać. Oczywiście Isel trudno było zakryć blizny na nadgarstkach. Szybko okazało się, że tylko March one nie przeszkadzały.

– Nie będę ci nic mówić – zwróciła się do Isel, gdy szły długą, prostą drogą, po obu stronach mając niekończącą się gęstwinę drzew – ale wydaje mi się, że za dużo ostatnio myślisz o tym dupku.

W pierwszej chwili Isel nie skojarzyła. Potem zaczerwieniła się i mruknęła:

– Skoro miałaś nic nie mówić, to się przymknij. – Jej ton wcale nie sugerował złości. Zwykle mówiła beznamiętnym,

obojętnym głosem, jakby lata wysłuchiwanie świństw, jakie inni o niej wygadywali, uodporniły ją na świat. March bywała świadkiem zaczepek nawet ze strony dorosłych, którzy pokazywali sobie jej przyjaciółkę palcami. Najgorzej bywało wtedy, gdy Isel publicznie jadła, choćby było to tylko jabłko. Spojrzenia, z jakimi musiała się wtedy mierzyć, były nie do wytrzymania.

– Mówię tylko, że to nie facet dla ciebie – obruszyła się March. Czasami chciałaby, żeby Isel się wkurzyła, pokazała jakieś emocje. Ale ona jedynie od niechcienia zapytała:

– Niby czemu? Bo jestem za gruba?

Wciąż brzmiała spokojnie, *podejrzanie* spokojnie.

– Tego nie powiedziałam – odparła March.

– Tylko sobie pomyślałaś.

– Co sobie pomyślałam, to moja sprawa.

Kolejną część trasy pokonały w milczeniu. March nie potrafiła go znieść, może dlatego, że oczekiwała od przyjaciółki większej stanowczości, a może to przez to, że sama była wkurzona i miała ochotę na kimś się wyżyć.

– Nienawidzę tego zasranego miasta. Nienawidzę wszystkich, którzy tu mieszkają. Chciałabym ich rozwalić, chciałabym, żeby wszyscy zdechli – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Wzrok utkwiała w asfalcie, topniejącym od mocnego słońca. – Kiedyś to zrobię.

Isel się zaśmiała. Jej podejście pozostawało dla March zagadką.

– Oczywiście ciebie to nie obchodzi – rzuciła.

– Obchodzi, nie powiedziałam, że nie...

– Ale nic z tym nie robisz! – krzyknęła March. Jej uniesiony głos sprawił, że ptaki na drzewach na moment przestały śpiewać, ale w żaden sposób nie wpłynął na zachowanie towarzyszki. – Traktują cię jak brudną ścierę, którą mogą sobie wytrzeć buty, a ty i tak masz to gdzieś!

Dopiero teraz Isel wydała się dotknięta. Po kilku chwilach napiętej ciszy, w której próbowała przetrwać te słowa, March usłyszała jej jakby obcy głos.

– Nie mam tego gdzieś...

– Więc dlaczego nie reagujesz? Dlaczego im na to wszystko pozwalasz?

*Dlaczego jesteś taką sierotą?* To było pytanie, którego zadania była niebezpiecznie bliska. Zdawała sobie sprawę, że każdym kolejnym zdaniem rzuca przyjaciółce wyzwania. Chciała to robić, z nadzieją, że w końcu uda jej się sprowokować Isel.

– Ja po prostu... po prostu nauczyłam się ich ignorować – odparła tamta. – I tobie radzę to samo. Szkoła pewnego dnia się skończy, wyjedziemy z Finfolk do większego miasta, może nawet do Stanów, zaczniemy nowe życie, a to wszystko będzie już nieważne.

March prychnęła.

– Nowe życie, w którym będziemy jeszcze większymi przegrywami niż teraz.

Urwała, tylko po to, by ułożyć sobie w głowie kolejne słowa. Gdy zaczęły cisnąć jej się na usta, przed niczym się już nie hamowała.

– Mam cię gdzieś, Isel, wiesz? – wypaliła. – Wali mnie to, co zrobisz ze swoim życiem. Chcesz ich olewać, proszę bardzo! Które słowa zlewa się najłatwiej? Powiedz mi, to może się czegoś nauczę. Świnia? Tłusta krowa? Grubaska? To ostatnie chyba tak ci spowszedniało, że nie traktujesz go już jak obelgę, ale imię.

Przyspieszała z każdym krokiem. Ze spojrzeniem wbitym w ziemię, która zdawała się sama przesuwac przed jej oczami, początkowo nie zauważyła, że Isel nie ma już obok. Gdy się odwróciła, przyjaciółka stała z zaciśniętymi pięściami. Jej

twarz zmieniała się nie do poznania. Poczzerwieniała, a usta wykrzywił grymas bólu i wściekłości.

– Nie nazywaj mnie tak! – wrzasnęła.

To był czas, by przestać, by do niej podejść i ją przytulić. March o tym wiedziała, a mimo to nadal pozwałała swojej złości godzić w Isel. Udało jej się, wreszcie się jej udało poruszyć jakąś strunę w sercu przyjaciółki i teraz nie miała już zamiaru odpuszczać.

– No co? – Podbiegła do niej kilkoma susami. Patrząc na łzy cisnące się do oczu Isel, zupełnie jej nie współczuła. – Jeśli naprawdę to zlewasz, to jaka różnica, czy ja tak do ciebie mówię, czy oni?

I stało się. Isel wybuchła niekontrolowanym płaczem. Drżały nie tylko jej usta, cała drżała z bezsilności.

– Gdybyś była choć trochę mądrzejsza, tobyś wiedziała! – zawołała, opluwając March. – Wiedziałybyś, co to za różnica! Największa na świecie!

Wpatrywały się w siebie nawzajem. Żadna nie była w stanie nic zrobić. March zmagала się z chęcią, by wykrzyczeć coś jeszcze, ale co mogła dodać? Bardziej już nie dało się zranić Isel. Przeproszenie jej też nic by teraz nie dało.

– Z drogi! – warknęła Isel. – Z drogi, ty mała suko! – krzyknęła znów, gdy March się nie usunęła. Potem szarpnęła ją z taką siłą, że dziewczyna wylądowała w krzakach. Wybrudzona i z poharatanymi od chwastów rękami March patrzyła za oddalającą się przyjaciółką, chyba już była. Dopiero gdy usłyszała zbliżający się samochód, wstała, by kierowcy nie przyszło do głowy zatrzymać się i zapytać, czy wszystko w porządku.

Bo nic nie było w porządku. Było absolutnie do dupy.

– Mała suka? – powtórzyła oburzona, a z tyłu głowy kołatało jej się przeświadczenie, że właściwie Isel miała rację.



Trzasnęły drzwi. March wpadła do domu bez przywitania, nawet bez zwyczajowych narzekań na podły świat. Sylwetka zdumionej matki mrugnęła jej przed oczami, kiedy sama, przeskakując po dwa schody naraz, pobiegła do swojego pokoju. Od chwili, gdy przekręciła klucz w zamku, do usłyszenia pukania minęły jakieś cztery i pół sekundy.

– Mamo, daj mi spokój!

– Co się stało, kochanie?

Tak bardzo nie znosiła tego słodkiego, zatroskanego głosu, że miała ochotę nawrzeszczyć też na matkę. Dobrze wiedziała, co kryło się pod jej spokojem i ciepłem – po prostu Emma Sky uważała własną córkę za wariatkę i bała się, że jeśli nie będzie postępować z nią wystarczająco delikatnie, pewnego dnia obudzi się z nożem na gardle.

– Co się stało? – powtarzała. – Proszę, nie bądź uparta i się wyżal.

March podeszła do drzwi. Nie otworzyła ich – mówiła przez nie, przyciskając twarz jak najbliżej do framugi.

– Chcesz wiedzieć, co się stało? – spytała. – Od czego zacząć? Od tego, że się urodziłam, od tego, że poszłam do tej pieprzonej budy, czy od tego, że Isel jest idiotką?

– Powiedz mi o wszystkim po kolei – poprosiła matka.

– Chyba sobie kpisz! Nic ci nie będę mówić!

To starczyło, by pani Sky zupełnie zmieniła ton.

– Ostrzegam cię, March! Jeśli mi nie otworzysz, pójdę po zapasowy klucz i wejdę do twojego pokoju, czy tego chcesz, czy nie, a potem będziemy rozmawiać i opowiesz mi o wszystkim, co nawywijałaś.

Gdy w powietrzu zawisła groźba zapasowego klucza, który matka dorobiła sobie po którejś wizycie March u psychologa,

dziewczyna zacisnęła zęby i otworzyła drzwi. Potem od razu ruszyła na łóżko, by odwrócić się do całego świata plecami i kto wie, może nawet się rozplakać.

– Trochę prywatności! – zawołała. – Czy kiedykolwiek to dostanę?

– Nie, jeśli będziesz zachowywać się w ten sposób – odparła pani Sky. Po chwili March czuła już na ramionach jej ciepłe dłonie. Ton matki znów się zmienił. – Kochanie, o co chodzi?

Trwała w bezruchu. Powinna coś powiedzieć, tyle że nie miała ochoty się zwierzać. Przyszło jej do głowy, że matka odzepi się, jeśli tylko dostanie jakieś błahe wytłumaczenie.

– Pokłóciłam się z Isel – wyznała. Pani Sky westchnęła. Zacisnęła lekko palce na ramionach córki. Instynktownie musiała wyczuwać, że jeśli między dziewczynami doszło do kłótni, wina leżała po stronie March.

– O co poszło? – zapytała głosem, w którym pobrzmiwała nuda. March podejrzewała, że rodzicielski obowiązek rozmów był tym, którego jej matka nie znosiła najbardziej, może dlatego, że ich dyskusje zwykle nie przynosiły skutków, jakich by oczekiwała.

– O nic. Trochę jej wygarnęłam... I ona mnie też.

Matka się roześmiała. *Błahe* problemy nastolatek nie robiły na niej wrażenia, March dobrze o tym wiedziała. Gdyby zaczęła się ciąć, łyknęła jakieś tabletki – no, wtedy matka musiałaby odesłać ją na terapię, może nawet zamknąć na pewien czas w szpitalu. Tymczasem nie działo się nic złego.

– Tak czasem bywa między przyjaciółmi, to normalne. – Pani Sky jak z rękawa wyciągnęła kolejny wyświechtany frazes. – Świat się od tego nie zawali.

*Świat się od tego nie zawali* – lubiała to powtarzać. *Jasne, że się nie zawali* – pomyślała March. Ludzie mają poważniejsze problemy, a świat też się od nich nie wali. Ale to świadczy tylko o jego obojętności.

– Wiem – odparła cicho. Potem pozwoliła matce się do siebie przytulić, udała, że już jej lepiej, a gdy pani Sky opuściła pokój, zamknęła oczy, z których popłynęło kilka gorzkich łez.

*Świat się nie zawali* – powtórzyła, kładąc się na łóżku. Ale gdyby do tego doszło, wcale by go nie żałowała.





## ROZDZIAŁ DRUGI

Coś mignęło. Para wielkich, błyszczących oczu zdawała się sunąć w mroku samotnie, jakby nie łączyła się z żadną twarzą. March się ich nie bała, raczej ją zaciekały.

Słyszała szept. Wyteżwała słuch, próbując rozpoznać słowa, lecz żadne nie było na tyle wyraźne, by je zrozumieć. To one budowały przestrzeń, a ta stopniowo nabierała kształtów. Tajemnicze zaklęcia tworzyły wokół March ściany, których ona sama wciąż nie była w stanie dostrzec, choć czuła je, jak czuje się czyjąś obecność.

Mrok był gęsty – przypominał maź. Powietrze lepiło się od niej, ciemna substancja osadzała się na włosach i ciele dziewczyny. March wdychała ją, czując, jak wypełnia jej płuca, choć nie powodowała duszności. Pachniała nocą.

Oczy wciąż błyszczały. Wędrowały wokół, zaglądając w każdy kąt, najwyraźniej kogoś szukając. Daleko stąd tykał zegar. *Tik-tak, tik-tak*. Ciemna przestrzeń pozostawała obojętna na odliczane sekundy – czas jej nie dotyczył, istniała poza nim i mógł stanowić dla niej co najwyżej rodzaj zabawki, którą można do woli dysponować, a gdy się zepsuje, zamienić ją na nową. Szept rozbrzmiewał nieustannie, odbijając się echem od ścian.

Wreszcie oczy się zatrzymały, utkwione wprost w twarzy March, która zdała sobie sprawę, że się unosi. Jej łóżko zniknęło, za to pościel, wijąca się teraz jakby ożywiona czarem obcego szeptu, więziła ją, jednocześnie powstrzymując przed upadkiem. W dole rozciągała się przepastna otchłań – studnia, z której przychodziły wszystkie sny. Kto raz w nią wpadnie,

nigdy już nie wyjdzie – March wiedziała o tym, lecz nie miała pojęcia, skąd wie.

Zakłęcie ustało. Ostatni szept rozproszył ciemność, zasiewając w niej setki srebrnych światełek. Każde rozciągało się i kurczyło, oddychając we własnym tempie. Atmosfera się zmieniła, światełka rozcieńczyły gęsty mrok czymś delikatniejszym. Ściany okazały się przezroczyste – za nimi rozciągała się szersza, również usłana ognikami przestrzeń.

*Kosmos* – pomyślała March, sądząc, że tam właśnie się znalazła. Uświadomiła sobie, jak jest wysoko. Przerazona, była bliska temu, by spaść i bez końca już opadać, mijając po drodze roztańczone galaktyki. Kołdra przypominająca szary całun oplotła ją ciasniej.

Dopiero po dłuższym czasie oglądania przestrzeni March przypomniała sobie o oczach. Wciąż tam były, wpatrywały się w nią, ale teraz widziała także twarz, do której należały, a przynajmniej jej części. Usta zakrywał wysoko podniesiony kołnierz. Na głowę opadał kaptur.

Ktoś obcy w jej łóżku w środku nocy...

March, którą była za dnia, pewnie dawno kopnęłaby intruza i narobiła wrzasku. Nocna March czuła, że to nie intruz.

– Kim jesteś? – spytała. Jej słowa popłynęły z ust niczym melodia. Zmieniły się w smugę światła, która owinęła się wokół kaptura obcego, po czym zbladła. Nieznajomy pokręcił głową, sugerując, że nie jest w stanie odpowiedzieć, zupełnie jak gdyby coś wiązało mu usta. Jego oczy pozostawały spokojne i spokój ten udzielił się March, więc gdy przybysz podał jej dłoń, pewnie ją pochwyciła.

Ruchliwa kołdra zastygła i opadła, ukazując piżamę dziewczyny. Trochę nią zażenowana March lekko się uśmiechnęła. Nieznajomy nie dbał o jej wygląd. Ruchem głowy zdawał się pytać, czy zechce z nim pójść. Zgodziła się,

nieprzygotowana na to, czego miała doświadczyć w kolejnej chwili.

Przestrzeń zadrżała, jakby ktoś zaczął nią potrząsać. Przezroczyste ściany znikły i nagle March zobaczyła pod stopami gonitwę światła. Jedno za drugim sunęły niczym rozpędzone samochody po autostradzie. Czerwone, żółte, pomarańczowe – mieniły się jasnymi kolorami i zostawiały po sobie ciągnące się smugi.

*To czas* – pomyślała, wciąż niepewna, skąd bierze wiedzę na temat tego niezwykłego świata. Strumienie czasu przemykały jej pod nogami, gdy biegła za chłopakiem. Ten ścisnął jej dłoń. Jako jedyny z ich dwojga wiedział, dokąd zmierzają, a w dziewczynie na myśl o celu tego pościgu mieszały się strach i ciekawość.

*Śnię, z pewnością śnię* – powtarzała. Takiego snu nigdy przedtem nie doświadczyła. Choć nagle wydało jej się absolutnie niezaprzeczalnym faktem, że jej ciało wciąż leży w miękkiej pościeli, wcale nieprzejawiającej zdolności do wykonywania ruchów, świat, jaki widziała tutaj, sprawiał wrażenie równie prawdziwego co ten pozostawiony w sypialni. To działało się naprawdę.

Doznała gwałtownego wstrząsu. Światła osunęły się spod ich stóp. Chciała krzyknąć i zrobiła to, lecz z jej gardła zamiast głosu wydobyła się wielka jasna smuga, która powędrowała w górę i przylepiła się do przestrzeni, tworząc pajęczynę bezładnie posplatanych pasm. March i chłopak zapadali się. Nieznajomy nie wyglądał na równie przerażonego. Jego oczy wciąż wyrażały ten sam spokój, gdy otchłań rozstępowała się, by ich pożreć.

Znów uderzyli o coś stopami. Coś twardego. March spojrzała pod nogi. Teraz biegli po dachach wysokich budynków, przeskakiwali z jednego na drugi. Delikatny wiatr dmuchał im w plecy, pomagając bez szwanku skakać z budowli na

budowlę. Póki chłopak trzymał jej dłoń, March się nie bała. Na samą myśl o tym, że w którymś momencie mógłby ją puścić, serce zaczynało jej kołatać.

Czy we śnie można umrzeć? Gdyby spadła...

Wreszcie chłopak się zatrzymał. I ona stanęła, ze zdumieniem odkrywając, że bieg ani trochę jej nie zmęczył. Ich oczy ponownie się spotkały. Miała wrażenie, że nieznajomy przekazywał wzrokiem każdą myśl, której nie był w stanie wypowiedzieć. Teraz zdawał się pytać, czy wszystko jest w porządku, na co ona skinęła głową.

Usiadł na krawędzi budynku. March przykucnęła nieco dalej, wciąż bojąc się wysokości. Dach ginał w chmurach, a w dole migotało więcej świateł, ledwo przebijających się przez nocną mgłę. Siedzieli tak przez kilka chwil. Nieznajomy głęboko oddychał. Nie patrzył już w jej stronę, lecz skupił wzrok na przestrzeni. Ta znów zaczęła się poruszać jak żywa – ponownie wypełnił ją gęstszy mrok, pochłaniający blaski, które nieśmiało próbowały go rozproszyć.

*To wszystko jest dziwne* – uznała March. A najdziwniejszy z tego wszystkiego wydawał jej się ten chłopak.

Nagle ręka nieznajomego powędrowała ku niebu, wskazując odległy punkt. March spojrzała tam, by zobaczyć coś, co już chwilę później zapało jej dech w piersiach bardziej niż cokolwiek, co dotąd w życiu zobaczyła.

To była burzowa chmura. A może nie? Tak ogromnej chmury March nigdy jeszcze nie widziała. Sunęła po niebie niczym potężny statek po morzu. Nie, jak setki statków połączonych ze sobą lub jak samotna wyspa, skrawek kontynentu oderwany od lądu i uniesiony w przestrzeń. Zasnuwała ją mgła barwy fioletu, którą raz po raz rozświetlały błyskawice. Ciskały blask w przestrzeń i gdyby tylko mogły, pewnie by ją zapaliły. Mimo to wcale nie odganiały mroku. Zdawało się

wręcz, że wędrująca wyspa – zaklęta powietrzna kraina – jeszcze zagęszczała ciemność swoją obecnością.

Lęk? Niepewność? Urzeczenie? March trudno było rozpoznać, co właściwie czuła, przyglądając się wyspie. Jej hipnotyczna aura przyciągała ją, zarazem wysyłając ostrzeżenie, by lepiej nie podchodzić zbyt blisko, może nawet nie patrzeć. Dziewczyna odwróciła więc wzrok, uświadamiając sobie, że nieznajomy znów jej się przygląda. *Tylko jej.*

Pokiwał głową. Miała po raz kolejny domyślić się, o co mu chodzi. Tym razem nie zrozumiała.



Świat March miał się skończyć. Mimo to sobota przyszła jak co tydzień i nawet przyniosła ze sobą trochę słońca, jak gdyby tylko po to, by poprawić dziewczynie humor. Ta, nieszczególnie doceniając jego wysiłek, od razu po przebudzeniu zerwała się z łóżka i zasłoniła okno. Sen minionej nocy tak ją wymęczył, że choć spała do późna, czuła się, jakby wcale nie zmrużyła oka.

Położyła się z powrotem i zamknawszy powieki, usiłowała sobie przypomnieć, co takiego jej się śniło. Nie pamiętała dokładnej historii. W głowie pojawiały się jedynie migające obrazy: czyjaś dłoń, odległe światła, jakby neony wielkich miast, i te błyszczące oczy wpatrujące się w nią bez ustanku, śledzące każdy jej ruch.

Dopiero po kilku minutach usilnych prób odtworzenia snu uznała, że to na nic. Sny nie miały większego sensu, choć nawet najgorsze z nich wydawały się w tej chwili przyjemniejsze od jej nowej codzienności. Codzienności, która miała zacząć się od poniedziałku. Do tej pory, z Isel u boku, życie w pełnej kretynów szkole wydawało się March znośne.

Mimo szczyrych chęci nie miała w sobie dość siły, by im wszystkim dokopać.

Zwlekła się z łóżka i unikając spojrzenia w lustro, w którym zobaczyłaby twarz kogoś, kto zasługiwał na porządny wpieprz za to, jak potraktował najlepszą przyjaciółkę, zeszła na dół.

– Źle wyglądasz – rzuciła matka. Jej twarz była ledwo widoczna przez dym unoszący się z patelni. Nie po raz pierwszy przypaliła jajecznicę i niestety nie po raz pierwszy się upierała, że ciągle można ją zjeść.

– Dzięki, mamó – mruknęła March. – Zawsze wiesz, jak pocieszyć człowieka.

– Dalej ci źle po kłótni z Isel?

Ponieważ pani Sky niebezpiecznie przełączyła się na tryb opiekuńczo-wychowawczy, March była zmuszona znowu ją czymś zbyć.

– Już mi lepiej.

– Świetnie, no to jemy.

Matka nie wyglądała na szczególnie zachwyconą, nakładając jajecznicę na talerz. March, jakby za karę za wczorajsze zachowanie, dostała większą porcję.

– Smacznego – powiedziała pani Sky bez ironii, najwyraźniej szczerze wierząc, że tym razem przypalone jajka będą smakować lepiej niż zwykle. Po chwili sama ledwo przełykała kolejne kęsy. Uśmiechała się, próbując zamaskować kwaśną minę. – A tak poza tym co tam w szkole?

– Jak zwykle – odparła March, zasepionym wzrokiem patrząc w swój talerz. Trudno było się spodziewać, że jej odpowiedź ucieszy panią Sky. „Jak zwykle” oznaczało „źle”, a tym razem nawet „jeszcze gorzej”, bo koniec roku zbliżał się wielkimi krokami i na poprawę wyników zostało już tylko kilka tygodni.

– Tak też sądziłam – przyznała matka po chwili namysłu, ze zrozumieniem kiwając głową. – Będziemy musiały wspólnie usiąść nad angielskim. Dysleksja nie...

– ...jest wymówką – dokończyła za nią March. – Wiem.

Matka znów kwaśno się uśmiechnęła. Nie była w stanie długo ukrywać tego, co naprawdę sądzi o własnoręcznie przygotowanym śniadaniu.

– Nie, tego jednak nie da się zjeść. – Zerwała się z krzesła i sprzątnęła talerze. March zdążyła odłożyć widelec w ostatniej chwili, nim jajecznicą zniknęła jej sprzed nosa. – W lodówce jest mleko – dodała pani Sky. – Zrób sobie płatki.

To nie była propozycja, ale rodzaj polecenia. March nie miała zamiaru go wykonać.

– Wychodzisz? – zapytała. Dopiero teraz zauważyła, że matka miała na sobie elegancki kostium. Zwykle wkładała go do pracy.

– Tak, wzięłam dodatkowe godziny.

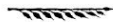
Przeprowadziły się do Finfolk dokładnie rok temu. Matka, zmęczona zgiełkiem Londynu, w którym mieszkały wcześniej, poszukiwała ustronnego miejsca i znalazła je tutaj, a ściślej mówiąc: na ulicy Księcia Geralda 24. Bez trudu dostała pracę w urzędzie miejskim i zdawało się, że – z dala od swych dawnych problemów – już nie będzie chciała się stąd ruszyć. March za to nienawidziła miasteczka. Wszyscy się tu znali, a ona wyróżniała się na ich tle o wiele bardziej niż w wielkim mieście, gdzie nawet jeśli ludzie rzucą na ciebie okiem, po kilku sekundach nie będą już pamiętać, że w ogóle patrzyli.

Poza tym Finfolk było obrzydliwe: zawsze schludne, niemal sterylne, pełne podobnych, niskich domków z kolorowymi ogródkami. Miało własną szkołę, szpital, nawet żółte busy z logo miasteczka (zielonym smokiem wyglądającym, jakby dusił się oparami z własnego pyska), a burmistrz spędzał tu już chyba dziesiątą kadencję, jakby ktoś przykleił mu zadek do krzesła. Za każdym razem, gdy March przechodziła obok przykładowych sąsiadów, miała ochotę zwymiotować.

Nie spoglądając na córkę, pani Sky w pośpiechu opuściła kuchnię. March odwróciła się za nią. Na jej ustach zastygło pytanie: *Uciekasz ode mnie?* Dobrze znała odpowiedź.

– Powinnaś pogodzić się z Isel! – zawołała matka z korytarza.  
– Lepiej do niej zadzwoń!

– Tak zrobię – odparła March bardziej sama do siebie, gdy za panią Sky zamknęły się drzwi.



Isel nie odbierała, czego właściwie trzeba było się spodziewać. March zrozumiała, o co jej chodziło z tą *największą różnicą na świecie*. Od chwili, gdy tylko obrzuciła ją wszystkimi tymi ohydnyymi obelgami, wiedziała, że zraniła ją bardziej niż ktokolwiek do tej pory. Bądź co bądź spośród całej klasy je dwie łączyła największa przyjaźń. Właściwie nie miały innego wyboru – musiały się zakumplować. Jako dwa największe dziwadła w całej klasie od razu przypadły sobie do gustu. Może bardziej dlatego, że żadna nie miała nikogo innego... Tak czy inaczej, ich przyjaźń była prawdziwa, a March najpewniej ją przekreśliła. Żałowała tego tak bardzo, że nawet gdyby Isel odebrała, nie umiałyby ubrać tego żalu w słowa. Nie miała też nic na swoje usprawiedliwienie.

*Przepraszam, wiesz, że nie chciałam powiedzieć wszystkich tych rzeczy, nie myślę o tobie w ten sposób. Zależy mi na naszej przyjaźni.* Te słowa wydawały się jej najbanalniejszymi, jakie mogła wymyślić. A mimo to zapisała je i wysłała SMS-a, bo były też najprawdziwsze i nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

Oczekując na odpowiedź, która przypuszczalnie miała nigdy nie nadejść, March znów się położyła. Gdyby matka była



w domu, pewnie zagoniłaby ją do sprzątanania albo nauki, a skoro zniknęła, można było nadrobić źle przespaną noc.

Promienie słońca wślizgiwały się do jej pokoju jak niechciany wścibski sąsiad. Zaglądały pod franki, unosząc je lekko, i padały na łóżko równie zmęczone, co leżąca na nim nastolatka. March przymykała oczy, wpatrując się w ścianę, na której blaski i cienie zmagaly się ze sobą w powolnej walce. Ich widok działał na nią usypiająco. Ciało stawało się lekkie, poduszki zmieniały się w puch, kołdra poruszyła się niczym morska fala.

Cały pokój nagle się ożywił. Okiennice trzasnęły, gdy podmuch wiatru kazał im się rozstąpić przed ciekawskim słońcem. Wściekła March wstała, by je zamknąć. Za każdym razem, gdy próbowała ich dotknąć, jakoś nie mogła trafić. Czyżby była tak rozespana, że nie kontrolowała już własnych ruchów?

– Co, do cholery?! – zawołała. A przynajmniej chciała to zrobić, bo nie usłyszała własnego głosu, jak gdyby nagle ogłuchła.

Zrezygnowana odwróciła się znów w stronę łóżka. Tyle że już w nim leżała...

Nie miała pojęcia, co w tamtej chwili pomyślała – i czy w ogóle coś. To nie mogło dziać się naprawdę. Stała tuż przy oknie, a mimo to widziała, że jej ciało nie opuściło łóżka. Leżało tam, pogrążone we śnie. A może było martwe?

Ta myśl poraziła ją strachem. Nagle March poczuła, jak coś ją wsysa, ciągnie z powrotem ku ciału. Opierała się temu z trudem, lecz nie długo. Siła była zbyt potężna. Pchnęła dziewczynę z powrotem na łóżko, gdzie ta zderzyła się ze swoim ciałem. Na nowo z nim połączona, w jednej chwili zerwała się ze snu, próbując opanować przyspieszony oddech. Wydierał się z jej ust tak gwałtownie, jak gdyby płuca nie nadażały z ruchem.

Okiennice były zamknięte.



Za bardzo się bała, by pozostać w łóżku. Nie rozumiała tego doświadczenia, co nie oznaczało, że mogła beczynn timer czekać, aż się ono powtórzy. Odpaliła laptop i wstukała pierwsze słowa, jakie przyszły jej do głowy:

*Sen, w którym wszystko czujesz.*

Wyniki nie wydawały się zbyt obiecujące. Oprócz odnośników do kilku stron z interpretacją snów zobaczyła wywiad z profesorem o fryzurze Einsteina. Nie ufała takim facetom.

– Więc inaczej... – mruknęła i napisała: *Nocna świadomość*. Ale nie, przecież drugi sen, ten realniejszy, miała za dnia, więc może... *Zachowanie świadomości w trakcie spania*.

Wyszukiwarka przekierowała ją do opisu poszczególnych faz snu. Nic z nich nie wynikało. Może tylko tyle, że w początkowych stadiach zasypiania istniała większa możliwość omamów słuchowych. Jej sen nie wydawał się jednak początkowym stadium. Wręcz przeciwnie – musiała spać bardzo głęboko, skoro zorientowała się, że coś nie gra, dopiero gdy zobaczyła siebie leżącą na łóżku.

*A może...* – zastanowiła się. Kolejna myśl sprawiła, że od palców stóp po czubek głowy przeszył ją lodowaty dreszcz.

Może była nienormalna? Może wszyscy dotąd mieli rację i tylko ona tego nie dostrzegała?

Odruchowo wyłączyła komputer, jakby wszystko, co mogła w nim znaleźć, mogło ją porazić, dać odpowiedzi na wątpliwości, ale takie, których wolała nie poznawać. Dawno nie potrzebowała obecności przyjaciela równie mocno jak dziś.



## ROZDZIAŁ TRZECI

– Więc... No, tego... Chciałam...

March próbowała, naprawdę próbowała ze wszystkich sił, tyle że szło jej bardzo kiepsko. Isel stała z rękami wspartymi na biodrach, oczekując kolejnych słów. Wreszcie wyręczyła przyjaciółkę.

– Przeprosić mnie, tak? – spytała. Zaciętość na jej twarzy nie zelżała nawet w najmniejszym stopniu.

Stały teraz w pustym korytarzu, już dwie minuty po dzwonku wzywającym na pierwszą lekcję. Za drzwiami klasy trwały już zajęcia z angielskiego, na które nie warto było się spóźniać. Pan Clifford, ich nauczyciel, maniakalnie dbał o punktualność. Ale March bardziej martwiły teraz inne rzeczy: czuła się jeszcze mniejsza niż zwykle, gdy górowała nad nią wściekła i zraniona Isel. Wyraźnie oczekiwała dobrych, porządnych przeprosin, takich jakie ofiarują sobie skłócone bohaterki młodzieżowych filmów; filmów, za którymi March nie przepadała.

– No tak – mruknęła. Szybko zaczęła szukać w głowie kolejnych słów. Coś jeszcze wypadało dodać, coś szczerego, a jednocześnie bez patosu, coś zwyczajnego. – Wiesz, że ja...

– Jesteś kretynką – dokończyła znów Isel. – Wiem o tym od dawna, a w piątek dałaś tego niezły pokaz. Nie sądziłam, że jesteś tak dwulicowa i podła, może nawet gorsza od innych, bo oni przynajmniej nie udają, a ty? Albo może jesteś psycholką, to też by mnie nie zdziwiło.

Rzucała kolejnymi obelgami, najpewniej z nadzieją, że którąś z nich trafi przyjaciółkę prosto w serce, tak samo jak jej słowa

trafiły ją. Nic z tego. March wiedziała, że zasłużyła sobie na takie traktowanie. Właściwie chciałyby, żeby Isel zraniła ją w podobny sposób – wtedy byłyby kwita i nie musiałyby nosić w sobie tego uciążliwego poczucia winy.

– Źle się zachowałam, to tyle – stwierdziła.

– Bo powiedziałaś, co o mnie myślisz? – obruszyła się Isel. – Bardzo dobrze się zachowałam. Szanuję twoją szczerłość.

– Nie bądź idiotką! – March nie zdążyła w porę się powstrzymać. Na twarzy jej towarzyszki pojawiły się kolejne wypieki złości. – To znaczy... Przecież dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło. Ja wcale tak o tobie nie myślę, nigdy nie myślałam. Problem w tym, że to ty myślisz, że ja tak myślę.

Zatrzymała się, analizując ostatnie wypowiedziane przez siebie zdanie. Brzmiało wyjątkowo idiotycznie jak na próbę przeprosin, a w dodatku chyba jeszcze bardziej się pograżyła. Nic już nie dodając, wykonała prosty gest, wierząc, że język ciała załatwi sprawę za nią: wyciągnęła w kierunku Isel rękę.

Patrzyły sobie w oczy. Pioruny, jakimi do tej pory miotała Isel, uspokoiły się, ustępując miejsca chłodnej zaciętości.

– Wal się! – rzuciła dziewczyna i wparowała do klasy, nie przepraszając nauczyciela za spóźnienie. Musiał trzy razy się do niej zwracać, za każdym razem podnosząc głos, by wreszcie odpowiedziała mu ze wściekłością:

– Raz w życiu nie mogę się spóźnić na zajęcia?!

Jej gwałtowność wprawiła całą klasę w osłupienie. Nikt się nie spodziewał, że gruba, poczciwa Isel kiedykolwiek odezwie się w podobny sposób do nauczyciela. Pan Clifford uniósł brwi tak wysoko, że niemal sięgnęły jego zmierzwionej, siwej grzywki. Wciąż stojąca w drzwiach March nie zrobiła ani kroku dalej. Nauczyciel szybko otrzeźwiał, przypominając sobie, kim tu jest i co do niego należy.

– Panno Bini – zaczął ostro, przewiercając Isel spojrzeniem. – Ten sposób mówienia do pedagoga nie był i nie będzie

akceptowany w tej placówce. Bądź pewna, że porozmawiam z opiekunem klasy.

Korzystając z faktu, że wszyscy skupiali teraz uwagę na czymś innym, March postanowiła wreszcie przemknąć w głąb sali niezauważona. Niski wzrost niewiele jej pomógł. Wzburzony pan Clifford i tak ją spostrzegł, a gdy do tego doszło, zagrział jeszcze mocniej:

– O proszę, następna!

March aż podskoczyła. Dudniący głos niemal zwałił ją z nóg.

– Przepraszam, byłam...

– Nie obchodzą mnie wasze wymówki – przerwał jej nauczyciel. – O was wszystkich będę musiał porozmawiać. Najwyraźniej ta klasa potrzebuje wyjątkowego traktowania.

Ze złością sięgnął po pióro i zaczął zapisywać coś w swoim kalendarzu. Gdy ciszę wypełniło jego uporczywe skrobanie po kartce, March wyczuła na sobie nieprzychylnie spojrzenia pozostałych uczniów. Odprowadzali ją wzrokiem do ustawionej w kącie pustej ławki, z pewnością poprzysięgając zemstę. Z jej winy – no, ściślej mówiąc, o wiele bardziej winna była Isel – wszyscy będą mieli teraz przechlapane. Opiekunka ich klasy, pani Drew, dbała, by jej uczniowie nieustannie wykazywali się perfekcyjnym zachowaniem. I nieustannie ponosiła na tym polu porażkę, często powtarzając, że nie przydzielono jej dotąd gorszego rocznika.

March nie odważyłaby się usiąść obok Isel, która wbijała teraz obrażony wzrok w niezapisaną jeszcze tablicę. Zajmując swoje nowe miejsce, przeklinała samą siebie. Tym razem nie mogła wszystkiego zważyć na los.

Wyładowawszy swoją złość na kartce, pan Clifford oparł się o fotel i przechylił głowę, by wykonać kilka relaksacyjnych oddechów. Potem westchnął:

– Szekspir...

Powtórzył to słowo kilka razy, wyraźnie i przeciągle, jakby sądził, że nie wszyscy dosłyszeli nazwisko. Wreszcie spytał:

– No, słyszeliście o tym gostku czy nie?

Niestety, pan Clifford należał do nauczycieli sądzących, że jeśli od czasu do czasu będą używać słów w ich mniemaniu brzmiących młodzieżowo, zostaną lepiej zrozumiani.

Kilka osób od niechcienia przytaknęło. March uznała to pytanie za zbyt obrażające jej inteligencję, by w ogóle zareagować. Nauczyciel wstał i powolnym krokiem podszedł do tablicy. Zapisał na niej słowa: *Sen nocy letniej*.

– To o elfach – powiedział. – Coś w stylu *Władcy Pierścieni*, ale lepsze, bo starsze i klasyczne... Nie, nie będę was pytał, czy przeczytaliście tekst. Nie lubię, jak się mnie oszukuje. Ale trudno, popiszecie się swoją wiedzą na teście końcowym i bądźcie pewni, że wam nie popuszczę. Nieznajomość Szekspira to wstyd.

Mówiąc to wszystko, nie patrzył na klasę, łaskawie pozwalając uczniom oglądać tył swojej wyprasowanej w kant koszuli. Zapisał jeszcze kilka ważnych dat i imion, po czym wrócił na fotel, zamknął oczy i przeniósł siebie i tych, którzy wciąż mieli ochotę go słuchać, do innego świata.



Pan Clifford malował słowem. Gdy zapominał o klasie, wychodziła z niego nieco przykurzona pasja do nauczania. Przez wszystkie te lata spędzone z „niewdzięczną młodzieżą”, z każdym kolejnym siwym włosem nauczyciel coraz głębiej zakopywał swój talent do snucia opowieści. Za każdym razem, gdy wreszcie z niego korzystał, ten zdawał się lśnić niczym cenny skarb, a do pana Clifforda wracała odległa młodość. Właśnie to March uwielbiała w nauczycielu, choć nigdy by się

do tego nie przyznała, bo w szkole niechęć do niego uchodziła za niepisana regułę.

Nie wszyscy słuchali, choć na szczęście nikt nie przeszkadzał, rozumiejąc, że należy traktować opowieść z rodzajem nabożnego szacunku. Ktoś bawił się telefonem, ktoś inny niewprawnie rysował w zeszycie obrazki. A March słuchała, pozwalając sobie odpłynąć, co – zważywszy na jej ostatnie problemy – było przyjemniejsze niż zazwyczaj. Wpatrywała się w okno, choć oczy miała otwarte na inną rzeczywistość. Ludzie wchodzili i wychodzili przez szkolną bramę, po sąsiedniej ulicy mknęły samochody – wszystko to odbijało się w jej umyśle jak w obojętnym lustrze. Tak naprawdę widziała jedynie Oberona i Tytanię kłócących się o indyjskiego chłopca. Królowa wymachiwała rękami, a król już obmyślał spisek.

W tle rozciągał się las. Drzewa, żywsze w zaklętym przez elfy świecie marzeń, poruszały drobnymi gałązkami i szeptały między sobą, komentując rozgrywającą się przed nimi sztukę. March wchodziła głębiej w las, aż krzyki królewskiej pary stłumił szum lśniącej wody. Tu lała się spokojnie, choć swe źródła miała w gwałtownym wodospadzie, ryczącym w odległych górach. Nad strumieniem przelatywał właśnie Puk, różowiutki niczym noworodek, choć z twarzą wykrzywioną diabelskim grymasem. Przez chwilę obserwował March, jakby się zastanawiał, jakiego spłatać jej psikusa, aż wreszcie machnął ręką, rozumiejąc, że dziewczyna nie przynależy do tej historii – jest jedynie niemą obserwatorką.

Głos pana Clifforda tworzył zdarzenia. Historia malowana jego słowami ciągnęła się nie tylko głównym nurtem, ale i pobocznymi wątkami, pełnymi postaci, które jedynie przez zbieg okoliczności nie weszły na pierwszy plan. Wreszcie opowieść zaczęła zbliżać się do szczęśliwego końca. Oberon i Tytania stali ręka w rękę, błogosławiąc młode pary. March



skryła się za drzewem i przyglądała się ich czarom. Z palców króla i królowej płynęło błękitne światło, gdy kładli dłonie na czołach uradowanych zakochanych. Niedaleko rozległo się rzenie osła. Słyszając je, bohaterowie historii szczerze się roześmiali. March podeszła bliżej, by móc lepiej przyjrzeć się elfiej magii. Natrafiła stopą na gałązkę, która trzasnęła tak prawdziwie, jakby dziewczyna naprawdę tam była.

Naraz atmosfera się zmieniła. Oberon i Tytania odwrócili się w stronę nieznajomej, która wtargnęła w ich opowieść. Inni bohaterowie przelękli się na widok obcej bohaterki, lecz królowa z zagniewaną twarzą ruszyła ku March. Machała przy tym ręką, jak gdyby jej wygrażając.

*Odejdź stąd, odejdź!* – zdawała się mówić, choć z jej ust nie padło żadne słowo.

Dziewczyna poczuła się zagrożona. Las nie życzył sobie jej obecności, chciał ją przepędzić. Piękna dotąd wizja zaczęła przypominać koszmar – March utknęła w nim, nie będąc w stanie wrócić do świata, który był jej domem. Cofnęła się, widząc białą twarz Tytanii skąpaną w srebrzystej poświacie. Jednym ruchem palca królowa mogłaby wyrządzić jej krzywdę, stała się najgroźniejszą istotą w tym lesie.

– Nie chcemy cię tu! Nie chcemy cię! – powtarzał jakiś głos. Nagle March poczuła, jakby ktoś ją popchnął. Jęknęła, pewnie prowokując tym szydercze szeptu w klasie, ale teraz szkoła wydawała się odległa. Ona zaś naprawdę czuła pod palcami ziemię, na którą upadła.

– Dlaczego wy, ludzie, nie rozumiecie? – dodał inny głos. – Wy nigdy nie rozumiecie!

Odwróciła się w stronę głosu, by zobaczyć stojące nad sobą elfy. Jeden z nich miał błękitną skórę, a w ręku trzymał ostry sztylet, skóra drugiego – z pewnością kobiety-elfa – była jasnoróżowa. Oboje mieli piękne skrzydła motyli, ale w ich

wspaniałych ciałach kryło się coś zwierzęcego, coś, co kazało March się odsunąć.

– Wynoś się – syknęła różowa elfka.

– Ludzkie ścierwo, nie waź się kalać świętego lasu! – warknął błękitny.

Odsuwała się, a oni zmierzali w jej kierunku. Chciała krzyknąć, gdy ręka elfa ze sztyletem uniosła się w górę, a potem gwałtownie opadła, wbijając ostrze w jej ciało.

Nie poczuła bólu.



Nagle się ocknęła. Las znikł, a pan Clifford, wciąż usadowiony w fotelu, ogłosił zakończenie opowieści. Poruszył ramionami, sam próbując wrócić do twardej rzeczywistości i – już znów stary i zmęczony – podszedł do tablicy, gdzie drobnym maczkiem obok imion psotnego ducha Puka i zakochanych błędzących po elfim lesie dopisał treść zadania domowego.

March czuła, jak wali jej serce. Rozejrzała się po klasie, w obawie, że ktoś dostrzegł, że działo się z nią coś dziwnego, ale wszyscy wydawali się znudzeni albo zniechęceni. *Co się dzieje?* – myślała uporczywie. To nie mogło być normalne, zbyt głęboko weszła w historię o elfach, wszystko wydawało się tak realne. Z każdym uderzeniem serca krew niemal gotowała się jej w żyłach. Coś było nie tak, z pewnością coś się działo...

– Wypracowanie ma być gotowe za tydzień – oświadczył pan Clifford. – Nie akceptuję żadnych wymówek. Jeśli umrzecie, to proszę bardzo, ale wtedy na dowód wraz z zadaniem macie mi dostarczyć akt zgonu i zaświadczenie od zakładu pogrzebowego, podpisane przez opiekuna.

Zaśmiał się sucho z równie suchego dowcipu, gdy klasa przepisywała polecenie z tablicy. March wciąż trwała

w niezmienionej pozycji. Z trudem dochodziła do siebie. Czyżby zasnęła, gdy nauczyciel opowiadał? Ale jeśli tak, to dlaczego po wybudzeniu się nie leżała na ławce, a zamiast tego nadal wpatrywała się w okno? Znow w nie spojrzała. Za szybą wciąż przesuwali się ludzie. Tłum uczniów wyjątkowo szybko kończących dziś zajęcia opuszczał klasę. Wśród nich wolnym krokiem szedł ktoś niski w czarnej bluzie, z kapturem zarzuconym na głowę. March mimowolnie skupiła uwagę na tej osobie. *Dziecko?* – pomyślała. *Skąd by się tu wzięło?*

W istocie, postać nie wyglądała na wiele wyższą o niej, a dotąd March nie słyszała, by w tej szkole uczyła się inna osoba z podobną, nierozpoznaną przypadłością. Ba, sądziła, że tylko ona jedna w całym świecie cierpi na ten dziwaczny rodzaj karłowatości. Ale to nie mogło być dziecko. Tutaj uczyli się tylko licealiści.

Osoba w czarnej bluzie, jakby wyczuwając na sobie wzrok March, obróciła się i spojrzała wprost w okno, z którego ta wyglądała. Dziewczynę przeszył nagły, chłodny dreszcz.

*Te oczy... Błyszczące oczy.*

Wpatrywała się w nieznanego jak sparaliżowana. Dopiero po chwili dostrzegła, że nie tylko jego wielkie oczy były niezwykle. Nie miała wątpliwości, że to chłopak, ale z trudem zgadywała jego wiek. Z pewnością nie był dzieckiem, choć do mężczyzny też wiele mu brakowało. Jego skóra była nienaturalnie biała, przez co oczy odznaczały się jeszcze mocniej. Spod czarnego kaptura wysuwały się blond włosy. Mimo tajemniczej aury i niespotykanej bladości chłopak wydawał się całkiem przystojny. Spoglądał na March przez chwilę, nie zauważając innych ludzi, którzy – co dziwniejsze – sprawiali wrażenie, jakby również go nie zauważali. Potem nagle się obrócił i zniknął tak szybko, że trudno było powiedzieć, w którą właściwie ruszył stronę.

– Ostrzegam, że jeśli ktoś będzie czerpał swoją wiedzę jedynie ze streszczeń, bez trudu to rozpoznam. – Głos pana Clifforda rozbrzmiał tak wyraźnie, że March, chcąc nie chcąc, spojrzała w jego stronę. – Siedzę w tym zawodzie już ponad czterdzieści lat i znam na pamięć wszystkie możliwe opracowania.

Rozbrzmiał dzwonek, co sprawiło, że nauczyciel musiał przekrzyczeć najpierw jego metaliczny dźwięk, a potem hałas przesuwanych krzeseł i wrzucanych do toreb książek.

– I bądźcie pewni, że nie zawaham się wystawić najgorszych stopni, jeśli będziecie olewać moje... – Niemal wszyscy już wyszli. – Zresztą nieważne – dodał, machając ręką. Z rezygnacją opadł na fotel, który zaskrzypiał pod ciężarem zmarnowanego życia właściciela.

Klasę wypełniła senna cisza. Za oknami dudniły odległe, wesołe głosy. March trwała w bezruchu jeszcze przez kilka chwil, po czym spokojnie pozbierała swoje rzeczy, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o nieznanym chłopaku, który dziwnym trafem zachowywał się, jakby rozpoznał jej twarz w oknie, jakby jej w nim szukał i od razu ją znalazł.

Przeszła obok obojętnego na jej „Do widzenia” pana Clifforda i gdy tylko przekroczyła próg klasy, zaatakowały ją rozbrzmiewające w korytarzu głosy.

– Kurdupłu, coś jesteś niewyraźna – powiedział ktoś, na kogo nie zwróciła żadnej uwagi. Najpewniej była to Belinda Gordon, bo słodki zapach na moment wytrącił March z rozmyślań.

– A co z twoim kaszalotem? – spytał ktoś inny. – Chyba się obraziła, co? Może w końcu powiedziałaś jej, jaką wielgachną ma dupę?

Tym razem głos zdawał się należeć do Billy’ego Hopkinsa. Jego też zignorowała. Podążając korytarzem, czuła się

odrealniona, jakby płynęła zamiast iść. Chciała jeszcze raz zobaczyć tego chłopaka. Chciała się dowiedzieć, kim był.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Historia i łacina przepłynęły jakby obok March. Niczego nie zanotowała, nie zwróciła uwagi na żadne ze słów nauczycieli, mimo że pierwszy z przedmiotów, którego uczył zresztą uwielbiany przez wszystkich pan Kinley, zwykle ją ciekawił, a drugie zajęcia prowadziła sama wychowawczyni.

– Ile zna pan koniugacji, panie Hopkins? – pytała pani Drew Billy’ego. Kręciła przy tym palcem swoje czarne loki, co w jej przypadku nie miało nic wspólnego z zalotnością. Bawiła się włosami zwykle wtedy, gdy zaczynała się niecierpliwić.

– Żadnej – odparł Billy, obojętnie wzruszając ramionami. Ręce trzymał w kieszeniach i chyba już bardziej nie mógł zlekceważyć nauczycielki.

Pani Drew uniosła brwi. Jej ręka zastygła nad niedopieczonymi lokami.

– A wiesz chociaż, ile ich jest?

March śledziła tę rozmowę jedynie kątem oka. Od czasu do czasu zerknęła też na Isel. Wyczuwała na sobie jej spojrzenia, lecz za każdym razem, gdy na nie odpowiadała, przyjaciółka odwracała głowę, dając upust kolejnym falom niewyczerpanego żalu.

*Złość się, ile chcesz, idiotko* – pomyślała March. Odnotowała przy okazji, że musi się powstrzymać, by nie użyć tego słowa w kolejnej rozmowie z Isel. Właściwie czuła większą niż zwykle potrzebę, żeby z kimś pogadać: o tych snach, o dziwnym chłopaku, o tym, w jaki sposób te dwie sprawy się ze sobą łączyły. Bo chyba jakoś musiały, choć wydawało się to niedorzeczne. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była

przekonana, że sama niepotrzebnie próbuje je powiązać. Przecież nie mogła śnić o tym samym chłopaku, którego potem spotkała na jawie.

Chyba że – no, to było jedyne wytłumaczenie – chyba że zetknęła się z nim już wcześniej, nie pamiętała o tym, ale podświadomie zarejestrowała spotkanie, po czym przypomniawszy sobie o nim podczas snu. Choć to rozwiązanie brzmiało wiarygodniej, nie bardzo w nie wierzyła. Wydawało jej się niemożliwe, by mogła spotkać kogoś o tak nietypowym wyglądzie, a później o tym zapomnieć.

– *Dies irae*, wiecie, co to znaczy? – rozbrzmiał znów głos pani Drew. Klasa milczała. – Dzień gniewu – odpowiedziała więc nauczycielka. – I to was czeka, jeśli na teście w przyszłym tygodniu nie będziecie znali przynajmniej dwóch koniugacji.

Sądząc po znudzonych westchnieniach, mało kto przejął się tą groźbą.

– Isel i March – rzuciła nauczycielka tuż przed dzwonkiem. Obie spojrzały na nią niepewnie. – Zostaniecie na chwilę po lekcji.

Wyrok wiszący nad głową March oprzytomnił ją. Dopiero wtedy przypomniawszy sobie o porannym spóźnieniu. Nie wierzyła, by można wyciągać konsekwencje z podobnej błahostki. Tyle że pani Drew podchodziła do tematu w zupełnie inny sposób.

– Pan Clifford powiedział mi o waszym zachowaniu. – Mówiła głównie do Isel, która spuszczała głowę. Być może pod burzą jasnych włosów, które opadały na jej twarz, kryły się łzy, lecz nikt ich nie dostrzegł. Chyba tylko Isel potrafiła się rozplakać jak mała dziewczynka z powodu ochrzanu.

March też się oberwało.

– Koniec roku szkolnego, nie najlepsze oceny, a przy tym zupełnie... jak wy to mówicie...? *Olewający* stosunek do



nauki. Czy myślicie, że my tutaj naprawdę nie chcemy wam pomóc?

Patrzyła na nie, licząc na odpowiedź.

– No, chcemy czy nie chcemy?

Isel i March tylko pokiwały głowami.

– A więc właśnie – ciągnęła pani Drew. – Nie wiem, co jest między wami dwiema. Mam wrażenie, że zachowujecie się jakoś inaczej. Mimo wszystko... – Westchnęła i wyjrzała przez okno. Patrzyła na własne odbicie, niejasno rysujące się w szybie. Sprawiała wrażenie, jakby gadała sama do siebie. – Mimo wszystko muszę wam wybaczyć.

March uniosła na nią zdumione spojrzenie. Zastanawiała się, czy to możliwe, by wychowawczyni mogła *nie* wybaczyć im tak strasznego przewinienia jak dwuminutowe spóźnienie. No i – w przypadku Isel – lekkie zdenerwowanie się na pana Clifforda. Słuszne, jak sądziła March, choć na razie nie miała zamiaru informować Isel o swojej opinii.

– Jesteście... jak by to powiedzieć... – Pani Drew przygryzła wargę, obmyślając pedagogiczną formułkę, którą nie uczyni im krzywdy. – Trudną młodzieżą. Młodzieżą z doświadczeniem... życiowym i... i...

Gdy zastanawiała się nad kolejnymi słowami, March postanowiła się wtrącić.

– Zgadza się – odparła szybko, czując rosnące zniecierpliwienie. – *My* jesteśmy trudne. Ci, którzy codziennie nas gnębią, są *łatwi*. Są normalni. Są... są tacy jak pani.

Usta pani Drew wykrzywił grymas oburzenia.

– Co przez to rozumiesz? – Powieka lekko jej zadrgała.

– Pytanie, co pani przez to rozumie. – March wzruszyła ramionami. – Chyba nie potrzebuje pani encyklopedii, żeby się domyślić, o co mi chodzi.

Isel odsłoniła oblepioną włosami twarz, czerwoną i ze zdumioną miną. Wiedziała oczywiście, że March nie da sobą

pomiatać, ale podobnej bezczelności by się po niej nie spodziewała.

Wyglądało na to, że i pani Drew świetnie rozumie, o co chodzi. Zapisała coś w grubym, czerwonym notesie, który nosiła ze sobą od początku roku szkolnego. Wszyscy nazywali go „księgą oburzenia”.

– Doskonale – oznajmiła, zatrzasnąwszy okładkę. – Pomyślę o karze. Jutro po zajęciach stawicie się u mnie. Obie.



– I co? Zadowolona?!

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała Isel zaraz po tym, jak opuściły klasę. Pospieszyła przed siebie, nie czekając na odpowiedź. March, sądząc, że może teraz uda im się pogodzić, ruszyła za nią.

– Jasne. Chyba ją zatkało – stwierdziła. – Ale to teraz nieważne. Posłuchaj...

– Nieważne? – Wściekła Isel odwróciła się w jej stronę. Stały już przy samych drzwiach szkoły. Pan Clifford, który właśnie wychodził, patrzył na nie wilkiem. – Przez ciebie zarobiłam szlaban.

– Do widzenia – zwrócił się do nich nauczyciel, ostentacyjnie pociągając za klamkę. Na jego twarzy czaił się wstrętny uśmieszek. Clifford musiał być z siebie bardzo dumny, słysząc o karze.

Isel mu odpowiedziała, za to March zmierzyła go od stóp do głów, choć dopiero wtedy, gdy obrócił się do niej plecami – nienawistne spojrzenie mógłby potraktować jako kolejny powód, by pójść na skargę. Potem spojrzała na towarzyszkę.

– Musimy pogadać.

– Nie mamy o czym. Przynosisz mi ostatnio same kłopoty.

Po tych słowach Isel otworzyła drzwi i szybkim krokiem podążyła ku szkolnej bramie. March nie dawała za wygraną. Na krótkich nogach biegła za przyjaciółką.

– Więc masz zamiar już wiecznie łazić obrażona, tak? – spytała, ponieważ uświadamiając sobie, że gdyby zamieniła „łazić” na „chodzić” i użyła nieco innego tonu, Isel być może nie przyspieszyłaby jeszcze bardziej.

– Odczep się ode mnie – warknęła. – I tak będę musiała znosić cię jutro podczas szlabanu. Tylko wszystko chrzanisz.

Tym razem to Isel przegięła. March od razu zapomniała o swojej wcześniejszej chęci pojednania.

– Mam ci przypomnieć, dlaczego mamy szlaban? – spytała. Wyszły już na ulicę, którą zwykle wracały do domu. March za każdym razem doskakiwała do Isel i podnosiła głos, chcąc mieć pewność, że każde jej słowo do niej dotrze.

– Mamy go przez ciebie! – prychnęła Isel.

– To nie ja się wyrwałam z chamską odzywką w stronę Clifforda! – przypomniała jej March.

Isel ponownie stanęła. Zrobiła to tak nagle, że March odbiła się od jej pleców i prawie upadła.

– Nie rozumiesz, dlaczego tak się do niego odezwałam? – Na twarz Isel wstąpił grymas podobny tamtemu, z którym słuchała obelg z ust March. – To *twoja* wina! Byłam zła, chciałam komuś przywalić, wyżyć się! Wkurzyłaś mnie, Sky, ty wredna, podła krowo. Nikt nie będzie mną pomiatał, a zwłaszcza ty.

Ta deklaracja brzmiała obiecująco. Gdyby tylko Isel szukała wrogów tam, gdzie powinna...

– A ty nazwałaś mnie suką, no i co? – obruszyła się March.

Isel dała sobie chwilę na zastanowienie, jak gdyby próbowała ocenić, czy jej słowa były sprawiedliwe, czy nie. Potem pokiwała głową.

– Zasłużyłaś sobie.

March uniosła wysoko brodę. No, przynajmniej wyżej niż zwykle musiała to robić, chcąc spojrzeć komuś w oczy.

– Niech ci będzie, miałaś rację – powiedziała. – Więc skoro już to sobie wyjaśniłyśmy, możemy wreszcie pogadać?

Isel sprawiała wrażenie, jakby walczyła sama ze sobą. Wreszcie, niechętnie, zgodziła się.

Dalej szły obok siebie, tak jak zwykle, choć nic nie było takie samo. Między ich ciałami wytworzył się dystans, prawie niemożliwa do pokonania przepaść. Zaczęła się zmniejszać, gdy Isel stopniowo opowiadała March o swoich ostatnich dniach. Okazało się, że słowa przyjaciółki zraniły ją jeszcze mocniej, niż tamtej się wydawało.

– Za każdym razem, gdy inni miesza mi błotem – mówiła – zastanawiałam się, czy to prawda, że... No wiesz, jestem ohydna i tak dalej. Łatwo było mi to zbyć, kiedy oni to robili, bo ich mam gdzieś, ale jak usłyszałam to od ciebie... Tak szczerze, to trochę się podłamałam.

Chwilę zajęło, nim March przetrawiła każde słowo Isel. Wyrzuty sumienia pękły w niej jak nadęty balon. Przeprosiła jeszcze raz. Nadal brzmiało to tak samo banalnie jak przedtem, ale może w jakiś sposób... pełniej, prawdziwiej?

Isel gorzko się zaśmiała.

– Wiem, że nie chciałaś – powiedziała już całkiem poważnie. – I to mi wystarczy. Chyba nadal jesteśmy kumpelami, co?

– Pewnie, kretynko! – zawołała March. – I nigdy nie waź się tak o sobie myśleć. Ohydni są ci, co gadają o tobie wstrętne rzeczy. Ja też byłam ohydna, ale tylko na chwilę i w nerwach. I nie naprawdę, więc się nie liczy.

Zamiast rozejść się do domów, skręciły w stronę parku. Musiały nadrobić stracony weekend. Teraz, gdy załatwiły już problem Isel, March czuła się gotowa, by zwierzyć się ze swojego. Po kolei opowiedziała przyjaciółce o wszystkim, co się

działo. Zaczęła od snu, a w miarę jak posuwała się dalej, przypominała sobie jego kolejne szczegóły.

– Wiem, to wydaje się dziwne – przyznała – ale mam wrażenie, że to ten sam chłopak. Czułam w nim coś znajomego, jakby... jakby...

– Jego aurę? – podsunęła Isel. March zdumiała się, że akurat to słowo przyszło jej do głowy. Coś w tym jednak było.

– Tak... Chyba można tak powiedzieć – stwierdziła, po czym zadała najprostsze pytanie. Właściwie było to pytanie podsumowujące: – Czy jestem nienormalna?

Usiadły na czystej, zielonej ławce. Rada miejska wyjątkowo dbała o park. Zatrudniono kilku ochroniarzy, którzy przez całą dobę pilnowali, by nikt nie zaśmiecał terenu. Podejrzliwym wzrokiem lustrowali każdego odwiedzającego. Na szczęście tak bardzo skupieni byli na wyszukiwaniu najdrobniejszych śmieci i gum pokątnie przyklejanych do ławek, że zupełnie nie obchodziło ich to, o czym się dyskutowało w ich obecności.

– Nienormalna? – Isel zastanawiała się nad tym dłużej. To chyba nie wróżyło najlepiej. – Nie wydaje mi się. To znaczy ja bym tak nie powiedziała, ale może musisz... no wiesz...

March uważnie studiowała jej twarz.

– Z kimś o tym pogadać – dokończyła Isel. Od razu było wiadome, kogo ma na myśli. March wcale jej za to nie winiała.

– Może powinnam – uznała, przy okazji przypominając sobie o wszystkich dotychczasowych wizytach u psychologów. Matka ciągała ją po nich, bo nie tylko w tej, ale i w poprzedniej szkole zdarzały jej się wybuchy agresji. Dziwnym trafem nikt nie uważał za czubków jej prześladowców. *Pewnie do dzisiaj mają się nieźle* – uznała. *Ciekawe, w kim znaleźli nowe ofiary.*

Na myśl o przeszłości, od której terażniejszość była niewiele lepsza, March zacisnęła pięści.

– Wszystko okay? – spytała Isel.

– Tak, po prostu się trochę... – Urwała. Dopadło ją zupełnie nowe, obce wrażenie. Zadrżała, niemal na sto procent pewna, że ktoś jej się właśnie przygląda. Odczucie pojawiło się nagle, lecz rozpoznała je bez problemu. Powoli odwróciła głowę w stronę wysokiego krzaku hortensji. Wydało jej się, że w tej samej chwili ktoś schował za nim głowę.

Zmagala się z wątpliwościami, czy mówić o tym Isel. Wreszcie uznała, że lepiej tego nie robić.

– Zamyśliłam się – dokończyła przerwane zdanie.

Przyjaciółka nie wyglądała na przekonaną, że o to chodzi, raczej na zaniepokojoną.

– Idziemy? – spytała, jakby czując, że z March dzieje się coś dziwnego.

– Pewnie zostanę tu trochę dłużej – odrzekła ta spokojnie, gdy w jej głowie zaświtał pewien pomysł.

– Ale chyba się nie obraziłaś, co? – Isel nagle pobladła. – Że kazałam ci iść do psychologa i w ogóle?

– Nie – zapewniła ją March. Za tę jedną rzecz prawie nigdy się nie obrażała: za szczerość. Bardziej martwiło ją to, że w zasadzie między słowami Isel zdawała się mówić: „Tak, jesteś nienormalna”. I że mogła mieć rację.



Przez kolejne pół godziny March trwała w bezruchu, wpatrzona w krzak hortensji. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Sądziła chyba, że ktoś z niego wyskoczy. Parkowy ochroniarz najwyraźniej spostrzegł, że coś nie gra, bo jego świdrujący wzrok stawał się coraz bardziej natarczywy. Nie przejęła się nim. Nie mrugnęła nawet okiem, wbijając spojrzenie w kwiat niczym koneser podziwiający dzieło sztuki.

Naraz zieleni wydała jej się wyraźniejsza. Może to jasne słońce wyostrzało kolor, a może uporczywe wpatrywanie się w roślinę sprawiło, że March nie widziała już nic poza jej wielkimi liśćmi i różowymi kwiatami. Powoli, niemal w niezauważalny sposób, łodyżki hortensji zaczęły się ruszać. To nie ktoś schowany między liśćmi sprawił, że tak się działo; roślina samoistnie przeciągała się i oddychała, na przemian otwierając i zamykając rozliczne kwiaty.

March nie miała czasu, by pomyśleć, że obserwowała coś niespotykanego. Niczym zahipnotyzowana śledziła każdy ruch hortensji i nim naszała ją jakakolwiek refleksja, zielone łodygi już ku niej sunęły. Bawiły się jej włosami, muskały policzki...

A potem, znienacka, wszędzie dookoła wystrzeliła zieleni. Zdawało się, jakby ktoś otworzył puszkę z farbą i niedbale rozlał ją w przestrzeni, która wchłonęła kolor. March zdążyła jedynie zamrużyć. Gdy to zrobiła, ochroniarz, ławki, brukowana parkowa ścieżka – wszystko, co jeszcze przed chwilą doskonale widziała – znikło. Ona sama stała za to w gęstym lesie, tak ciasno porośniętym drzewami, że choć dzień był słoneczny, zewsząd wyrastały wysokie cienie.

Drzewa nie były zwykłe. W tajemniczy sposób March była w stanie je poczuć. Miała wrażenie, że każde z nich zamieszkuje inny duch, odrębna świadomość, a ona – gdyby tylko chciała – byłaby w stanie z nimi porozmawiać.

*Nie można gadać z drzewami* – zwróciła się w myślach do samej siebie. *Znowu śnię.* Gdy to zrozumiała, senne zaklęcie szybko opadło. Nadal stała w lesie, lecz nie była już pod wpływem tajemniczej hipnozy.

Rozejrzała się. Była ciekawa, co robi jej fizyczne ciało. Tym razem go nie dostrzegła. Byłoby słabo, gdyby leżała teraz nieprzytomna na ławce w parku, a ochroniarz próbował ją ocucić. Jeszcze gorzej, jeśli jej ciało zaczęłoby się dziwnie zachowywać. Kto wie, może zaraz wezwą do niej karetkę.

Wszystko to było na razie mało ważne. Światem realnym zajmie się, gdy już do niego wróci. Na razie miała zamiar zbadać ten. Musiało kryć się w nim coś ważnego.

Ledwo o tym pomyślała, w oddali dał się słyszeć niemowlęcy płacz. Jego dźwięk najpierw sparaliżował March, lecz już po chwili pojawiło się poczucie obowiązku. Nawet jeśli to tylko mara – *dzienna mara*, o ile takie występują – musiała pomóc dziecku.

Przeciskała się między drzewami, dając się prowadzić płaczowi. Im wyraźniejszy się stawał, tym bardziej miała wrażenie, że łkanie stanowi część jej samej, odległą w czasie, a jednocześnie bliską ciałem. Znała to dziecko, a ono znało ją. Właśnie dlatego ją wezwało.

Drzewa jakby się odsuwały, pozwalając jej przejść. W końcu wyszła na zieloną, pachnącą kwiatami polanę. Tam płacz rozbrzmiewał najgłośniej.

Ujrzała dziecko. Leżało w beciku pod grubym drzewem, które w tej chwili zastępowało mu opiekunkę. A może faktycznie nią było? Coś kazało March przypuszczać, że dziecko przynależało do tego lasu, w nim się narodziło i tu miało pozostać. Mimo wszystko chciała mu pomóc. Nim jednak wykonała kolejny krok w jego stronę, ktoś zagroził jej drogę. Postać o fioletowej skórze wyrosła jak spod ziemi i wpatrywała się w nią złocistymi oczami. Miała skrzydła jak u motyla, a jej ciemne włosy falowały niczym rzucona na morze płachta.

March zlekła się i odsunęła. Istota przechylała głowę, zaglądając jej głęboko w oczy. Czytała przez nie w jej duszy. Potem otworzyła usta i wypowiedziała kilka niezrozumiałych słów.

Drzewa poruszyły się. Gałęzie wystrzeliły gwałtownie, odcinając March drogę do płaczącego dziecka. Gęstniały tak,



że wkrótce zakryły każdy jasny fragment przestrzeni i dziewczyna pogrążyła się w całkowitej ciemności.



Ocknęła się. Jak gdyby nigdy nie siedziała wciąż na ławce. Ochroniarz bez przerwy spacerował w pobliżu, ale nie wyglądało na to, by w trakcie wizji March zwrócił na nią większą uwagę.

*Wizji.* To słowo z pewnością nieprzypadkowo zaświtało jej w głowie. Może właśnie o to chodziło? Może nie prześladowały jej sny, ale wizje?

Tyle że nie mogła mieć tych drugich. Pokręcone sny są lepsze od wizji. Kiedy ma się wizje, to znaczy, że jest się zupełnym czubkiem.

March wstała i nie dając po sobie poznać, że coś właśnie ją zdołowało, ruszyła do domu. Na domiar złego przez całą drogę czuła za plecami czającą się obecność i nie wiedziała już, czy to efekt jej omamów, czy ktoś faktycznie ją prześladował.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wtorkowe popołudnie przyniosło zapowiadany szlaban. Pani Drew zjawiała się w pustej klasie punkt o trzynastej, przynosząc ze sobą wiadro z wodą, płyn do mycia mebli i dwie stare, wypłowiałe szmaty pożyczone ze szkolnej kanciapy.

– Porządki – oznajmiła krótko. – Myślę, że przyda wam się lekcja na ich temat. Kiedy zaznacie ciężkiej pracy, zrozumiecie, jak wiele oferuje wam szkoła.

Patrzyły na nauczycielkę z zażenowanymi minami. Na razie zanosilo się na to, że szkoła niewiele miała im do zaoferowania. Szmaty, którymi dziewczyny miały wyszorować wszystkie ławki i krzesła, przypominały rozmemłany szwajcarski ser. W dodatku nie dostały żadnych rękawiczek. Coś takiego mogło przejść chyba tylko w Finfolk, które szczyciło się „własnym systemem edukacji”. I wyzysku uczniów.

– Te ściery śmierdzą – wzdrygnęła się Isel po tym, jak dumna z siebie pani Drew opuściła pomieszczenie.

– A płyn do mycia jest nie lepszy – zauważyła March, zanurzając jedną ze szmat w wodzie. Chciała od razu wziąć się do roboty, by jak najszybciej skończyć. Matka nie wiedziała jeszcze o szlabanie i jeśli dobrze pójdzie, mogło tak pozostać aż do końca roku szkolnego, kiedy i tak nikogo nie będzie to obchodzić.

Isel powąchała wiadro i pokręciła nosem.

– Sama chemia.

Całą klasę szybko wypełnił smród środka czyszczącego, a w powietrze raz po raz wzbijały się przezroczyste bańki, gdy

dziewczyny zanurzały ścierki w wiadrze. Wbrew temu, czego się spodziewały, sprzątanie nieszczególnie im się dłużyło. Szlaban w zamkniętym pomieszczeniu dał im kolejną okazję, by na osobności porozmawiać o tym, co działo się z March.

– Sporo czytałam o tym wszystkim, co wczoraj mówiłaś – powiedziała Isel. – Zmartwiłam się.

March w duchu przyznała, że dobrze było mieć na powrót taką przyjaciółkę.

– Znalazłaś coś ciekawego? – spytała bez większej nadziei.

Niespodziewanie Isel odparła, że owszem.

– Słyszałaś kiedyś o świadomym śnieniu?

– No, właśnie to mi się chyba przytrafiło, tak?

Isel przewróciła oczami. Szorowała ławkę tak energicznie, że metalowe nogi aż drżały.

– Przytrafiło się, ale nie wiesz, o co chodzi – powiedziała. – Jestem pewna, że właśnie to stanowi wytłumaczenie twojego problemu. Ludzie nazywają takie sny OBE, doświadczeniami pozacielesnymi. To znaczy tak mówią ci, którzy wierzą w astralne ciała, duszę i inne takie. Moim zdaniem, co zresztą potwierdzają badania, to zwykły fenomen mózgu, działanie neuronów.

Jako zdeklarowana ateistka Isel nie mogła przychylić się do teorii wykraczających poza naukowe ramy. March wcale nie była bardziej od niej otwarta na *sprawy duchowe*. Tyle że to tylko pogarszało sprawę.

– Czyli nie jestem super uduchowiona, tylko świrnięta? – Zasepiła się. Machinalnie sunęła szmatą po ławce w górę i w dół, czyszcząc wciąż jedno i to samo miejsce.

– Bez przesady. To zwykła sprawa, nie ty jedna na świecie masz podobne sny. Niektórzy ludzie całymi latami ćwiczą, żeby im się przytrafiły, bo wiesz... Można w nich robić różne rzeczy...

Isel zawiesiła głos w taki sposób, że nie pozostawiało wątpliwości, o jakie różne rzeczy chodzi.

– Ale ja niczego nie ćwiczyłam – zauważyła March. – I nigdy wcześniej nie miałam takich snów. Poza tym jestem pewna, że ten chłopak...

– Skończ już, proszę – przerwała jej Isel, wysuwając w jej kierunku palec. – Doskonale wiesz, że to niemożliwe, by ludzie realnie włązili do czyichś snów. Po prostu dobrze się nad tym zastanów i... – Schyliła się, by wyczyścić ławkę także od spodu, co March uznała za zbytek łaski dla szkoły. – I postaraj się jakoś wykorzystać te sny, przejąć nad nimi kontrolę, bo... Fuj! – Skrzywiła się nagle i pobiegła w stronę kosza. Jej dłoni uczepliła się przezuta guma. Isel wyrzuciła ją i wypłukała rękę w wodzie z chemikaliami. – ...bo kiedy zyska się wprawę, można samemu tworzyć te sny.

Jej rozmarzone oczy powędrowały ku sufitowi. Wpatrywała się w niego z takim urzeczeniem, jakby faktycznie widziała tam coś niezwykłego. Była w tym na tyle wiarygodna, że i March spojrzała w górę, tylko po to, by się przekonać, że sufit nie tylko nie jest piękny, ale i że lada chwila będzie trzeba go przemaalować.

– Pomyśl tylko, jak by to było – odezwała się znów Isel – móc zrobić w snach wszystko, czego tylko zapragniesz, być, kim chcesz. Mogłabyś odwiedzać wymyślone światy, zyskać supermoce, umówić się z fajnym facetem...

March z dezaprobatą pokręciła głową. Dobrze wiedziała, co roi sobie Isel. Gdy jej wyobraźnię nawiedzał Billy Hopkins, odnosiło się wrażenie, że w oczach dziewczyny odbija się jego podła, cwaniakowata mordą.

– Cóż. – March nadała swojemu głosowi cierpki ton, licząc, że oprzytomni tym przyjaciółkę. – Mnie już teraz udało się kontrolować swój sen. Sama zdecydowałam o tym, dokąd pójdę.

Isel zamrugnęła.

– Serio?

Obie zabrały się z powrotem do pracy, tym razem więcej nie przerywając. W trakcie March opowiadała o swojej wizji z parku.

– Dlaczego akurat dziecko? – zastanawiała się. Isel od razu znalazła wytłumaczenie, może nawet zbyt logiczne.

– Czasami mózg śpiącego odbiera sygnały z zewnątrz. Ile razy ci się zdarzyło, że we śnie ktoś dobijał się do drzwi, a potem się budziłaś i gałązka stuknęła o szybę? Albo myślałaś, że pies szarpie ci rękę, jak ktoś próbował cię obudzić? Być może w czasie, gdy spałaś, po parku spacerowała jakaś matka z niemowlakiem?

– Nadal nie rozumiesz. Ja wcale nie spałam. Widziałaś, żeby ktoś kiedyś ot tak zasnął? – Pstryknęła palcami, co od razu naprowadziło ją na nowe tory. – No właśnie! To przypominało bardziej hipnozę, tyle że byłam w pełni świadoma.

Isel ciężko westchnęła. Brała się już do kolejnej ławki, podczas gdy March – jakby zapomniawszy, że chciała wcześniej się zerwać – dopiero kończyła czyszczenie pierwszej.

– W sprawie nagłego zasypiania powinnaś skontaktować się z lekarzem – odparła jej towarzyszka tonem jak z reklamy. – I nie, nie chodzi mi o psychiatrę, bardziej o neurologa. Jest taka choroba...

– Dobrze już. – March machnęła na to ręką. – Choroba, której wcześniej nie miałam i tak nagle się ujawniła? Nie wszystko można wytłumaczyć w ten sposób.

– Staram się jakoś pomóc... – Głos Isel znacznie teraz przycichł.

– A co z tym elfem? – wypaliła March, zbijając przyjaciółkę z tropu.

– No, co z nim? – spytała Isel bardzo powoli, jakby obawiała się kolejnej szalonej teorii.

– Widziałam go we śnie.

– Akurat tym w ogóle bym się nie przejmowała. W końcu był jedyną całkowicie nierealną istotą w tym twoim śnie... Dobra, niech ci będzie, w *wizji*.

– No właśnie – podchwyciła March. – Elfy nie istnieją, a ja go widziałam. Poza tym, wtedy, jak pan Clifford opowiadał nam o tej sztuce Szekspira, też zobaczyłam dwa elfy. Jeden nawet wbił mi nóż w brzuch.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Było tak realne, jakby faktycznie ktoś ją zaatakował. Za to Isel się zniecierpliwiła. Prawie rzuciła szmatą o podłogę.

– Daj już spokój, March! – zawołała z naciskiem. – Przecież to się nie działo *naprawdę!* Widocznie myślałaś dużo o elfach po tym, jak przerabialiśmy *Sen nocy letniej*.

– Łatwo ci mówić. A ja sama już nie wiem, co było prawdą, a co nie.

– Jest coś jeszcze – dodała Isel. – Wspomniałaś o lesie. Że pojawił się w twojej... *wizji*. A to potwierdza teorię, że nie doświadczyłaś niczego niezwykłego.

– Niby jak potwierdza? – March zupełnie się pogubiła.

Isel znów zanurzyła ścierkę w wiadrze. Chmara roztańczonych baniek uleciała w górę i zaatakowała March, która odpędziła się od nich rękami.

– Mówiłam ci, że wszystko jest tutaj. – Isel wskazała własną skroń. – Każdy przecież wie, że dawniej na terenie parku rósł las. Twój umysł podsunął ci *wizje* rzeczy, które miałaś gdzieś w podświadomości.

March zmarszczyła czoło. Tak była skupiona na rozmowie, że niemal przeoczyła wybazgrany na skraju jednej z ławek napis „Belinda Gordon się puszcza”. Szczerze przekonana, że w szkole powinno się głosić prawdę – i że nawet seksizm umiałaby w tym wypadku wybaczyć – postanowiła go nie zmywać.

– Las? – Odwróciła się w stronę towarzyszki. – Jaki las? Pierwsze słyszę.

– No co ty? Nic nie wiesz na temat historii Finfolk? – Teraz to Isel wydała się zdumiona. – Te tereny bardzo długo porastał gęsty las. Ludzie zaczęli się tu osadzać dopiero pod koniec osiemnastego wieku. Sądziłam, że o tym czytałaś albo chociaż ktoś ci mówił. Ja dowiedziałam się od razu po przeprowadzce.

Posyłała przyjaciółce badawcze spojrzenie.

– Nie wiedziałaś? – spytała niepewnie.

March pokręciła głową.

– Nie. Dobrze wiesz, że nie łączę po bibliotekach tak jak ty. I na pewno z nikim nie gadałam o przeszłości Finfolk. Nie obchodzi mnie ani jego przeszłość, ani przyszłość, zresztą nawet teraźniejszość ledwo tu znoszę.

– Gdybyś nie wiedziała o lesie, nie ma szans, żeby pojawił się w twojej wizji – stwierdziła nagle Isel wyjątkowo kategoriycznym tonem. – Jestem pewna, że pan Kinley mówił o tym wiele razy, więc nawet jeśli ty sama tego nie pamiętasz, coś musiało utkwic ci w mózgu. *Voilà!*

– *Mózgu, mózgu* – warknęła March. – Mój mózg wcale nie jest taki...

Urwała, w jednej chwili zapominając, co chce powiedzieć. Urwała, bo za oknem stało się coś o wiele ważniejszego. Mignęła w nim czyjaś twarz, a osadzone w niej oczy błyszczały o wiele wyraźniej niż szyba.

– Co jest? – spytała Isel. Z jej policzków odpłynęła krew, odbierając im zwykle rumiany kolor. March, ze wzrokiem utkwionym w szybie, za którą nikogo już nie było, rozdziawiała usta i stała nieruchomo niczym posąg. Nim Isel podeszła bliżej, by nią potrząsnąć, ta wybudziła się z letargu.

– Widziałam – wyszeptała. – Znów go widziałam.

– Kogo?

– Dobrze wiesz! Tego chłopaka.



– Ale... gdzie był?

March nie była pewna, czy dobrze zrobi, jeśli odpowie na to pytanie, dlatego że ledwo Isel je zadała, odpowiedź wydała jej się równie niesamowita co mówienie o wizjach. Mimo wszystko odparła:

– No... Był tak jakby... Przyklepał twarz do okna, z drugiej strony...

Gdy Isel powoli unosiła brwi, wyżej i wyżej, March zdawało się, że doskonale rozpoznaje każde z jej odczuć, od zdziwienia, przez niedowierzanie, aż po lęk.

– Ale... March... – Isel starała się zachować delikatny ton. Może po prostu miała pewne obawy, bo w końcu nigdy nie wiadomo, co strzeli wariatowi do głowy. – Przecież my jesteśmy na...

– Pierwszym piętrem, wiem – skończyła za nią March. Była zła; zła na Isel, że zwraca się do niej takim tonem, i zła na siebie, że ciągle widziała rzeczy niemożliwe. – Nie musisz mnie brać za psycholkę.

Wróciła do szorowania ławek. Robiła to teraz z większą siłą, sprawiając, że metalowe nogi uginały się pod ciężarem jej rąk. Widziała, co widziała. Błyszczące oczy znalazły ją i tutaj. Może to była kolejna wizja, może miał nadejść nowy sen – wszystko jedno, ale ona *widziała, co widziała*.



Przez najbliższe kilkanaście minut Isel milczała, co kilka chwil rzucając March zatroskane spojrzenia. Ta doskonale je wyczuwała, jednak nie raczyła na nie reagować. Wciąż była trochę zła, że przyjaciółka nie okazała jej należytego zrozumienia, choć właściwie trudno było się spodziewać, że podzieli jej obawy, skoro najwyraźniej uważała, że stanowią

rodzaj paranoi. Potem, jak gdyby nigdy nic, Isel zaczęła mówić o banalnych rzeczach: fryzurze pani Drew, sprawdzanie z historii, nowej kiece Belindy... Na co tylko się dało, March odpowiadała pomrukami. Kiedy sytuacja wymagała dłuższego komentarza, usiłowała sobie przypomnieć, na czym skończyła przyjaciółka, i za każdym razem udzielać zadowolających odpowiedzi.

– Rozmawiałaś o tej sprawie ze swoją mamą? – spytała nagle Isel, zbijając March z tropu.

– O moich wizjach? Nigdy w życiu! Wiem, czym by się to skończyło.

Od razu zobaczyła obraz niezwykle przytulnego gabinetu. Siedziała tam w niezwykle miękkim fotelu, a naprzeciw siebie widziała kobietę z niezwykle przyjaznym uśmiechem.

Isel nie wróciła już do tego tematu.

– Został ostatni rząd – powiedziała. Głos lekko jej zadrżał. Dopiero gdy wskazała na ławki przy oknach, March skojarzyła, o co chodzi. Zdawało się, że jej przyjaciółka mimo całej swojej racjonalności bała się podchodzić do okien, jakby sądziła, że udzieli się jej psychoza.

– To raz-dwa i po krzyku – odrzekła March z nową werwą. Skoro Isel reagowała w ten sposób, uznała, że lepiej będzie dać temu spokój i przestać zadręczać ją swoimi problemami. Da sobie radę sama. Wytrwała w tym postanowieniu dobre pięć sekund, bo ledwo podeszła do okna, coś znów nią wstrząsnęło.

– Podejź tu! – przywołała towarzyszkę. – Sama zobacz!

Zaciekawiona Isel przystawiła nos do szyby.

– Tam jest. – March wskazała palcem chłopaka w ciemnej bluzie z kapturem. Siedział na szkolnej ławce i wlepił twarz dokładnie w okno, z którego spoglądały dziewczyny. Zdawało się, że niepokój Isel jeszcze się pogłębił.

– O co chodzi? – spytała.

– Ten chłopak. To właśnie on!

– Jaki chłopak? Gdzie?

March ze zniecierpliwieniem odwróciła się do przyjaciółki.

– Żartujesz sobie? – obruszyła się. – Przecież siedzi tam, na ławce. – Dotknęła szyby wyciągniętym palcem, odciskając na niej podłużny ślad.

Isel wyęczała wzrok. Bez względu na to, jak bardzo się starała, nic nie dostrzegła. A przecież chłopak tam był. Gapił się na nie tymi hipnotycznymi oczyskami i March nie wiedziała już, komu wierzyć: sobie czy Isel. Wiedziała za to, że zaraz skopie komuś tyłek i tą osobą będzie tamten stalker.

– Dobra, zobaczysz, udowodnię ci! – zagroziła, po czym wybiegła z klasy, pozostawiając Isel z szeroko otwartymi ustami.

Biegła. Musiała być szybka. On pewnie spodziewał się, że March ma zamiar go dopaść i może już uciekał. Jak strzała przeleciała przez dwie kondygnacje schodów, omal nie wpadając na zmierzającego na górę pana Kinleya.

– Dzień... dobry? – Wątlły staruszek ze srebrzystą czupryną idealnie nadającą się dla nauczyciela historii przystanął, lecz nim zdołał się odwrócić, March już nie było. Potrącając po drodze kilku uczniów, wybiegła ze szkoły. Już sunęła w kierunku ławek. Dobiegła do nich w trzy sekundy – tyle wystarczyło chłopakowi, by się ulotnić.

*Ale nie mógł odejść daleko* – stwierdziła. Oddychając ciężko, rozejrzała się najpierw wokół siebie, po czym wyszła za szkolną bramę. Spojrzała w lewo i w prawo. Z obu stron nadciągały grupki przechodniów. Chłopaka wśród nich nie było. Przy swoim wzroście nie miał problemu z ukryciem się, ale przecież March nie mogła się rozdzielić, by szukać go jednocześnie tu i tam. Zrezygnowana powłóczyła nogami z powrotem w kierunku szkoły. Dopiero wtedy zaczęła bać się reakcji potrąconych uczniów, pana Kinleya, a przede

wszystkim Isel. Mijając po drodze tych pierwszych, mierzyła się z pogardliwymi spojrzeniami, pana Kinleya na szczęście nie było już na schodach, za to Isel wydawała się wyjątkowo nieswoja.

– March, to... – zaczęła. Na jej twarzy rysował się wyraz nie tylko przerażenia, ale i bezsilności.

– Po prostu dajmy temu spokój – poprosiła March.

Raz jeszcze zanurzyła ścierkę w wodzie, zdmuchnęła natrętne bańki i na nowo wzięła się do pracy, już ani na moment nie odwracając twarzy ku oknu.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczór pogłębiał się w oczach. Na szarzejącym niebie chmury przestały połyskiwać, a wpływająca do Finfolk ciemność stopniowo pochłaniała kształty. Wreszcie dachy niskich domków odznaczały się od otoczenia już tylko dzięki światłu okrągłych latarni, rozłożonych na uliczce tak równo, jak gdyby odległość między nimi wymierzono linijką.

Zamknięta w swoim pokoju March opierała głowę o szybę. Jednym z nielicznych plusów jej postury było to, że jeśli tylko chciała, mogła wdrapać się na parapet i usiąść na nim lub nawet wyciągnąć się na całej długości. Jako dziecko lubiła zasypiać w ten sposób. Matka nie pozwalała jej zapalać do snu lampki nocnej, uważając to za niewychowawcze, za to światła ulicy zawsze oferowały ukojenie dziecięcych lęków.

Teraz dziewczyna nie szukała światła. Nie patrzyła nawet na ulicę, jakby w obawie, że znów dostrzeże rzeczy, których teoretycznie nie powinna widzieć. Zamiast tego wpatrywała się w niebo, licząc, że spokój księżycy i gwiazd pomoże jej zebrać myśli.

Isel faktycznie nie była w stanie dostrzec tamtego chłopaka. To nie ulegało żadnej wątpliwości. Siedział na ławce samotny, więc komuś, kto mógł go zobaczyć, odnalezienie go nie sprawiłoby problemu. Nie sposób było też wziąć go za kogoś... za coś innego. Miał zwykłą, ludzką sylwetkę, choć teraz March poważnie zastanawiała się, czy był człowiekiem. Jeśli nie stanowił wytworu jej wyobraźni – a tego mogła być pewna, bo po ziemi stapała twardo – to czym był?

*Nie zwariowałam* – powtarzała sobie. To dziwne, że na samym początku prędeż była skłonna przyznać, że coś z nią nie tak, a teraz myślała inaczej. Sny i złudzenia z ostatnich dni mogły świadczyć o jakimś zaburzeniu, ale dzisiejsze zdarzenia przekonały ją, że nie tylko jej mózg – jak to twierdziła Isel – brał w tym wszystkim udział.

– Przecież go widziałam. – Zaciśnęła pięści, przemawiając do samej siebie, chyba tylko po to, by jeszcze utwierdzić się w tej pewności.

Ściany dudniły od głosu rozmawiającej przez telefon pani Sky. March nie była w stanie dosłyszeć jej słów. Wydawało jej się, że matka jest wzburzona. Najpewniej rozmawiała z koleżanką lub terapeutą. Choć oficjalnie twierdziła, że nie potrzebowała już pomocy, pozostawała w stałym kontakcie z dwojgiem psychologów. Dzwoniła do nich od czasu do czasu, by nie zapomnieć, że zawsze tam są, gotowi przeprowadzić ją przez każdy trudny okres. Z córką wcale nie rozmawiała na te tematy, chyba że uważała, że to March ma kłopoty. Dziecku wolno było przyznawać się do problemu przed rodzicem, jednak w przekonaniu Emmy Sky role nigdy nie miały prawa się odwrócić.

Na zewnątrz, w jednym z domów otworzyły się drzwi.

– Wynocha, zapchleńcu! – zawołał ktoś. March rozpoznała po głosie panią Connor, sąsiadkę, u której od dawna podejrzewała niezdiagnozowaną nerwicę natręctw. Kobieta wcielała w życie każdą pojedynczą radę z *Perfekcyjnej pani domu* i nikt nie śmiał zagrozić idealnemu porządkowi w jej ogrodzie. Właśnie przekonał się o tym tłusty czarny kot, którego pani Connor trzymała za kark. – Żebyś tu więcej nie widziała! – warknęła, rzucając go na chodnik. Jeśli nie zrozumiał jej słów, z pewnością świetnie pojął znaczenie tonu, jakim się do niego zwróciła.

Gdy za sąsiadką zatrzasnęły się drzwi, kot jeszcze przez kilka chwil spoglądał w stronę jej płotu. March mogłaby przysiąc, że zastanawiał się nad tym samym, co i jej nieraz chodziło po głowie: gdyby tak wymazać czymś śmierdzącym klamkę w bramie pani Connor, sąsiadka miałaby roboty na najbliższe kilka godzin. O ile nie zesłaby na zawał.

March uśmiechnęła się pod nosem. Tej baby nie znosiła chyba jeszcze bardziej od większości mieszkańców Finfolk, może dlatego, że jej wścibskie oczy śledziły innych na każdym kroku. Starczyło gwałtowniej odwrócić się w stronę jej domu, by zobaczyć, jak szybko chowa się za firanką. I zawsze wymyślała powody, by się na kogoś skarżyć. March przysięgłaby, że przeszkadzała jej nawet muzyka z laptopa puszczana na drugim końcu ulicy.

*Chciałabym ich rozwalić* – przypomniała sobie swoje własne słowa i poczuła się, jakby coś ciężkiego opadło jej na żołądek. Czasami bała się własnej agresji, zastanawiała, dokąd kiedyś ją doprowadzi. Nie, nie życzyła nikomu śmierci. Nie *naprawdę*. Ale gdyby oni wszyscy faktycznie umarli, to czy by się przejęła? A jeśli nie, to jak to o niej świadczyło?

I, no tak, to był kolejny powód, dla którego można było mieć ją za wariatkę. Gdyby dodać do tego omamy... *Ale nie mam żadnych omamów* – powtarzała uporczywie w myślach.

– *Żadnych omamów* – dodała pod nosem, wciąż wpatrując się w kota, którego czarna sierść ledwo odznaczała się w mroku ulicy. Zwierzę nastroszyło sierść i odwróciło się w stronę March. Blask latarni oświetlił jego pyszczek; światło odbiło się w wielkich oczach. *Wszyscy jesteście tak samo wstrętni* – zdawał się mówić kot. *Ludzie...*

Z ogonem uniesionym dumnie i wysoko oddalił się, prawdopodobnie by szukać szczęścia w najbliższym śmietniku.



Tymczasem głos pani Sky ucichł. Wcale nie zapowiadało to, że kobieta poszła spać – przeciwnie, po chwili na schodach słychać było jej kroki. Kilka razy głośno westchnęła, co nie mogło zwiastować niczego dobrego. Jeszcze nim March usłyszała pukanie, była pewna, że czeka ją poważna rozmowa. A gdy to już się rozległo, matka nie czekała na zaproszenie i weszła od razu.

– Masz chwilę? – spytała. Było już po dziewiątej, a ona wciąż miała na sobie elegancki strój. Ostatnio sprawiała wrażenie, jakby bez przerwy była w pracy.

– Uhm... mam – odparła March, zastanawiając się, co ją sprowadza. Może tym razem to ona miała jakieś zmartwienie. Straciła posadę, zachorowała na coś... Znalazła kochanka?!

Pani Sky wydała bliżej niesprecyzowany pomruk. Chwilę trwało, nim ułożyła sobie w głowie to, co chce powiedzieć.

– No... więc... hm... – Przeciągała te półsłówka tak bardzo, że wymawiając je, zdążyła poprawić sobie włosy, usiąść na łóżku i rozejrzeć się po pokoju. – Zadzwoń do mnie Isel.

March natychmiast oblała się zimnym potem.

– Isel? – Chyba się przesłyszała. – Czego chciała?

Odpowiedź była wiadoma od początku.

– Co się z tobą dzieje? – Pani Sky zmarszczyła czoło. Po części wydawała się zatroskana, co jeszcze można było zdzierżyć. Tylko że w jej głosie pobrzmiwało też oskarżenie, a to bardzo się March nie spodobało. – Jeśli masz problem, powinnaś mi o tym powiedzieć.

Dziewczyna zaczęła się gorączkować. Kłamstwo nie wchodziło w grę – jej twarz zdradzała teraz każdą emocję. Musiała zagrać inną kartą.

– Isel jak zwykle przesadza – oznajmiła. – Miałam gorsze dni. Coś tam mi się przyśniło, a potem... No, źle się poczułam na lekcji i w parku, to wszystko.

– Nie, March, to nie wszystko. – Pani Sky pokręciła głową. Zachowywała ten swój wyuczony spokój. Przy okazji wyglądała na zmęczoną. – Isel brzmiała bardzo poważnie i trudno się temu dziwić, bo sprawa *jest* poważna. Dlatego coś postanowiłam.

– Co postanowiłaś? – spytała March, domyślając się odpowiedzi.

– Zwolnię cię jutro z zajęć. Potrzebujesz odpoczynku i... – Matka się zawahała. – I... Pan Irving, jeden z moich znajomych psychologów, znalazł godzinę. Umówiłam cię na wizytę.

March zeskoczyła z parapetu. Złość dopadła ją nagle, nie dając szansy na próbę zapanowania nad sobą.

– Mam cholerne szesnaście lat! – Stała naprzeciwko matki z płonącym wzrokiem. Przez głowę przeszło jej, że tak szybkie użycie tego argumentu, ostatecznego i zresztą zawsze nieskutecznego, tylko ją pograżyło. – Nie możesz sama umawiać mnie do psychologów!

– Sęk w tym, że mogę – oznajmiła pani Sky z pełnym opanowaniem. – A nawet *muszę*. Nie zapominaj, że mam wobec ciebie obowiązki.

March zacisnęła usta. *Obowiązki* – pomyślała. *Oczywiście*. Czego więcej mogła się spodziewać? Matce chodzi zawsze tylko o to: o *jej* obowiązki, o *jej* samopoczucie. Wszystko robiła dla siebie, a całą resztę miała gdzieś.

– Obowiązki! – prychnęła March. – Na pewno nie chciałabyś ich mieć! Pewnie nieraz sobie myślisz, że byłoby lepiej, gdybym znikła! A ja mogę to zrobić, mogę się spakować i sobie pójść, dać ci ten upragniony spokój! Będiesz wtedy zadowolona!

Nie żałowała ani jednego z wykrzyczanych słów. Matka wstała, choć trudno było stwierdzić, że wyglądała na urażoną.

– Nie chciałabym, by do tego doszło – powiedziała tak oficjalnym tonem, jakby uczestniczyła w spotkaniu

biznesowym z porywczym klientem. Jej oczy wydały się puste. Szybko opuściła pokój, może w obawie przed tym, co jeszcze usłyszy. March wpatrywała się w drzwi. Choć jeszcze przed chwilą wołała pozbyć się matki z pokoju, teraz wołałaby, żeby wróciła, wtedy jeszcze by jej wygarnęła.

Wcale nie płakała. Była wściekła, przede wszystkim dlatego, że łzy same spływały po jej policzkach.



Długo się nie kładła. Wzburzona chodziła po pokoju tam i z powrotem, przeklinając matkę. Nie miała prawa umawiać jej na żadne wizyty. A przede wszystkim pomysł był idiotyczny, bo żaden psycholog nie był tu potrzebny. Gdyby był, March pierwsza by do niego zadzwoniła, tymczasem rozmowa z terapeutą mogła tylko pogorszyć sprawę. Przecież gdyby opowiedziała mu, co się dzieje, skończyłaby na oddziale zamkniętym.

Gdy wreszcie, zmęczona myślami i obawami, rzuciła się na łóżko, ku jej zdumieniu sen przyszedł nader szybko. Sen i wizje. Poruszały się pod jej powiekami, gotowe, by w odpowiedniej chwili wedrzeć się do świadomości, znów pozostawiając po sobie dziwny posmak i niepewność. Nie miała siły z nimi walczyć. Poddała się, a gdy to zrobiła, poczuła niesamowitą lekkość. Ożywiona kołdra zsunęła się na podłogę, która po chwili znikła, pozwalając materiałowi opadać w czasie i przestrzeni.

March wiedziała, gdzie jest, jeszcze nim otworzyła oczy. Gdy to zrobiła, okazało się, że miała rację. Zamknięta w czterech przezroczystych ścianach, widziała mrugające światełka. Wisiały w ciemnogrnatowej przestrzeni. W kosmosie.

Tym razem w pokoju było jeszcze okno. *Jej* okno – to samo, tyle że inne, jakby większe i otwierające się na świat różny od tego, który oglądała przez nie za dnia. Lekki wiatr łagodnie je otworzył, pozwalając kosmosowi wejść do środka. March wiedziała, co zaraz się stanie, oczekiwała tego, więc gdy na parapecie przykucnął chłopak o błyszczących oczach, w ogóle się go nie bała. W świetle nocy był jej znajomym, którego imię wciąż jeszcze musiała odkryć.

– Wejź – zachęciła go. Jej słowa wypłynęły z ust i srebrzystą wstęgą rozlały się tuż pod sufitem.

Chłopak skinął głową. Zawiesił stopę w powietrzu. Natrafił na niewidzialną linię, po której podszedł do łóżka March i wyciągnął w jej kierunku dłoń. Bez wahania złapała jego delikatne palce.

Znów biegli. Niekończąca się droga przynosiła jej wolność, a brak zmęczenia sprawiał, że mogłaby pędzić w ten sposób i nigdy się nie zatrzymywać. Mimo to chłopak przystanął na dachu jednego z budynków i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Ona zrobiła to samo. Patrzyli na siebie. Jego głębokie oczy stanowiły dokładne odzwierciedlenie wszechświata z jej snów.

– Kim jesteś? – Przypomniała sobie, że już o to pytała. – Skąd cię znam? Bo wiem, że znam...

Posmutniał. Właściwie bez przerwy pozostawał smutny, tylko teraz jego żal się pogłębił.

Pokręcił głową. *Nie mogę* – zdawał się mówić. *Nie mogę*. By lepiej go zrozumiała, przyłożył do ust palec.

– Nie potrafisz... Nie możesz mówić? – odparła.

Nie odpowiedział na to żadnym gestem. Jego spojrzenie zdradzało za to pewne napięcie.

W górze coś rozbłysło. Znów zbliżała się w ich stronę wędrująca w powietrzu wyspa. Otaczającą ją mgłę rozjarzały gwałtowne pioruny. Jednemu, wyjątkowo jasnemu, towarzyszył grzmot. Wstrząsnął budynkiem, na którym

siedzieli, a ten – cegła po cegle – zaczął obracać się w proch. March opadała wraz z nim.

Nie krzyknęła. Z jednego snu wpadła w kolejny, lecz pozbawiony marzeń. Wszystko spowiała ciemność.



Droga z Finfolk do najbliższego większego miasta przypominała grzbiet wielbłąda, tyle że o ponad setce ogromnych, wyboistych garbów. Ciągnęła się wokół gór, które o tej porze roku nabierały soczyście zielonych barw. Tak gęsto porastały je drzewa, że nie sposób było się domyślić, czy oprócz nich na szczytach znajduje się coś jeszcze. Potem, znienacka, wąska górzysta ścieżka się urywała i od razu wjeżdżało się na kolejną drogę, gdzie pierwszą oznaką cywilizacji było pasmo sunących aut.

Rzadkie wypadki do miasta pozwalały March odetchnąć od dusznej, udawanie przyjaznej atmosfery miasteczka. Tym razem było inaczej. Chyba po raz pierwszy, odkąd się tu przeprowadziły, wołałaby pozostać w Finfolk, nawet jeśli oznaczało to kolejną środę spędzoną ze szkolnymi debilami.

W samochodzie było parno, choć pani Sky uchyliła okna. Niestety zimny wiatr nie był w stanie rozwiać gęstego napięcia między matką a córką, w którym dominowały niechęć i wzajemne oskarżenia, choć niewypowiedziane, bo od początku podróży March nie odezwała się ani słowem, w żaden sposób nie reagując na próby nawiązania rozmowy. W ten sam sposób miała zamiar postępować z panem Irvingiem.

– Niedługo będziemy na miejscu. – Głos milczącej od dłuższego czasu pani Sky wydał się czymś nowym. – Proszę cię, zachowuj się.

Na to March również nie odpowiedziała. W myślach odparła tylko, że każde zachowanie *jest* rodzajem zachowania, a pan Irving na pewno zdoła postawić diagnozę, nawet jeśli jego pacjentka przez całą sesję będzie siedzieć z założonymi rękami i gapić się w podłogę. Harry Irving był w końcu wielkiej sławy terapeutą.

Nie, naprawdę, Harry Irving *był* wielkiej sławy terapeutą. Umieszczał swoje reklamy na przynajmniej połowie czytanych przez matkę stron internetowych o psychologii, a na jego własnej witrynie bez przerwy ktoś dodawał pochlebne komentarze. March już raz się z nim widziała, kiedy jeszcze przyjmował w Londynie. Wtedy nieco się go obawiała. Pan w średnim wieku z gęstymi, falowanymi włosami, między którymi prawie nie było widać uszu, nosił małe okulary o błyszczących szkiełkach i bez przerwy popijał herbatę z filiżanki o wiele za małej na swoje niedźwiedzie łapy. To zapamiętała najlepiej; to, co mówił – mniej.

– Chcę ci pomóc. – Takie zdanie, wypowiedane łagodnym tonem, przewijało się najczęściej. – Nie musisz nic mówić, jeśli nie masz ochoty.

Właśnie z tego prawa March dziś skorzysta.

Gdy zatrzymały się pod budynkiem, w którym przyjmował pan Irving, parking był niemal w całości wypełniony. Matka szukała miejsca przez dobry kwadrans, po czym z ulgą oparła dłoń o kierownicę. Po tej chwili spokoju czekał ją o wiele większy stres.

Wysiadły i ruszyły w stronę budynku. Pani Sky przeczuwała, że milczenie March nie wróży nic dobrego. Szła przodem, stukając obcasami o wyłożone płytkami schody.

– To tu – oznajmiła, zatrzymując się przed drzwiami z napisem: HARRY IRVING, PSYCHOLOG, PSYCHOLOG DZIECIĘCY, TERAPEUTA BEHAWIORALNY.

Zapukała. Donośny męski głos zaprosił je do środka. March wsunęła się za matką i natychmiast rozejrzała po gabinecie. Pomieszczenie było sterylne. Całą podłogę zajmował jasny dywan, ściany i sufit pomalowano delikatną, seledynową farbą, w głębi znajdowały się dwa fotele. Przez wielkie, idealnie wmyte okno do środka wpadało mnóstwo słońca. Mimo to na ścianach i tak paliło się kilka jasnych lamp.

Pan Irving podszedł do pani Sky, trzymając w dłoni filiżankę.  
– Witaj, Emmo. Miło cię widzieć.

March, do której zwrócił się w bardzo podobny sposób, uznała, że to niezbyt fortunne wyrażenie, gdy jest się psychologiem i właśnie spotyka się pacjenta z problemami, nawet jeśli płaci ci za ich rozwiązanie.

Matka i terapeuta przez chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami. Potem mężczyzna spojrzał na March.

– Będziemy musieli porozmawiać na osobności. – Trudno było ocenić, czy zwraca się do dziewczyny, czy do jej matki.

Pani Sky kiwnęła głową. Opuściła gabinet tak szybko, jakby od dawna czekała na chwilę samotności. Gdy March została sam na sam z psychologiem, ten wskazał jej fotel.

– Usiądź, proszę.

Bez słowa zajęła miejsce. Nim założyła rękę, jak to sobie obiecała, przejechała dłonią po obiciu. Fotel był miękki i wygodny.

Pan Irving usadowił się po przeciwnej stronie. Odłożył filiżankę i przez dłuższy czas studiował twarz dziewczyny. W jego malutkich okularach odbijało się słońce, przez co sprawiał wrażenie, jak gdyby miał laser w oczach.

– Na samym początku chcę cię powiadomić, że jesteś tu całkiem bezpieczna – przemówił w sposób, jaki March uznała za infantylny. – Muszę ci też wytłumaczyć, jak będzie wyglądało to spotkanie.

Następnie przeprowadził ją przez schemat, który i tak dobrze знаła. Oznajmił, że będzie miała dość czasu, by opowiedzieć o swoim problemie – jeśli zechce – i by zadawać pytania – jeśli zechce – a potem – jeśli będzie mieć ochotę – wysłucha, co on ma jej do powiedzenia i – o ile wyrazi chęć – umówią się na kolejne spotkanie. Tyle że ona nie chciała. Niczego.

Jeśli mogła być z czegoś dumna, to z kłopotu, jakiego dostarczyła terapeutce. Przez najbliższe kilkanaście minut, gdy skończył już krótki wykład wprowadzający, mimo jego szczerych wysiłków nie udało mu się dotrzeć do jej wnętrza, by choć w najmniejszym stopniu je odsłonić. March pozostawała głucha na jego pytania, a on za każdym razem powtarzał, że ma prawo nie udzielać odpowiedzi, że tak bywa i że nie każdy lubi rozmawiać o swoich problemach.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko w końcu się otworzysz – dodał. – Wiesz, że jestem tu po to, by ci pomóc.

Rozgorączkował się, oczywiście tylko wewnętrznie. Ani razu nie drgnęła mu powieka, a ciało pozostawało spokojne, lecz March podświadomie wyczuwała jego nerwowość. W pewnej chwili zrobiło jej się go nawet żal. Ostatecznie z tego, co wyczytała, wynikało, że pan Irving był skutecznym psychologiem i nie miała powodów, by go nie lubić, a nawet jeśli, to nie były one oczywiste. Tak czy inaczej, nie przerywała milczenia, które stanowiło w końcu bardziej zemstę na matce niż na nim. Była pewna, że terapeuta jakoś wybrnie przed panią Sky, żeby udowodnić, że zasłużył na swoją renome i wynagrodzenie.

Pozostała nieugięta do samego końca. Na ostatnie kilka minut sesji pan Irving również zrezygnował z dalszych prób nawiązania z nią kontaktu, oparł się o fotel i popijając wystygłą już herbatę, posłał pacjentce dobrotliwe spojrzenie. Zmienił minę, gdy po wizycie rozmawiał z panią Sky.



Porozumiewali się ściszymi głosami. March udawała, że bardziej od ich rozmowy ciekawią ją odbitki dyplomów rozwieszane na ścianach gabinetu. Udało jej się co nieco podsłuchać, ale niewiele zrozumiała.

– Trudno dotrzeć... jest bardzo zamknięta... być może kontakt z kimś innym...

Słyszając to ostatnie, March otworzyła usta, by krzyknąć, że nie wybiera się do psychiatry. Nie odezwała się jednak ani słowem, nie chcąc zaprzepaszczać wrażenia, jakie już wywarła.

Potem pan Irving ściszył głos tak bardzo, że nawet pani Sky miała problem z dosłyszeniem go i musiała nadstawić ucho. March wyteżyła słuch. Zdawało jej się, że psycholog wspomniał o jakiejś *prawdzie* i zapytał, czy „ta dziewczyna” już ją zna.

Matka pokręciła głową. W milczeniu pana Irvinga dezaprobata wydała się nader głośna.

– W każdym razie nie okazuj zniecierpliwienia – powiedział wreszcie terapeuta. To March usłyszała bez problemu.

Pani Sky nie posłuchała tej rady. W drodze powrotnej do samochodu nie odezwała się do córki ani słowem, ale z łatwością dało się dostrzec, że rozsadza ją gniew. Dała mu upust dopiero, gdy wjechały na główną drogę, daleko od gabinetu pana Irvinga.

– Musiałś zachować się w ten sposób? – warknęła. – Nie widzisz, że wszyscy próbują ci...

– ...pomóc? – dokończyła za nią płynnie March. Teraz, gdy już odegrała się na matce, opanował ją chłodny spokój. – Nie widzę. W każdym razie on mówił, żebyś nie okazywała zniecierpliwienia.

Matka rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– W nosie mam, co mi każą psycholodzy!

March mimowolnie się roześmiała.

– Co nie przeszkadza ci płacić im za wizyty.

– Robisz to naumyślnie, tak? Mścisz się za to, że nie jestem dobrą matką? Wymyśliłaś sobie tę historyjkę tylko po to, żeby mnie wkurzyć?

– Masz jakąś manię. Twoje teorie spiskowe idą stanowczo za daleko...

Pani Sky wyglądała, jakby zaraz miała się rozpląkać.

– Co takiego ci zrobiłam, March? – spytała łamiącym się głosem. – Bywam koszmarną matką, wiem, ale czy naprawdę sądzisz, że się nie staram?

– Nie powiedziałam tego... – odparła cicho March. Ból matki jej się udzielił. Dopiero teraz nagle uświadomiła sobie, że od początku nie chciała jej zranić. A może chciała, ale tylko przez chwilę? I jeśli się jej udało, właśnie tego pożałowała. Mimo to nie znalazła w sobie dość odwagi, by przeprosić. Po prostu nie umiała z nią rozmawiać. To było tak, jakby stały po dwóch stronach przepaści i nie mogły się usłyszeć. – Czasami pewnie masz mnie dość, co nie?

Wypowiedziała te słowa, licząc, że matka się uśmiechnie. Zamiast tego spojrzała na nią całkiem poważnie.

– Tak, czasami mam – przyznała i od razu utkwiała wzrok z powrotem w drodze.

March poczuła, jak na nowo ogarnia ją chłód. Tym razem nie przyniósł jej spokoju, lecz nową falę bólu. Sięgnął serca.

Przez resztę drogi milczały, a gdy dotarły do domu, każda poszła w swoją stronę – i znaczyło to coś więcej niż tylko zamknięcie się w osobnych pokojach.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kolejnego dnia Isel próbowała unikać March. Im bardziej się starała, tym gorzej jej to wychodziło. Gdy w wyjątkowo nieudolny sposób chciała wtopić się w tłum wchodzących do szkoły uczniów, przyjaciółka wyciągnęła ją z niego, z niezwykłą jak na siebie mocą szarpiąc ją za rękę. March nie baczyła na to, że przygląda im się z zaciekawieniem z tuzin osób, a na twarzach więcej niż połowy gościły złośliwe uśmieszki.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś! – zawołała. – Wiesz, w co mnie wpakowałaś?

Isel wydała się nagle bardzo mała, jakby z braku innej możliwości postanowiła zapaść się pod ziemię.

– Chciałam ci pomóc...

– Tak, jak zwykle chcesz dobrze! Mam to gdzieś! Po co się wtrącałaś?!

– Zadzwońłam, bo wiem, że rozmowa z... no wiesz, mogłaby ci pomóc.

Ktoś zachichotał.

– Rozmowa z *no wiesz* – zadrwił Billy Hopkins. – Chyba wiadomo, o co chodzi. Sky, leczysz się? Nie jest już trochę za późno?

– Zamknij mordę! – ryknęła March, doskakując do niego.

Billy wyciągnął rękę, żeby zablokować cios. Uśmieszek nie schodził mu z twarzy.

– Wszyscy wiedzą, że jesteś szurnięta. Może powinno się...

Nie skończył, bo za drugim razem March trafiła, i to prosto w krocze, wkładając w to tyle siły, ile tylko mogła. Miała

wrażenie, że przez całą jej rękę przepłynął strumień ognia. Zresztą Billy wrzasnął i złapał się za klejnoty tak, jakby faktycznie zapłonęły. Oczy prawie wyszły mu z orbit.

March z wściekłości zaszumiało w głowie. Patrząc na zwijającego się z bólu chłopaka, nad którym pochylało się już kilka innych osób, miała ochotę jeszcze mu dokopać. Ale coś ją powstrzymywało, nagła myśl, która pulsowała w jej głowie: *Wariatka, wariatka...* A potem odezwał się czyjś wysoki głos. O bruk zadźwięczały obcasy, a March powoli wróciła do rzeczywistości.

– Co tu się dzieje? – Pani Drew stanęła w środku zbiegowiska, gwałtownie przenosząc spojrzenie z March na Billy'ego.

Żadne z zainteresowanych nie odpowiedziało, za to z tłumu gapiów szybko wyszła wysoka blondynka, chłodno patrząca na nauczycielkę. Belinda Gordon. Widząc ją, March nabrała ochoty, by i jej przywalić.

– To jej wina. – Palec blondynki wystrzelił w stronę March, a kilka osób ochoczo pokiwało głowami. Nawet ci, którzy zwykle byli neutralni, przyznali rację Belindzie. – Rzuciła się na Billy'ego i walnęła go w... No, walnęła go tam.

Wzrok pani Drew znów spoczął na chłopaku. Więcej nie trzeba było wyjaśniać.

– Zabierzcie go do pielęgniarki – poleciła kolegom Hopkinsa. Gdy go podnosili, ciągle jęczał, choć March była przekonana, że teraz już tylko udawał. A może zwyczajnie taką miała nadzieję. Bała się pomyśleć, co by było, gdyby faktycznie go uszkodziła. Ale jak? Przecież w zasadzie nie miała dość siły, żeby coś mu... zmiażdżyć.

– Rozejdźcie się! – rzuciła pani Drew do pozostałych, nawet nie patrząc na tłum. Teraz świdrowała spojrzeniem samą March.

Belinda ciągle stała w tym samym miejscu.

– Proszę pani... – powiedziała.

Nauczycielka odwróciła się gniewnie w jej stronę.

– Powiedziałam, że...

– Ale ja tylko chciałam dodać, że Bini też jest winna. – Belinda obrzuciła Isel takim wzrokiem, jakby miała ochotę na nią splunąć. – Bo to one dwie zaczęły się sprzeczać, Billy chciał je uspokoić, no i mu się dostało. Tylko tyle chciałam powiedzieć. Do widzenia.

Posłała March złośliwy uśmiezek, odwróciła się i pobiegła za znikającym tłumem.

March i Isel utkwily spojrzenia w czubkach swoich butów. Tym razem nawet ta pierwsza zachowała hardość dla siebie. Po wybuchu nie zostało w niej już wiele złości do spożytkowania, a nawet jeśli, to wołała nie kierować jej w stronę wychowawczynie.

– Kara nie dała wam do myślenia, prawda? – Cierpki głos nauczycielki zmroził atmosferę.

Pani Drew czekała. Gdy żadna odpowiedź nie nadeszła, oznajmiła:

– Porozmawiam z waszymi matkami.

Nic więcej nie mogła już zrobić, chyba tylko postarać się, żeby March wyleciała ze szkoły. Bo Isel w jej mniemaniu na pewno dało się jeszcze naprostować. Ale March już nie. Wystarczyło spojrzeć na nauczycielkę, by nabrać pewności, że właśnie tak myślała.

Pani Drew poprawiła włosy i otworzyła drzwi.

– Aha – dodała, odwracając się do Isel i March. – W naszej klasie są jeszcze podłogi i okna.



Podłoga w klasie pani Drew faktycznie była. Brudna i poobdzierana. A kiedy March i Isel odsunęły wszystkie ławki i krzesła, przekonały się, że jej powierzchnia jest też o wiele większa, niż sądziły. Obie trzymały w rękach wielkie mopy i nim zabrały się do jakiegokolwiek pracy, równocześnie westchnęły. Potem March rzuciła Isel gniewne spojrzenie i odwróciła się bez słowa.

– Technicznie rzecz biorąc – odezwała się przyjaciółka – nie możesz się na mnie gniewać, bo wiesz, że wszystko zrobiłam dla twojego dobra.

– Och, a to ciekawe, bo wyszło ci odwrotnie – mruknęła chłodno March. – W ogóle wszystko ostatnio robisz od dupy strony.

Isel przystanęła z mopem w takiej pozycji, jakby zaraz miała usiąść na nim okrakiem i odlecieć.

– Niby co masz na myśli? – odparła.

– Cóż, zastanówmy się. – March zapragnęła powbijać jej kilka szpil. – Ślinisz się do chłopaków, którzy cię nie chcą, chamsko odzywasz się do nauczycieli, a w dodatku za moimi plecami knujesz z moją matką, zamiast szczerze porozmawiać ze mną.

– Znowu zaczynasz? – zdenerwowała się Isel. – Chcesz nowej kłótni, tak?

– To nie ja zaczynam z tobą walczyć! Najwyraźniej ty nie skończyłaś walczyć ze mną! – March wycierała podłogę kolistymi ruchami, nie bacząc na brudne smugi, które pozostawiała. – Ale wiem, to jasne – dodała. – Chciałaś się zemścić za to, że cię obraziłam. Ciągłe nie możesz mi tego wybaczyć.

Isel prychnęła.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda.

Miała rację. March rzeczywiście to wiedziała.

– Poza tym – dodała przyjaciółka – wcale nie kocham się w żadnych chłopakach. Niby skąd możesz o tym wiedzieć?

March pozostawiła to bez komentarza. Billy Hopkins jakoś nie przestał odbijać się w oczach Isel, gdy ta podczas długich lekcji podążała tropem niemożliwych do osiągnięcia marzeń.

– Niepotrzebnie mu przywalałaś – mruknęła.

– Jasne. *Wcale* się w nim nie bujasz.

– Nie o to chodzi! – obruszyła się Isel. – Będziesz mieć kłopoty, jeszcze zobaczysz.

March wzruszyła ramionami. W ogóle jej to teraz nie obchodziło.

– Po co jej mówiłaś? – spytała, wracając do głównego tematu. – Nie mogłaś dać temu spokoju?

– Nie, bo się o ciebie martwię. – Isel wypowiedziała te słowa powoli i z naciskiem, jakby wyłuszczała coś bardzo skomplikowanego. – Tak trudno to zrozumieć? Nie wpadłam na żaden lepszy pomysł, jedyne, co przyszło mi do głowy, to pogadać z twoją matką.

– I skończyło się na tym, że zabrała mnie do psychologa.

Wbrew temu, czego oczekiwała March, jej słowa nie wywołały u Isel reakcji w stylu: „Och nie, przepraszam! I jak sobie poradziłaś?!”. Przeciwnie, dziewczyna wyglądała na ucieszoną. Na szczęście miała w sobie dość przyzwoitości, by nie zawołać: „To cudownie!”.

– I co powiedział? – zacięła się.

March beznamietnie wzruszyła ramionami.

– Nic, bo *ja* nic mu nie powiedziałam.

– Niedobrze. – Isel pokręciła głową. – Powinnaś była. Przecież on miał ci pomóc.

– Tak, tak. Wszyscy chcecie mi pomóc, tylko wam nie wychodzi. Tak naprawdę byłoby mi lepiej, gdybyście zniknęli z mojego życia. Matka, pani Drew, Belinda, psycholog... I ty też.



Isel zadarła nos. Trudno było zgadnąć, czy bardziej uraziło ją to, że March kazała jej zniknąć, czy fakt zestawienia jej w jednej linii z Belindą Gordon.

– Może zniknę – stwierdziła. – Ale mam nadzieję, że nim to się stanie, przestaną cię męczyć te dziwne sny i podziękujesz mi, że miałam w tym swój udział.

March nie pociągnęła tematu, a ponieważ nie umiała dłużej milczeć i za bardzo się bała, że Isel sama zacznie zamęczać ją gadaniem o mózgu i urojeniach, sprowadziła rozmowę na luźniejsze tory. Chwilę poplotkowały o Belindzie i panu Cliffordzie, który ponoć założył konto na portalu randkowym.

– Słyszałam, jak o tym gadali dzisiaj rano. – Isel zanosila się śmiechem. – Podobno na żadnym zdjęciu nie wyszedł zabójczo, chociaż widać, że użył Photoshopa. No, ale sama wiesz, z *taką* twarzą...

March zaśmiała się od niechcienia. Prawie wybaczyła Isel donos. Przynajmniej się starała – w końcu przyjaciółka faktycznie zrobiła to z troski – ale rozmowa jakoś im się nie kleiła. Na szczęście pani Drew ostatecznie odpuściła im mycie okien, więc mogły szybciej wyjść. Znow ruszyły w stronę parku. Po drodze Isel wpadła na nowy pomysł.

– Jeśli chcesz, zadzwonię znow do twojej matki i powiem jej, że...

– Nie! – March nie dała jej skończyć. – Już lepiej nic nie rób. Sprawa jakoś rozejdzie się po kościach. Za tydzień mama zapomni, że w ogóle miałam problem. Miała ich ze mną już tyle, że ten też się rozmyje.

Sama chciała w to wierzyć, ale kluczowe było to, by uwierzyła Isel. Kolejne telefony do pani Sky byłyby March bardzo nie na rękę, zwłaszcza że matkę czekała pogadanka z panią Drew. Teraz chyba nie było już szans, że nauczycielka odpuści.

Dziewczyny zbliżyły się do parkowej bramy. Isel narzekała na temat sklepu odzieżowego, w którym zwykle nie mogła dostać ubrań, jakie ją interesowały. March dobrze ją rozumiała – sama kupowała wszystko w działach dziecięcych, a jakieś trzy lata temu zaczęło się to robić uciążliwe i prowokowało szkolnych debili do kolejnych chamskich odzywek. Jednak rozmowy na temat ciuchów w tej chwili jej nie przejęły. Bo znów to wyczuła.

*Oczy* – nie mogła ich zobaczyć, bo znajdowały się za jej plecami, ale przecież dobrze wiedziała, do kogo należą i jak wyglądają. Śledziły ją, czuła ich spojrzenie w prawie namacalny sposób. Coś, co się do niej przylepiło, coś, co ją osaczało...

*Nie... Tym razem mnie nie sprowokujesz* – pomyślała. Nie dała nic po sobie poznać, nie odwróciła się, nie przystanęła. Wciąż kręciła głową na każde słowo Isel, udając, że pochłania ją rozmowa. Instynktem podążała natomiast za wzrokiem śledzącego, przekonana, że wkrótce się ujawni.

– Chyba poproszę mamę, żeby zabrała mnie do miasta – stwierdziła Isel. Weszły już do parku i usiadły na ławce. Stalker, duch czy tajemniczy człowiek, podążył za nimi. March czuła go teraz gdzieś po swojej lewej stronie. Jak to robił, że tak szybko i niepostrzeżenie się przemieszczał? I dlaczego faktycznie rozpoznała jego obecność, nawet potrafiła ją zlokalizować? A jeśli sobie to wymyśliła, jeśli naprawdę miała omamy? – Teoretycznie mogłabym zamówić te ciuchy w necie, ale nigdy nie wiesz, jak będą na tobie leżały.

March przytaknęła. Zapatrzyła się na krzak hortensji, który dwa dni temu doprowadził ją do wizji. Chyba lepiej było nie zwracać na niego uwagi, na wypadek gdyby znów miała wpaść w tajemniczy rodzaj omdlenia.

Z daleka dobiegł głos wzywający jej imię. Odpowiedziała dopiero za trzecim razem.

– Co? – Otrząsnęła się z letargu i rozejrzała, niepewna, kto ją nawołuje. Niestety była to Isel. Na jej twarzy odmalowała się mieszanina złości i obaw.

– Nudzę cię czy znów coś nie tak? – spytała.

– Wszystko w porządku... I nie, wcale mnie nie nudzisz.

March nie śledziła słów Isel. Prawie przestała wyczuwać *tamtą* obecność, choć chłopak z pewnością nadal krył się gdzieś w krzakach. Zastanawiała się, czy i on wie, że go rozpoznała. To znaczy, czy wie i czuje, kiedy ona wie i czuje, że... No, to bez sensu, ale w jakiś sposób ta możliwość wydała jej się logiczna.

Nie czuł. Nie mógł czuć, bo robił się coraz swobodniejszy. Wzrok – jakby bardziej natarczywy – było teraz jeszcze łatwiej uchwycić. Stalker wpadł w pułapkę udawanej obojętności. March zaczęła odliczać, kiedy zapomni się na tyle, że będzie mogła go zauważyć, a potem... Potem się pomyśli. Tym razem go dorwie, kopnie, walnie w mordę. Wszystko, co mu się należy.

Parkowy strażnik, ten sam, którego widziały tu ostatnio, patrzył w stronę ławki z jeszcze większą podejrzliwością, zupełnie jakby słyszał myśli March. Dziewczyna śledziła ruchy jego butów, raz po raz stukających o czysty bruk.

– Nie słuchasz mnie, prawda?! – rozbrzmiał donośny głos Isel. Nim March zdołała się powstrzymać, wypaliła:

– Tak. – Oprzytomniała. – To znaczy nie. To znaczy słucham cię, tak.

Ale Isel już wstała.

– Okay, nie chcę się na nowo z tobą pokłócić – oznajmiła, zakładając na ramię torbę tak gwałtownie, że powietrze świsnęło i rozwiało włosy March. – Nie jesteś dziś w nastroju, rozumiem.

– Nie, Isel, naprawdę...

– Słuchaj. Nie ma sprawy. Jak będziesz chciała pogadać, zadzwoń.

W kolejnej chwili wzburzona Isel szła już w stronę wyjścia. March przez chwilę chciała jeszcze coś za nią zawołać. Ostatecznie uznała, że na rozmowę z przyjaciółką znajdzie czas później. Wyjęła telefon i dalej udając obojętność, zaczęła się nim bawić, całą uwagę skupiając na wyczuwaniu obecności.

Karty w internetowym pasjansie przesuwają się pod jej palcami, obcasy strażnika wybijają hipnotyczny rytm, a tam, między drzewami, czaił się ten chłopak. I jego oczy. Teraz, gdy March była sama, nieznajomy zaczął robić się jeszcze śmielszy. Tego właśnie chciała. Zmarszczyła czoło, niemal przylepiając twarz do ekranu. *Świetnie, niech myśli, że mam wszystko gdzieś.*

I stało się. Krzak zaszeleścił, czego ochroniarz nawet nie zauważył, i chłopak wyszedł zza niego. Szedł cicho i mimo długiego czarnego płaszcza, tak odznaczającego się na tle parkowej zieleni, wydawał się prawie niewidoczny. Dyskretnie spoglądnał na March, a potem, próbując przejść za jej plecami, nieco przyspieszył.

Za późno. Oczywiście dla niego. Dziewczyna szybko się odwróciła. Nieznajomy przystanął i otworzył usta. Jego twarz zdradzała zaskoczenie i strach. Przez ułamek sekundy wbijali w siebie spojrzenia, po czym March zerwała się z ławki i rzuciła w jego stronę.

Biegł szybko, ale to, że został nakryty, odebrało mu część sił, a już na pewno przewagę. Wpadł między wysokie drzewa i wtedy March skoczyła mu na plecy i przygwoździła go do ziemi. Chłopak jęknął, gdy jej nogi zacisnęły się na jego biodrach. Wyglądali co najmniej idiotycznie.

– Czego ode mnie chcesz?! – warknęła March. Chwyliła go za głowę, zmuszając, by odwrócił się w jej stronę. – Mów, bo ci

przyłożę!

Nieznajomy milczał, a jego wielkie oczy otworzyły się szerzej. Były... dziwne, faktycznie błyszcząły i coś się w nich unosiło... odłamki, pył, drobne światełka? Czerń źrenicy kontrastowała z białą skórą chłopaka.

– Mów! – wycodziła March, nim obcy zdołał zahipnotyzować ją spojrzeniem.

Za plecami usłyszała głos.

– Hej, wy! Co tam robicie?!

Parkowy strażnik ruszył w ich stronę. March to nie obchodziło.

– Jesteśmy tacy sami – wyjąkał wreszcie chłopak. Gdy po raz pierwszy usłyszała jego głos, doznała wrażenia, że jakaś wielka zagadka została rozwiązana. Sen i wizje przysły. Przyszedł czas krwi i kości, prawdy.

– O czym ty gadasz?

– Złaź z niego! – Strażnik był już obok. Nie miała czasu. Zaraz, jeśli nie wykona jego polecenia, zmusi ją, by to zrobiła. Zwolniła uścisk.

– Samotna siedemnaście – dodał chłopak, nim się wyswobodził. – Zapamiętaj, Samotna siedemnaście.

Wstał i spojrzał na strażnika. Zmrużył oczy, sprawiając, że twarz mężczyzny zmieniła wyraz. Teraz strażnik wyglądał, jakby ktoś walnął go w głowę. Potem chłopak wziął nogi za pas i pobiegł w stronę drzew, za którymi po chwili zniknął.

March zdawało się, że śni. Do twardej rzeczywistości przywrócił ją głos otrzeźwiałego nagle strażnika. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej drobny notes.

– No, moja panno, nie wywiniesz się tak szybko – ostrzegł. – Czego chciałaś od tego chłopaka?

March wzruszyła ramionami.

– Niczego – prychnęła.

Brew mężczyzny groźnie drgnęła.

– Czyżby? A wiesz, jak tu nazywamy podobne rzeczy? – Zawiesił głos. March zdawało się, że liczy na fanfary, które pomogą mu w dramatyczny sposób obwieścić rodzaj przewinienia.

– Nie wiem – odparła raczej obojętnie.

– Rozbój – odrzekł strażnik. Nawet „morderstwo” w ustach kogoś innego zabrzmiałoby łagodniej.

– Słucham?! Przecież ja nic mu nie zrobiłam! – zaprotestowała.

Strażnik otworzył już notes i wziął do ręki długopis.

– I tak wszystko spiszę, a potem pogadam z twoim opiekunem. – Mówiąc to, wydawał się bardzo usatysfakcjonowany. – No, słucham, jak się nazywasz?

Zniecierpliwiona i wściekła March uderzała stopą o bruk.

– Słucham – powtórzył z naciskiem mężczyzna.

I wtedy... Pomyślała sobie, że... No, właściwie dlaczego nie?

– Belinda – odparła. – Belinda Gordon.



Wracała do domu wzburzona jeszcze bardziej niż przez ostatnie dni. Jej myśli przyspieszały z każdym krokiem, rozpierzchając się w różnych kierunkach. Każde wyobrażenie, każde podejrzenie zdawało się nabierać rozpędu i prowadzić do wniosków, na które sama by nie wpadła. Kim był chłopak? Dlaczego miał tak dziwne oczy? Czy to w ogóle możliwe, by migały wewnątrz nich światła? Rozsądek podpowiadał jej jakąś wadę wzroku, no i chorobę psychiczną, skoro już o zdrowiu mowa. Wyobrażenia napomknęła coś o wampirach. *Które oczywiście nie istnieją* – od razu uciszyła ją March, a myśl uciekła, biegnąc w swoją stronę i prowadząc do kolejnych, jeszcze bardziej pokręconych.

*Przynajmniej odegrałam się na pieprzonej Belindzie –* pomyślała, choć z niewielką satysfakcją. Ta mała zemsta nie wydawała się godziwą zapłatą za ostatnie miesiące, w których Gordon pastwiła się nad nią i Isel. Poza tym prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw i to ona sama, a nie Belinda, będzie mieć kłopoty.

Zresztą teraz nie miało to znaczenia. Liczył się jedynie tamten chłopak. Już nie czuła jego obecności. Może go wystraszyła i w końcu da jej spokój? Ta perspektywa nie bardzo jej się spodobała, bo w tej chwili miała zamiar poruszyć niebo i ziemię, byle tylko dowiedzieć się, czego od niej chciał.

Machinalnie przemierzała kolejne przecznice. Na ulicy Księcia Geralda minęła bez słowa kilku sąsiadów, którzy odwrócili w jej stronę wścibskie spojrzenia. Gdy otwierała bramę, za krzakiem, który – choć bardzo się starał obrosnąć kwiatami – ciągle przypominał chwast, zobaczyła ukrytego kota.

– Ty tu czego? – warknęła, na co zwierzę dumnie uniosło łeb. Dopiero po chwili March zdała sobie sprawę, że to ten sam kot, którego wcześniej przegoniła pani Connor. Zaskoczyło ją, że wciąż się tu kręcił. Sąsiadka zazwyczaj umiała przemówić do rozsądku nawet mrówkom, jeśli nie zagniewanym spojrzeniem, to środkiem chemicznym.

Prawdopodobnie March powinna mieć dla kota więcej empatii, ale jakoś nie umiała się na nią zdobyć.

– Sio! – zawołała, zamykając bramę.

Weszła do domu po cichu. Już w progu zorientowała się, że matka znów z kimś rozmawia. Można było więc przemknąć do pokoju, by spędzić jeszcze kilka chwil w samotności – no, nie licząc towarzystwa rozszalałych myśli. March postawiła już nogę na pierwszym stopniu, gdy doszły do niej niepokojące słowa matki.

– Naprawdę nie wiem już, co robić. – Pani Sky westchnęła w taki sposób, jakby próbowała dać upust wielkiemu rozgoryczeniu. Wypuszczenie go z siebie nie przyniosło jednak ulgi, bo po chwili z jej ust popłynęły kolejne gorzkie słowa. – Chciałabym uciec, wiesz? – spytała w niemal konspiracyjny sposób. – Gdzieś... nie wiem gdzie, ale daleko... Bardzo daleko. I być zupełnie sama przez miesiąc czy dwa...

Głos jej się załamał. March stała wciąż z jedną stopą na schodzie. Ręką opierała się o ścianę. Ukryta za nią, mogła spokojnie podsłuchiwać, co po części wywoływało wyrzuty sumienia, bo matka mówiła o czymś bardzo intymnym, o czym nigdy nie dyskutowała z nią, ale z drugiej strony March czuła, że powinna tu zostać i wszystkiego się dowiedzieć. Jeśli nie zrozumie matki, nie będzie mogła jej pomóc.

– Żałuję też... Żałuję tak wielu rzeczy – ciągnęła kobieta. – To głupie, mam sama do siebie pretensje, ale... Chyba mogę ci o tym powiedzieć, prawda?

Ze słuchawki dobiegł brzęczący głos, który szybko zamilkł.

– Czasami... Czasami żałuję, że ją wzięłam.

Coś zakłuło serce March. To był dobry moment, by ruszyć na górę i nie musieć tego słuchać. Naprawdę nie powinna tego słuchać. Wiedziała, że matka mówi o niej. Zalana zniecka falą gorąca, poczuła, jak jej myśli zbierają się w jednym punkcie. *Co to znaczy wzięłam?* Atakowały ją pytaniem, na które odpowiedź chciała poznać już, natychmiast.

– Wiem – mówiła dalej pani Sky. – Wiem. Nie powinnam tego mówić, ale... zastanawiam się, ostatnio coraz częściej, jak by się potoczyło moje życie, gdybym kilka rzeczy zrobiła inaczej. I dochodzę do tego strasznego wniosku, że... Nie zrozum mnie źle, to moja wina, nie jej... Ale sądzę, że wszystko byłoby prostsze, a ja sama... – Westchnęła. Broniła się przed kolejnymi słowami; w jej głosie wyraźnie słychać było, że



walczy. Przegrała, więc dokończyła: – Ja sama byłabym szczęśliwsza.

Gorąco znikło i teraz March uderzył chłód – taki, który czuje osłabione chorobą ciało. Wiedziała, że pobladła, że jej twarz wykrzywił grymas i gdyby ktoś ją teraz zobaczył, od razu by zrozumiał, że zмага się z płaczem.

*Powiedziałaś jej prawdę?* Chyba takie pytanie zadał wczoraj pan Irving. I oto była na nie odpowiedź. Prawda. Emma Sky wzięła ją, przygarnęła, nie była jej prawdziwą matką.

Kolejne słowa matka wypowiadała na przemian ze szlochem.

– Nie umiem... Nie wiem, jak sobie z tym radzić... Przegrałam tak... tak wiele...

March zarówno nie chciała tego słuchać, jak i nie mogła odejść. Stopy zlepiły się z podłożem, za to ręce chciały powędrować ku uszom. Gdyby je zatkała, te słowa, które raniły ją niczym pchnięcia nożem, nie znalazłyby drogi dojścia do jej serca. Ale wciąż byłyby tak samo prawdziwe.

Pani Sky odłożyła słuchawkę i dopiero wtedy zalała się łzami, a March poczuła, że sama gdzieś w głębi siebie, nawet jeśli jej trzęsące się nogi wciąż stały na twardej podłodze, upadała. Upadała wystarczająco długo i wystarczająco nisko, by już nigdy nie móc się podnieść.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiedziała, co musi zrobić. Podyktował jej to impuls, z którym nawet nie próbowała walczyć – wierzyła, że to najlepsze rozwiązanie. Jeszcze tego samego wieczora do niewielkiego plecaka spakowała kilka ulubionych ubrań, najpotrzebniejsze kosmetyki, szczoteczkę do zębów i wszystkie oszczędności.

Matka jej tu nie chciała.

Matka *naprawdę* jej tu nie chciała. To nie było tak jak w filmach, gdzie bohaterka wyobraża sobie, że cały świat jest przeciw niej, a faktycznie wszyscy ją uwielbiają i wszystko kończy się dobrze. Tutaj było inaczej i ta myśl odbierała March całą siłę, sprawiała, że chciała po prostu się rozplakać, płakać tak długo, jak tylko się da, i wystarczająco obficie, by umrzeć – jeśli to tylko możliwe. Tutaj było prawdziwie aż do bólu, tak jak najwyraźniej dzieje się w realnym świecie. Ma się dziecko i dopiero w pewnym momencie, gdy jest już o wiele za późno, przychodzi zrozumienie, że wcale nie chciało się go mieć.

Nie winiła matki. Nienawidziła jej teraz – o tak, z całego serca nienawidziła – ale jej nie obwinała. Emma Sky nie była dobrą matką; złą też nie. Była matką z przypadku. Tak, może adoptowała March, tyle że to niczego nie zmieniało. Widocznie nie przemyślała tej decyzji.

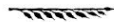
– Portfel jest, bielizna jest, ładowarka spakowana, scyzoryk... gaz pieprzowy na wszelki wypadek – wyliczała dziewczyna na głos, by jakoś uciszyć ból serca, podsuwając myślom coś bardziej przyziemnego do rozpatrzenia. Teraz musiała stać się jeszcze twardsza niż do tej pory, prawdziwie twarda, w pełen i nieprzerysowany sposób, zwłaszcza że, kto

wie, jej domem mogła niedługo stać się ulica. A tam trafiają albo twarde dzieciaki, albo takie, które mają zadatki, żeby się takimi stać. Bo resztę...

*Jest też inne wyjście* – przypomniała sobie, choć właściwie nigdy o tym nie zapominała. Ten wybór zawsze istniał, do samego końca. Matka miała w szafce nad kuchenką pełno lekarstw, także nasennych, a scyzoryk... Gdyby zamoczyć rękę w ciepłej wodzie... podobno wtedy nie boli. Isel tak zrobiła. Dziwne, były przyjaciółkami, ale jakoś nigdy o tym nie rozmawiały.

– Nie! – warknęła na samą siebie. Spojrzała w lustro, by zmierzyć się z własną zagniewaną twarzą. Wydała jej się obca, jakby po drugiej stronie stała jej inna jaźń, bliźniaczka mająca ochotę ją skarcić. *Nawet o tym nie myśl!* – zdawała się mówić.

– Jedzenie na stole! – usłyszała nagle i przypomniała sobie, że musi jeszcze raz spotkać się z matką. Po raz ostatni. I zjeść z nią ostatnią wspólną kolację.



Chyba nie tak wyglądają pożegnalne posiłki. March bała się zejść na dół, usiąść przy jednym stole z matką, patrzeć jej w oczy. Bała się, że nie będzie umiała nic przełknąć ani powstrzymać się od wybuchu, który tylko czekał na pierwsze otwarcie ust, pierwsze drgnięcie wargi. Była pewna, że eksploduje.

Nic z tego się nie wydarzyło. Sama zdumiała się, z jaką lekkością potrafiła udawać. Była nawet miłsza dla matki niż zwykle. Miała wrażenie, że jakaś obca siła wykrzywia jej twarz do każdego wymuszonego uśmiechu, szepcząc: *Wytrzymaj, zachowaj pozory*. Więc zachowywała je. Matka być może

wyczuła, że coś z nią nie tak, mimo to nie umiałyby odgadnąć powodów, jakie za tym stały.

– O której dziś wróciłaś do domu? – spytała, nakładając sobie kolejną porcję sałaty. Zastygła z wyrazem twarzy aż zanadto zdradzającym jej obawy. March bez trudu rozpoznała jej myśli: *Czy słyszała moją rozmowę? Nie... To niemożliwe...*

– Jakoś około trzeciej. Byłyśmy jeszcze z Isel w parku.

Matka pokiwała głową.

– Dobrze – stwierdziła. – Świeżego powietrza nigdy za wiele, a ty ostatnio ciągle siedziałaś zamknięta w pokoju... Chyba ci się teraz polepszy, co?

W odpowiedzi March znów kwaśno się uśmiechnęła.

– Pewnie tak. – Miała wrażenie, że każde wypowiedziane słowo pochodzi nie od niej, ale z jakiegoś odległego miejsca i ona użycza mu tylko ust, by mogło się wydostać. – Byłam zestresowana. Zeszłej nocy nic mi się nie śniło, nie widziałam też żadnych dziwactw za dnia, więc można uznać, że mi przeszło.

Matka – niezbyt przekonana, za to z miną fałszywego zadowolenia – zastukała sztućcami o talerz. Szybko przeszła do tematu szkoły. Pytała o każdy przedmiot po kolei, a March zgodnie z prawdą opowiadała jej, co działo się na lekcjach. Właściwie nie miała pojęcia, po co to robi, skoro od jutra ani dla niej, ani dla matki szkoła nie będzie mieć już znaczenia.

*Prawda... Czy powiedziałaś jej prawdę?*

Znienacka do March powróciły te słowa, sprawiając, że żołądek ścisnął się z bólem. Skoro to była ich ostatnia rozmowa, powinna chyba o to zapytać. Bo wtedy może – choć szansa była nikła – nie będzie to wcale ostatnia rozmowa, ale pierwsza. Pierwsza *prawdziwa*, szczerą. March brała pod uwagę możliwość, że jeśli matka wyjawি jej teraz to, co pan Irving nazwał „prawdą”, zdoła jej wybaczyć i na nowo poukładają sobie życie. Razem, nawet jeśli ostatecznie osobno.

– Mogłabyś... – zaczęła niepewna, jak ubrać to w słowa. – Mogłabyś opowiedzieć mi jeszcze raz o... – Utkwiła spojrzenie w piętrzących się na talerzu brokułach. Naprawdę tak niewiele zjadła? – ...o tacie? – skończyła.

Panią Sky zdumiała ta nagła zmiana tematu. Nie unikała go jednak. W zasadzie nieraz rozmawiały o ojcu March. Emma Sky trzymała w domu jego zdjęcia, choć nie na widoku, a w sercu wciąż nosiła szczęśliwe wspomnienia. Zmarł na raka, kiedy March miała dwa lata. Czy to możliwe, że matka tylko go sobie wymyśliła? Jeśli tak, musiała uwić gęstą sieć kłamstw. Ale może pan Sky faktycznie istniał, razem adoptowali March, licząc na dobre życie. A potem zmarł i samotna kobieta przestała sobie radzić z wychowywaniem córki. Bańka, w której zamknęli upragnione szczęście, prysła.

– No cóż... wiesz, on był... wspaniałym człowiekiem. – Matka się rozpromieniła. Chętnie o nim mówiła i zdawało się, że wspomnienia już jej nie bolą. – Kiedy się urodziłaś...

W tym momencie March przestała jej słuchać. A więc nadal kłamała. *Skoro ci się urodziłam – miała ochotę zapytać – to dlaczego żałujesz, że mnie wzięłaś?* Przyłapała samą siebie na tym, że parzy na matkę gniewnym wzrokiem. Na szczęście pani Sky, zajęta mówieniem o tym, jak wspaniały był jej mąż, nie dostrzegła tego.

Dość – uznała March. Złość narastała, grożąc teraz wybuchem. Przyszła pora, by zakończyć rozmowę. Sztućce zadźwięczały, gdy dziewczyna wstała od stołu.

– Okay, dzięki za kolację – rzuciła w stronę zdumionej matki.  
– Jestem trochę zmęczona. Pogadamy... No, kiedy indziej. Dobranoc.

Pani Sky nie miała szansy odpowiedzieć, bo córka natychmiast wyszła z kuchni. *Kiedy indziej* – pomyślała March. *To było oszustwo.* Ale prawdę mówiąc, nic jej już tu nie trzymało, skoro matka umiała tylko kłamać. Niech więc

oszukuje samą siebie, a prawdę zabierze choćby do grobu. Jej już to nie obchodziło. Podzieliła swoje życie grubą kreską, na stare kiedyś i nowe jutro. Nowe zaczęło się teraz.



Do późna leżała w łóżku, gotowa do drogi. Ubrała się na czarno – wygodne dżinsy, trampki, ciepła bluza z kapturem. Czerń była teraz jej towarzyszką, dzięki niej łatwiej będzie stopić się z nocą. Nikt jej nie znajdzie – o ile w ogóle będą szukać. W końcu ostatecznie wyświadczyła matce przysługę. Emma Sky nie przyznałaby tego oficjalnie, nigdy tego nie przyzna, ale gdy March zniknie z jej życia, z pewnością się ucieszy. Może na nowo je sobie poukłada, może zapomni o wszystkim, co doprowadziło ją do depresji.

Spakowany plecak leżał na poduszce obok. March wyjęła z niego tylko scyzoryk, którym teraz się bawiła, zabijając czas oczekiwania. Sunęła palcami po zielonkawej rączce. Ciemną farbą były na niej wyrysowane jakieś znaki. Jak przez mgłę pamiętała, że sama je zrobiła, kiedy miała trzy, może cztery lata. Dziwne, że matka pozwalała jej się bawić ostrymi narzędziami – co jeszcze dziwniejsze, March nie pamiętała ani co miały oznaczać jej dziecięce rysunki, ani skąd właściwie wziął się ten scyzoryk. Zdawało się, że miała go od zawsze.

Było już po pierwszej, gdy wreszcie wstała z umysłem tak trzeźwym, jakby wypila dziesięć kaw. Założyła plecak i rozejrzała się po pokoju. O ile wcześniej była całkowicie przekonana, że musi odejść, o tyle teraz coś jakby ją zatrzymywało. Może powinna napisać list pożegnalny?

Ta myśl zatrzymała ją na dłużej. Już zastanawiała się, gdzie położyła długopis, gdy stwierdziła, że pomysł był idiotyczny. Bo

niby co miałyby napisać? *Nie szukaj mnie? Odchodzę, bo muszę? Żegnaj?* A może tylko: *Na razie, pa?*

Machnęła ręką. Ruszyła w stronę drzwi, a wtedy coś znów ją zatrzymało. Czy na pewno wszystko spakowała?

Rzuciła plecak na łóżko i przeszukała go. Bielizna... jakiś notatnik... portfel... szkolna legitymacja, gdyby coś... gdyby musieli ją zidentyfikować albo...

– Okay – mruknęła, by zagłuszyć ostatnią myśl. – Wszystko jest.

Założyła plecak z powrotem. Ledwo to zrobiła, ściągnęła go znowu. Tym razem wyjęła gaz pieprzowy i schowała go do kieszeni, w której leżał już scyzoryk. *Na wszelki wypadek* – dodała w myślach. Wciąż to powtarzała, choć dobrze wiedziała, że prędzej czy później nadejdzie chwila, gdy będzie musiała użyć jednego albo drugiego. I byle tylko zrobiła to skutecznie.

Nie pozwoliła już niczemu innemu się zatrzymać. Cicho otworzyła drzwi sypialni, nie rzuciwszy na nią kolejnego spojrzenia. Jej obraz należał do przeszłości, którą ona zamknęła i wyrzuciła klucz. Matka spała, a nawet jeśli spędzała bezsenność, z jej pokoju nie dochodził najmniejszy odgłos. March powoli zeszła po schodach – każdy skrawek domu, który zostawiała z tyłu, zdawał się zachodzić mgłą. Pilnowała, by się nie odwracać. Wreszcie stanęła przy wyjściu. Zrobiwszy głęboki wdech, otworzyła zamek i opuściła dom.

Noc była chłodna. Niczym nie różniła się od innych czerwcowych nocy. March musiała przyznać, że nieco ją to zdziwiło, może nawet uraziło. Rozgrywało się dla niej coś wielkiego, coś decydującego, a świat pozostawał na to obojętny. Szybko, niczym spuszczonego z łańcucha pies, doszła do końca ulicy Księcia Geralda. Chciała mieć to za sobą. Dom i matka mogłyby ją wzywać w sposób, którego sobie nie



życzyła, który mógłby podważyć jej twardą decyzję. Dopiero gdy skreśliła w Siostry Damiany, zwolniła kroku.

I uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, dokąd zmierza. To niesamowite, że choć przemyślała plan ucieczki, nie obrała jej celu. Bo przecież nawet jeśli stałaby się nim ulica, to przecież nie tutaj. Jeśli miała błąkać się po Finfolk, to równie dobrze mogła w ogóle nie wychodzić z domu. Od najbliższego miasta dzieliło ją jakieś dwadzieścia kilometrów, a stamtąd i tak musiałyby ruszyć dalej. Autostop nie wchodził w grę – wszyscy za dobrze się tu znali. Gdyby wsiadła w autobus, a potem w kolejny i w jeszcze jeden...

*Samotna siedemnaście.* Nie miała pojęcia, czy słowa chłopaka odezwały się w jej głowie, czy też przywiał je chłodny wiatr, który zerwał się z nienacka. Wiedziała, że stanowiły odpowiedź. Skoro miała stąd zniknąć, musiała wcześniej rozwiązać zagadkę nieznanego. Przez całą tę sprawę z matką niemal zapomniała o swojej obietnicy, by go odszukać i przepytać.

Usiadła na czystym bruku i wstukała adres w komórkę. Google przez kilka chwil uruchamiał mapę. March dawno już zauważyła, że mieszkańcy Finfolk wybrali sobie dziwnych patronów ulic. Po tej stronie miasteczka nosiły nazwy ludzi: Księcia Geralda, Siostry Damiany, Króla Olch, dalej znajdowały się: ulica Zburzonego Mostu, którego pozostałości wcale tam nie było (ba, nie było nawet rzeki, więc skąd ten most?), Zwichniętej Bramy i Starego Buka. Jednak trzy z tutejszych ulic nosiły odmienne nazwy. Pewnie każda z nich wiązała się z jakąś legendą, której March nie znała i która jej zresztą nie obchodziła. *Samotna* była jedną z tych ulic, obok *Ostatniej* i *Nieuczęszczanej*.

Gdy czerwony wskaźnik zatrzymał się na budynku z numerem 17, March zmarszczyła czoło.

– Sierociniec? – szepnęła pod nosem. Pierwsze słyszała, by w Finfolk znajdowało się coś takiego. Nie przypominała sobie, by do szkoły uczęszczały dzieci stamtąd. W dodatku nazwa placówki też wydała jej się dziwna. Nosiła imię Marii Stuart, a niby kto chciałby powierzać podobne miejsce opiece Krwawej Mary? Czy to możliwe, że matka adoptowała ją właśnie stąd? I dlatego postanowiła wrócić do Finfolk?

*Sierociniec* – dokładnie tak mówił Google. Nie dom dziecka, nie placówka opiekuńcza. To też ją zastanowiło. Nie przypominała sobie, by w ogóle słyszała o czymś podobnym, przecież na Wyspach takie miejsca od lat już nie istniały...

Ale przecież wyszukiwarka nie mogła się mylić. No i Finfolk było specyficzne, zawsze wydawało jej się oddzielone od reszty kraju czymś więcej niż dystansem do większego miasta. *Sierociniec* – myślała. To słowo wywoływało w niej niemal lęk. Mimo to wstała i pozwoliła się prowadzić strażące.

Wpatrzona w ekran, raz po raz spoglądała na boki. Miasteczko wydawało się opuszczone, o wiele mniej przyjazne niż za dnia. Zawsze wyczuwało się tu coś tajemniczego, może nawet wrogiego, ale kolory domów i kwiatów zwykle poprawiały ten nastrój. Teraz, gdy wszystko spowijała ciemność, March czuła się nieswojo. Zerkała na swój własny cień, wyolbrzymiony w świetle pomarańczowych latarni. Zamarła, gdy po zaledwie kilku minutach wędrówki obok niego pojawił się kolejny. Wyglądał jak zdeformowana istota trzymająca nad głową ogromny drąg.

Czując, jak serce podchodzi jej do gardła, March obróciła się za siebie. Istota stała tuż przy końcu ulicy i wpatrywała się w nią z zaciekawieniem. Dziewczyna otworzyła usta do krzyku, ale zamiast tego odetchnęła z ulgą. Drąg okazał się w rzeczywistości uniesionym, idealnie wyprostowanym ogonem.

– Znowu ty! – Pokręciła głową. Czarny kocur przyprawił ją niemal o palpacje serca. – Dobrze już, niech ci będzie – dodała, gdy wciąż stał niepewnie. – Możesz sobie za mną iść, ale nie dam ci nic do jedzenia.

Kot najwyraźniej zrozumiał, bo ruszył w jej stronę. Szedł powoli i leniwie, jakby chciał przez to powiedzieć, że właściwie to wcale mu nie zależy, ale skoro już wyszła z propozycją, to może się z nią poważnie. A ona czekała, przekonana, że lepszy taki towarzysz niż żaden. Z niezrozumiałego powodu zrobiło jej się trochę źlej.

– Nie masz właściciela?

Kot zamiauczał.

– Sam na tym świecie – westchnęła March. – Nie ty jeden. Ja też nie mam już domu.

Urwała, dając sobie chwilę na zastanowienie. Tak, to było idiotyczne, by skarżyć się kotu. Ale właściwie miała to gdzieś. Przynajmniej nikomu nie doniesie...

– No, to znaczy już nie mam, od jakichś dziesięciu minut, bo właśnie zwałam. Ostatecznie, bez żadnej możliwości powrotu, jeśli wiesz, o co chodzi. – Zerknęła to na niego, to na wyświetlacz. Nawigator prowadził ją przez ulicę Samotnego Wojownika. – Choćbym mogła, to nie wrócę.

Skręcili w ulicę Niedoszłej Przędki (naprawdę, kto wymyślił tę idiotyczną nazwę?). Teraz czekało ich przejście obok parku, potem ścieżka na moment się urywała i wreszcie wchodziło się na Samotną. Google mówił, że dojdą tam za dwadzieścia trzy minuty.

– Nie, nie przemyślałam sobie ucieczki – powiedziała March – Wyszłam, jak stałam. No... prawie jak stałam. Spakowałam kilka najpotrzebniejszych rzeczy, ale... – Znow westchnęła. – Co ty możesz o tym wiedzieć?

Kot znów zamiauczał.

– Ale chyba sobie poradzę – oznajmiła March z pewnym wahaniem. – Myślę, że mnie nie zamkną, jak będę się włóczyć trochę tu, trochę tam.

Zdumiewało ją to, że z każdym krokiem gadanie do kota przychodziło jej z coraz większą łatwością. To nie mógł być zdrowy objaw. Ba, był chyba gorszy niż wszystkie te sny i wizje. Ale przynajmniej czuła się zdecydowanie mniej samotnie, nawet jeśli zwierzę prędzej czy później sobie pójdzie. Poza tym, gdy do niego mówiła, sama układała sobie w głowie nowy plan. Znajdzie tego chłopaka, pogada z nim, jeśli będzie trzeba, to mu przyłoży, żeby na przyszłość nie wpadł mu do głowy pomysł stalkowania kogoś jeszcze, a potem ruszy dalej. Najwyżej skorzysta jednak z autobusu. Miała dość pieniędzy na bilety. I zwierzyła się z tego wszystkiego kotu, a on nadstawił uszu.

– Na bilety i na żarcie – dodała. – Bądź co bądź, to teraz najważniejsze.

Z zachodu powiał zimny wiatr, jedna z ulicznych latarni zgasła, a kot powiedział:

– Też tak sądzę.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

March się zatrzymała. Zaraz... Właśnie przemówił do niej kot, tłusty czarny kot, o świecących na... – przyjrzała się – na zielono oczach. Chyba nadszedł czas, by nieco zastanowić się nad sytuacją.

Myśli zatrzepotały niczym stado spłoszonych motyli, bardziej wokół jej głowy niż wewnątrz. Z trudem pochwyciła którąś z nich, a gdy już uważnie ją zbadała, co zajęło dobre trzy sekundy, doznała olśnienia.

Tak, to był kolejny sen. Wprawdzie nie pamiętała zasypiania, ale ponieważ nie istniało żadne lepsze wytłumaczenie, od razu odrzuciła wszystkie inne.

Postanowiła odegrać niezmacony spokój.

– Jesteś kotem, który ze mną gada, tak? – spytała.

– Mniej więcej. Też bym wolał robić co innego, skoro już o tym mowa. No, ale pałętałaś się po ulicy, to za tobą poszedłem.

– I to oczywiście sen – dodała. Bardziej do siebie, z uporem zachowując spokój.

Kot prychnął.

– Możesz w to wierzyć. Na pewno będzie nam się wtedy łatwiej rozmawiało. Lepsze to, niż gdybym musiał ci wszystko tłumaczyć. Nie jestem dobry w tłumaczeniu. Rzeczy muszą same jakoś dotrzeć do tego, do kogo mają dotrzeć. Na razie najważniejsze jest to, żebyś patrzyła pod nogi, jak chodzisz.

March dłuższy czas trwała w milczeniu. Powinna chyba czuć się zbesztana. Zbesztana przez kota.

– Słucham? – wyjąkała.

– Mówię o tym, w co się tak gapisz – odparł kot.

– O mojej komórce?

– No właśnie.

– Mam tam mapę i... – tłumaczyła się. *Tłumaczyła się!* Kotu! Natychmiast urwała. Zwierzę obeszło ją dookoła. Nie obwąchiwało jej ani nic z tych rzeczy. Próbowало ją jakoś rozgryźć, owszem, ale w bardziej... No, w ludzki sposób.

– Żadna elektronika nie będzie ci potrzebna, skoro już tu jestem. Możesz schować ten telefon. Znam Finfolk jak własną kieszeń, chociaż... – Kot się zastanowił. – Nie brzmi to najlepiej, bo, jak widzisz, nie mam kieszeni. Tak czy inaczej, daruj sobie internet. Chętnie cię zaprowadzę tam, dokąd zmierzasz.

Już wystawił łapki, by ruszyć przed siebie, lecz natychmiast odwrócił się znów w stronę zdumionej dziewczyny. Zdumionej – tak, ale nie osłupiałej, bo to był tylko sen.

– Czyli gdzie? – spytał.

March, bardzo powoli przetykając fakty – bo ten sen nie tylko wydawał się jakoś realniejszy, ale przy okazji był też dziwniejszy od pozostałych – nie poznała własnego, nieco piskliwego głosu, gdy odrzekła:

– Na Samotną, pod numer siedemnasty.

– Tak właśnie myślałem.



Czuła się nieco odrealniona. Kot był nadto rozmowny, mówił nie tylko dużo, ale w dodatku zdarzało mu się używać wyszukanych słów, jakby każdą chwilę wolną od buszowania po śmietnikach poświęcał czytaniu klasyki. Latarnie świeciły March w oczy ostrym światłem, które zdawało się krzyczeć: *Spójrz, to wszystko dzieje się naprawdę!* Oczywiście ani przez

moment w to nie wierzyła. Mimo to sen był niezwykły. Przede wszystkim nie potrafiła określić, gdzie przebiega granica między nim a rzeczywistością. Poza tym oprócz gadającego kota cała reszta wydawała się całkiem solidna.

– Masz jakieś imię? – spytała nagle, przerywając kotu wykład na temat pani Connor, z którego dowiedziała się między innymi, że jej sąsiadka (teraz właściwie można uznać, że już była sąsiadka) sprzątała wszystko tylko z wierzchu, a ciemne zakamarki w jej domu pokrywała gruba warstwa kurzu.

– Oczywiście, że mam – odparł kot. – I dziwię się, że dopiero teraz znalazłaś w sobie dość kultury, by zapytać. Nazywam się Piątek. Wiesz dlaczego?

– Bo urodziłeś się w piątek? – March tylko zgadywała.

– Tak. Podobnie jak siedmiu moich braci i pięć sióstr. Wszyscy nazywają się tak samo.

Na to wyznanie March nie znalazła żadnej innej odpowiedzi jak grzeczne „Och”.

– Jestem z trzeciego miotu. Dziwnym trafem moja matka rodziła zawsze w piątek. No i nie była zbyt pomysłowa. Poza tym moje drugie imię to Trzynasty. A to dlatego, że zgodnie ze starą rzymską tradycją koty nadają kolejnym dzieciom to samo imię, ale dodają do niego kolejną cyferkę. Oczywiście w ciągu swoich żyć, a jak zapewne wiesz, my, koty, mamy ich dziewięć, nazywano mnie różnymi imionami. Łapka, Uszak, Nocny... to z powodu czarnego futra... Nazywałem się też Miau, co chyba jest dobrym imieniem dla kota, dość rozsądnym, gdy się o tym pomyśli. No, a poza tym wołali na mnie *Sio!*, *Wynocha!* albo używali bardziej kwiecistych form, których z racji twojego młodego wieku pozwolę sobie nie wymienić. A ty?

March, która nie słuchała go zbyt uważnie, odparła:

– Ja?



– Ty, ty, nie ma tu żadnego innego *ty*, więc mówię do ciebie.  
Jak się nazywasz?

– Ach, March.

– Achmarch? To z francuskiego?

– Nazywam się March – uściśliła.

Piątek myślał przez chwilę.

– To pewnie dlatego, że urodziłaś się w marcu?

– Właśnie tak. Dwudziestego ósmego. – Sama nie wiedziała, dlaczego podała mu dokładną datę. Nie wydawała się ważna.

– Więc jesteś Baranem.

– Znasz się na astrologii?

– No wiesz, jak się tyle łązi po nocach i widzi niebo, to wszystkie te gwiazdy i planety wydają się dość... hm... – Piątek szukał odpowiedniego słowa. Gdy milczał, wyraźniej słychać było jego łapki, maszerujące po chodniku. March nie wiedziała, na jakiej są ulicy, bo pozwoliła się prowadzić nowemu towarzyszowi, co oczywiście samo w sobie było niedorzeczne, ale póki się nad tym nie zastanawiała, aż tak jej nie przeszkadzało.

– Ważne? – podpowiedziała mu.

– Hm... Nie, właściwie to nie. W gruncie rzeczy astrologia to bzdury... w pewnym sensie, choć w innych już nie... – stwierdził. – Co sądzisz? Podziel się opinią, jakąkolwiek. Jesteś małomówna.

March, która wciąż rozglądała się za oznakami snu, faktycznie niewiele się odzywała. Była zła, że śni, bo to znaczyło, że jutro obudzi się w swoim łóżku i będzie musiała od nowa planować ucieczkę. Tylko jakim cudem zasnęła? Kiedy? Przecież – do cholery! – powinna to pamiętać. Może Isel miała rację, gdy wspomniała o tej dziwacznej chorobie neurologicznej.

– Nie chcę nic mówić, radzić i tak dalej – przemówił znów Piątek – ale skoro nawiałaś z domu, to pewnie nie masz

zamiaru nigdy wrócić, co?

– Może nie mam. – March się obruszyła. Nie miała ochoty dłużej się zwierzać. Robiła to chętniej, póki sądziła, że kot nie jest w stanie jej odpowiedzieć, a teraz, gdy okazał się bardziej ludzki, uznała, że nie powinien się wtrącać.

– No więc – ciągnął – tak sobie myślę, że raczej...

– Co? – przerwała mu. – Że źle robię, tak?

– Nie. Robisz dobrze, o ile faktycznie nie masz zamiaru wracać.

Początkowo to stwierdzenie wydało jej się tak absurdalne, że przystanęła. W kolejnej chwili uznała za to, że Piątek miał rację. Po prostu spodziewała się usłyszeć coś odmiennego, coś, co pewnie powiedziałyby jej każda inna osoba. *Wracaj do domu, nie wygłupiaj się, przejdzie ci.* I tak dalej.

– Oczywiście, że nie mam zamiaru wracać! – powiedziała kategorycznie i przyspieszyła.

– Bardzo dobrze – odrzekł kot, wybiegając przed nią, żeby nie zapomniała, kto tu kogo prowadzi. – Jaki jest sens w uciekaniu, kiedy planuje się powrót?

Pozostawił jej te słowa do przemyślenia. Zamiast nad nimi, skupiła się na tym, czego doświadczała. Poszukiwała odpowiedzi. Wydało jej się logiczne to, co Isel mówiła na temat mózgu i podświadomości. Może ten kot odgrywał w wizji rolę jakiegoś wewnętrznego, mądrzejszego *ja*? Okay, może nie mądrzejszego, tylko bardziej gadatliwego. Kiedy tyle się gada, na pewno prędzej czy później powie się coś, co inni uznają za mądre. Jeśli Piątek faktycznie stanowił jakąś ukrytą część jej samej, to jak to o niej świadczyło? Wolą się nie zastanawiać.

Kot nie umiał długo milczeć. Po chwili znów się odezwał.

– Szczerze mówiąc, nie zdziwiło mnie, jak powiedziałaś, że idziesz na Samotną siedemnaście.

– A to dlaczego?

– Mieszka tam przecież ten chłopak, co nie? – Ton Piątka był dość obojętny. – A on jest dziwny, zgadza się? Te jego oczy...

March mruknęła coś w odpowiedzi. Podobne stwierdzenie w ustach gadającego kota wydało jej się niesprawiedliwe.

– Co o nim wiesz? – zapytała, brzmiać, jakby go przesłuchiwała.

– Znamy się – odrzekł Piątek. – Gadające koty i ludzie jego pokroju muszą się znać. Mam go na oku, a on ma na oku mnie. Jedna dziwaczna istota musi pilnować innych dziwnych istot w pobliżu, żeby zawsze być poinformowanym, kiedy dzieją się dziwaczne rzeczy.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli, mówiąc o istotach jego pokroju?

Piątek westchnął.

– Jak by to powiedzieć... Aura – stwierdził wreszcie. – Tak, chodzi mi o aurę. Wiesz, co to?

– No... – March przemyślała sprawę. – To jakby odczucie, prawda?

– Ściślej rzecz ujmując, to pole energetyczne otaczające każdą istotę żywą, a także przedmioty, choć u jednych i drugich różni się wibracjami tworzących je cząstek. Uzdolniona osoba potrafi je rozpoznać i odczytać... Czyli w sumie masz rację.

– Więc co z jego aurą? – spytała March. Szybko dopowiedziała: – Właściwie to chodzi mi o wszystko. Skąd się tu wziął? Kim jest? Czy to w ogóle człowiek? A może jakaś fantastyczna istota, jak ty?

Kot wydał przeciągły pomruk, jakby właśnie pogłaskała go niewidzialna dłoń.

– Fantastyczna? – powtórzył. – Tak mnie jeszcze nie nazwano... W każdym razie – zreflektował się – chłopak bywa tajemniczy, to prawda, ale jest całkiem sympatyczny, kiedy tylko może. Jeśli chodzi o jego historię, to może sam ci o niej

opowie. Ja nie lubię rozprawiać o minionych dniach. Wychodzę z założenia, że przyszłość jest ważniejsza, nie wspominając już o teraźniejszości, w której zachodzą wszelkie interakcje cząstek elementarnych, a te, zamieszane w kosmicznej zupie gwiazd, prowadzą życia ludzi przez zakręty losu...

Gdy March zaczęła się gubić, kot wrócił do głównego wątku:

– Zresztą odkąd pamiętam, chłopak tu był, więc wziąłem go za stały element krajobrazu. Odwiedzałem go tam, u Krwawej Mary. Wiesz, że czasami po sierocińcu przechadza się jej duch? To znaczy... Nie mam pewności, czy to ona, ale duch wydaje się trochę smutny. Jeśli wiesz coś na temat historii, powinnaś zrozumieć.

– I ten chłopak wie, że umiesz gadać?

– Wie. Przeprowadziliśmy ostatnio ciekawą dyskusję na temat recyklingu zużytej energii magicznej. Wiesz, on czaruje tylko w snach.

*Sny...* Myśli March znów przyspieszyły i zaczęły błędzić, choć dziewczynie zdawało się, że mimo to stopniowo wpada na trop. Pozwalała swojej pokręconej wizji rozgrywać się samej. Nogi podążały za kotem, a sama March chyba już coś rozumiała. Piątek musiał stanowić element, który w snach łączył ją i nieznajomego. Wcześniej gdzieś się ukrył, a teraz pojawił w formie kota, wprawdzie niepasującego do sytuacji, ale zawsze to jakaś wskazówka.

– A więc nawiedzasz też jego sny? – spytała, przerywając Piątkowi wywód na temat magii. I tak w nią nie wierzyła, więc była to niewielka strata.

– Czyli ciągle uważasz to, co się dzieje, za sen? – zdumiał się kot. – Myślałem, że chłodne powietrze już cię dostatecznie otrzeźwiło. No, może to i lepiej. Nie lubię, gdy ludzie przechodzą terapię szokową. Zaczynają wtedy kopać albo kazać ci iść w cholerę. Albo do diabła, co w sumie znaczy tyle co

nigdzie. Spotkałem już różne istoty, ale diabła jeszcze nie, a to każe mi przypuszczać, że on nie istnieje.

Piątek wyraźnie miał niezwykłą zdolność wymigiwania się od odpowiedzi.

– Odpowiesz mi czy nie? – warknęła March.

– Odpowiem, niech będzie. Oto odpowiedź... – Kot skreślił w kolejną uliczkę i obejrzał się na wszystkie strony. Byli już blisko celu. – Odpowiedź brzmi zatem... Nie.

March musiała poświęcić kilka sekund na przypomnienie sobie, jakie zadała pytanie.

– A mimo to w jakiś sposób łączysz mnie z nim – powiedziała bardziej do siebie niż do Piątka. – Prowadzisz mnie do niego, wiele o nim wiesz... Jesteś ukrytą częścią mojego mózgu, ale jaką...?

Naturalnie wciąż nie brała pod uwagę możliwości, że wszystko to działo się naprawdę. Prawdopodobnie gdyby Piątkowi na tym zależało, zadałby sobie więcej trudu, by ją przekonać. Zdawało się jednak, że miał na głowie ważniejsze sprawy. Właśnie przemierzali ulicę Samotną, długą, mroczną, zamiast bruku mającą jedynie lepka, glinianą ścieżkę. W atmosferze zaszła zmiana, światła Finfolek zatrzymywały się tam, gdzie dobiegała końca ostatnia cywilizowana ulica, i niepewnie przyglądały się nieoświetlonej części miasteczka. Ostatni odcinek drogi March i Piątek pokonali w milczeniu. Dziewczyna czuła się obserwowana, lecz tym razem był to inny rodzaj obecności od tej, którą wytwarzała aura chłopaka. Coś spoglądało na nią spomiędzy drzew. Coś nieprzyjaznego.

Zatrzymali się u samego końca ulicy.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Piątek.



Sierociniec miał duszę. To nie ulegało wątpliwości. Była to poharatana, płaczliwa dusza starego dziecka, od stu lat czekającego na kogoś, kto się nad nim zlituje. Gdyby March już wcześniej nie poznała na własnej skórze, czy może raczej nie wyczuła, czym jest aura, teraz by się o tym przekonała. Nie było sposobu, by nie wyczuć aury sierocińca. Ona żyła, spiczaste belki w metalowej bramie były kłami potwora, a sam budynek, uwięziony w jego paszczy, niszczał w powolnym rozkładzie. W niektórych oknach dopalały się wątle płomienie świec – oczy; usta, czyli wielkie, podwójne drzwi, zaciskały się w wyrazie bezsilności; spiczastą głowę, dach, zdobił kapelusz w kształcie wykrzywionego komina.

Tak wyglądały sierocińce w filmach grozy. W prawdziwym życiu, takim, gdzie zamieszkiwały je prawdziwe dzieci, powinny być zupełnie inne: wesołe na tyle, na ile było to tylko możliwe, ciepłe, by choć w najmniejszym stopniu imitować to, co szczęśliwi nazywają Domem przez duże D. Ten sierociniec był wszystkim: szpitalem, więzieniem, ciemną twierdzą; wszystkim, tylko nie Domem.

Gdy March odetchnęła, przed jej oczami pojawiła się para. Powietrze tutaj było mroźne jak w późnojesienny wieczór. Dziewczyna miała wrażenie, że czas przystanął, pozwalając jej spędzić kilka chwil w towarzystwie smutnego budynku. Potem przypomniała sobie, że to sen. Tylko sen. Najrealniejszy w jej życiu, może nawet taki, który zapowiadał się na koszmar. Ale sen.

– To co? – odezwał się Piątek. Głos miał dość nieswój, ale przynajmniej przerwał złowieszczą ciszę. – Pójdę po niego.

March przytaknęła. Kot przecisnął się przez bramę z lekkim stęknieniem, po czym zniknął w ciemności, pozostawiając ją samą. Był to tajemniczy rodzaj samotności. Teoretycznie March wiedziała, że jest sama, za to w rzeczywistości znów wietrzyła czyjąś obecność. Nie jednej istoty, ale wielu. Ze

wszystkich stron, spomiędzy drzew, z odległego ogrodu i zza rogu ulicy, przyglądały się jej stworzenia nastawione wrogo, lecz nie atakujące. Jeszcze. Nie odwracała się, nie rozglądała – nie ze strachu przed tym, co zobaczy, ale raczej ze względu na pewność, że nie ujrzy niczego. Ci, którzy ją śledzili, umieli stać się niewidzialni, mieli coś z tamtego chłopaka. A ona miała coś z niego. *Jesteśmy tacy sami* – w końcu tak jej wtedy powiedział. O to też będzie musiała go zapytać i to najlepiej zanim porachuje mu kości.

Wkrótce drzwi sierocińca się otworzyły. Dwie postacie, ledwo widoczne na tle ciemnego ogrodu, zmierzały w stronę March. Jedną był kot, drugą niski nieznajomy. Dziewczyna stała, czując przeszywający ją aż do szpiku kości chłód. Właśnie miał nastąpić decydujący moment, a ona wcale nie była na niego gotowa. Oczekiwanie na konfrontację było jak zbliżający się wyrok. W pogotowiu trzymała gaz, w komórce włączyła latarkę, by lepiej widzieć, czy nieznajomy nie ma ze sobą jakiejś broni. Światło padło na jego bladą twarz, tę samą co w poprzednich snach, ale jednocześnie w okrutny sposób inną. Okrutny, bo pozbawiony delikatnej osnowy magii.

Chłopak wyręczył ją w rozpoczęciu rozmowy.

– Więc przyszłaś – powiedział po dłuższym czasie wpatrywania się w nią. Jego głos był głęboki, a przy tym odległy. Poruszył w March jakąś strunę, która wygrywała melodię jedynie nocą, podczas snu. Rozejrzała się tylko po to, by się przekonać, że wbrew jej oczekiwaniom chłopak nie tworzył świetlistych wstęg, gdy mówił. Jeśli faktycznie nadal śniła, to już zupełnie inny sen. Magia ostatecznie prysła.

– Przyszłam, i co? – Wzruszyła ramionami. Nie dała po sobie poznać, że jego obecność wywołuje w niej niechciane emocje. – Mam do ciebie kilka pytań. Czego ode mnie chcesz? Dlaczego łazisz za mną na jawie i w snach? Kim, do diabła, jesteś?

– Do diabła – odezwał się Piątek. – To mi się podoba. Jak mówiłem, koty i diabeł prawdopodobnie mają ze sobą coś wspólnego.

Chłopak uciszył go ruchem ręki.

– A przede wszystkim – dodała March – chciałam zapytać, czy jesteś normalny.

Na twarzy nieznanego pojawił się lekki uśmiech.

– To zależy, co jest dla ciebie normalne – odparł.

*Na pewno nie ty* – pomyślała March.

– Nie mam czasu na gierki – ostrzegła, świecąc mu latarką prosto w twarz. – Mów, bo za siebie nie ręczę.

– Jest tak wiele do opowiedzenia – westchnął chłopak. – To zajęłoby...

– Streść w jednym zdaniu.

Zastanowił się. March była usatysfakcjonowana jego zakłopotaną miną. Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że poetyckimi gadkami niewiele zdziała.

– Okay – powiedział wreszcie. – Ty i ja nie pochodzimy z tego świata, nasi ojcowie mają skrzydła, są ferami, a mnie wiąże zaklęcie niepozwalające mi wrócić do świata, w którym się urodziłem.

Skończył. Zapadła cisza.

*Czyli jest nienormalny* – uznała March. Przyjście tutaj było stratą czasu. Dobrze, że to tylko sen.

Odwróciła się bez słowa.

– Czekał – powstrzymał ją chłopak. – Chciałaś szybkiej odpowiedzi. Udzieliłem ci jej. Sama widzisz, że nie tak łatwo to zrozumieć.

Stała zwrócona do niego plecami. Brakowało jej słów, by cokolwiek odrzec. Była zbyt zażenowana.

– Stąd te sny – dodał chłopak. – Chciałem stopniowo przygotować cię na to, co musiałaś usłyszeć. Wiem, że nadal



mi nie wierzysz. Nie spodziewałem się, że tak będzie. Ale mam dowody.

– Niby jakie? – Gwałtownie podeszła znów do bramy. – Wyrosną ci teraz skrzydła, tak?

Chłopak się odsunął.

– Nie. To coś innego... – Zamilkł na chwilę. – Ale najpierw muszę się stąd wydostać.

– Mam ci w tym pomóc? – prychnęła. – A potem co, spróbowałbyś mnie zabić? Nie żebym się dała, ale i tak zamknięty jesteś bezpieczniejszy.

– Miałbym cię skrzywdzić? – Chłopak niespodziewanie wydał się rozbawiony. – Coś mi się zdaje, że raczej mogłoby być odwrotnie. W każdym razie nie musisz się mnie obawiać – zapewnił poważnie. – A kiedy udowodnię ci, kim jestem... i kim ty jesteś... wszystko stanie się jasne.

March przemyślała to. Miała w kieszeni gaz. No i scyzoryk. Poza tym właśnie śniła głupi sen, więc – podsumowując – nie musiała się niczego obawiać. W najgorszym wypadku obudzi się zrana i jeszcze bardziej wściekła na nieznajomego niż do tej pory. Policzy się z nim przy następnej okazji.

– No dobra – odparła, zerkając na niego podejrzliwie. – Jak chcesz się wydostać?

– Będę potrzebował klucza do tej bramy. Ma go dozorca sierocińca. Teraz śpi na posterunku zaraz przy wejściu.

– I niby jak mam ci pomóc?

– Nie ty, ale...

Wzrok chłopaka powędrował w dół i spoczął na Piątku.

– Wiem, wiem – powiedział kot. – Słyszałem tę prośbę, jeszcze zanim ją wypowiedziałeś. – Nastroszył sierść. – Daj mi chwilę.

Ponownie zanurkował w ciemność. March i chłopak zostali sami. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, nie pozostało już nic z niezrozumiałej bliskości, jaka istniała

między nimi we wcześniejszych snach. March nagle uznała, że istnieje niewielka możliwość, że wcale nie śpi. Nie pozwoliła tej myśli się rozwinąć – walka z nią byłaby zbyt trudna, a zaakceptowanie jej właściwie niemożliwe.

– Nazywam się Callen – oznajmił chłopak i przez kraty wyciągnął dłoń. Nieufna March nie uściśniła jej od razu. Gdy wreszcie się na to zdecydowała, uznała, że dotyk był całkowicie zwyczajny. Nie przyniósł żadnych dziwnych odkryć.

– March – bąknęła. – A więc ty i Piątek... znacie się? – dodała, by powstrzymać niezręczną ciszę.

Pytanie nie zabrzmiało aż tak bezsensownie, jak się spodziewała.

– Tak – odparł Callen. – Choć z kotami nigdy nie wiadomo.

– Nazwał cię dziwną istotą – przypomniała sobie March. Zabrzmiało to jak donos.

Chłopak lekko się uśmiechnął.

– To przez moje oczy. Mam je po ojcu.

– Tym ze skrzydłami? – spytała z przekąsem.

– Zgadza się.

Prychnęła.

– Cóż, tobie jakoś nie wyrosły.

– Ferianie, czyli dzieci ludzi i ferów, rzadko mają skrzydła. Zwykle dziedziczymy inne ferze cechy: wzrost, czasami kolor skóry, no i magię, której często nie potrafimy potem kontrolować.

March zaczęły wkurzać jego racjonalne odpowiedzi. Zachowywał się, jakby nie rozumiał jej insynuacji. Chyba powinna wprost mu powiedzieć, że ma go za czubka.

Coś zaszeleściło, a potem zabręczało. Piątek wracał z wielkim metalowym kluczem w pysku. Upuścił go u stóp Callena i oznajmił:

– Nie chcę siać paniki, przerywać podniosłej atmosfery ani kazać wam uciekać, w przypadku gdybyście nie byli na to

gotowi, ale dozorca zorientował się, że go okradłem. Zdjął ze ściany wiatrówkę, co każe mi przypuszczać, że zechce nas ustrzelić.

Te słowa, choć wypowiedziane niezwykle spokojnym tonem, sprawiły, że Callen błyskawicznie wziął klucz i wręczył go March.

– Ty musisz to zrobić! – syknął. – No już!

– Co? Przecież...

– Po prostu otwórz!

Przerażona, włożyła klucz do dziurki. Przekręciła go w chwili, gdy drzwi sierocińca trzasnęły. W progu stał wysoki mężczyzna. Jego postawna sylwetka obrysowała się na tle budynku. Krzyknął coś w niezrozumiały dla March sposób, po czym – kuśtykając – ruszył w ich stronę.

Callen otworzył bramę.

– Prędszej! – zawołała March, gdy chłopak zamiast uciekać, włożył klucz z powrotem.

– Muszę go jakoś spowolnić – oznajmił, zamykając bramę.

Dozorca wciąż krzyczał. Teraz wydawał się wołać coś w stylu „Ej, ty!”, czemu towarzyszyła wiązanka przekleństw. W najwyższym oknie sierocińca zapaliło się światło.

– Cholera, obudził panią Roy! – warknął Callen. Schował klucz do kieszeni. – Gazu! – zawołał. W jednej chwili stał tuż obok March, w kolejnej już go nie było. Dopiero gdy dziewczyna wraz z Piątkiem puściła się za nim biegiem, dostrzegła powiewający na wietrze obszerny kaptur.

Sama nie wiedziała, przed czym ucieka. Dozorca sprawiał złowrogi wrazenie, ale chyba ot tak by do niej nie strzelił. Bądź co bądź, w Finfolk obowiązywały jakieś zasady. Pędząc, wcale nie myślała już o tym, czy śni. Za plecami usłyszała krzyk dozorca, który naraz przerodził się w coś przypominającego zawrodożenie. Dźwięk rozciągnął się jakby na całą przestrzeń, po czym wygasł, jak nagle wyciszona muzyka.

To też nie było normalne, to z całą pewnością nie było normalne!

Callen zatrzymał się u końca ulicy. Był zdyszany.

– Chwilowo jesteśmy bezpieczni – oznajmił. – Nim nas odnajdą, będziemy już gdzie indziej.

– To znaczy gdzie? – spytała March, z trudem łapiąc oddech.

– Chodzi mu chyba o stary dom – uznał Piątek. Jako jedyny z całej trójki wydawał się całkowicie rozluźniony. – Dom Czarownic, prawda?

Callen pokręcił głową.

– Nie do końca – odrzekł. – Jeśli dobrze pójdzie, to będzie zaledwie przystanek. Ostatecznym celem jest coś innego. Też dom, ale prawdziwy. *Mój dom.*

March, starając się myśleć racjonalnie, położyła rękę na kieszeni. Scyzoryk i gaz wciąż tam były.

– Możesz mówić jaśniej? – bardziej zażądała, niż poprosiła. – Jaki znowu dom?

– Już ci powiedziałem. – Oczy Callena rozbłysły. Błyszczały tym niezwykłym światłem, jakim nie mogły błyszczeć oczy innych ludzi, a do March na moment wróciły wspomnienia ze snów. – Chodzi mi o inny świat. Tam właśnie musimy się przedostać.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie zwalniali kroku. Szli szybko, mijając kolejne domy i ulice, na które nie zwracali żadnej uwagi. Callen najwyraźniej wiedział, dokąd zmierza, March wiedziała, że idąc wraz z nim, prawdopodobnie skończy w zakładzie dla obłąkanych, a Piątek, który pewnie wiedział to wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy, z nudów zataczał między nimi kółka i obwąchiwał ulice, jakby bawił się w psa.

March biła się z myślami. Starła się nie iść ramię w ramię z Callenem, na wszelki wypadek zachowując odpowiedni dystans. Gdy rzucała chłopakowi spojrzenia, dostrzegała jego głęboki spokój i coś, co interpretowała jako satysfakcję. Nie wyglądał jej na wariata i chyba tylko to sprawiało, że nie postanowiła wrócić do domu, po cichu wspiać się po schodach, wejść do pokoju i... Właśnie, i co?

No tak, wrócić do swojego ciała – już raz tak zrobiła, więc chyba i tym razem powinno jej się udać – obudzić się i jeszcze raz uciec, tym razem skutecznie, pilnując, żeby niechciana drzemka nie doprowadziła do kolejnych głupkowatych snów. Bała się jednak, że z tego snu wpadnie w kolejny, a potem w następny. Mówiła już o tym Isel, zdawało jej się, że zatracą poczucie różnicy między jawą a snem, tyle że z każdym pokręconym wydarzeniem to odczucie narastało. Strach, że postradała zmysły, był już niemal paraliżujący.

– Jak myślicie, która to godzina? – spytał Piątek.

March spojrzała na komórkę.

– Prawie trzecia.

– To godzina czarów, czy tak? – zastanawiał się kot. – Gdzieś o tym czytałem.

– Umiesz czytać? – odparła zdumiona March.

– Umiem mówić. Czytanie to tylko pochodna. Jestem przekonany, że umiem też pisać, tylko jak na razie nie nauczyłem się utrzymywać w łapie długopisu.

Dalsza dyskusja wydała się March absurdalna. Na powrót skupiła uwagę na Callenie. Szedł tak cicho, że można by o nim zapomnieć.

– Właściwie to dokąd idziemy? – spytała. Na to znów odezwał się Piątek.

– Mówiłem ci, że chodzi...

March go uciszyła.

– Pytałam *jego*. – Wskazała chłopaka.

Obrażony kot prychnął i uniósł łeb.

Callen nawet na chwilę nie odwrócił ku nim twarzy. March miała ochotę go szturchnąć, ale coś sprawiało, że wołała go na razie nie dotykać. Może chciała, by mimo wszystko okazał się eteryczny. Gdy taki był, z pewnością podobał się jej o wiele bardziej.

– Tak jak mówił Piątek, zmierzamy do Domu Czarownic – odrzekł chłopak. – To ta zniszczona rudera u końca Ostatniej.

– Ostatniej? Ale tam podobno nic nie ma...

Callen wzruszył ramionami.

– Zależy jak dla kogo. Ostatnia jest... no, rzeczywiście *ostatnią* ulicą w Ffolk. Za nią rozciąga się już tylko górzyste pustkowie, ale tuż przy granicy z nim stoi opuszczony dom.

March wyciągnęła z pamięci wspomnienie jednej z opowieści pana Clifforda i nieco je odkurzyła. Mówił coś o opuszczonym domu na ulicy, gdzie oprócz niego nie było żadnych innych budynków. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat o starym domu krążyły różne pogłoski: przede wszystkim, że w środku straszycie, choć na dobrą sprawę nikt nigdy się tam nie

włamał, by sprawdzić wiarygodność tych opowieści. Wtedy March nie zwróciła większej uwagi na opowiastkę – i tak nie wierzyła w nawiedzenia; teraz przypominała sobie, że pan Clifford miał naprawdę wielkie oczy, mówiąc o tym wszystkim, jakby faktycznie sądził, że coś w tym było, tyle że nie wypadało mu wprost tego przyznawać.

– Dom Czarownic... – Zastanowiła się. – Skąd ta kretyńska nazwa?

Na twarzy Callena zagościł tajemniczy uśmiech.

– Nazwa jest adekwatna – stwierdził. – Dom naprawdę należał kiedyś do czarownic, sióstr Malloway.

– Pierwsze słyszę.

– To nieprzyjemna historia. Siostry pomagały mieszkańcom Ffolk. Wiesz, używały ziół, pomagały zachodzić w ciążę, przeganiały złe duchy. Potem stało się coś, co sprawiło, że w Ffolk przestali lubić czarownice. Umarło dziecko i to wystarczyło. Mało brakło, a Cleto i Irma Malloway stałyby się ostatnimi ofiarami polowań na wiedźmy.

March zamruwała ze zdziwieniem.

– Było aż tak źle?

– Psychologia tłumu – odparł Callen. – Łatwiej kogoś zabić, kiedy sprawców jest tylu, że nie ma na kogo zrzucić winy. Zawsze bardziej winny ode mnie będzie ten, kto stał obok. A przesady, wszystkie te zabobony, wciąż żyją w ludziach. Siostry były trochę inne od pozostałych mieszkańców, a inni nie cieszą się sympatią. Ty i ja coś o tym wiemy.

– A ja to nie? – wtrącił się Piątek. – Nie uwierzycie, ile dostałem kopniaków za to, że jestem akurat *czarnym kotem*. Pechowym.

March nie przejęła się jego utyskiwaniem.

– Niby czemu mówisz, że *ja* mam coś o tym wiedzieć? – spytała, rzucając Callenowi podejrzliwe spojrzenie. – Skąd w ogóle coś takiego przyszło ci do głowy?



Wpatrywała się w niego długo, ale on zupełnie to zignorował. Nie odpowiedział.

– Jest w tobie coś denerwującego – stwierdził kot. – Czyli musisz być inna.

March wciąż czekała, aż Callen ustosunkuje się do tego, co powiedział, ale on uporczywie milczał. Wbrew swojej naturze postanowiła na razie to zostawić i spytała:

– Co było dalej z tymi siostrami? Chcieli je spalić, czy jak? – Szli właśnie przez zasną ulicę Chichoczącego Garncarza. W ciszy te słowa rozbrzmiały w jej głowie niezwykle głośno, a jednak wciąż jakoś do niej nie docierały. – Trudno w to uwierzyć.

– Niekoniecznie spalić. Przyszli z łopatami i drągami, powybijali okna kamieniami. Kazali siostrom wyjść na zewnątrz, twierdząc, że muszą przeprowadzić właściwy proces. Wierzyli, że to ich zioła zabiły dziecko, a nawet jeśli nie wierzyli, to chcieli w to uwierzyć. Bali się, więc musieli wykryć zagrożenie i się go pozbyć. Ale to nie oni nazwali siostry Malloway wiedźmami. One naprawdę nimi były.

– Chwilę, czyli serio zabiły to dziecko? Chciały je przetopić na tłuszcz czy...

– Nie, nie – zaśmiał się Piątek. – Czarownice nie robią takich rzeczy.

– Czarownice nie istnieją.

– Jasne, że istnieją. Jesteś pewnie jedną z nich, inaczej on by cię tu nie ściągnął.

March i Callen zatrzymali się w tym samym momencie.

– Zamknij się wreszcie – syknął chłopak w stronę kota. Ten za to wyraźnie się ucieszył.

– Zgadłem, no nie?

March przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego, oświetlając sobie ich oblicza latarką.

– Okay – powiedziała powoli, nie wiedząc, czy poważna mina Callena bardziej ją żenuje czy zdumiewa. *Czarownice, dobre sobie.* – Chodźmy dalej. Pokażcie mi ten dom.

Sama przed sobą musiała przyznać, że była o jeden, malutki krok bliżej uwierzenia chłopakowi. Nie zdecydowała się jeszcze, by go wykonać. Najpierw chciała zobaczyć Dom Czarownic, może tylko dlatego, że poruszyła ją historia jego właściciela. Z pewnością Callen ją ubarwił, choć łatwo było uwierzyć, że mieszkańcy Finfolk mogli okazać się wariatami wierzącymi w czarownice. Znając ich podejście do obcych, nietrudno było uwierzyć, że mogli chcieć kogoś zamordować. A sam dom... cóż, mógł się okazać niezłą kryjówką, choćby na jedną noc. March miała tylko nadzieję, że duchy dawnych mieszkańców miasta nie przybędą z drągami i pochodniami, by ją z niej wywabić.



Callen musiał zdawać sobie sprawę, że słowami niewiele już zdziała. Dalej szedł więc w milczeniu, pozwalając Piątkowi wygadać się za wszystkie czasy. Jeśli on sam nie zgubił głównego wątku, to na pewno straciła go March, po części dlatego, że znów zaczęła się zastanawiać, czym właściwie był ten kot. Teraz przestała już wierzyć w to, że śni. O wiele trafniejszym wytłumaczeniem jej stanu wydawała się psychoza. Może tak naprawdę włóczyła się po Finfolk, a kot i Callen byli zaledwie omamami. Nie miała pojęcia, czy to w ogóle możliwe, nie znała się na chorobach psychicznych.

– Ucisz się – syknął znów Callen, gdy Piątek zaczął coś wykrzykiwać. – Społeczność cię zamorduje, jak nieprzynależący usłyszą, że gadasz.

Piątek nastroszył sierść.

– Jasne, już nic mi nie wolno...

– Społeczność? – podchwyciła March. – Chodzi o mieszkańców Finfolk? I co to są *nieprzynależący*? Należycie do jakiejś sekty, czy jak?

– Chodzi o inną Społeczność – odparł Callen. – Lepiej jednak nie mówić o tym zbyt wiele tutaj, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał. Z pewnością podsłuchują nas *oni*.

Ostatnie zdanie wypowiedział ściszym głosem.

– To pewne – zgodził się kot. – Widziałem kilku, jeszcze jak staliśmy pod sierocińcem. Spryციule coś wywęszyły.

– Oni? – powtórzyła March. To słowo zabrzmiało złowieszczo.

– O tym też lepiej za dużo nie gadać – odrzekł Piątek. – W każdym razie gdyby was złapali i chcieli wypatroszyć czy coś w tym stylu, to wiecie... Ja nie mam z tym nic wspólnego. Jestem zbłąkanym przybłądą i lepiej mnie w nic nie wciągać, a idę z wami ot tak, dla towarzystwa.

March przystanęła.

– Chwilę – powiedziała ostro. – Czy jest cokolwiek, o czym *możecie* mówić? Jeśli nie, to tracę czas.

Callen zbliżył się do niej. Uniósł rękę, jakby chciał położyć dłoń na jej ramieniu. Ostatecznie zrezygnował, słusznie wyczuwając, że sobie tego nie życzyła.

– Opowiem ci o wszystkim, tak jak obiecałem. Nic nie zataję. Tylko dotrzyjmy najpierw do Domu Czarownic. Tam będziemy bezpieczni.

Krótkim spojrzeniem March dała mu do zrozumienia, że wciąż ma go za szaleńca.

– W domu, w którym omal nie doszło do morderstwa dwóch zielarek? – prychnęła. – Jakoś mi się nie wydaje...

Piątek również podszedł bliżej i pogłaskał ogonem nogę dziewczyny.

– Bez obaw. W tym miasteczku już raz mnie zabito, ale wcale nie w Domu Czarownic. To najbezpieczniejsze miejsce

w Finfolk. Chyba... No, pozostaje mieć na to nadzieję.



March bez przerwy łapała się na zapomnieniu o tym, że wpadła w rodzaj hipnozy, miała omamy, a może po prostu halucynowała, zwał jak zwał. Twarde chodniki Finfolk, uliczki wypełnione domami o znajomych, nawet jeśli nieco zmienionych przez nocną atmosferę kształtach, okrągłe latarnie, chłodny wiatr muskający jej policzki – wszystko to kazało jej otworzyć oczy i przyznać: *To dzieje się naprawdę.*

Tajemnicza atmosfera wróciła, gdy nagle urwała się ostatnia z zamieszkanymi ulic, Pijącej Praczkii. Porastały ją dęby – wysokie i grube, oddzielając ulicę od kolejnej, niewyłożonej asfaltem Ostatniej. Światła miasteczka pochowały się za gęstym listowiem, które przepuszczało jedynie cienką smużkę światła, z trudem przedzierającą się przez mgłę. Świat snów powrócił.

– Jeszcze chwila, jeszcze chwila – powtarzał Callen. Jego głos wydawał się zmieniony, choć najpewniej to obawy March nadały mu inne, groźniejsze brzmienie.

Kamyki chrzęściły im pod stopami, wśród drzew znów dało się wyczuć czyjąś obecność. Mrok gęstniał, stawał się czymś żywym, w powietrzu jakby formowały się jego łapy i szyja. On również obserwował nocnych wędrowców.

– Mam nadzieję, że będzie tam coś do jedzenia – odezwał się kot. – Choćby kilka myszy.

– Myszy będziesz miał pod dostatkiem – zaśmiał się Callen. – Mam nadzieję, że ty się ich nie boisz?

March nie od razu zorientowała się, że pytał ją.

– A wyglądam, jakbym się bała? – spytała. – Jak myślisz, że boję się myszy, bo jestem dziewczyną, to znaczy, że jesteś

żałosny.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Ja w sumie trochę się boję... na pewno bardziej ciebie niż myszy – stwierdził nagle.

– I słusznie – odparła March, spoglądając na komórkę. Dochodziła czwarta i niebo stawało się powoli szarawe. – Jeszcze ci o tym nie wspomniałam, ale miałam zamiar zwać z domu – dodała. Na dobrą sprawę nie powinno go to obchodzić, ale musiał wiedzieć, choćby ze względów logistycznych. – Na pewno będą mnie szukać, więc byłoby dobrze, gdyby ten dom okazał się dobrą kryjówką.

– Będzie idealną, nie martw się. Sama zobacz. Chyba nikt nie chciałby tu wchodzić?

Właśnie dotarli do końca ulicy. Zza drzew wyłonił się zniszczony płot. Widniała w nim spora dziura, idealnie okrągła, jakby powstała nie przypadkiem. Podeszli bliżej, by stanąć wreszcie przed Domem Czarownic.

– To tutaj? – spytała March. Nie mogła nic poradzić na to, że w jej tonie pobrzmiwała nuta rozczarowania. Spodziewała się czegoś innego. Budynek, który zobaczyła, prawie wcale nie wyglądał na niezwykły. Był spory i obskurny. Stromy dach miał kształt ostrego trójkąta, okrągłe okno na poddaszu przypominało wielką źrenicę i może tylko ono budziło skojarzenia z czymś magicznym, kręgiem czy lustrem. Szyby w pozostałych, kwadratowych oknach były powybijane, co sprawiało, że dziewczyna słyszała w wyobraźni odgłosy tego, co stało się tu jeszcze całkiem niedawno. To niesamowite, że w Finfolk, w XXI wieku, wierzono w magię. *A jeszcze bardziej niesamowite, że magia faktycznie mogła istnieć...*

Na myśl o wejściu do domu March przeszły dreszcze. Oczywiście ten strach był zupełnie bez sensu.

– Tu – oznajmił Callen. On sam wpatrywał się w Dom Czarownic z rodzajem nostalgii, jakby trafił do miejsca, które

dobrze znał i wspominał.

– Może wejdźmy, co? – poprosił Piątek. – Skoro są tam myszy...

Callen nacisnął metalową klamkę. Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym zgrzytem, a poderwany nagle wiatr zburzył włosy March. Możliwe, że był to kolejny psikus wyobraźni, ale zdawało się jej, że z ogrodu uniósł się świeży zapach, który skojarzył jej się z wiosną.

Callen szedł na przedzie. Głodny Piątek nie wyprzedzał go chyba tylko z uprzejmości, za to March trzymała się z tyłu i nie tracąc zdrowego rozsądku, raz jeszcze upewniła się, czy jej gaz i scyzoryk są na swoim miejscu.

Stanęli przed drewnianymi drzwiami. Ktoś wyrył na nich napis WIEDŹMY. Na jego widok March poczuła ciężar w sercu. Litery stanowiły żywy dowód nienawiści, jaka opanowała mieszkańców Finfock. Bo nie było chyba możliwości, by kobiety same nazywały się w ten sposób i jeszcze obwieszczały to światu.

Callen pociągnął za klamkę. Piątek, nie czekając na zaproszenie, wparował do środka.

– Wejdiesz? – Chłopak wyciągnął rękę w kierunku March. Wyglądało to tak samo jak podczas snów. Czy gdyby ją uchwycił, zaczęliby biec przez czasoprzestrzeń i znów trafili na unoszącą się wyspę? Nie wiedziała. I nie pochwycił jego dłoni. Zamiast tego wyciągnęła przed siebie komórkę. Po chwili ciemność rozproszyło ostre światło latarki.

Callen zasłonił sobie oczy, odwrócił twarz od March i wszedł do środka. Ona ruszyła za nim ostrożnie, dokładnie badając każdy zaułek. Najpierw zobaczyła dywan, potem starą sofę, dwa fotele i wysoki kominek. Struchlała, gdy jej uszu dobiegły głośne dźwięki. Piątek zamiauczał piskliwie, prawdopodobnie tropiąc już jakąś mysz. March zaczęła świecić latarką we

wszystkie strony. Wreszcie światło zatrzymało się na Callenie, który rozsuwał zasłony w licznych oknach.

– Zaraz się rozjaśni – powiedział. Na razie jednak do wnętrza wpadło jedynie nieco szarości, która w połączeniu ze światłem latarki pozwoliła March ogarnąć wzrokiem pomieszczenie.

To był wielki salon. Pachniał starością, ale nie był zniszczony. Tym, co najbardziej zdumiało dziewczynę, były drzwi. Drzwi, drzwi, wszędzie drzwi. Na każdej ze ścian było ich po kilka par, a żadne nie były podobne do kolejnych i wyglądało na to, że wszystkie prowadzą na zewnątrz. Niektóre malutkie, jakby zrobione specjalnie dla dzieci, inne aż za duże; część zdobiły kwiatowe wzory lub geometryczne figury. March zaczęła liczyć.

– Trzydzieści – powiedziała. – Łącznie z frontowymi.

– Słucham? – Callen, który wyglądał właśnie przez okno, odwrócił się w jej stronę.

– Mówię o drzwiach – odrzekła March. – Po prawej jest pięć par, po lewej też pięć, a naprzeciwko jeszcze dwie pary kolejnych. Razem z tymi, przez które weszliśmy, trzydzieści.

– O, wyżej jest ich na pewno więcej. Nie zdziwiłbym się, gdyby część wciąż była ukryta.

– To... normalne? – March zadała pytanie, na które właściwie znała odpowiedź. Przeciwną do tej, której udzielił Callen.

– Tak – powiedział. – Siostry Malloway lubiły drzwi, różne przejścia.

March weszła w głąb salonu. Lekko trąciła ręką sofę, wzbijając w powietrze chmurę kurzu.

– Ten sen, czy cokolwiek to jest, wydaje się jakiś... inny – stwierdziła na głos, choć mówiła bardziej do samej siebie.

Callen ciężko westchnął.

– To nie sen – powiedział. – Wszystko, co widziałas i co się wydarzyło, jest prawdziwe. Piątek, sierociniec, nasza podróż

tutaj, no i sam dom. Co do niego nie mam najmniejszej wątpliwości. Daję ci moje słowo, słowo Callena Mallowaya.





## ROZDZIAŁ JEDENASTY

March natychmiast otrzeźwiała.

– Zaraz... – Posłała Callenowi badawcze spojrzenie tylko po to, by się przekonać, że mówił poważnie. – Więc ty...?

Chłopak pokiwał głową.

– Jestem ich potomkiem, zgadza się, przybranym, ale w magii nie ma to większego znaczenia...

– Potomkiem czarownic?

March zdawała sobie sprawę z niedorzeczności tej sytuacji, a mimo wszystko nabierała coraz większego przekonania, że jej towarzysz nie kłamał. Teraz, gdy już znalazła się w tym domu, powoli przestawała walczyć z myślą, że to wszystko mogło dziać się naprawdę. Nie śniła, Callen faktycznie ją tu doprowadził, a opowieść o dwóch siostrach... Cóż, trudno było to wytłumaczyć, ale cały dom zdawał się krzyczeć o jej prawdziwości. Echo dawnych zdarzeń wciąż się tu unosiło, jak gdyby czas stanął i odtwarzał się na nowo.

Ale dlaczego rzeczywistość zdawała się wirować? Krew w żyłach March przyspieszyła, uderzała jej do głowy. Oczy Callena wciąż lśniły i to też stanowiło rodzaj dowodu na istnienie rzeczy niezwykłych.

– Cóż... Właśnie tym jestem – powiedział ostrożnie chłopak. – Moja matka była czarownicą, a ojciec ferem. Płynię we mnie krew magicznych istot, mimo że, szczerze mówiąc, one mnie nie znoszą. I boję się, że gdy już poznasz prawdę na swój temat, zaczną nienawidzić i ciebie, bo będą wiedzieć, że do tego doszło: że odkryłaś to, co chciały przed tobą zataić. One zawsze wiedzą. Potrafią przeniknąć do naszych snów, rządzić

nimi. To ich krainę widziałas, gdy unosiła się w przestrzeni nad wizją miasta. Pamiętasz, byliśmy tam razem, ty i ja.

Słowa Callena sprawiły, że atmosfera zgęstniała. March nie umiała już odpowiedzieć na pytanie, w co wierzy, a w co nie. Jeśli faktycznie tu stała, a wszystko na to wskazywało, to czy jakaś dziwna moc, magia, nie stanowiła wytłumaczenia, dlaczego on wiedział, o czym śniła? W akcie desperacji dotknęła znów kieszeni, by przypomnieć sobie o tym, że jest bezpieczna. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Callen usiadł na sofie. Kurz zawirował wokół jego sylwetki. March, lekko się ociągając, zajęła miejsce naprzeciwko. Jej wzrok padł na stojący tuż za fotelem wielki zegar. Wskazówki zatrzymały się na godzinie dwunastej, chyba idealnej dla czarownic.

– Chciałbym wszystko ci opowiedzieć – oznajmił Callen, świdrując dziewczynę magicznymi oczami. – Nim to zrobię, muszę zapytać, czy godzisz się na to, by od tego dnia być prześladowana za to, kim się urodziłaś? Czy godzisz się na to, że czasem będziesz musiała uciekać, by zachować życie, na to, że czeka cię walka, może przegrana, bo z potężnym wrogiem, a mimo wszystko warta ceny, bo stanowiąca bój o prawdę? Innymi słowy: czy jesteś gotowa na to, by moja opowieść zmieniła twoje życie?

Słyszając tak górnolotne słowa, March zwykle patrzyła na rozmówcę jak na kretyna. Teraz nie wiedziała, co odpowiedzieć. Stała tylko, próbując odgadnąć, czy Callen jest wariatem, za jakiego go miała, czy też warto poznać kryjącą się w nim tajemnicę.

Podniosły nastrój przerwały kolejne piski Piątka. Wskoczył nagle zza jednego z foteli i w panice uczeplił się kolana March, która podskoczyła ze strachu. Przez chwilę kot wydawał się zwykłym, złąknionym dachowcem. Potem, najwyraźniej

przypominając sobie o obowiązkach wynikających z częściowo ludzkiej natury, opadł na ziemię.

March przyglądała mu się tak, jakby widziała go po raz pierwszy. W szarym świetle powoli wstającego dnia gadający kot nagle wydał jej się realniejszy. A jednocześnie miała wrażenie, że patrząc na niego, wkracza do innej rzeczywistości, z tym że już nie zdoła powrócić do tej, którą znała jeszcze wczoraj.

– Przepraszam – oznajmił z nonszalancją kot. – Karaluchy... Nigdy ich nie lubiłem, a w kątach aż się od nich roi. – Spojrzał na Callena. – Och, a więc zaczęłaś mówić o wiedźmach? No dalej, kontynuuj.

– Chwilę – odezwała się w końcu March. Nie przejmowała się już kotem, który zajął miejsce na fotelu, i całą uwagę skupiła na Callenie. Gdyby tylko mogła przeniknąć do jego umysłu, mieć pewność, co sobie myśli! – Czego właściwie ode mnie chcesz? Po co to wszystko robisz?

– Dlaczego się z tobą skontaktowałem?

– Dlaczego za mną *łaziłeś*? – uściśliła March. – Jesteś... chory, potrzebujesz uwagi, a może masz coś z głową?

– Potrzebowałem twojej pomocy. To wszystko.

– Pomocy w czym?

Callen westchnął.

– Nie chciałbym zaczynać od...

– Pomocy *w czym*? – powtórzyła March z zacięciem.

– W magii – wtrącił się Piątek. – Czy to nie oczywiste?

March gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

– Ciebie nie pytałam – warknęła. Sierść kota natychmiast znów się nastroszyła. – Dość już tych wymysłów! A ty mów! – rozkazała Callenowi.

Chłopak potraktował niewypowiedzianą groźbę bardzo poważnie.

– Piątek ma rację. Chciałem, żebyś pomogła mi w rzuceniu zaklęcia, tyle że wolałem przekazać ci to jakoś... jaśniej, rozumiesz?

– Jaśniej? – wyjąkała. – Wkradając się w moje sny? To znaczy sprawiając wrażenie, jakbyś wkradał się w moje sny? To znaczy... – Zastanowiła się. – Wkradając się w moje sny? – Tak, pierwsza wersja pytania bez wątpienia była najlepsza.

Callen zaczął pocierać dłonią brudne oparcie sofy. Na razie robił to swobodnym ruchem, lecz i tak kryło się za tym rosnące zdenerwowanie.

– Tak jak wspomniałem, zależało mi, by działać stopniowo. Gdybym mógł, chętnie zademonstrowałbym ci działanie magii, by cię przekonać. Ale nie mogę. Jedyne, co potrafię, to odwiedzać ludzi w snach, no i czasem stać się niewidzialny, choć to bardziej sztuczka psychologiczna. Niski wzrost znacznie w niej pomaga, to fakt... – Urwał, dając sobie czas na zebranie myśli. – Próbowałem oswoić cię z myślą, że istnieje inna rzeczywistość. Nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Wreszcie postanowiłem wykorzystać moje umiejętności. Zależało mi, by cię nie zszokować i nie przestraszyć.

– Przestraszyć? Wcale się ciebie nie boję! – March skłamała. No, przynajmniej w pewnym sensie. Nie bała się *jego*, ale wszystko, o czym mówił, napawało ją trudnym do opisanie lękiem. – Nie rozumiem, w jaki sposób...

– Astralnie – przerwał jej, odpowiadając na niedokończone pytanie. – Człowiek posiada dwa ciała, jedno fizyczne, a drugie astralne. Jeśli wiesz jak, możesz przenosić świadomość z jednego do drugiego. Najprościej robić mi to podczas snu, ale wtedy nie mogę mówić, dlatego nie byłem w stanie niczego ci wytłumaczyć. Kiedy przenoszę się na planie fizycznym, jestem w stanie to zrobić, ale wymaga to ode mnie mnóstwa wysiłku.

– Na planie fizycznym?

– Wtedy, gdy widziałas mnie na ławce w szkole albo w parku, wcale nie byłem obecny ciałem.

*A więc dlatego Isel go nie zauważyła!*

– Zaraz, ale w parku na ciebie wskoczyłam. I byłeś jak najbardziej fizyczny.

Piątek zagwizdał.

– O-ho, coś się... – urwał, gdy March zgromiła go wzrokiem.

– Strażnik też cię widział – dodała w stronę Callena.

– Tak, wtedy się zestresowałem i nie potrafiłem zachować niewidzialności. Ciało astralne jest czasem w stanie przybrać pozory fizyczności, nawet do tego stopnia, że możesz je wyczuć. Zwykle staram się, żeby widzieli mnie tylko ci, którzy powinni mnie zobaczyć, albo ci, którzy mają dar.

Dziewczyna bezwiednie kręciła głową, zupełnie jakby jej ciało samo próbowało zaprzeczyć temu, co słyszy.

– Chciałem wprowadzić cię we wszystko po kolei – ciągnął Callen – ale on mi w tym przeszkodził, kiedy zaczął do ciebie gadać. – Wskazał na Piątka. – Skoro jednak uznałaś to za sen, postanowiłem poczekać z wyjaśnieniem sprawy, aż znajdziemy się tutaj.

– Przez ciebie matka wysłała mnie do psychologa – wycedziła March. – Bałam się, że jestem psychiczna. Co ja mówię, *ciągle* się tego boję. Sny za bardzo zaczęły przypominać rzeczywistość i całkiem się w tym pogubiłam.

– Tak, wiem, źle zrobiłem – przyznał Callen. Smutek w jego głosie nie wystarczał. March nadal miała ochotę mu przyłożyć, a potem pomachać na do widzenia i zabronić ponownie zjawiać się w jej życiu. Czego zresztą teraz nie umiałaby już zrobić.

– *Źle zrobiłem* – przedrzeźniła go. – Jesteś kretynem.

Piątek mruknął na zgodę.

– Jeśli dasz mi szansę, wszystko ci wyjaśnię – oznajmił Callen. – Musisz tylko powiedzieć, czy jesteś gotowa na to, że

moja opowieść zburzy wszystko, co wiesz na swój temat. Jeśli tego nie chcesz i teraz odejdziesz, obiecuję cię nie zatrzymywać, nie nagabywać, zupełnie zniknąć.

*Zupełnie zniknąć...* March nie spodobały się te słowa i wcale nie miało znaczenia to, że jeszcze przed chwilą sama była gotowa ich użyć. Callen nie miał prawa zniknąć, nie teraz, gdy już ją tu doprowadził.

– Dobra – powiedziała, siadając na wolnym fotelu. Zakaszła, gdy jej nozdrza wypełnił kurz. – Daruj sobie te frazesy. Mów, co masz mówić, tylko z sensem.

Mimo jej ostrego tonu Callen zachowywał spokój, choć wyraźnie podszyty lękiem.

– Mogę zacząć od początku i opowiedzieć po kolei? – poprosił. – Tylko wtedy będzie to miało sens.

March zastukała palcami o obicie fotela.

– Skoro musisz – odparła. Wolałaby dowiedzieć się wszystkiego od razu. Zniecierpliwienie sprawiało, że stawała się jeszcze bardziej nerwowa, a to nie służyło nikomu w tym pomieszczeniu.

Callen utkwiał wzrok w podłodze. Wzory na wyświechtanym dywanie same układały się w historię, którą trzeba było jedynie odkurzyć.

– Wiem, zabrzmiało to głupio – zaczął chłopak – ale świat jest inny, niż się wydaje.

– Zgadza się – odrzekła March i od razu uzupełniła: – Może nie z tym światem, ale na pewno brzmi to głupio, by nie powiedzieć, że idiotycznie.

Zbity z tropu Callen znów potrzebował czasu, by poskładać myśli w całość.

– Nie rozumiesz – powiedział. – Kiedy mówię, że świat jest inny, nie chodzi mi o żadne... moralizatorstwo czy coś w tym stylu. Nie chcę cię pouczać, nie jestem od ciebie ani trochę lepszy czy mądrzejszy. Za to wiem coś, o czym ty na razie nie

masz pojęcia. Świat *naprawdę* jest inny, o wiele szerszy od rzeczywistości, jaką znamy. Powiedz, czy nigdy nie przytrafiło ci się nic niezwykłego?

March nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Nie. Przynajmniej do teraz.

Chłopak zmarkotniał. Salon wypełniła barwa jasnoszarego nieba i teraz March mogła lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Straciła już resztki swej niesamowitości.

– Szkoda – stwierdził Callen. – Gdybyś w dzieciństwie wykazywała oznaki mocy, byłoby mi prościej z tobą o tym rozmawiać. Magiczne dzieci zwykle przejawiają pewne zdolności.

March obojętnie wzruszyła ramionami.

– Może trafiłeś na niewłaściwą osobę – stwierdziła. – Nie jestem dość magiczna jak na twoje standardy.

Callen zignorował jej uwagę.

– Jak już mówiłem, świat wygląda inaczej, niż wierzy w to większość ludzi, a jest tak dlatego, że magia faktycznie istnieje. I to taka jak w filmach, a nawet mocniejsza i większa. To potężna siła, odwieczna i niewyczerpywalna. Niektóre istoty lepiej radzą sobie z jej użyciem, inne gorzej, ale sama w sobie jest dostępna dla każdego, trzeba tylko umieć ją dostrzec, wyczuć, a potem wykorzystać.

Przystanął i znów zaczął studiować wzory na dywanie.

– Dawniej moc była powszechna w świecie – podjął na nowo.

– Dawniej... Mam tu na myśli czasy przed wieloma tysiącami lat. Wtedy zresztą istniał jeden świat, w którym nasi odlegli przodkowie widywali smoki, jednorożce i tak dalej. Potem ten świat zaczął się rozdzielać i powstały dwa osobne: ten, w którym żyjemy, i tamten drugi, bardziej pierwotny, który zamieszkują magiczne istoty. Nazywamy go Jaarem.

– Ale gadających kotów tam nie mają – wtrącił się Piątek. – Jestem jedyny na wszystkie światy, czego zresztą nikt nie



docenia.

Ziewnął i przeciągnął się, po czym – z rozkraczonymi łapami – zaczął miarowo pochrapywać. Callen i March przyglądali mu się przez chwilę. Potem chłopak podjął:

– By przedostać się do tamtego świata, trzeba znać odpowiednie zaklęcia. Moja matka była czarownicą i potrafiła ich użyć.

– Naprawdę była związana z siostrami, które tu mieszkały? – spytała March, która, jak na razie, uważała historię chłopaka za nieciekawą bajkę. Jednak zainteresowała się, gdy zaczął mówić o własnej przeszłości.

Callen chwilę się wahał.

– One... tak, były związane.

– Co to znaczy?

– No... Wiedźmy przygarnęły ją do siebie, gdy miała kłopoty, ale to inna sprawa.

– Przygarnęły, ale nosicie to samo nazwisko? – March starała się ani na chwilę nie wyłączać logicznego myślenia.

– Tak, odziedziczyłem je. Mallowayowie byli jednym ze starych magicznych rodów i trzymali się tego nazwiska. Siostry opiekowały się mną przez całe dzieciństwo, więc też je dostałem. – Wyglądało na to, że nie miał ochoty mówić o tym więcej. – Moja matka była dobrą wiedźmą. To znaczy... – Westchnął. Posmutniał jeszcze i głośno przełknął powietrze. – Lubię tak o niej myśleć, choć w zasadzie jej nie znałem. Umarła, gdy miałem pięć lat.

– Przykro mi. – March żałowała, że ton, z jakim te słowa wyrwały się z jej ust, nie miał w sobie choć odrobiny współczucia. Zabrzmiała raczej rzeczowo. Chciała, by Callen szybko przeszedł do dalszej części historii.

– Więc... Tak, myślę, że była dobrą wiedźmą, ale popełniła błąd. Zakochała się w ferze.

– To ktoś w rodzaju elfa? – dopytała March.

– Tak jakby...

– Mają skrzydła, są małe i kolorowe?

Callen zrobił zakłopotaną minę.

– Nie są mniejsze niż my – zauważył.

– Widziałam kilku w swoich wizjach, ale nie tych, które ty mi zesłałeś. No, chyba że... – Zaczęła świdrować go przenikliwym wzrokiem. – Chyba że to też byłeś ty?

– Ja co? Nic nie wiem o żadnych wizjach, oprócz tych, w których byliśmy razem. Ale to były głównie sny, z niewielką domieszką wizji. Zresztą pokazałem ci coś, co istnieje naprawdę.

March przygryzła wargę. Jeśli Callen faktycznie nie miał nic wspólnego z jej widzeniami podczas lekcji i w parku, to albo zanadto poniosła ją wtedy wyobraźnia, albo działo się coś jeszcze.

Po chwili nieuwagi zdała sobie sprawę, że chłopak patrzy na nią tak, jakby oczekiwał, że powie mu coś więcej. Nie zrobiła tego i sama nie wiedziała dlaczego. Chodziło chyba o zwykłą nieufność.

– Więc chcesz powiedzieć, że te latające stworzenia to małe dupki, tak? – spytała.

Tym pytaniem chyba go trochę zaskoczyła.

– Zgadza się – odrzekł Piątek przez sen.

– Nie wszystkie fery są takie same – zaczął tłumaczyć Callen.

– Większość z nich zamieszkuje Jaar. Te chętnie łączą się z wiedźmami. Właściwie to żeby zostać czarownicą, zwykle trzeba mieć swojego fera, kogoś, kto wtajemniczy cię w świat magii. Nie chcę powiedzieć, że te istoty są wesołe i zabawne. Nie są, magia zazwyczaj taka nie jest. Ale między ferami a wiedźmami istnieje przymierze. Łączą się ze sobą w pary magiczne, czyli razem praktykują czary, dzięki czemu magia w świecie ludzi ma szansę trwać.

– Więc to chyba dobrze, że *nasze* matki połączyły się z ferami... nawet jeśli bardziej... romantycznie? – zauważyła March, nieco skołowana.

– No nie, bo nie wszystkie fery są chętne do takich połączeń. Zresztą nasze matki miały z ferami romans, a nie po prostu uprawiały z nimi magię.

Brzmiało to jak podstawa scenariusza filmu fantasy. Czy miało sens? March na razie wstrzymała się od oceny. Wiedziała, że skrzydlate postacie z jej wizji były nastawione wrogo i taką samą wrogą obecność czuła, gdy stała przed sierocińcem.

– Tak jak mówiłem, nie wszystkie fery chcą nauczać ludzi magii – odezwał się znów Callen. Jest takie miasto... Miasto Snów. Nazywa się Aislingen i właśnie tam mieszkają zbuntowane fery, te, które nie zgodziły się przekazywać ludziom swej wiedzy. Mało tego, przysięgły wieczną zemstę każdemu, kto będzie chciał ją poznać. Pełno starych opowieści mówi właśnie o tych ferach. Potrafią mamić i uprowadzać ludzi, przetrzymywać w swojej krainie przez wiele lat... choć więźniowi wydaje się, że to tylko kilka dni... a potem porzucają ich w czasie i w miejscu, jakich ci ludzie nie rozpoznają. Te fery wkradają się do snów, mieszają w nich.

– Tak jak ty! – March uznała, że Callen nie ma prawa osądzać innych w tej kwestii.

– Ja nie próbowałem ci zaszkodzić. – Chłopak natychmiast zaczął się bronić. – Chciałem uświadomić ci, jaka jest prawda. Widziałas to miasto, Aislingen, pamiętasz?

– Tę latającą wyspę?

– Dokładnie tak. Przeniknąłem do twojego snu, by ci ją pokazać. Przeniknąłem, bo mam tę samą zdolność co aislingańskie fery. Jeden z nich jest moim ojcem, jeden z nich jest *twoim* ojcem, a ja przyprowadziłem cię tam, mając nadzieję, że coś sobie przypomnisz.

March zgubiła wątek.

– Niby co miałam sobie przypomnieć? Widziałam to miejsce po raz pierwszy w życiu.

Callen energicznie pokręcił głową.

– Ale to twój dom – upierał się. – Możesz mieć energetyczną pamięć takiego miejsca.

*Ezoszurnięty...* Takie słowo nagle wpadło March do głowy. Kiedyś Isel nazwała tak Belinę, kiedy widziała ją czytającą horoskop. Ale... jeśli magia istniała naprawdę, to...

March otworzyła usta, od razu zapominając, co chce powiedzieć. Przez jej głowę przebiegło wiele myśli. Urodziła się w Szkocji, tak zawsze twierdziła jej matka, tak napisano w jej papierach. Tyle że ostatnio okazało się, że matka kłamie. Adoptowała ją, ale przecież... Nie przygarnełaby jej z innego świata, prawda?

Oprzytomniała, uświadamiając sobie, że poświęca tej myśli zbyt wiele czasu. Nad czym było się tu zastanawiać?

– Pewnie zaraz mi powiesz, że i moja matka jest czarownicą? – prychnęła.

– Myślę, że tak – odparł rzeczowo chłopak. – Mogła znaleźć się w Aislingen przez przypadek, co jest mało prawdopodobne. Możliwe też, że ją porwano.

March zmarszczyła czoło. Musiała sobie to wszystko ułożyć, a potem wypowiedzieć na głos, by pamiętać, jak niedorzecznie brzmiała ta teoria.

– Czyli chcesz powiedzieć, że moją matkę porwały elfy, przetrzymywały w swojej krainie, a ona zaszła w ciążę z jednym z nich?

– Mniej więcej.

– Nie znam ojca, a moja matka na pewno nie jest wiedźmą – obruszyła się March. – Zresztą ta kobieta wcale nie jest moją matką.

To ostatecznie wymknęło się jej z ust.

– Co masz na myśli? – podchwycił Callen.

– Nic. Tylko tyle, że... Chyba mnie adoptowała. Tak by wynikało z rozmowy, którą podsłuchałam.

– Nie, ona nie... – zaczął chłopak, lecz szybko urwał. Nagle, z głośnym miauknięciem, przebudził się kot.

– Śniło mi się – powiedział, rozejrzawszy się wokół – że goniła mnie banda skrzydlatych. I mieli pyski wąsate jak myszy.

Jeśli oczekiwał odpowiedzi, to się przeliczył.

– Twoja przeszłość stanowi zagadkę. – Callen lekko uśmiechnął się do March. – Może właśnie ja pomogę ci ją rozwiązać?

– Zobaczymy... – odparła. Na razie nie przyjmowała takiej możliwości. – Swoją drogą, skąd możesz wiedzieć, że jestem taka jak ty?

– Czuję to – odrzekł po prostu Callen. – Ty nie?

– Co to znaczy, że czujesz? Albo wiesz, albo...

– Wiem, bo czuję. Jestem pewien. Ty na pewno też masz ten dar. Nazwij go szóstym zmysłem, intuicją, jak chcesz. Po prostu rozpoznałem twoją aurę od razu, gdy tylko cię zobaczyłem. I uwierzyłem, że możesz mi pomóc.

*Najlepiej pomógłby mu psychiatra* – stwierdziła March. W kolejnej chwili kazała swoim myślom się przymknąć.

– Nadal nie powiedziałaś, jak mam ci pomóc – zauważyła.

– Zaraz do tego przejdę. Jesteśmy już blisko.

– Świetnie, bo zaraz zaczną mnie szukać. – March wyjrzała przez okno. W oddali niebo barwił już czerwony poranek. – Swoją drogą... – Sięgnęła po komórkę i wyciszyła ją.

Callen obserwował jej ruchy. Podjął opowieść dopiero, gdy dziewczyna z powrotem skupiła na nim uwagę.

– Mój ojciec pochodził z Aislingen. Wiem o nim bardzo niewiele. Siostry Malloway próbowały poznać przeszłość

matki, ale to było niemożliwe. Przypuszczam, że królowa Miasta Snów maczała w tym palce.

– Bo elfy... To znaczy fery mają oczywiście swoją królową? – przerwała mu March. Każdy, kto kiedykolwiek słyszał jakąś opowieść o tych istotach, wiedział, że wszystkie są wredne, a ich królowa zdecydowanie w tym przoduje.

– Tak – odparł cierpko Callen. – Nie wiem, co stało się z moim ojcem. Jeśli chodzi o matkę, została przeklęta. Cleto znalazła ją błąkającą się po lesie, w ciąży. Siostry opiekowały się nią, póki mogły, ale potem jej stan się pogorszył.

– Co jej właściwie było? – March ponieważ uznała swoje pytanie za niedyskretne, lecz skoro chłopak miał jej wszystko opowiedzieć, niech mówi.

Palce Callena, dość długie i smukłe, zacisnęły się na sofie.

– Tak jak powiedziałem, została przeklęta. I umarła.

Wyglądało na to, że przynajmniej na razie March nie otrzyma większej liczby szczegółów. Nie prosiła o nie.

– Mieszkałem z Irmą i Cleto. Przez cały czas chciałem poznać ojca. Nie mam pewności, czy on żyje, choć nie tracę nadziei. Wierzę, że kiedy go znajdę, wróci do mnie coś, co... nie śmieję się, choć to zabrzmiało głupio... Pomyślałem, że wróci do mnie coś, co utraciłem, jakiś ważny fragment mnie. Pewnie naiwnie, ale wierzę, że ojciec będzie w stanie wyjaśnić mi to, co wciąż jest niezrozumiałe, lepiej poznać tę historię.

– Żeby to zrobić, musisz przedostać się do innego świata? – zapytała March. Przyszło jej nagle do głowy, że wierzył w tę opowieść, bo mając takie dzieciństwo, musiał w coś wierzyć. Odłożyła tę myśl na później. Teraz chciała tylko go wysłuchać. Pewnie tego właśnie potrzebował. Spojrzała na niego z większym współczuciem.

– Tak, chcę się tam przenieść.

– Dlaczego nigdy nie spróbowałaś?

– Próbowałem, ale na razie nie mogę. Po prostu nie mam takiej mocy. Jak już mówiłem, moja magia ogranicza się do świata snów. Rzadko coś wychodzi mi na jawie. Oczywiście mogę zobaczyć przebłyski Aislingen. Bo ta kraina podróżuje między światami: tym, magicznym i astralnym.

– A co to właściwie jest ten świat astralny?

– To coś w rodzaju... świata gwiazd, płynnego i możliwego do kształtowania wyobraźnią. Ty i ja potrafimy przenosić się do niego podczas snu. Tak się spotykaliśmy.

– Dlaczego wybrałeś mnie? Nie było żadnych innych dzieci ferów?

Callen szczerze się roześmiał.

– Tak naprawdę ferianie stanowią rzadkość. W zasadzie to niesamowity zbieg okoliczności, że się tu pojawiłaś. A może to wcale nie zbieg okoliczności? Modliłem się o to, prosiłem gwiazdy, by wskazały mi drogę. W końcu któregoś dnia podczas podróży astralnej zobaczyłem cię w parku i już wiedziałem.

– Zaraz. Dlaczego musiałeś podróżować astralnie? Nie mogłeś wychodzić poza sierociniec? Skąd się w nim wzięłaś? I skąd on wziął się tutaj? Przecież to nienormalne, rząd brytyjski powinien się doczepić do...

– Rząd brytyjski do niczego nie może się tu doczepić – przerwał jej Piątek. Mówił dość trzeźwo, jak na kogoś, kto gada przez sen. – Ffolk jest jednym z ostatnich miejsc, czyli takich, z których po rozłączeniu światów magia wyciekała najpóźniej. Sierociniec jest tu od dawna i należy do czarownic. Tutaj więżą takich, co zagrażają Aislingen, czyli między innymi jego.

Od niechcienia wskazał pyszczkiem Callena i z powrotem ułożył się do snu.

March posłała chłopakowi niepewne spojrzenie.

– To prawda – powiedział, kiwając głową. – Nie mogłem stamtąd wychodzić od... dawna. Dlatego to ty musiałaś otworzyć bramę, ja sam bym się nie wydostał. Potrzebowałem kogoś, w czyich żyłach płynie magiczna krew i kto nie został obłożony klątwą sierocińca. Kiedy zobaczyłem cię w Finfolk, wiedziałem, że dostałem szansę, jaka już się nie powtórzy. Musiałem tylko spróbować ją wykorzystać.

– I użyłeś tej mocy... tego...

– Projektji astralnej. Pamiętasz pierwszy sen, w jakim się pojawiłem?

March potaknęła.

– Wywołałem wizję. Przeniosłem cię do świata astralnego. Właśnie tak z jego perspektywy wygląda Aislingen. Jak już mówiłem, miałem nadzieję, że gdy je zobaczysz, odezwie się w tobie jakiś zew, magiczna energia. Ale chyba tak się nie stało.

– No nie. Byłoby prościej, gdybyś powiedział mi, o co chodzi.

– Ale nie mogę tego robić, naprawdę. Klątwa zabrania mi używać mowy podczas podróży astralnych. W parku włożyłem w to cały wysiłek, a i tak zdołałem wypowiedzieć tylko kilka słów. Zresztą, jak pewnie zauważyłaś, głos w snach może tworzyć barwy, a oni je wyczuwają i rozpoznają. Gdyby wiedzieli, że cię odwiedzam, zaatakowałiby.

Mimo że March kiwała głową, w rzeczywistości z trudem pojmowała to, co mówił Callen. Nagle wróciła do niej wizja płaczącego w lesie niemowlaka. Czy fery go porwały? Czy to możliwe, że byłyby w stanie nienawidzić nawet dziecka?

– I na pewno nie wywołałeś tamtych wizji z elfa... to znaczy z ferami? – spytała.

– A co w nich widziałaś?

– Najpierw pojawiły się dwa fery, niebieski i różowy. Niebieski dźgnął mnie nożem.



Uważnie obserwowała jego twarz. Pojawiła się na niej emocja, która zwróciła jej uwagę, lecz szybko zgasła, jak gdyby chłopak postanowił ją zakamuflować.

– A potem, w parku, pojawiło się dziecko... – dokończyła, zawieszając głos.

– Dziecko? – Callen się zdumiał. Szczerze. March nie miała co do tego wątpliwości.

– Skąd się wzięły te wizje? – spytała, czując rodzący się podskórnie lęk, ten sam, który towarzyszył jej, gdy bała się, że wariuje.

– Nie wiem – odparł Callen, marszcząc czoło. – Ale wygląda na to, że spotkałaś fery. Może wyczuły, że próbowałem się z tobą skontaktować, i same postanowiły cię sprawdzić, a być może przeniosłaś się mentalnie do Aislingen... Sam nie wiem...

March zasępiła się.

– Ciągłe mnie zastanawia, kim było tamto dziecko...

Nawet gdy sądziła, że to, co zobaczyła, było tylko wytworem wyobraźni, prześladował ją fakt, że nie zdołała nic zrobić, by pomóc płaczącemu niemowlakowi. Teraz bała się jeszcze bardziej. Co, jeśli zobaczyła coś prawdziwego? Jaki los spotkał to dziecko?

– To mogło być też jakieś wspomnienie – stwierdził Callen. – A może ktoś jeszcze próbował się z tobą skontaktować i prosił o pomoc? Nie wiem. I pewnie nie dowiemy się tego, póki nie odwiedzimy Aislingen.

– Chcesz przedostać się do tej krainy, tak? W jaki sposób?

– Właśnie w tym będzie mi potrzebna twoja pomoc. Moja magia snu tu nie wystarczy. Potrzebujemy kogoś, kto potrafi użyć mocy na jawie.

March miała wrażenie, że chłopak niczego nie rozumiał.

– Chyba nie masz na myśli mnie? – spytała. – Nie jestem czarownicą, bo... bo... – Szukała dobrego argumentu. – Bo

chyba bym o tym wiedziała, prawda?

– Niekoniecznie. – Callen wstał i znów wyciągnął dłoń w jej kierunku. – Zresztą, chcesz się przekonać?

March się zawahała. Czy coś, co mogło okazać się chorobą psychiczną, było warte takiego ryzyka? Nie знаła tego chłopaka i nadal nie dowierzała jego słowom.

Nie znała, a może właściwie znała? W snach wydawał się tak bliski. W jakimś sensie faktycznie byli tacy sami.

Tak... Nie...

– No dobra – odparła.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

March wciąż biła się z myślami, czy nie wierzy w magię. Po zobaczeniu gadającego kota nie powinna chyba mieć z tym problemu, ale jej racjonalna strona kazała jej podważyć każdy dowód. Mimo wszystko dziewczyna była zaciekawiona, gdy Callen zaprosił ją na górę, gdzie miała zobaczyć najważniejszy pokój wiedźm. Zostawili śpiącego Piątka w salonie, a sami ruszyli po stromych drewnianych schodach.

– Każda czarownica powinna mieć osobne pomieszczenie do uprawiania czarów – tłumaczył Callen swobodnym tonem. – Nazywa się je pokojem świątynnym. Tam wiedźma trzyma swoje narzędzia magiczne.

– Różdżki i tak dalej? – spytała March. Rozglądała się wokół, gdy wspinali się po schodach. Ściany pełne były obrazków i portretów. Na jednym z nich dostrzegła wytwornie ubraną kobietę w czarnych rękawiczkach. Trzymała czarnego kota łudzaco podobnego do Piątka.

– Najważniejszym narzędziem jest sztylet – oznajmił Callen – ale owszem, różdżek też się używa. Różdżek i nie tylko.

Przeszli korytarzem na pierwszym piętrze. Było tam tylko jedno okno. March odwracała głowę, przyglądając się rzędowi ładnych drewnianych drzwi. Prowadziły do osobnych pomieszczeń, nie na zewnątrz jak te na dole. Callen dotarł do końca korytarza, gdzie znajdowały się jeszcze jedne drzwi, inne od pozostałych. Pomalowano je białą farbą, która do połowy już zesza.

– Nie wygląda to zbyt magicznie – zauważyła March.

– Właśnie w tym sęk, prawda? – Callen odwrócił się ku niej. Stali twarzą w twarz. Byli tego samego wzrostu; ich oczy znalazły się na równi. – Jeśli masz coś ważnego do ukrycia, schowaj to w najmniej atrakcyjnym miejscu.

Pociągnął za metalową klamkę. Za drzwiami panowała ciemność. Pachniało wilgocią.

– Mogłabyś użyć telefonu? – poprosił Callen.

March szybko włączyła latarkę. Z komórką w jednej dłoni i z drugą wciąż schowaną w kieszeni, podążyła za nim. Czekały ich kolejne schody, tym razem obskurne i trzeszczące. Gdy je pokonali, stanęli przed jeszcze jednymi drzwiami. Były okrągłe niczym właz i pokreślone dziwnymi symbolami.

– Jeśli za nimi znajduje się więcej drzwi, to chyba dostanę szału – zniecierpliwiła się March.

– Bez obaw, to już ostatnie.

Nie było tu klamki. Callen oparł się o drzwi i pchnął je. Gdy się otwały, March zrozumiała, że dotarli właśnie do pomieszczenia z wielkim okrągłym oknem. Ognisty świt wpadał prosto przez nie, wypełniając wnętrze żywym pomarańczowym światłem. Wpełzało w każdy kąt, dobrze je naświetlając.

Pokój był duży, a wydawałby się jeszcze większy, gdyby go tak nie zagracono. Wszędzie walały się stosy książek i tekturowe pudła. Części leżącego na podłodze sprzętu March nie potrafiła nazwać. Były tam powyginane gałązki, powykręcane metalowe pręty i mnóstwo szklanych pojemniczków. Sięgnęła po jeden z nich. W środku znajdował się ciemny proszek.

– Zapytałabym, czy to pieprz, ale jakoś nie sędzę.

– To sproszkowany jęczor koguta.

– Że co? – March omal nie wypuściła słoiczka z rąk. Z obrzydzeniem postawiła go na ziemi.

– Zioło, rośnie tylko w Jaarze. Leczy różne dolegliwości, ale jeśli przesadzisz, możesz umrzeć.

– Nie wątpię. A to co? – March wskazała na spory stół zajmujący środek pomieszczenia. Również był zagracony.

– Ołtarz. Chcesz zobaczyć?

Zamiast odpowiadać, po prostu do niego podeszła. Gdyby wcześniej nie wiedziała, że pokój ma coś wspólnego z czarami, teraz bez trudu by się tego domyśliła. Pierwszym, co przyciągnęło jej uwagę, była spora szklana kula – nie gładka, ale pełna wypustek, przypominająca nieoszlifowany kryształ. Obok niej leżała długa różdżka. Całą jej powierzchnię pokrywały litery tajemniczego alfabetu. Przypominały nieco łaciński, ale March za nic w świecie nie umiałaby ich rozszyfrować.

– Mamy więc różdżkę – powiedziała. O ile Callen nie wykonał tych wszystkich rzeczy sam, mieszkańcy tego domu musieli być równie zbikowani na punkcie magii co on.

Nie pytając o pozwolenie, sięgnęła po różdżkę i machnęła nią kilka razy. Żadnych iskier, za to umieszczony na czubku kamyczek zachybotał się.

– Pewnie nie tak to działa? – spytała.

Callen przyglądał się narzędziu.

– Nie do końca – odrzekł. – Musiałabyś się nauczyć, jak poprawnie tego użyć.

– Myślałam, że starczy machnąć i już. – Wzruszyła ramionami.

– W magii liczy się intencja – oświadczył z całą powagą chłopak. – Nie można ot tak machać sobie różdżką. Trzeba wiedzieć, po co się to robi.

March westchnęła. Skoro nie rozumiał ironii, nie był jej wart.

– Wygląda na to, że masz moc. Nieprzynależący nie mogliby uwolnić mnie z sierocińca. No, ale to nic dziwnego, że jesteś

magiczna, skoro masz to we krwi.

Zamiast odpowiadać, March dalej badała ołtarz. Znajdowało się na nim kilka większych glinianych naczynek i mniejsze, srebrne. Od dawna nikt ich nie mył – na dnie każdego zalegał osad. Pod stertą ziół leżał sztylet z brązową rękojeścią.

– Jest i najważniejszy przedmiot – oznajmiła, sięgając po niego. Ledwo dotknęła rączki, delikatny prąd przeszył jej palce. Syknęła, odsuwając dłoń. Naraz opuścił ją cały sarkazm. W sztylcie chyba faktycznie coś się kryło.

– Athame jest osobistym narzędziem każdej czarownicy – powiedział Callen. – Zwykle wiedźmy nie pozwalają, by dotykały go obce osoby.

Sam bez problemu ściągnął ostrze z ołtarza.

– Athame? – spytała March.

– Tak nazywamy sztylety czarownic. – Callen przesunął dłonią po rączce. – Należał do Cleto, starszej z sióstr. Gdy dotykam narzędzi, jakie po sobie zostawiła, mam wrażenie, jakbym w pewien sposób nawiązywał z nią kontakt. – Odłożył athame. – Nie mamy wiele czasu. Mówiłaś, że będą cię szukać, prawda?

– Tak.

– Więc postarajmy się, by nie mogli cię znaleźć. Policja ludzi nie zajrzy oczywiście w inne światy, ale Społeczność już tak.

– No właśnie – podchwyciła March. – Powiedz mi o tym coś więcej, bo chyba nie zrozumiałam. Co to za Społeczność?

Callen westchnął.

– Wiesz, czarownic jest wiele, naprawdę wiele. Ktoś musi tym wszystkim zarządzać, inaczej co rusz mielibyśmy przypadki niewłaściwego użycia magii. Społeczność powołano, by chroniła świat wiedźm przed nieprzynależącymi. I czasami odwrotnie. Właściwie w każdym ludzkim urzędzie znajdują się przedstawiciele magicznych służb.

– Oni chyba nie będą mnie szukać?

– Na początku nie. Wiedźmie służby wkraczają dopiero, gdy ludzkie wyczerpią swoje możliwości. Ale jeśli ktoś znika w Finfolk, na pewno Społeczność zajmie się tym wcześniej niż później. Ostatnie miejsca zawsze są mocniej sprawdzane, skoro magia tak wolno z nich wycieka.

March nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda wyciekająca magia. Brzmiało to zbyt abstrakcyjnie. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, co Callen miał na myśli, mówiąc o magii. Energię? Coś namacalnego?

– Dobra, jak tego użyć? – spytała. – Tej mocy? Stanać przed ołtarzem, wyrecytować zaklęcie i machnąć athame?

Chłopak uśmiechnął się nieznacznie.

– Prawie, choć będziesz musiała zrobić to bez pomocy athame, bo to chyba cię nie polubiło. Zaklęcie rzucisz tutaj, przy ołtarzu.

– Ostrzegam, że jeszcze nigdy nie rzucałam zaklęć. Chyba że liczy się przeklinanie nauczycieli, wtedy owszem, ale jak dotąd nic nie podziało. Wszyscy żyją.

Callen gwałtownie wciągnął powietrze.

– Życzyłaś im śmierci? – Jego i tak wielkie oczy jeszcze się rozszerzyły.

– No, aż tak to nie – odparła March.

Nieco go tym uspokoiła.

– Nigdy, *przenigdy* nie wolno ci przeklinać. To znaczy... Okay, jeśli mowa o wrogu, wtedy tak, ale i to robi się tylko w beznadziejnych przypadkach. Złorzeczenie innym wiedźmom jest trochę jak chwyty poniżej pasa, no wiesz, niehonorowe. Jeśli chodzi o nieprzynależących, absolutnie nie wolno rzucać na nich zaklęć tego typu.

– Nie znasz pani Drew – zaśmiała się March. – Jeśli już ktoś jest wiedźmą, to właśnie ona. A pan Irving... Bo mężczyźni też mogą być czarownikami, prawda?



– Zgadza się – odparł krótko Callen. – Nie mamy czasu. Musimy znaleźć zaklęcie.

– Nie znasz go?

Chłopak wydał się nieco zmieszany.

– Ledwo je pamiętam. Nie wolno nam pomylić słów. Na pewno gdzieś tu było.

Zaczął się rozglądać. March przypuszczała, że w tym bałaganie znajdą zaklęcie najprędzej za tydzień.

– Czego szukać? – spytała, wzdychając.

– Słowa były zapisane niewidzialnym tuszem na cienkim pergaminie, a pergamin zwinięty i umieszczony w zakorkowanej buteleczce. Irma wsadziła ją do srebrnej szkatułki, a kluczyk miał... – Callen zaczął stukać palcami o czoło, jakby próbował wywabić z głowy płochą myśl. – Chwilę... chwilę...

Krzętał się po całym pokoju, tymczasem March zdążyła już zapomnieć, czy pierwszy był pergamin, czy szkatułka, i czego właściwie mieli szukać. Pomijając już to, jak można przeczytać niewidzialny tusz. Stała i przyglądała się chłopakowi, gdy usłyszeli drapanie za drzwiami.

– Co to? – Callen aż podskoczył.

– Chyba wiem – mruknęła March.

Podeszła do drzwi. Od wewnętrznej strony zamocowana była klamka. March ją pociągnęła, wpuszczając do pokoju Piątka.

– Tak właśnie myślałam – powiedziała.

– Myszy nie dają mi spać – zaczął utyskiwać kot. – Najpierw małolaty każą mi się włóczyć ze sobą po nocach, a potem gryzonie urządzają sobie polowania. Chyba nie tak obmyślono ten świat? To ja miałem być drapieżnikiem i sprowadzać innych na złą drogę albo chociaż przynosić pecha. Co porabiacie?

– Będziemy rzucać zaklęcie – oznajmiła z przekąsem March.

– Aha – odparł Piątek raczej znudzonym tonem. – Jakieś ciekawe?

Callen zatrzymał się i skubiąc brodę, zwrócił się do kota:

– Szukamy małej, srebrnej szkatułki.

– Bawicie się w poszukiwaczy skarbów? Wiesz, że nie jest dobrze bogacić się za pomocą magii. Pieniądze przychodzą, ale nigdy nie wiadomo skąd. Znałem wiedźmę, która niechcący zabiła swoją starą ciotkę. Rzuciła czar na pieniądze, no i dostała spadek. – Urwał. – W każdym razie mam nadzieję, że nie zapomnicie o mnie. Wiem, skąd pozyskać złoto. *Moja ciotka...*

– Chodzi o kluczyk Irmy – przerwał wreszcie Callen. – Właściwie szkatułkę i kluczyk.

– A poza tym buteleczkę i pergamin z zaklęciem – uzupełniła March. – Przydałoby się też coś do czytania niewidzialnego tuszu – dodała z przekąsem.

– To ostatnie nie będzie problemem – stwierdził od razu Piątek. – Jeśli chodzi o klucz, to był chyba w... A może nie? Może w... Nie, też nie. Sądzę, że w... Tak, chyba tam.

Po tych słowach zanurkował między rupieciami. Po chwili, w akompaniamencie szurania i odgłosów przrzucania kolejnych przedmiotów, wyłonił się z powrotem ze srebrnym kluczem w zębach.

– Skąd wiedziałeś? – zdumiała się March.

– Irma i ja byliśmy kiedyś przyjaciółmi. Stare dzieje. Chowała kluczyk pod podłogą, tylko panel jest tak poluzowany, że nawet ja bez trudu go wyciągam.

– Mniejsza z tym. – Callen wziął klucz. – Ale co ze szkatułką?

Piątek pomachał ogonem.

– Nie jestem wszechwiedzący – odparł. – Jeszcze trochę mi do tego brakuje.

Tym razem to Callen zaczął przetrząsać śmieci. Nerwowymi ruchami odrzucał zeschnięte gałązki i kawałki niedopalonych świec. W pewnej chwili zamachnął się z taką mocą, że prawie uderzył March w głowę.

– Uważaj, okay?!

– Przepraszam – jęknął.

– Z mojej wiedzy wynika, że jeśli Irma chciała dobrze coś ukryć, trzymała to w swoim pokoju – oświadczył spokojnie kot.

Callen wstał.

– No jasne! Za mną! – rzucił w stronę March. Jego rozkazujący ton sprawił, że w pierwszej chwili chciała mu powiedzieć, żeby się wypchał. Ciekawość ponownie zdecydowała jednak zamiast niej i już po chwili schodziła za chłopakiem po schodach. Callen prędko minął kilka par drzwi, zatrzymał się przed jednymi i od razu wpadł do pomieszczenia. Rozsunął zasłony.

To nie był pokój więdźmy, a przynajmniej zupełnie na taki nie wyglądał. March przysięgłaby, że mieszkała tam zwyczajna staruszka, może nawet taka, która uczestniczyła w niedzielnych nabożeństwach i piekła ciastka na spotkania przy brydżu. W środku nie dostrzegła niczego, co kojarzyłoby jej się z magią. Bładozielonych ścian nie pokrywały żadne znaki, w kwiecistym dywanie chyba też nie zaklęto żadnych tajemnic. Niewielkie łóżko w kącie zasłane było ładną, satynową kołdrą. Wyglądało tak schludnie, jakby jeszcze poprzedniego ranka ktoś wstał i poprawił pościel. Obok stały niewielki stolik i wygodny fotel, a na nim leżała narzuta niemal na pewno wyhaftowana ręcznie.

Jedyną rzeczą, jaka nie pasowała do reszty pokoju, było wielkie, czarno-białe zdjęcie zawieszane nad łóżkiem. Uśmiechali się z niego objęci kobieta i mężczyzna. Oboje byli młodzi, pewnie przed trzydziestką. Kobieta z kapeluszem na

głowie otwierała zalotnie usta, a mężczyzna patrzył z pewnością siebie. Nie wiedzieć czemu March od razu zapalała do nich sympatią.

– Kto to? – spytała Callena, który przeglądał zawartość szafy stojącej naprzeciw łóżka. – To chyba ta sama, która na innym zdjęciu trzyma kota?

– Irma – odparł zdawkowo Callen. – Musi gdzieś tu być, przecież... Mam! – zawołał, wytrącając March z zamyślenia. Odwróciła twarz od zdjęcia i spojrzała na chłopaka. Znaleziona przez niego szkatułka była mała i niepozorna, nie wyglądała nawet na wykonaną z prawdziwego srebra. Mimo to świadomość, że Irma, niezwykła kobieta ze zdjęcia, trzymała tam ukryty skarb, wpływała na sposób, w jaki March o tym wszystkim myślała.

– Wracajmy – powiedział Callen. – Teraz mamy już wszystko.

Wychodząc, March jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Wydało jej się dziwne, że jest czarno-białe. Kiedy Irma miała trzydzieści lat, musiały już istnieć kolorowe fotografie...

– Idziemy – ponaglił ją Callen.

Gdy wspinali się z powrotem po schodach do pokoju świątynnego, wciąż miała w głowie uśmiechniętą parę.

Chłopak z namaszczeniem położył szkatułkę na ołtarzu. Włożył do niej klucz i wstrzymawszy oddech, lekko go przekręcił. Mechanizm zatrzeszczał. Wieczko otworzyło się samo, po czym – i właśnie wtedy March doznała prawdziwego szoku – zamknięta wewnątrz szklana fiolka samoistnie uniosła się w górę. Wzbijała się coraz wyżej, a gdy zaczęła krążyć wokół głowy dziewczyny, ta była pewna, że od teraz już we wszystko będzie w stanie uwierzyć.

– No dalej, weź ją – zachęcił Piątek.

March otworzyła dłoń. Wtedy fiolka na nią opadła.

– Widzisz? – Callen wydawał się nie mniej zdumiony. – Nie tylko ja cię wybrałem. Irma też!



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– No, nie przesadzałbym z tym wyborem – odezwał się Piątek po kilku chwilach milczenia, podczas których Callen próbował pozbierać rozszalałe myśli, a March zęby z podłogi. – Po prostu fiolka jest naładowana magiczną mocą i wybrała pierwszą osobę, która może ją odkorkować. Musiała to być March. Wiadomo, że ty jesteś beznadziejny w magii, o ile akurat nie chrapiesz, a ja nie mam dostatecznie sprawnych łap.

March nie obchodziło, dlaczego fiolka wybrała właśnie ją. Nie zastanawiała się też nad tym, w jaki sposób szklana buteleczka mogła w ogóle kogoś wybrać. Liczyło się tylko to, że fiolka frunęła, a więc magia musiała działać. March widziała to na własne oczy. Tylko dlaczego gadający kot nie wywarł na niej takiego samego wrażenia? No tak... Bo jego spotkała w nocy, a teraz zaczął się poranek, pokój wiedźm wypełniła jasna czerwień i to nie był sen; na pewno nie.

– March? March? – Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że Callen macha jej dłonią przed nosem.

– Tak? – odparła nie swoim głosem.

– Otwórz ją, proszę.

– Ach, racja.

Czuła się, jakby płynęła. Każde wypowiedane przez nią słowo musiało przejść długą drogę z głowy do ust, podobnie wykonywane ruchy były spowolnione, a przynajmniej takie się jej wydawały. Trzęsącymi się palcami ścisnęła korek i delikatnie go wyjęła. Musiała potrząsnąć fiolką, by wydostać zwinięty pergamin. Był pusty.

– Tusz faktycznie jest niewidzialny – stwierdziła, wręczając papier Callenowi.

– Zaklęty. Sama zobacz. – Chłopak stanął tak, by i ona mogła przyjrzeć się kartce. Gdy jego palce dotknęły pergaminu, litery pojawiły się na nim same, zapisane drobnym maczkiem, ale po angielsku.

March otworzyła usta, by powiedzieć „Wow”. Ostatecznie wcale się nie odezwała.

– Irma rzuciła czar sprawiający, że tylko ktoś jej bliski może odczytać słowa – wyjaśnił Callen. – Tak czy inaczej, to ty musisz wypowiedzieć zaklęcie. Jest wierszowane, więc łatwo je zapamiętasz.

– Skoro tak mówisz... – miauknął Piątek. – W mojej rodzinie podchodziło się do czarów trochę inaczej. Nikt nie przejmował się rymami. Wypowiadało się życzenie, machało różdżką, raz-dwa i gotowe.

– Działało? – spytał Callen.

– Zawsze. – Kot dumnie uniósł głowę. – Prawie.

March przyglądała się kartce, którą nadal trzymał Callen. Mrużyła oczy, by odczytać zaklęcie.

*Rozwiej pył, zdmuchnij kurz*

*Stare prawa się odnowią*

*Oczyść szlak, pokaż znak*

*Niechaj bramy się otworzą*

*Sto odłamków lustro ma*

*Księżyc w każdym twarz odbija*

*Klucz jest w drzwiach, przekręć go*

*Zapomnienia czar przemija*

*Długo szłam, wytchnąć daj*

*Gdy odpocznę, w drogę ruszę*

*Cel jest złotem, które lśni  
Znajdę je, a potem wrócę*

– Właściwie to... o co w nim chodzi? – Spojrzała na chłopaka. Ten rzucił okiem na słowa i przeczytał je pod nosem.

– Znam to zaklęcie – oznajmił. – Irma zapisała je właśnie na okazję, gdyby wraz z Cleto musiały opuścić Dom Czarownic, a potem wrócić. Wierzyły, że ktoś z ich rodziny w końcu przyjdzie tu i odzyska dom dla siebie. Pierwsza część zaklęcia ma sprawić, że zamknięta w domu magia zbudzi się i otworzy wszystkie zablokowane ścieżki, a także wskaże rzucającemu najlepszą z nich.

– Innymi słowy będzie nami kierować, tak? – spytała March, jednocześnie zastanawiając się, jak miałyby to wyglądać w praktyce. Czy jakiś przedmiot wzbije się w powietrze i każe im za sobą podążać?

– To może być bardzo subtelne przewodnictwo – odparł Callen, skupiając wzrok na pergaminie. – W drugiej części zaklęcia jest mowa o czarze zapomnienia rzuconym na dom. On sprawiał, że mieszkańcy Finfolk przestawali przejmować się budynkiem, dlatego jest taki zaniedbany. Obawiam się, że gdy ten czar przeminie, będą chcieli go zagospodarować, choć pewnie nieprędko do tego dojdzie.

– Dlaczego w zaklęciu są lustro i księżyc? – zaciekała się March.

– Dla efektu – odparł Piątek. Dziewczyna myślała, że Callen go poprawi, ale tak się nie stało. Kot za to ciągnął dalej: – Księżyc i lustra to magiczne przedmioty, wspomnianie ich w czarach wzmacnia efekt magii, a przynajmniej niektórzy tak sądzą. W rzeczywistości nie ma to większego znaczenia, chyba że ktoś bardzo w to uwierzy. Irma lubiła rzeczy tego typu...



Ciemne ubrania, srebrną biżuterię, spiczaste kapelusze, czarne koty...

Mówiąc to wszystko, Piątek kierował głowę ku sufitowi, jak gdyby zobaczył tam coś, co przywróciło mu miłe wspomnienia. W jego głosie słychać było rozmarzenie.

– Jak się poznaliście? – spytała March. – To ciebie trzyma na zdjęciu w...?

Callen przerwał im dyskusję.

– Rzućmy ten czar, proszę.

Zaczął znów wyraźnie się niecierpliwić.

– Chwilkę – powstrzymała go March. – Najpierw muszę się upewnić, do czego doprowadzi. Nie będę nic rzucać ot tak.

– Zuch dziewczyna – pochwalił ją Piątek, choć zaraz dodał coś, co trochę zbiło ją z tropu. – Trzeba wiedzieć, co się robi, uprawiając magię. Ostrożności nigdy za wiele... Tak przynajmniej mówią magowie. Inni najpierw czarują, potem myślą. Nazywamy ich czarownicami.

– Cóż, trzecia część odnosi się do osoby, która rzuca czar – wyjaśnił Callen. – Mówi o kimś, kto przeszedł długą drogę, by tu stanąć, jak ja, prosi o odpoczynek, ale zaraz rusza w dalszą podróż, wiedziony nowym celem.

– Czyli... – March celowo zawiesiła głos.

– Czyli w moim wypadku dotarciem do Aislingen, proste.

– I staniem się martwym – uzupełnił Piątek.

Chłopak machnął na to ręką.

– Być może – stwierdził. – To jak, rzucamy?

March wzruszyła ramionami. Skoro dotarli tak daleko – i skoro fiolka się unosiła, kot gadał, sny i rzeczywistość pomieszały się ze sobą, a ona po ucieczce z domu i tak nie miała nic lepszego do roboty – nie widziała powodu, by odpuścić.

– Mów, co mam robić.



Stanęli przy ołtarzu. A przynajmniej March i Callen to zrobili, bo Piątek uznał, że skoro ma brać udział w czarach, musi zająć honorowe miejsce należne wszystkim czarnym kotom, i kazał im nieco rozsunać magiczne narzędzia.

– Jesteś męczący, wiesz? – rzucił Callen.

– Słucham? – prychnął Piątek. – Czy tylko dlatego, że potrafię mówić, musi się mną gardzić?

Ignorując go, chłopak zwrócił się do March.

– Wiemy już, że nie zdołasz użyć athame Cleto. Możemy poszukać czegoś zastępczego, na przykład różdżki, choć najlepsze byłoby ostrze.

Podnosił kolejne sprzęty z ołtarza, rozglądając się za następnym nożem, jednak wyglądało na to, że go nie znajdzie.

– Dlaczego potrzebne jest ostrze? – spytała March.

– To tradycja więdźm. Używamy go jako magicznej broni i przy każdym zaklęciu, bo jest... no, silne. Można przeciąć nim różne rzeczy albo utorować sobie drogę, a właśnie to będziemy robić. Poza tym ostrze daje poczucie bezpieczeństwa.

March potaknęła. Dobrze rozumiała, o czym mówił Callen. Coś wpadło jej do głowy, choć nie była pewna, czy pomysł jest dobry. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej scyzoryk, przy okazji niechcący wyciągając gaz pieprzowy, który z brzękiem potoczył się po podłodze.

– A to co? – zapytał kot.

– Nic. – March poczerwieniała. – Nawiałam z domu. Musiałam się jakoś zabezpieczyć, prawda? Zresztą nieważne. Czy to się nada?

Pokazała scyzoryk Callenowi, nie wypuszczając go z rąk. Chłopak wydawał się zmieszany widokiem puszkę z gazem,

jakby rozumiał, że mógł paść jego ofiarą. Gdy spojrział na rękojęść ostrza March, zmarszczył czoło.

– Mogę? – spytał.

– No... – Dziewczyna się zawahała. – No dobra.

Rzuciła okiem w stronę puszek, podczas gdy Callen studiował wyrysowane na rękojęści znaki.

– Kto to napisał?

– Ja – odparła March.

– Jesteś pewna? – spytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Pamiętam nawet, kiedy to zrobiłam. Miałam jakieś cztery lata, siedziałam przy kuchennym stole, a mama pisała coś na komputerze.

Zaciekawiony Piątek wstał i również zbadał znaki.

– To pismo ferów – oznajmił.

– Niemożliwe, przecież ja... – zaczęła March, nie wiedząc, co właściwie powiedzieć. – Nie, to po prostu niemożliwe – uznała.

– Ale tak właśnie jest. – Callen pokręcił głową. – Wiesz, co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. To tylko moje dziecięce bazgroły.

– *Tuathatir* – odparł chłopak. – Córka ferów.

Po tych słowach zapadła cisza. March długo przyglądała się Callenowi, by wysledzić na jego twarzy najdrobniejszą zmianę. Musiał żartować. Na pewno żartował. Przecież to, co mówił, nie miało sensu. Nigdy przedtem nie słyszała o żadnych ferach, a zresztą w wieku czterech lat nie potrafiłaby niczego napisać.

– Córka ferów – powtórzył Callen. – Mówiłem ci.

Oddał jej scyzoryk. March zbadała znaki. Miały w sobie pewną regularność, jakby rzeczywiście stanowiły rodzaj pisma. Dotychczas uważała, że to wynik podglądania liter w książkach i próba odwzorowania ich. Jako dziecko często przyglądała się piszącej matce. Gdy ścisnęła teraz zielonkawą rączkę scyzoryka, czuła mrowienie w palcach.

- To będzie twoje athame – uznał Callen.
- Co? – odparła nieco nieprzytomnie.
- Musimy użyć jakiegoś zamiennika. Syczoryk to ostrze, a więc się nada, zwłaszcza jeśli dostałaś go od swojego ojca. A przecież mogło tak być.

Coś w jego tonie głęboko ją poruszyło. Miałaby otrzymać syczoryk od ojca, którego nigdy jeszcze nie widziała? Czy to możliwe, że faktycznie był kimś niezwykłym, magiczną istotą? Ta myśl wydała jej się równie fascynująca, co niebezpieczna. Nie powinna się w ten sposób nastawiać, jeśli to wszystko zaraz może okazać się kłamstwem. Widziała sporo, lecz wciąż nie dotarła do innego świata. Jeśli miała w pełni w niego uwierzyć, musiała go zobaczyć na własne oczy.

- Przekonajmy się, czy mówisz prawdę – oznajmiła. Niebo przybrało już barwę jasnego błękitu. Nie chciała zwlekać. – Rzućmy zaklęcie.

Piątek z powrotem wskoczył na ołtarz, a Callen podał March kolejne instrukcje.

- Właściwie nie trzeba nam wiele. Zapalę wokół cztery świece, po jednej dla każdego z kierunków świata. W ten sposób stworzymy magiczny krąg. Jedną postawię też na ołtarzu, w samym centrum naszych działań.

- Tylko nie za blisko mojego ogona – ostrzegł Piątek. Callen go zlekceważył i zaczął szukać świec nadających się do użycia. Większości z tych, które znalazł, z pewnością już używano. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i stojąc przy wielkim oknie wychodzącym na wschód, zapalił pierwszą z nich. Kolejne odpalił od niej, wreszcie postawił też jedną na ołtarzu.

Prawdę mówiąc, March nie czuła się dzięki świecom ani odrobinę bardziej magicznie; raczej dziwnie, jakby brała udział w żenującym pokazie. Najtrudniejsza chwila nadeszła, gdy sama musiała wykonać kolejne ruchy.

– Unieś scyzoryk, to znaczy athame, w górę – polecił jej Callen – i powtarzaj słowa zaklęcia.

– Tak po prostu? – zdziwiła się. – Nie będziemy najpierw prosić o pomoc jakichś bóstw czy demonów?

Callen uniósł brwi.

– A masz na to ochotę? – spytał. – Bo ja nie bardzo. Moc jest w tobie.

– Brzmisz jak w *Gwiezdnym wojnach* – odparła zażenowana March.

– Co?

– Nie... nic.

Nim rzuciła zaklęcie, musiała kilka razy je przećwiczyć. Callen trzymał kartkę tuż przed jej nosem, by litery nie znikły.

– Dobra, już umiem – powiedziała. – Tylko nie odkładaj pergaminu. Na wszelki wypadek wolę mieć go przed sobą.

Zrobiła głębszy wdech i zaczęła powtarzać:

*Rozwiej pył, zdmuchnij kurz*

*Stare prawa się odnowią*

*Oczyść szlak, pokaż znak*

*Niechaj bramy się otworzą*

Rozejrzała się niepewnie. Magia nie dała żadnych efektów, nie stało się nic niezwykłego.

– Nie przerywaj – szepnął Callen.

Wypowiedziała kolejną część zaklęcia.

*Sto odłamków lustro ma*

*Księżyc w każdym twarz odbija*

*Klucz jest w drzwiach, przekręć go*

*Zapomnienia czar przemija*

Ciągle nic. Podłoga była tak samo zagracona, przez okno świeciło budzące się ze snu słońce, nie pojawiły się żaden księżyc ani rozbite lustro. March zamknęła oczy, przekonana, że żadna z niej wiedźma i że niepotrzebnie bierze udział w tej udawance. Tak czy inaczej, dokończyła:

*Długo szłam, wytchnąć daj  
Gdy odpocznę, w drogę ruszę  
Cel jest złotem, które lśni  
Znajdę je, a potem wrócę*

Gdy wypowiadała zaklęcie, oddychała bardzo powoli, spięła też wszystkie mięśnie tak, że teraz zaczęły ją boleć. Dłonie zaciskała na scyzoryku uniesionym wysoko w górę. Gdyby teraz widziała ją Belinda Gordon, cała klasa miałaby ubaw do końca roku szkolnego, Isel dałaby jej wykład na temat nieodwracalnych zmian w mózgu, a matka jak zwykle wysłałaby ją do psychologa.

To wszystko mogłoby się stać, jednak zamiast tych rzeczy wydarzyły się inne. Okrągłe okno samoistnie się otworzyło, wpuszczając do środka chłodny wiatr. Towarzyszył mu świeży, wiosenny zapach ogrodu. Drzwi pokoju świątynnego również stanęły otworem, przepuszczając odnawiającą energię. March nie mogła tego zobaczyć, ale czuła, że ta siła ogarnia cały dom, który zdawał się teraz oddychać pełną piersią, zbudzony z bardzo długiego snu.

Obudziły się też czary. Pierwszą niezwykłą rzeczą, jaką dostrzegła dziewczyna, była jaśniejsza aura, która wytworzyła się wokół kręgu. Ledwie dało się ją zauważyć, może stanowiła nawet rodzaj złudzenia optycznego. Ale to, co stało się w następnej chwili, z pewnością nie było złudzeniem. Wszystkie przedmioty z podłogi wzbity się nagle w powietrze, a szafki uchyliły swe drzwi, pozwalając wszystkiemu wrócić na

swoje miejsce. Na dole rozległo się bicie zegara, który najwyraźniej po wielu latach ruszył.

*Mam moc.* Nim ta myśl dotarła do March, najpierw uderzyła Callena, który patrzył na dziewczynę, jakby chciał ją wyściskać. Ona sama nie dowierzała temu, czego dokonało zaklęcie, lecz wiedziała już, że zgodnie z tym, co powiedział na początku chłopak, jej życie już się zmieniło. Całkowicie i nieodwracalnie.

Jedynie Piątek pozostawał niewzruszony.

– Czego innego się spodziewaliście? – spytał, widząc ich miny. – Byłoby zaskakujące, gdyby tak proste zaklęcie wam *nie* wyszło.

– To absolutnie...

Słowo „niesamowite” nie zdążyło przejść March przez usta. Drzwi pokoju świątynnego zamknęły się z trzaskiem tak głośnym, że Piątek przeraźliwie wrzasnął. Potem cała trójka zamarła, gdy z zewnątrz dały się słyszeć odgłosy dobijania się do środka. Framuga trzęsła się, jakby zaraz miała pęknąć. Naraz dźwięk ustał i drzwi ponownie się otworzyły, zalewając całe pomieszczenie morzem jasnych barw.

– Ścieżka – wyszeptał Callen. – Zaklęcie ukazało nam ścieżkę.

Piątek stanął u jego nóg. Chłopak wyciągnął rękę ku March.

– Pójdiesz ze mną?

Tym razem bez wahania ją pochwyciła.





## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Za drzwiami czekał na nich niezdecydowany świat. Barwy rozlewały się niczym posplatane, kolorowe rzeki, kształty stworzone jedynie z blasku szukały stałego punktu, chwiały się, rosły i malały. Przestrzeń zdawała się prosić przybyszów, by sami nadali jej wygląd, zgodnie z tym, co uważali za słuszne. March szła niepewnie za Callenem, ściskając jego dłoń. Dawno nie czuła się równie bezbronna. Nie miała wyboru, musiała zdać się na chłopaka – lepiej znał to miejsce. Każdy krok stawiał ostrożnie, lecz wciąż szedł naprzód.

To było... realne. Tak, realne, wprawdzie w zupełnie innym sensie realności niż ten, który March znała do tej pory, jednak nie miała wątpliwości, że nie śni. Wszystko może i przypominało sen, ale nim nie było. Każda cząstka tej rzeczywistości zbudowana była z czystej magii, czary wypełniały ją aż po brzeg. Dla kogoś, kto widział to miejsce po raz pierwszy, stanowiło rodzaj objawienia. Baśnie, stare historie ujawniały swoją prawdziwość i delikatnym głosem, niepozbawionym nuty wyższości, mówiły: *A więc teraz widzisz, zawsze byliśmy prawdziwe.*

Minęło kilka chwil, nim mieszanina kolorów zaczęła układać się w głowie March. Wreszcie z tańczących kształtów wyłoniła się jasna, zielona polana. Pokrywały ją kwiaty, których nazw dziewczyna nie potrafiłaby wymienić – jeśli rosły również w świecie ludzi, to na pewno nie w Szkocji. Dalej ciągnął się las.

– Byłam tu – stwierdziła nagle March.

Callen odwrócił się w jej stronę. Zamrugał z niedowierzaniem.

– Tak?

– Nie dosłownie, ale w mojej wizji. To tu widziałam tamto dziecko.

Była pewna. Znalazła się w tym samym miejscu. Poznała nawet drzewo, pod którym leżało wtedy niemowlę. Miała wrażenie, że zaraz usłyszy jego płacz, a potem przybędzie tamta fioletowa istota, by ją przegnać. Za najlogiczniejsze wytłumaczenie uznała to, że miała do czynienia ze wspomnieniem. W każdym razie było to o wiele bardziej racjonalnie niż upieranie się, że wizję spowodowały fenomen mózgu lub choroba.

– Jesteśmy sami? – upewniła się.

Callen rozłożył ręce.

– Na to wygląda. Tym lepiej dla nas. Powinniśmy się ukrywać.

– Niby jak? – March zdumiała jego naiwność, a przy okazji jej własne roztargnienie. Rozumiała, dlaczego nie powinni rzucać się w oczy, jeśli fery naprawdę mogły ich prześladować. Dlaczego więc wcześniej nie przyszło jej do głowy zapytać, w jaki sposób Callen chce się kamuflować?

– Myślę, że tutaj łatwiej będzie mi użyć magii – odparł. – Mówiłem ci, że potrafię stawać się niewidzialny. W świecie ludzi to proste, gdy podróżuję astralnie, a tutaj musiałbym po prostu zmienić kolor aury na przezroczysty. W Aislingen moja moc powinna być silniejsza.

– Powinna, ale nie wiesz tego na pewno, tak? – March poczuła, jak z nerwów przyspiesza jej puls.

Callen nie miał na to odpowiedzi, co w sumie też stanowiło jakąś jej formę.

– Świetnie – wycedziła. Nagle całe oczarowanie tym nowym światem prysło. – W takim razie wracam. Chyba nie myślisz,

że będę się tu wałęsać i czekać na śmierć tylko dlatego, że tobie się tak podoba!

Odwróciła się w stronę, z której przybyli. Naturalnie drzwi już tam nie było. Wcale jej to nie zdziwiło, choć przez to wkurzyła się jeszcze mocniej. Tutaj musiała przystosować się do zasad panujących w bajkach, a w nich portale zawsze znikają, kiedy już się przez nie przejdzie.

– Pamiętasz zakłęcie – powiedział Callen. – Mieliśmy odkryć swój cel. Teraz musimy rozpocząć wędrówkę, by do niego dotrzeć.

– To ty miałaś odkryć swój cel! – zawołała March. – Moim było opuszczenie domu. Chciałam uciec, ale nie do... w zaświaty czy jak to nazwać.

– To Aislingen, nie kraina umarłych – poprawił ją chłopak.

– Gównu mnie to obchodzi!

– Nie krzycz, bo nas usłyszą.

To ostrzeżenie podziałało. Przypomnienie sobie o ferach włamujących się do ludzkich snów i mieszających ludziom w głowach sprawiło, że March znacznie ściszyła głos.

– Gdzie Piątek? – spytała.

Wraz z Callenem zaczęli się rozglądać. Na tle jasnych barw czarne futro powinno się wyróżniać. Nie dostrzegli go, zresztą cisza, która była chyba obca każdemu, kto znał go przynajmniej pięć minut, też o czymś świadczyła.

– Świetnie – warknęła March – zgubiliśmy gadającego kota. To przez ciebie.

Callen się obruszył.

– Piątek sam za siebie odpowiada.

– Ale był tak jakby pod naszą opieką. Albo może to my byliśmy pod jego opieką, co jest w sumie jeszcze gorsze.

March położyła ręce na biodrach. W dodatku uświadomiła sobie, że przechodząc tutaj, zupełnie zapomniała o plecaku.

Cudownie! Teraz nie miała nawet majtek na zmianę. *Niech to szlag!* Cała magia tej krainy zupełnie prysła.

Dziewczyna spojrzała na niebo. Nie miało błękitnej barwy; mieszały się na nim fiolet i jasne złoto, przeplatane bladymi chmurami. Trudno było stwierdzić, czy zapowiada się na osobliwy rodzaj deszczu, czy może tak wygląda tu słoneczna pogoda. Przez kilka chwil obserwowała ciemny las, uznając, że nie miałyby ochoty się w niego zapuścić. Przypuszczała jednak, że będzie musiała to zrobić, i znów spojrzała na Callena.

– No i co? – rzuciła wyzywająco. – Będziemy tak stać?

– Nie – odrzekł obrażonym tonem. – Spróbuję rzucić na nas zaklęcie niewidzialności.

– Radzę ci, żebyś nie tylko próbował, ale żeby ci się udało.

Callen zamknął oczy i zaczął coś szeptać. Brzmiało to dziwnie, więc pewnie mówił w języku ferów. March nic z tego nie zrozumiała, a w pewnym momencie stwierdziła, że chłopak próbuje po prostu efektownym zachowaniem nadrobić brak umiejętności.

– Coś mi tu nie pasuje – stwierdził, gdy już otworzył oczy. – Moc nie działa, ale...

– To już zauważyłam – przerwała mu March. – Nie rozumiem, dlaczego nie przygotowałeś się lepiej, skoro planowałeś tę podróż od wielu lat.

Pamiętała, by nie krzyczeć. W zasadzie nawet nie okazywała zdenerwowania. Wściekanie się na głupotę innych nikomu nie służyło.

– Proponuję, co następuje – oznajmiła. – Ja biorę do ręki scyzoryk, a ty mój... – Sięgnęła do kieszeni. No tak, gaz z niej wypadł. – A ty zaciskasz pięści. Zaczniemy od poszukiwań Piątka i jeśli coś nas zaatakuje, ty walisz w zęby, a ja przykładam ostrze do gardła.

Callen okazał się na tyle bezczelny, by ją wyśmiać – przynajmniej tak to zabrzmiało, gdy odparł:

– Naprawdę sądzisz, że masz z nimi jakiegokolwiek szanse, wymachując nożykiem? Oni używają *magii*.

– I pewnie wychodzi im to lepiej niż tobie.

– Moja moc to nic w porównaniu z tym, co oni potrafią. Zresztą wszystko wskazuje na to, że moja magia jest tu zablokowana.

– No właśnie. Więc pozostaje nam mój scyzoryk.

Callen spojrzał na ostrze, które March ścisnęła w dłoni jak najcenniejszy skarb. Sama nie wierzyła, że zapewni jej tu przeżycie, ale trzymanie się jakiegokolwiek ułudy było lepsze niż popadnięcie w rozpacz.

– Nie oddam ci go, nawet o tym nie myśl – ostrzegła, widząc wzrok chłopaka.

Ten machnął ręką.

– Wcale nie chcę, żebyś to zrobiła. I tak by mi się nie przydał. Masz rację, tylko on nam zostaje...

– Otóż to – zaczęła March. – Dlatego...

– Musimy go wykorzystać magicznie.

Parsknęła.

– Niby jak?

– Przecież właśnie przed chwilą to zrobiłaś.

– Kiedy?

Callen przewrócił oczami.

– Rzucając zaklęcie, które nas tu przeniosło.

– Ach... – March wcale nie miała wrażenia, że stało się to przed chwilą. Pobyt w Domu Czarownic wydawał jej się teraz równie odległy co świat, z którego przybyła. – Tyle że wcale nie użyłam go magicznie. Po prostu ścisnęłam rękojęść, tak?

– I przesłałaś energię.

Tego sobie nie przypomniała.

– Nic nie zrobiłam.

– Ależ oczywiście, że zrobiłaś – upierał się Callen. – Bez energii nie ma magii, nic by nie zadziało. Ten scyzoryk jest z całą pewnością magiczny, choć... – Przerwał i spojrzał na nią poważnie. – Właściwie to ty jesteś magiczna.

*Żenujące* – uznała March. Takie sztuczki na nią nie działały.

– Zrobiłaś kurs z motywowania, czy jak?

– Nie, mówię poważnie. Magii może użyć tylko ktoś, w czyich żyłach płynie krew ferów, ktoś taki jak ty czy ja. Przypadkowa osoba nie otworzyłaby portalu, a tobie się udało. To jasne, że masz w sobie moc, i zaraz ci to udowodnię, a właściwie sama sobie to udowodnisz.

March westchnęła i pokręciła głową. Chłopak brzmiał jak jeden ze znajomych psychologów jej matki.

– Unieś scyzoryk i skieruj ostrze... o tam – polecił, wskazując ukrytą w trawie spróchniałą gałąź.

– I co?

– Zaraz zobaczysz. Po prostu to zrób.

Wymierzyła ostrze wprost w drewno i czekała na dalsze instrukcje.

– Musisz wyobrazić sobie, że jest w tobie... hm... gniew – mówił Callen. – Pozwól mu się zogniskować w dowolnym miejscu w ciele, w głowie, w sercu, w stopach, gdziekolwiek. U każdej więdźmy punkt mocy znajduje się w innym miejscu.

March nie musiała wyobrażać sobie gniewu. Czuła go aż nazbyt dobrze.

– Może być brzuch? – spytała. To właśnie tam rozpierały ją największe emocje.

– Jasne, świetnie – odrzekł chłopak. – Sęk w tym, żebyś umiała stamtąd przenieść go do rąk, a z rąk w ostrze. Uwolnij go, pozbadź się go. W ten sposób nie tylko poczujesz ulgę, ale przy okazji wypuścisz moc. Myśl o wszystkim, co cię wkurza.

– Jest tego za dużo – bąknęła. Woląa skupić się na jednej, konkretnej rzeczy. Wszystkie przyczyny jej złości przewinęły

się w myślach: problemy z matką, kłótnie z Isel, wizyta u pana Irvinga, wreszcie sam Callen. Trudno było wybrać jeden konkretny.

– Nie myśl o tym zbyt wiele, po prostu się wkurz – doradził jej towarzysz.

Zacisnęła oczy i wargi. W brzuchu pojawił się ucisk. Im głębiej wchodziła w gniew, tym bardziej fizyczny się jej wydawał. Był ciemną kulą, ciężącą jej od tak dawna... *Jest agresywna* – usłyszała słowa, które wypowiedział kiedyś do matki jeden z terapeutów. *Jest agresywna*. Ciągłe ją to bolało...

– Aj! – Otworzyła oczy. Coś pstryknęło pod jej palcami, zupełnie jakby poraził ją prąd, a potem powietrze wypełnił swąd spalenizny.

– O! – Callen pokiwał głową. – To było mocne.

– Ale... – March nie miała pojęcia, co się wydarzyło. Spojrzała w dół. Gałąź była niemal zupełnie zwęglona. – Nic nie zrobiłam, żadna energia nie przepłynęła.

Callen uniósł brwi.

– Więc co, gałąź spaliła się sama?

– Ale...

Nie było sensu się sprzeczać. Rączka jej scyzoryka była ciepła, coś faktycznie musiało przez nią przepłynąć. Dziewczyna nie sądziła jednak, że to ona kontrolowała moc; to było raczej tak, jak gdyby gniew się przebudził i sam zmienił w energię.

– Prawdę mówiąc, nie tego się spodziewałem – przyznał Callen. – To ćwiczenie jest jednym z pierwszych, które się wykonuje. Chodzi w nim o wzbudzenie gwałtownej siły, ale z tego, co czytałem, zwykle początkujący mogą co najwyżej odrzucić przedmioty na mniejszą czy większą odległość albo trochę je uszkodzić. Ty prawie zniszczyłaś tę gałąź.

Potrącił stopą pozostałości drewna. Próchno się rozpadło.

– No, nie prawie – dodał.

– To normalne?

Nagle przeraziło ją to, czego dokonała. Mimo wszystko Callen zachował spokój.

– Powiedz mi, jak wiele *nienormalnych* rzeczy ostatnio widziałaś? – spytał. – Nadal uważasz, że świat dzieli się na to, co normalne, i na to, co dziwne? Może po prostu jesteś... niezwykczajna? To źle?

March się zastanowiła.

– No... – zaczęła powoli. – Jeśli niechcący spopielę kogoś wzrokiem, to chyba nie będzie dobre, prawda?

Na twarzy Callena pojawił się uśmiech.

– Wiesz, to mogłoby się przydać... Ale bez obaw, jesteś ferianą, półferem, więc twoja moc jest spora i działa trochę inaczej niż u czarownic. Będziesz musiała ją poznać, o ile tylko przeżyjemy.

*O ile tylko przeżyjemy.* Powiedział to bez mrugnięcia okiem.

– Piątek – przypomniała sobie March. – Skoro już umiem się konstruktywnie wściekać, jesteśmy bezpieczniejsi. Swoją drogą, szkoda, że terapeuci nie nauczyli mnie tego wcześniej.

Ruszyli przed siebie w poszukiwaniu kota. Nie nawoływali go w obawie, że zamiast niego usłyszy ich ktoś inny.

– Dlaczego ta moc nie ujawniła się we mnie wcześniej? – zastanawiała się March.

– Też mnie to ciekawi – przyznał Callen. – Teoretycznie powinna. Z drugiej strony być może i ty zostałam naznaczona czymś w rodzaju klątwy, jeśli twoja matka także miała romans z ferem.

March parsknęła śmiechem. *Romans z ferem...* Nie brzmiało to zachęcająco, choć miałyby o czym opowiadać Isel.

Ledwo pomyślała o przyjaciółce, żal znów ścisnął jej żołądek. Przecież uciekła z Finfolk. To oznaczało, że nie zobaczy więcej Isel, a przynajmniej nie powinna. Chyba nie przemyślała



swojej decyzji. Trzeba było jakoś się pożegnać. Ale gdyby to zrobiła, Isel pewnie znów doniosłaby o wszystkim matce. Zresztą teraz, skoro March tkwiła już tutaj i nie wiedziała, jak wrócić do świata ludzi, to wszystko straciło znaczenie.

– Jak działa ten świat? – spytała, by nie myśleć o tym, co pozostawiła. – Przejścia z naszej rzeczywistości tutaj, czasoprzestrzeń... To jakaś inna planeta, inny kosmos?

– Nie jestem pewien – odparł Callen. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu przyjąłem istnienie magicznych krain za coś oczywistego.

March zdumiał jego brak zainteresowania. Sama była ciekawa wszystkiego, co tu widziała. W wysokiej trawie poruszały się dziwne owady: wyjątkowo długie gąsienice, żuki z cienkimi, kolorowymi czółkami, a nad kwiatami latały motyle o tęczyowych skrzydłach. Niektóre miały rozmiar ludzkiej dłoni.

– Dla mnie ten świat jest jak dom – stwierdził chłopak. – W mojej głowie był... od zawsze. Do świata ludzi nigdy nie pasowałem, mimo tego, że jestem półczłowiekiem. Myślę, że moja matka też była outsiderką.

Przez chwilę March miała ochotę obśmiać to ostatnie słowo. Większość *outsiderów*, jakich znała, nadawała sobie to miano jedynie dla głupkowatej otoczki. Ale matka Callena nie żyła i miał prawo myśleć o niej, w jakikolwiek sposób tego pragnął, jeśli to mogło zrekompensować mu jej brak.

– Jak często tu bywałeś? – spytała. – Mówisz tak, jakbyś dobrze pamiętał Aislingen, a przecież...

– Raz, ale na dłużej. Z Irmą i Cleto odwiedzałem też Jaar, którego Aislingen jest w pewnym sensie częścią.

March skinęła głową i o nic więcej już nie dopytywała. Miała wrażenie, że Callen nie chciał zdradzać szczegółów ze swojej przeszłości. Wyprzedził ją o kilka kroków i ze wzrokiem utkwionym w trawie szukał Piątka. W końcu się zatrzymał.

– Nie chcę cię martwić – oznajmił – ale to chyba na nic. Gdyby tu był, z pewnością by się od nas nie oddalił. Jesteś pewna, że przeszedł przez drzwi?

– Nie wiem, wszystko stało się dość szybko.

Callen westchnął.

– Pozostaje mieć nadzieję, że został w domu i jakoś sobie poradzi. Pewnie nie chciał kłopotów. To dziwne, bo kiedyś był bardzo...

Coś obok nich błysnęło i nagle chłopak urwał. Jego twarz zmieniła wyraz. Poblądł i szerzej otworzył oczy ze strachu.

– Co jest? – spytała March. – O co cho...

Wtedy rozległ się tubalny głos.

– Stójcie! – rozkazał. Słyszając go, March aż podskoczyła i choć zdawało się, że rozbrzmiał tuż obok niej, gdy się rozejrzała, nikogo nie dostrzegła. Dookoła pojawiło się za to więcej światła. Przypominały błyskawice, jednak nie towarzyszyły im żadne grzmoty. Pojawiały się i natychmiast znikwały.

Potem dał się słyszeć szelest. Z każdej ze stron coś się zbliżało. Wysoka trawa zafalowała. March rzuciła Callenowi jeszcze jedno spojrzenie. Był sparaliżowany. Nie ulegało wątpliwości, z czym mają do czynienia. Starła się zachować zimną krew, kierując scyzoryk z jednej strony na drugą. Nie wiedziała, czy umiałaby teraz użyć swojej mocy.

– Kim jesteście? – spytała niewidzialne postaci. Chciała krzyknąć, lecz strach tłumiał jej głos. – Czego od nas chcecie?

Na odpowiedzi nie musiała długo czekać. Tuż przed nią zmaterializowała się właśnie skrzydlata istota. Najpierw załśniły niewyraźne kontury, delikatnie odznaczające się na tle polany; potem kształt wypełnił się błękitną barwą. To, co początkowo przypominało ducha, stało się istotą z krwi i kości, a mimo to wyjętą jakby ze snu, która patrzyła na March i Callena wielkimi, czarnymi oczami. Stała nago, jej

ciemne włosy przypominały lejącą się smołę, umięśnione ramiona zdobiły złote bransolety. Rozłożyste skrzydła, majestatyczne i potężne, miały kremowy odcień. Postać porażała swym pięknem, a jednak patrząc na nią, March czuła tylko strach.

– To ty... – wyjąkała, cofając się. Miała wrażenie, że ból, którego nie poczuła w wizji, gdy błękitny fer wbił w jej brzuch sztylet, pojawił się dopiero teraz.

Fer wyglądał na znudzonego, badając ich wzrokiem. Nie było sposobu na ucieczkę przed tym hipnotycznym spojrzeniem, które docierało w głąb duszy. March miała wrażenie, że bez zadawania pytań przybysz wiedział o niej wszystko i mógł wykorzystać te informacje, w jakikolwiek sposób sobie życzył.

– Ta – westchnął lekceważąco. – Było jasne, że się tu przyplączesz.

– Ludzie są trochę jak robaki, nie sądzisz, Lei? – Odezwał się inny głos. March na jego dźwięk gwałtownie się odwróciła, by zmierzyć się z mściwym spojrzeniem pięknej, różowej ferini. – Jak wszy – dodała skrzydlata, beznamiętnie mijając dziewczynę. – Dobrze mówią święte pisma: to prawdziwe pasożyty.

Stała obok błękitnego fera. Razem wyglądali nieziemsko pięknie. March długo musiała kumulować w sobie odwagę, by wreszcie spytać:

– Czego chcecie? – Jej głos zabrzmiał cienko i bezradnie, ale przynajmniej odważyła się go użyć. Na Callena nie było co liczyć. Ciężko oddychał, jakby zaraz miał zemdleć.

Błękitny fer skierował twarz na chłopaka, ignorując ją jak niewarty uwagi śmieć. Wkrótce dookoła zaczęły ujawniać się kolejne, równie kolorowe i piękne istoty. W oczach każdej czaiło się coś złowrogiego. March ciągle ścisnęła swój scyzoryk, ale szanse na obronę zmalały praktycznie do zera.

– Opuść athame – poleciła jej różowa ferini.

Tuzin motyliich istot otoczył ich ciasnym kręgiem. Nie czekając dłużej na ruch dziewczyny, ferini po prostu wyrwała jej scyzoryk z rąk. Zrobiła to tak szybko, że March nawet nie zdążyła zaprotestować.

– Callenie Malloway – odezwał się błękitny. – Wygnańcu, który zdecydowałeś się wrócić, wiedz, że nie otrzymasz przebaczenia.

– Oboje was czeka kara – dodała różowa, po czym spojrzała na swojego towarzysza. – Khonsu? – spytała, cokolwiek mogło oznaczać to słowo.

Błękitny pokiwał głową. Potem zwrócił się do Callena, który wciąż nie umiał mu odpowiedzieć:

– Byłeś głupcem, przychodząc tutaj, wygnańcu.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Szli w kolorowym pochodzie. Na czele kroczył błękitny fer w towarzystwie pięknej ferini. Ich skrzydła lekko się poruszały, kładąc się cieniem na prowadzonych tuż za nimi więźniach. March i Callen mieli skrępowane z tyłu dłonie – dziewczyna wyraźnie czuła sznury, choć nie przypominała sobie, by ktoś je zawiązywał. Pojawiły się nagle, zapewne magicznie.

March raz po raz rzucała Callenowi wściekłe spojrzenia, które zdawały się ześlizgiwać po jego zasmuconej twarzy. Ale ona nie miała dla niego ani krztyny współczucia. Dlaczego nie przyznał się od razu, że jest *wygnańcem*? Co to w ogóle miało znaczyć? A przede wszystkim: za co został ukarany? Mógł być kimkolwiek: oszustem, złodziejem, mordercą...

Fery, które szły z tyłu, nie odzywały się. Pilnowały pojmanych z każdej strony. Jedyne para z przodu wciąż rozmawiała w twardym języku, którego March nigdy jeszcze nie słyszała. Śmiali się, poruszali lekko, choć w pewien sposób majestatycznie. Było w nich piękno, z którym dziewczyna jeszcze nigdy nie obcowała i chyba nie chciałyby obcować, bo towarzyszył mu lęk, że nie będzie potrafiła się oprzeć wyjątkowości skrzydlatych istot. Nawet w wizjach fery ją przyciągały, jednak na żywo ich urok był jeszcze silniejszy, wręcz zniewalający.

Błękitny fer zatrzymał się nagle mniej więcej na środku polany i wyciągnął przed siebie dłoń. Machnął nią, sprawiając, że tuż przed nim otworzył się wir przypominający przekrzywiającą się, jakby płynną tafłę lustra. Ferini zrobiła krok naprzód i znikła w niej.

– Wprowadzić więźniów – nakazał błękitny.

Dwójka ferów pochwyliła March i Callena za ręce. Trzymały ich z taką siłą, że oboje jęknęli. Przez głowę dziewczyny przemknęła myśl, by spróbować walki, ale zrezygnowała z tego pomysłu, wiedząc, że nie ma żadnych szans. Fery gwałtownie wepchnęły ją w wir. Krzyknęła, gdy jakaś siła z wewnątrz wciągnęła ją do środka, a potem wypuła na twardą, kamienną posadzkę. W pierwszej chwili March widziała jedynie kolorowe płytki ozdobione krętymi symbolami, od których można by dostać oczopląsu. Potem uniosła głowę.

Wstrzymała oddech. Znalazła się w wielkim, kolistym pomieszczeniu. Okrągłą, zamkniętą ścianę pokrywały hipnotyczne symbole – choć kształty były stałe, miało się wrażenie, jakby bez przerwy się ruszały, tańczyły, myląc obserwatora. U sufitu wisiały lampy umieszczone w długich żyrandolach. Światło, które się w nich paliło, nie przypominało elektrycznego – wyglądało raczej jak płomień, choć delikatniejsze, mniej wyraźne niż zwykły ogień. U końca stał wysoki złoty tron.

– Podejdźcie – rozkazał siedzący na nim fer. Jego głos zadrgał w powietrzu niczym tajemne zaklęcie.

Strażnicy zmusili Callena i March, by wstali, po czym zaczęli prowadzić ich do tronu. March jęknęła, gdy dostrzegła, kto na nim siedział.

– Ty! – zawołała, nie mogąc się powstrzymać.

Fioletowy fer – z całą pewnością ten sam, który w wizji zagroził jej drogę do płaczącego dziecka – spoglądał teraz na nią z zaciekawieniem. Barwa jego skóry była tak delikatna, że niemal prześwitywały przez nią wydatne kości policzkowe, ciemne włosy zdobiło lśniące złoto. W całej postaci skrzydlatego było coś, co kojarzyło się March z kwiatami.

– A więc mnie pamiętasz – powiedział fer, unosząc dłoń, na której połyskiwały kolorowe pierścienie. – Bardzo dobrze.

Powinnaś była od początku się domyślić, co chciałem ci przekazać. Popełniłaś wielki błąd, March Sky, dając się zwieść temu młodzieńcowi. – Wskazał na Callena.

Chłopak dopiero teraz przemówił.

– Nie zwiódłem jej! – warknął. – Próbowałem tylko pokazać jej, kim jest.

March nie rozumiała, dlaczego akurat w stosunku do tego fera Callen nabrał odwagi, podczas gdy ci, którzy ich tu przyprowadzili, wywołali u niego taki strach.

– A kimże jest? – prychnął skrzydlaty. Nie zmieniał wyrazu twarzy, wciąż patrzył na nich z taką samą ciekawością. – Tym samym, co i ty – odpowiedział spokojnie. – Błędem, dziełem przypadku. Żadne z was nie sięgnie po nasze tajemnice. Niepotrzebnie tu wróciłeś.

– Chcę rozmawiać z moim ojcem! – zażądał Callen.

Fer pokręcił głową.

– Twój ojciec zdechł zaraz po tym, jak cię splodził. Nie ma go tu i nigdy nie wróci.

– Kłamiesz, kłamiesz – zaczął powtarzać chłopak. March nie była pewna, czy naprawdę tak sądził, czy raczej próbował przekonać samego siebie. Wyszeptał to słowo jeszcze kilka razy, czepiając się niego niczym ostatniej deski ratunku.

Fer wstał i ruszył w ich kierunku. Jego bose stopy nie wydawały najmniejszego dźwięku na posadzce. Za nim ciągnęła się srebrna peleryna.

– Spójrz na siebie – powiedział z pogardą. – Jesteś jak oni. Starczy domieszka ludzkiej krwi, a wszyscy stają się tacy sami. To dlatego myślisz, że mógłbym kłamać. Bo masz mnie za takiego, jakim i ty jesteś, *człowieku*. Fery z Elphame, fery z Tir-na-Nog, one może kłamią, tak, lecz nie my, gdyż my w Aislingen nie mamy nic wspólnego z ludźmi. To wy przenieśliście na naszą rasę swe najgorsze cechy.



Urwał i uniósł wysoko głowę. Strażnicy stali przy więźniach w milczeniu.

– Jesteśmy dumną rasą – odezwał się znów fer. – Dlaczego więc nie potrafisz zrozumieć, że was nie potrzebujemy, że nie życzymy sobie waszej obecności?

Callen westchnął.

– Chcę rozmawiać z moim ojcem – powtórzył.

Fer klasnął w dłonie. Wtedy wszystko poczerwiano, światła pomieszczenia zgasły, powietrze wypełnił zapach stęchlizny. March zdążyła jedynie mrugnąć – wystarczyła chwila, by wraz z Callenem znalazła się w zupełnie innym miejscu. Stali w ciemnej, śmierdzącej celi. Światło sączyło się przez niewielkie kraty; unosiły się w nim drobinki kurzu. U dołu stała długa drewniana ławka. Oprócz niej nie było tu nic więcej, nawet drzwi.

March ze zdumieniem odkryła, że nic nie krępuje już jej rąk. Dopiero gdy wyszła z szoku, pozwoliła ujść gniewowi, który się w niej wzbudził.

– Ty kłamco! – Szturchnęła Callena tak, że aż się zatoczył. – Wygnaniec?! Nie powiedziałaś, że cię skazali! Co zrobiłeś?!

– Żartujesz? – Callen odsuwał się, w miarę jak podchodziła bliżej. – Moja jedyna wina polega na tym, że w połowie jestem jednym z nich! Dlatego mnie wygnali! Nie słuchałaś tego, co on mówił?

– Jakoś ci nie wierzę. – March wysunęła w jego kierunku palec. Nim zdążyła go dźgnąć, chłopak się odsunął. – Nic mi tu nie gra, rozumiesz? Myślisz, że mam ochotę ginąć dla ciebie i twoich chorych wymysłów?!

Zamilkła. Zdała sobie sprawę, że zbiera jej się na płacz, a tego miała zamiar uniknąć.

– Kim on jest? – warknęła.

– Ten fer?

– A kto inny?

– Nazywa się Khonsu – wyjaśnił Callen. – Jest głównym namiestnikiem Aislingen, prawą ręką królowej. Nazywają go Panem Nocy. Stoi na straży granicy i bada każdego, kto chce odwiedzić Miasto Snów.

– Długo się z nim znasz?

Chłopak wymigał się od odpowiedzi.

– Spotkałem go... kiedyś.

– Chcę wiedzieć wszystko! – warknęła March.

– Nie ma tu czego opowiadać. Każdy, kto kiedykolwiek był w Aislingen, go kojarzy. To on skazał mnie na wygnanie.

– Dlaczego?

– Bo... oczekiwałem od ferów zbyt wiele. Uwierzyłem, że zaczną mnie traktować jak jednego ze swoich. To był błąd.

– Jasne, że był. A teraz postanowiłeś wciągnąć mnie w swoje sprawy, żebym musiała razem z tobą nadstawić karku. – Callen otwierał usta, by jej przerwać, jednak nie dała mu dojść do słowa. – Słuchaj. Ja nie chciałam żadnej magii, żadnych skrzydeł ani gówna tego typu. Chciałam spokojnie żyć z dala od... od wszystkiego. I mam gdzieś swoją przeszłość, jeśli ma mnie zaprowadzić tam, gdzie ciebie. Jeśli oni nas tu nie chcą, super, nie musimy tu być. Tyle że teraz nas zamknęli i pewnie zdechniemy tu z głodu. Tego chciałeś?

Callen poczerwieniał.

– Nie, nie tego – wycedził. – Poza tym na razie jesteśmy w areszcie. Zapewne dopiero rozstrzygają, co z nami zrobić.

– Wspaniale. Może wspaniałomyślnie oszczędzą nam bólu i zabiją nas w jakiś cywilizowany sposób. Zresztą nie odpowiedziałeś mi na podstawowe pytanie: po co się tu pchałeś, po co chcesz być jednym z nich, jeśli oni nie chcą ciebie?

Chłopak wysoko uniósł brwi.

– Żartujesz? – spytał. – Ja *jestem* jednym z nich, bez względu na to, czy tego chcą, czy nie. To też mój dom i zawsze

będę tu wracał. Ten, kto nie krzyczy, nie rozpycha się ani nie wchodzi oknem, gdy wywalają go drzwiami, nigdy niczego nie osiągnie. Takie jest życie.

– No to czekaj, bo zaraz będziesz mówił o *swoim* życiu w czasie przeszłym.

Po jej słowach oboje zamilkli. Cisza, jaka zapadła w celi, szybko stała się nieznośna. Jak wróg wdarła się do ciasnego pomieszczenia i wypełniła je najgorszymi domysłami. Gniew sprawiający, że March chciała potrząsać Callenem, dopóki się nie opamięta, łączył się z rozpaczą na myśl o tym, że oboje zginą. I po raz pierwszy od ucieczki z domu – a przecież minęło zaledwie kilka godzin – dziewczyna zatęskniła za matką. To wzbudziło dodatkową złość. Jaka była z niej uciekinierka, skoro tak szybko zapragnęła wrócić? I dlaczego naiwnie wierzyła, że matka cieszyłaby się z jej powrotu? Byłaby albo wściekła, że March stroi fochy, albo zawiedziona, że ostatecznie nie ulotniła się z jej życia.

– Powinniśmy pomyśleć, co robić – powiedziała dziewczyna. Ciągle była wściekła, ale przecież coś musieli zaplanować. Przynajmniej spróbować.

– Obawiam się, że niewiele możemy – odparł chłopak, siadając na ławce. – To pomieszczenie jest zaklęte.

– Co nie znaczy, że mamy siedzieć na tyłku i czekać, aż nas zarzną, tak?

Callen wzruszył ramionami. Jego zrezygnowanie dodatkowo rozżłościło March.

– Potrzebuję pomysłu, rozumiesz? – warknęła. – Obojętna mina mi nie pomoże. Bardzo ochoczo nas w to wszystko wpakowałeś, za to jakoś ci się nie spieszy, żeby chociaż podpowiedzieć mi, jak nas z tego wyciągnąć.

Dała mu chwilę na odpowiedź, lecz on tylko siedział i tępo wpatrywał się we własne splecione dłonie. Był nieobecny. Dopiero przyglądając się mu, March przypomniała sobie, co

powiedział fioletowy fer o jego ojcu. *Okay* – pomyślała – *może trochę przesadziłam*. Ale z drugiej strony nie mieli czasu na ckliwość ani rozterki.

– Możesz spróbować stworzyć portal – oznajmił Callen obojętnie. – Tylko nie rób sobie nadziei.

– Nie robię – odparła. – Jestem realistką, choć... biorąc pod uwagę tę magię...

– Magia działa w ścisły sposób. Nie jest niczym niezwykłym, to siła podobna prawom fizyki.

– Przepraszam bardzo, ale fizyka jeszcze nie podaje sposobów na to, jak teleportować ludzi do światów, gdzie żyją elfy, ani jak włączyć komuś w sny. Magia to bardziej jakieś... bo ja wiem, cuda? A skoro tak, liczymy na to, że nie zginiemy, bo to chyba też będzie cud. Więc jak zakreślić ten portal? Muszę mieć swój scyzoryk?

Callen wstał. Westchnął i podszedł do ściany. Sunął po niej ręką.

– Nie zbudowali jej ze snów, to pewne – ocenił.

– Słucham?

– Mówię o tej celi. W Aislingen potrafią stworzyć obrazy, które wydają się prawdziwe, a wcale nie istnieją fizycznie. Na przykład mogliby stworzyć iluzję, w której wydawałoby się nam, że jesteśmy w ciemnej piwnicy, a faktycznie siedzielibyśmy w pełnym słońcu. Ta cela jest prawdziwa.

March rozłożyła ręce.

– Dobrze wiedzieć – zbyła go. – Ale nie o to pytałam. Mój scyzoryk – przypomniała. – Będę go potrzebować?

Callen odwrócił się ku niej. Nie nabrał entuzjazmu, na szczęście przynajmniej zaczął mówić na temat.

– Przede wszystkim jeśli chcesz użyć magii, przestań mówić o scyzoryku. Nazwij go *athame*. Po drugie i tak nie masz go pod ręką, więc muszą wystarczyć ci same palce. No i zakłęcie.

– Świetnie, no to raz-dwa. Naucz mnie tworzyć ten portal.

Miała wrażenie, że chłopak zaraz ją wyśmieje. Nie zamierzała się sprzeczać o to, czy im się uda, czy nie.

– Gdybym chciała, też bym narzekała jak ty – oznajmiła – ale w tej chwili bardziej zależy mi na przeżyciu, więc z łaski swojej rób, co do ciebie należy, i gadaj, jak mam czarować.

To poskutkowało.

– Na początek musimy ustalić, gdzie chcemy się przenieść – powiedział Callen. – Proponuję, by był to Jaar.

– Nic nas tam nie zabije?

– Tego nie gwarantuję. W każdym razie zaklęcie ma nas zaprowadzić w bezpieczne miejsce. Zawsze istnieje pewne ryzyko.

– Trudno, podejmiemy je.

– W takim razie... – Callen zmrużył oczy. – Stań przy ścianie.

– Wskazał palcem. – Pamiętasz, co robiłaś, przesyłając energię przez athame, prawda? Mniej więcej to samo musisz zrobić teraz, z tą różnicą, że nie chodzi o złość. Będzie trudniej, bo nie masz narzędzia i będziesz musiała użyć własnej dłoni.

March wyciągnęła rękę.

– Nie kieruj jej na mnie! – przeraził się chłopak. – Odwróć się do ściany. Dobra. A teraz spróbuj poczuć magię. Ona... No wiesz, nie ma zapachu, ale tu jest, zwłaszcza *tu*, w świecie ferów. Krąży w powietrzu. To bardzo stara siła, a równocześnie świeża, bo ma zdolność do odnawiania się. Twoje ciało, jako dziecka fera, naturalnie ją wyczuwa. Zamknij oczy i po prostu... ją uchwyc.

Trudno było podążać za tymi instrukcjami w brudnej celi. Mimo to March spróbowała. Instynktownie czuła, że nie może przesadzić w staraniu się. Zamiast tego rozluźniła ręce i nogi. Oddychała miarowo. Po kilku chwilach poczuła mrowienie w palcach dłoni i stóp – być może tylko je sobie wyobraziła, co chyba nie miało większego znaczenia. Ręce zaczęły ją świerzbić, jak gdyby coś chciało wydostać się przez palce.

– Wow – westchnął Callen.

March otworzyła oczy. Poraziła ją jasność, jaka nagle zapanowała w celi. Gdy spojrzała na swoje dłonie, chciała krzyknąć, ale zaniemówiła. Z jej palców dobywała się złota energia. Przypominała delikatne światło, żywe i bardzo ruchliwe.

– Co to? – spytała zdumiona.

– Kolor twojej magii – oznajmił Callen. – Pamiętasz sny? Gdy się odzywałaś, tworzyłaś tę barwę w przestrzeni. Każda czarownica ma nieco inny kolor magii. Twój wskazuje na silne związki ze Słońcem.

– To... dobrze, prawda? – March trochę się zaniepokoiła. Ale Słońce było chyba w porządku, o ile za bardzo nie paliło. Kojarzyło jej się dobrze.

– Tu nie ma lepiej ani gorzej – stwierdził Callen. – W naszej sytuacji taka energia będzie pomocna. Jest aktywna. Zresztą nie będę ci teraz tłumaczyć całej teorii. Skoro już ją wzbudziłaś, spróbuj wypuścić jej część z siebie, rysując na ścianie okrąg. Czekaj, jeszcze nie. – Powstrzymał ją, gdy przyłożyła rękę do marmuru. Zaczął szeptać coś pod nosem. – Sztyletem mocy... drzwi... świat równoległy... Zaraz, zaraz... Okay, możesz zacząć i powtarzać za mną. *Moją mocą tworzę te drzwi...*

– *Moją mocą tworzę...* ach! – Ledwo wyrysowała cokolwiek na ścianie, potężna siła poraziła ją i odrzuciła o kilka stóp. Wpadła na Callena, który się zatoczył, i oboje wylądowali na twardej ziemi.

– Nic z tego – oznajmił chłopak. – Tak jak sądziłem, zablokowali przejścia.

March wstała. Była gotowa spróbować jeszcze raz.

– Nie – powstrzymał ją Callen. – Nie przesadzajmy. Oni doskonale wiedzą, kiedy próbujesz się wydostać. Lepiej nie dawać im pretekstów, by szybciej po nas przyszli.

Dziewczyna patrzyła na ścianę, a potem skierowała oczy ku własnym dłoniom. Energia już się z nich nie dobywała.

– Właściwie czego oni od nas chcą? – spytała March. – Dlaczego tak bardzo nas nienawidzą?

Callen z powrotem opadł na ławkę. Teraz wydawał się jeszcze bardziej zrezygnowany niż przedtem.

– Źródło tej niechęci leży w naszej historii – powiedział. – We wspólnej historii wiedźm i ferów. Jak już ci wspomniałem, dawniej nasz świat i Jaar stanowiły jedność, ale w pewnym momencie zaczęły się rozłączać. Fery i ludzie postanowili zmieszać swoją krew, żeby magia nie zanikła w świecie tych drugich. Dzięki niej wciąż istnieją połączenia. Oczywiście nie wszystkim ferom spodobał się ten pomysł.

– No ba – odparła March. Czuła się za stara, by wierzyć w bajki o powszechnej zgodzie.

– Wtedy istniała tylko jedna kraina ferów, Elphame, z jedną władczynią i jednym plemieniem, Tuatha – ciągnął Callen. – Decyzja królowej wywołała jednak sprzeciw małej grupy ferów. One chciały zatrzymać magię tylko dla siebie. Ponieważ rzeczy nie potoczyły się po ich myśli, postanowiły się odłączyć i poprzysięgły ludziom zemstę. Od tego czasu zaczęły ich wabić, oferowały niezwykle dary, ale jednocześnie przynosiły szaleństwo.

– A królowa nie mogła nic z tym zrobić?

– Nie. Zbuntowane fery stworzyły własną krainę, która nie do końca przynależy do Jaaru. Poza tym Aislingen nigdy nie prowadziło otwartej wojny z Elphame, więc nie było powodów, by je niszczyć, zwłaszcza że wiele czarownic chętnie dawało się mamić, a niektóre wychodziły z tych doświadczeń zwycięsko. Potem Elphame zostało dodatkowo osłabione, bo fery podzieliły się raz jeszcze. Powstała kolejna kraina, Tir-na-Nog, której założyciele przychylali się do praktykowania nie zawsze... *dobrych* form magii, choć nie aż w takim stopniu jak

fery stąd. W każdym razie problem Aislingen oficjalnie nie istnieje i mało kogo obchodzi. W porównaniu z Jaarem to tylko niewielkie miasteczko gdzieś na obrzeżach świata astralnego.

Callen urwał.

– Dziwnie to brzmi, prawda?

March nie umiała udawać, że sądzi inaczej.

– Bardzo dziwnie, to fakt.

Postanowiła zmienić temat.

– Byłeś dość odważny, rozmawiając z fioletowym ferem – powiedziała. – Ale kiedy na początku pojawił się ten błękitny razem z ferinią, wydawałeś się spanikowany. Dlaczego?

Callen się zasepił.

– Wiesz, oni...

Nagle ich rozmowę przerwał huk. Cela zatrzęsała się w posadach, jak gdyby ktoś z zewnątrz uderzył w nią ciężką maszyną. Po kilku sekundach odgłos rozległ się ponownie. March bezwiednie zbliżyła się do Callena i już wysuwała rękę w jego kierunku, by złapać go za dłoń, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Huk rozbrzmiał po raz trzeci.

– Co się dzieje?! – zawołała ze strachem. Obawiała się, że sufit zwali się im na głowy.

– Chyba po nas idą – odparł chłopak.

Nie mylił się. W jednej ze ścian zniecka pojawiły się drzwi. Otwierały się powoli i ze skrzypieniem, jak gdyby komuś na zewnątrz zależało na stworzeniu efektu. Wreszcie w progu pojawili się błękitny fer i różowa ferini. Za ich plecami rozciągała się komnata Khonsu.

– Już czas, śmieci – oznajmiła ferini. – Pójdziecie z nami i poznacie wyrok.

March otworzyła usta, gotowa się spierać. Na dobrą sprawę pozostawała obywatelką innego kraju... No, innego świata. Callen wspomniał przecież o Społeczności.



– Nie możecie ot tak wydawać na nas wyroków! – zaprotestowała.

Błękitny fer prychnął.

– W naszym domu obowiązują nasze zasady, człowieku – oznajmił. – Nikt nie ma nad nami władzy.

Ferini uniosła dłoń w chwili, gdy March chciała odpowiedzieć. Dziewczyna poczuła, jak coś ściska jej gardło, zaczęła dławić się własnymi słowami.

– Nie walcz ze mną, ludzkie ścierwo. – Ferini zmrużyła oczy. Przemawiała spokojnie, lecz z pełną mocą.

March jeszcze przez chwilę próbowała się z nią siłować. Wreszcie, doznając ogromnego upokorzenia, musiała dać za wygraną. Miała ochotę podejść do ferini i na nią splunąć. Nienawidziła jej, a ta nienawiść wznieciła kolejną falę gniewu.

– Zablokuj jej moc – powiedział błękitny fer.

– Nie! – odezwał się wreszcie Callen, przełamując paraliż, jaki zdawał się go dotąd ogarniać na widok tej pary. – Nie macie prawa!

Błękitny fer zacisnął pięści.

– Ty nie znasz naszych praw! – zawołał.

– Dość – przerwała im ferini. Otaksowała March spojrzeniem. – Nie muszę jej blokować. Zresztą nie mamy czasu na dodatkowe czary. Pan Nocy nas oczekuje.

Błękitny fer machnął ręką. March miała wrażenie, jakby ktoś wykręcił jej ramiona. Dłonie same splotły się za plecami i owinał je niewidzialny sznur. Potem fery poprowadziły pojmanych ku wyjściu. Gdy zamknęły się za nimi drzwi celi, zatęchłe pomieszczenie znikło. Dookoła widać było znów tylko żyrandole, hipnotyczną ścianę i złoty tron. Tym razem do niego nie podeszli. Khonsu wstał sam i ruszył w ich kierunku. Szedł szybko, był w pełni wyprostowany – jego ruchy przywodziły na myśl atakujące dzikie zwierzę. Zatrzymał się tuż przed więźniami. Utkwił w nich wzrok – wzrok, którego

znaczenia March nie rozumiała. Wiedziała tylko, że nie jest w stanie przed nim uciec.

Sądziła, że fioletowy fer się odezwie. Nie zrobił tego. Otworzył usta, ale zamiast wypowiadać słowa, po prostu... dmuchnął jej w twarz. Podmuch był silny niczym porywisty wiatr. Zwalił ją z nóg, poderwał w powietrze i rzucił jej ciałem w stronę ściany. A ściana znikła i nagle świetlista sala zaczęła się oddalać, wszystko poczerniało, a March straciła świadomość.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wszystko uległo zmianie. Unosiła się w mroku gęstym niczym smoła. Ciemność lepiła się do jej ciała, otoczyła je ciasnym kokonem, utrudniając oddychanie. March próbowała poruszyć ręką – robiła to z trudem, tajemnicza substancja krępowała jej ruchy. Osaczona dziewczyna miała wrażenie, że lada chwila się udusi, mrok wnuknie w jej ciało i rozsadzi je od wewnątrz. Czy tak wyglądała śmierć?

Gdy tylko zaczęła się nad tym zastanawiać, wrócił rozsądek. Żyła, z całą pewnością ciągle istniała. Nie wierzyła w opowieści o duszy i życiu pośmiertnym. Gdyby umarła, po prostu by jej nie było, musiała więc żyć. Rzucono na nią czar, to oczywiste. Jak jednak miała się z niego wyzwolić? Co, jeśli fery skazały ją na to ciemne więzienie? Nie usłyszała żadnego wyroku – równie dobrze mogła spędzić tu całą wieczność, sama i niesłyszana przez nikogo, kto zdołałby jej pomóc.

Nagle ciasny kokon pękł, pozwalając March opaść. Uderzyła kolanami o coś miękkiego. Mrok nie ustępował, więc musiała ocenić teren jedynie przy pomocy dotyku. Była pewna, że czuje trawę, mokrą i gęstą. Przesunęła ręce ku własnemu ciału i zbadała je – wydawało się niezmienione. Położyła palce na oczach. Czy zakłęcie ją oślepiło?

W miarę jak zadawała kolejne pytania, przestrzeń sama na nie odpowiadała. Delikatnie rozświetliło ją rdzawe światło – w górze czerń przecięły smugi, niebo wyglądało na poszatkowane ostrym mieczem. Spadło z niego kilka czerwonych kropel. Jedna wylądowała na dłoni March.

Dziewczyna się jej przyjrzała. Ciecz miała bordowy kolor, a w samym środku lśniła czystym, złotym blaskiem.

Nie wiedzieć czemu March poczuła, jak narasta w niej panika. Odczucie nie pochodziło z niej samej, pełzało gdzieś obok niczym trujący wąż. Ktoś tu był. Albo coś tu było. Obecność była zbyt wyraźna, by jej zaprzeczyć.

Zaczęła się rozglądać. Początkowo wszystko przysłaniała szara mgła. Jak na zawołanie rozstępowała się, gdy March skupiała wzrok na jakimś punkcie. Wreszcie całkowicie opadła, chyba tylko po to, by ukazać jej to, co miała zobaczyć, to, czego miała się bać.

Niedaleko niej ktoś siedział. Widziała jedynie plecy postaci okryte ciemną peleryną. Istota kuliała się, lecz jej aura nie wskazywała na strach – przeciwnie, to raczej nieznajomy miał wzbudzać przerażenie i chociaż March się go bała, postanowiła mimo wszystko się zbliżyć.

– Kim je... – Urwała. Jej słowa opuściły usta i powędrowały w górę, gdzie znów rozlały się w powietrzu. Były złote.

A więc śniła. Khonsu wrzucił ją w sen, może w koszmar. Zrobił to, co fery potrafiły ponoć najlepiej – omamił ją.

Skupiła się znów na istocie w pelerynie. Wyciągnęła ku niej dłoń. Postać wyczuła to i odwróciła się w jej stronę.

March chciała wrzasnąć. Tak wstrętnej twarzy jeszcze nie widziała. Łysą, wychudzoną czaszkę, odznaczającą się delikatnie w rdzawym świetle, pokrywały długie liszaje. Wyblakłe źrenice w pożółkłych oczach świdrowały ją szaleńczym spojrzeniem. Bezzębne usta wykrzywiły się w wyrazie pogardy.

*Potwór* – to jedyne, co przyszło jej do głowy, a zaraz potem dołączyła do tego kolejna myśl: *Ale kiedyś był człowiekiem*. Wydało się to oczywiste. Choć teraz nieznajomy pozbawiony był ludzkich cech, wciąż tliło się w nim coś, co krzyczało o jego dawnym człowieczeństwie, takim, którego wyrzekł się sam.

March chciała uderzyć go w akcie obrony przed nienadchodzącym atakiem. Jednocześnie próbowała się odsunąć, ale potwór złapał ją za ramię. Jej serce zakołatało, wnętrzności wywróciły się gwałtownie, a głowa niemal eksplodowała, gdy nawiedziły ją obrazy, najgorsze obrazy na świecie, pełne wspomnień, do których nie chciała wracać.

Siedziała w gabinecie psycholożki. Okno zasłaniała czerwona zasłona, która nadawała przebijającemu się przez nie światłu ostry, denerwujący kolor. March mrużyła oczy, wpatrując się w twarz kobiety. Ta wydawała się spokojna, choć jej mina podszyta była pogardą – terapeutka nie lubiła swoich młodych pacjentów i teraz dziewczyna widziała to o wiele wyraźniej niż wtedy, gdy miała zaledwie jedenaście lat.

– Uderzyłaś go? – Kobieta zadała to pytanie już po raz trzeci. Początkowo March za bardzo bała się konsekwencji, by odpowiedzieć. Gdy w końcu to zrobiła, przyznała się do ataku na wyjątkowo podłego kolegę z klasy, psycholożka nic nie odpowiedziała. Grubym długopisem odnotowywała coś na niewielkiej kartce. Litera za literą powstawały słowa i zdania, których pacjentka nie była w stanie przeczytać odwróconych.

Zapatrzyła się w dłoń przesuwającą się po kartce. Strach, który wtedy czuła, wrócił zniekształcony. We wspomnieniu zamienił się w żywą, natarczywą istotę, która buszowała po brzuchu March. Wreszcie słowa na kartce zaczęły same się poruszać, tusz rozlewał się, czerń zajęła najpierw całą kartkę, a potem wylała się poza nią. Strugi atramentu sunęły w stronę dłoni dziewczyny, która z przerażeniem zdała sobie sprawę, że tusz zaczął wypełniać jej żyły. Ręce pokryła siatka czarnych linii, duszę zaszurmował lęk.

Znów chciała krzyknąć. Coś złapało ją za gardło, sprawiając, że zamiast słów z jej ust dobyło się rzeżenie. Kaszłała, oczy zaszyły jej łzami; zamknęła je na moment, a gdy uniosła powieki, stała samotnie w parku, nie tym z Finfolk, lecz

w innym, który pamiętała teraz jak sen. Była jesień. Liście utworzyły na ziemi kopiec. Gniły, śmierdziały, umierały w tak brutalny sposób jak ludzie. March nie miała więcej niż pięciu lat. Matka zostawiła ją tylko na chwilę – wiele, wiele miesięcy temu.

Z odległego końca parku zmierzała w jej stronę grupka młodych ludzi. Nie była w stanie spojrzeć w ich twarze – zasnuwała je mgła. To nie przeszkadzało jej się domyślić, z kim ma do czynienia. Wszyscy, którzy kiedykolwiek ją prześladowali, połączyli siły, byli teraz starsi od niej, a ona, uwięziona w ciele dziecka, nie potrafiła stawić im oporu.

– Mała łajza, patrzcie! – zawołał Billy.

– Ciągłe jesteś taka pokurczona? – dodał Thomas Gray, z którym ostatnio miała do czynienia trzy lata temu. Belinda Gordon podłym śmiechem wtórowała każdej obeldze.

– Niedorozwój! – krzyknął ktoś inny. Słowa stały się fizyczne; przypominały pchnięcia. March straciła równowagę i upadła. Od razu wyczuła pod rękami coś śliskiego. Jęknęła z obrzydzeniem. Pod zgniłymi liśćmi wiły się długie, białe robaki, pożerające ostatnie cząstki życia. Otwierały obrzydliwe, uzębione paszcze i jak pijawki przysysały się do ziemi. Jeden z nich uczeplił się palca March. Strząsnęła go z przerażeniem. Uniosła głowę na swoich oprawców. Byli już kimś innym. Teraz zamiast ludzi otoczyła ją banda ferów. Utkwiły w niej spojrzenia wielkich oczu. Jeden z nich wyjął scyzoryk, który wcześniej należał do niej, przystawił go do jej gardła i jednym cięciem przeciął krtań.

W gardle March zastygł krzyk. Ciepła krew lała się z jej szyi, dziewczyna gwałtownie traciła oddech, umierała.

Nagle poczuła ucisk ręki potwora na ramieniu. Wybudziła się z koszmaru tylko po to, by powrócić do tego, od którego wszystko się zaczęło. Znow widziała twarz monstrum. Łkała, całe jej ciało pokrywał zimny pot.

– Widzisz, co się stanie, gdy spróbujesz stąd uciec – przemówiła istota zdartym, ponurym głosem. – Jestem Strażnikiem Koszmarów, *twoich* koszmarów, znam je wszystkie, wiem, gdzie wybija ich źródło, zsyłam je chętnie i bez oporów. Mogę cię zabić, jeśli zechcę; oszalejesz, gdy najdzie mnie ochota.

Urwał i szerzej otworzył szaleńcze oczy. March oddychała ciężko z ręką przyłożoną do gardła. Szok nie pozwalał jej odezwać się ani słowem.

– Wiedz, czym jest umysł, jaka to krucha rzecz – ciągnął potwór, napawając się całkowitą przewagą, jaką miał nad dziewczyną. – Myślisz, że mogłaś kontrolować swój koszmar, że należał do ciebie? Żałosny człowieku! Od początku należał do mnie, ode mnie się zaczął, we mnie trwa i na mnie się skończy.

March zadrżała. Potwór wyczuwał najdrobniejsze ruchy.

– Bój się – wycedził. – Och tak, bój się. Pożrę twój strach, on mnie wzmocni. Będę rósł, a ty będziesz maleć, a potem, pewnego dnia, w samotności stwierdzisz, że nie masz nikogo oprócz mnie. Oddasz mi swą duszę, a ja wchłonę i ciebie... Tak, staniesz się moim pokarmem.

Syknął, wysuwając krwisty, pokryty bąblami język.

– Zostałaś skazana – dodał. – Nie na długo, tylko na wieczność we własnej głowie. To mi wystarczy.

Zacharczał i odwrócił się. Z rdzawego nieba spadło więcej czerwonych kropeł. Teraz March wiedziała już, czym były.

Krwią.





## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Bała się poruszyć. Długo leżała na mokrej ziemi bez słowa, za to z setkami najmroczniejszych myśli. Bezsilność i strach całkowicie ją sparaliżowały. Rozumiała, że nie znajdzie wyjścia z tej sytuacji. Jeden dotyk wstrętnej istoty zupełnie ją obezwładniał. Nie chciała narażać się na potyczkę, przekonana, że koszmary mogłyby ją zabić. Gdyby Strażnik jej nie wybudził, pewnie już by nie żyła – krew lejąca się z gardła była tak realna, że nawet teraz ją czuła.

Myślała o Callenie. Przypuszczała, że podzielił jej los. A może fery zdecydowały się go zabić? Przeklinała w myślach ich spotkanie, bez którego to wszystko by się nie wydarzyło, a z drugiej strony pragnęła być blisko chłopaka, bo oprócz niego, i być może Piątka, nie miała tu nikogo. Tylko oni mogli znać sposób na wydostanie się z pułapki. Jej myśli podążyły też ku Isel i matce, światu, jaki zostawiła, wkraczając tutaj. Mimo wszystkich niezwykłości krainy ferów, teraz to jej przeszłość wydawała się minionym snem. Callen miał rację: otworzył jej oczy – szkoda, że na rzeczy, których wolała nie oglądać. Nieświadomość, jak się okazało, oznaczała życie, a wiedza coś gorszego niż śmierć. Z czym wiązało się spędzenie wieczności tutaj? Jaka magia mogła utrzymać ją w tym stanie?

Trzęsła się, choć nie płakała. Nigdy wiele nie płakała, a teraz, gdy miała ku temu powody, również brakło jej łez. Ogarniało ją uczucie gorsze od smutku i rozpacz – beznadzieja ciemniejsza od mroku, w jakim się pogrzyżyła, boleśnieszka od ciosów, które przyjmowała, gdy ją

prześladowano. Chciała wstać, krzyczeć, ale przerażenie było silniejsze, uciszało każdy jej zryw.

Nie wiedziała, jak długo trwała w tym stanie. Czas zresztą nie istniał. Strażnik siedział tu od zawsze, a jednocześnie usiadł dopiero przed chwilą. Zdawał się nie zwracać na nią uwagi, ale dobrze wiedziała, że śledzi każdy jej ruch. Był panem tej przestrzeni, należała tylko do niego i nawet źdźbło trawy nie mogło zatrząść się na wietrze, jeśli mu na to nie pozwolił. Skoro więc miał oczy w każdym zakątku tego niezwykłego więzienia, nie było mowy o ucieczce.

Dlaczego nie walczyła? To było do niej niepodobne. Zbyt szybko zaakceptowała ten stan. Musiała zadziałać tu magia, potwór najpewniej wsączył w nią jad, wpływając na jej zachowanie. A może wystarczyło jego ostrzeżenie, koszmar, który zesłał, i zapowiedź, że może stworzyć jeszcze wiele podobnych, jeśli dziewczyna podejmie próbę walki. Tylko czy to znaczyło, że nie powinna tego robić? Bała się powrotu wspomnień, bo przyniosły uczucia, które czekały zakurzone, by na nowo ją dręczyć.

Chciała umrzeć. Teraz pragnęła tego naprawdę, nie tak jak wcześniej, gdy rozmyślała o samobójstwie, którego pewnie i tak nie umiałaby popełnić. Przypuszczała, że tylko śmierć mogłaby ją uwolnić. Ta myśl ją torturowała, stawiała się prawdziwa jak pasożyt ożywiony jej strachem. Zdawała się wysysać z niej energię, męczyła, doprowadzając na skraj wycieńczenia. March panicznie bała się zasypiać, jednak nic nie mogła na to poradzić: im silniej walczyła z nadchodzącym snem, tym bardziej piekły ją oczy, a ręce i nogi przypominały kłody, którymi nie była już w stanie poruszyć.

Poddała się, a wtedy sen przyszedł po cichu i delikatnie, zamykając jej powieki i odłączając świadomość. Dając chwilę wytchnienia.



Całkowita czerń, żadnych dźwięków ani zapachów. Z koszmaru March wpadła w niebyt. Wiedziała, że śpi, przeżywała każdą chwilę jak niekończącą się mękę. Strażnik czekał w innej warstwie rzeczywistości, tuż nad powłoką tej; tutaj dziewczyna była samotna, choć wiedziała, że potwór czujnie ją obserwuje. Towarzyszyły jej tylko strach i rozpacz – śledziły ją, czekały na każdy przejaw pozytywnej myśli, by zniszczyć ją w zarodku.

Teraz March nie miała ciała, jej umysł rozciągał się na całą przestrzeń, ale tutaj nie była w stanie niczego kontrolować. Ścisłe ramy koszmaru, nakreślone przez jej prześladowców, nie dały się zmieniać. Odbijała się od ciemnych krawędzi snu, coraz bardziej zatracając samą siebie.

Skąd przyszła? Dawne zdarzenia odpływały w pustkę, prawda zadawała pytanie o swoją własną realność. Mnożyła się, otwierając nowe drogi, tunele bez dna.

– Usłysz mnie! – krzyczała dziewczyna. Nie miała na myśli nikogo konkretnego. Nie obchodziło jej nawet, że mógł ją usłyszeć Strażnik. Wolała zmierzyć się z jego mocą niż tkwić w pustce.

Nikt nie odpowiadał. Jedynie czerń gęstniała.

Tak minął jeden dzień, może dwa, a może tylko jedna godzina. Bezczas.



Gdy otworzyła oczy, miała wrażenie, jakby wcale ich nie zamykała, choć zmęczenie odeszło. Jej więzienie ani trochę się nie zmieniło. Strażnik ciągle czekał, aż wykona najmniejszy

ruch, który pozwoli mu wniknąć w jej umysł. Widać było, że chciał się nim bawić, lubił to. Być może fery coś mu obiecały. Jeśli mówił prawdę, twierdząc, że mógłby wchłonąć March, oznaczało to, że żywił się podobnymi jej skazańcami. Jak wielu już pokonał? Dziewczyna wlepiła uporczywe spojrzenie w jego plecy. W końcu się odwrócił, nie dając po sobie poznać, czy jej wzrok mu przeszkadzał.

– Boisz się mnie? – spytał z wyższością.

Dobrze wiedział, jaka była prawda. March nie miała zamiaru jej potwierdzać.

– Czuję do ciebie wstręt – odparła bez emocji. – Twoim zdaniem to to samo co strach?

Przez chwilę obawiała się, że ponownie jej dotknie. Nie zrobił tego, jego twarz pozostawała niewzruszona na obelgę.

– W końcu wszystko przestanie mieć dla ciebie znaczenie – oznajmił. – Wtedy będziesz moja.

– Kim właściwie jesteś? – spytała.

– Twoim przeznaczeniem.

Po tych słowach znów się odwrócił.

*Przeznaczenie.* Zastanowiła się nad sensem tego słowa. Chyba właśnie to miało ukazać rzucone przez nią zaklęcie: przeznaczenie, drogę, jaka ją czeka. Zakładając, że działało i ta część wędrówki powinna mieć jakiś sens, może miała tu trafić?

Coś jeszcze nie dawało jej spokoju. Jeśli więzienie nie było do końca rzeczywiste – a wiele na to wskazywało – to czy i Strażnik nie był tylko urojeniem? Mogło tak być... a wtedy kto właściwie miał nad kim przewagę?

*Pomyśl tylko, jak by to było* – przypomniała sobie słowa Isel – *móc zrobić w snach wszystko, czego tylko zapragniesz, być kim chcesz.* Przyszło jej do głowy, że śniła własny sen, a skoro tak właśnie było, jedyne, co musiała zrobić, to stać się jego panią.

– Miałaś rację, Isel – szepnęła.

Wtedy Strażnik gwałtownie odwrócił się w jej stronę. Znienacka złapał ją za ramię.

– Isel – powtórzył, sprawiając, że March zaatakował mrok. Szybko zaczęły migać w nim twarze, głowy oddzielone od ciał. Poruszały się w groteskowym, kolistym tańcu. Otwierały usta i mówiły wszystkie naraz. Wreszcie z jednych dobył się krzyk. Przerażliwy, nasycony bólem odgłos poruszył powietrze, stworzył nową przestrzeń, która wessała dziewczynę.

Znalazła się w ciasnym pokoju. Znała go, w poprzednim życiu na jawie była tu częstym gościem, a mimo to we śnie potrzebowała czasu, by sobie przypomnieć, czym był.

Sypialnia Isel! Gdy sobie to uświadomiła, szeroko otworzyła usta. Ze wszystkich sił chciałyby mieć nadzieję, że dotychczasowe zdarzenia od chwili, gdy opuściła dom, przyśniły się jej, bo zasłała na łóżku przyjaciółki. Ta nadzieja nie dostała szansy na pełne rozbudzenie, bo March zbyt dobrze wiedziała, że nie ma takiej możliwości. To też był sen, sen we śnie, choć przebrany za jawę.

Powiodła wzrokiem po pokoju. Był dokładnie taki, jakim go znała: szary dosłownie i w przenośni. Zwykle biurko, łóżko z nieciekawą pościelą, na ścianie plakat wokalisty, którego imienia nikt już chyba nie pamiętał, pełno starych, popsutych gratów. Isel nie przejmowała się porządkiem. Trudno było ją za to winić – mając do dyspozycji tak niewielką przestrzeń, siłą rzeczy musiała pozwolić swojemu marnemu dobytkowi walać się po kątach. W pokoju brakowało tylko lustro. March to rozumiała. Sama ich nie lubiła, bo przypominały jej o tym, kim jest, a co gorsza z niemyym uporem przekonywały, że nie zdoła tego zmienić. Teraz jednak chciała odnaleźć lustro, choćby tylko po to, by spojrzeć we własne oczy i nie zatracić siebie, nawet jeśli wcześniej nienawidziła March Sky.

Na biurku leżała niewielka puderniczka z lusterkiem w środku. Uniosła wieczko, a gdy tylko zobaczyła swe odbicie,

krzyknęła z przerażeniem.

Kręcone włosy, kilka piegów, dwa świeże wypryski na nosie, pulchne policzki. Była *nią*, była Isel!

Fala szoku całkowicie ją sparaliżowała. Chwilę trwało, nim przypomniała sobie, że to tylko kolejny koszmar. *A co, jeśli nie?* – pomyślała nagle. Co, jeśli fery zaklęciami przeniosły ją z powrotem do świata ludzi, ale zamieniły ciałem z Isel? Ta perspektywa ją przeraziła. Nie, to nie mogła być prawda, nie mogła być Isel!

Spojrzała na swoje ciało. Podłoga wydała jej się dziwnie odległa – no tak, przyjaciółka miała dobre metr siedemdziesiąt. Tylko co z tego, skoro jej brzuch... March go dotknęła... Był miękki i... był... Nie, nie chciała się nad tym zastanawiać, ale teraz, gdy już zaczęła, okropne myśli nie chciały dać jej spokoju. Uczucia Isel stały się jej uczuciami, w ciągu kilku sekund jej przeszłość wypełniły wspomnienia nienależące do niej, a mimo to tak bolesne, jakby sama ich doświadczyła. Pod ich naporem upadła na podłogę i zakryła uszy, choć przecież nie dochodziły z zewnątrz.

To były pytania, ciągle pytania: *Czy dobrze zrobiłam? Czy powinnam była to zjeść? Jest późno – skoro wytrzymałam bez obiadu, to chyba poradzę sobie i bez kolacji.* Tak głupio to brzmiało! Totalny bezsens dla kogoś, kto nie musiał się tym przejmować.

Zacisnęła pięści, hamując łzy. Boże, jak bardzo siebie nienawidziła! Darła skórę paznokciami, kopała posadzkę. Ta w lustrze była tak obrzydliwa, tak wstrętna! Chciała ją zniszczyć, dlatego kiedyś przykładła nóż do skóry, z której ciekła krew. Gdyby mogła, odcięłaby płaty ciała, pozbyłaby się tego ohydneho tłuszczu i już nigdy więcej się nie obżerała. *Świnia! Pasztet! Ohydna, żałosna szmata!*

Do kogo należały wszystkie te myśli? Do Isel – March wiedziała, że przyszły wraz z ciałem przyjaciółki. Tylko czy

i ona choć raz nie pomyślała o niej tego samego?

*Świnia? Tłusta krowa? Grubaska? To ostatnie chyba tak ci spowszedniało, że nie traktujesz go już jak obelgę, ale imię. Jeśli naprawdę to zlewasz, to jaka różnica, czy ja tak do ciebie mówię, czy oni?*

Widziała swoją twarz, twarz March, gdy wypowiadała te słowa. Była naprawdę wściekła, czerwona z wściekłości.

*Gdybyś była choć trochę mądrzejsza, tobyś wiedziała!... Tobys wiedziała!* – szumiało jej w głowie.

*Wiedziatabym* – stwierdziła. *I wiem.* A mimo to...

Co właściwie chciał jej pokazać Strażnik, w jaką pułapkę próbował ją złapać? Tak, miała poczuć się źle. To fakt, sama wykrzyczała te słowa Isel w twarz, zraniła ją, ale czy tak po prostu się nie zdarza? Czy ludzie nie ranią się nawzajem i sobie nie wybaczą? I nie, wcale nie myślała o przyjaciółce w ten sposób. Isel była piękna i powinna o tym wiedzieć. Ktoś musiał jej o tym przypominać, ale nie w ten żałosny sposób, jak wtedy, gdy ludzie mówią ci, że jesteś „piękny w środku i na zewnątrz”, co od razu zdradza ich prawdziwe myśli. Istniało inne piękno, piękno aury, i March świetnie potrafiła je teraz wyczuć. Ktoś pewnego dnia wyczuje je w Isel, czyniąc ją szczęśliwą.

– Nie jestem zła – powiedziała sama do siebie. – Nie zraniłam jej celowo. *Nie jestem zła.*

Nagły ruch wydarł ją z koszmaru. Chyba po raz pierwszy Strażnik okazał jakieś emocje. Był wściekły, rozdygotany. Nie dał March szansy na dalsze badanie wizji, bo ciężko dysząc, natychmiast rzucił ją w kolejny sen.

Tu nie było obrazów, tylko doznania. Leżała w ciemności, a wspomnienia i lęki pełzały wokół niej jak robactwo. Kim była? Nie zadała sobie tego pytania teraz; zdawało się, że towarzyszyło jej od lat, wciąż usilnie próbowała na nie odpowiedzieć, a brak jakiegokolwiek wskazówki wywoływał



przeraźliwą niemoc. Walczyła, każdego dnia walczyła, próbując odnaleźć swoją tożsamość, coś, co skradziono jej dawno temu. Pamięć o tej części tłukła się w jej głowie, krzyczała, by o sobie przypomnieć.

Ten koszmar był o wiele gorszy od wcześniejszych. March – lub ktokolwiek, kim się stała – była skrepowana, opanowała ją bezsilność. Dusił ją, walcząc z nią, a ta ścisnęła coraz mocniej. Wreszcie wizja została przerwana. Strażnik wyciągnął z niej dziewczynę niczym z brudnej studni. Przewiercając ją szaleńczym spojrzeniem, wysapał:

– Widzisz? *Widzisz?* – Z jego ust pociekła ślina. – Oto, co cię czeka, jeśli będziesz mi się opierać. Właśnie to cię czeka!

March na nowo skuliła się na trawie. Potwór wygrał. Ale odkryła coś, co go rozzłościło, coś, o czym miała nie wiedzieć. Poznała jego sposób działania – szukał słabych punktów, chciał sprawić, by zaczęła podważać samą siebie. Być może istniała szansa, by go pokonać. Ta myśl dała jej nową nadzieję.



Czas mijał. Płynął własnym rytmem, czasami zahaczał o krawędzie kolejnych godzin, by owinąć się wokół nich i wracać jak bumerang, przynosząc myśli, które nawiedzały głowę March już wcześniej. Wreszcie zaczęła skupiać się na bardziej prozaicznych sprawach. Czy będą ją tu karmić? Nie czuła głodu, ale i tak się nad tym zastanawiała. Jej fizjologia jakby przestała istnieć. Gdy patrzyła na swoje ręce, doskonale je widziała, choć zdawało się, że bardziej stanowią część wspomnienia o tym, kim była przed trafieniem tutaj. Jeśli tylko jej umysł znalazł się w więzieniu, to gdzie w tym czasie przebywało ciało?

Powędrowała myślami także do Callena i Piątka. Modliła się – choć w zasadzie nie potrafiła tego poprawnie robić – by całą trójką wyszli z tego cało i mogli się jeszcze spotkać.

Istniał sposób, by się stąd wydostać. Musiał istnieć. Nie istnieje więzienie bez klucza. Wiedziała jedno: jej zadaniem było przetrwać. Zaklęcie zostało rzucone.

Zamknęła oczy i ponownie zasnęła. Tym razem nie spoglądały na nią upiory, ale twarze z obrazu w Domu Czarownic. Widziała Irmę Malloway.

– Poprowadź mnie – poprosiła.

I choć wiedźma nic nie odpowiedziała, March czuła, że spełni jej prośbę.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

March nie czuła głodu ani pragnienia, a strach mieszał się z nudą. Niewiele się ruszała, czasem tylko przechadzała się po brudnej, szarej trawie. W ten sposób minęły jakieś dwa dni. Dziewczyna oddzielała je przypadkowo, na własny użytek. Po prostu stwierdzała, że to już czas, by zacząć odliczać godziny od nowa, i bawiła się w tę grę. Zdarzało jej się też – z czystej ciekawości – badać moc swych myśli. Przestrzeń reagowała na nie. Uporczywe rozmyślanie nad tym, co może kryć się w trawie, sprawiało, że pojawiały się w niej dziwne owady. Z kolei gdy March fiksowała wzrok na niebie, chmury zaczynały płynąć w kierunku, jaki im wskazywała.

W którymś momencie dostrzegła w górze kolory, delikatne rozbłyski, przypominające gwiazdy, choć gasnące szybciej od zapalek. Śledziła je dyskretnie, tak by potwór się nie zorientował. Czy to jej moc była przyczyną zmian w atmosferze? Bądź co bądź, była dzieckiem fera i wiedźmy, no i użyła już magii. Wiedziała też, że nie musi korzystać z narzędzi; starczył jej umysł. Zastanawiała się, czy kiedyś uda jej się magicznie zapalić na czarnym sklepieniu słońce, które rozproszy natrętny mrok.

Na niebie kłębiły się chmury, ciężkie i stare. W ogóle się nie poruszały, skazane chyba na więzienie tak samo jak ona. Nabrzmiały. Pewnie zgromadziła się w nich krew. Tym razem March odpuściła sobie próby poruszenia ich.

Błysk znów się pojawił, jasny i krótkotrwały. Z całą pewnością tam był. *Złoty jak moja magia* – pomyślała March. Szansa, że prowokowała pojawianie się światła, dodała jej

nieco otuchy, choć niewiele. Bo przecież skoro tak dużo czasu potrzebowała na wywołanie przelotnego rozbłysku, to ile lat będzie musiała tu spędzić, nim dokona czegoś naprawdę spektakularnego? Nie mogła dojść do tego sama. Potrzebowała nauczyciela, a na nikogo takiego nie miała co liczyć.

Strażnik nigdy nie spał. Nie znał nocy. Zresztą trudno było ją tu zauważyć. Czym mogła się różnić od ponurego dnia? Chyba tylko tym, że niebo stawało się jeszcze czarniejsze. Mimo to czujność potwora była wtedy uśpiona. March korzystała z tego i śledziła rozbłyski. Nie umiała powiedzieć, jak wiele czasu minęło od ich pierwszego pojawienia się do chwili, gdy zamiast znikających światełek niebo rozjaśniło coś przypominającego błyskawicę.

Mało brakło, a podskoczyłaby ze strachu. Strażnik niczego nie zauważył. Błyskawica rozdarła sklepienie na wzór rany i teraz sączyło się z niej niegasnące światło.

Wraz z nim pojawiła się obecność. March wyczuła, jak przenika przez zasłonę jej koszmaru, unosi się pod nią i ukradkowo bada przestrzeń. Potwór jej nie dostrzegł. Pozostawał obojętny, tylko ją w ten sposób ośmielając. Dziewczyna też nie dała po sobie poznać, że rozpoznała nieznajomą, pozbawioną ciała aurę.

– Czy mnie słyszysz? – odezwał się nagle czyjś głos. Był męski.

Tak, słyszała bardzo wyraźnie, zupełnie jakby przemawiał tuż obok jej ucha. Jednocześnie miała pewność, że rozległ się tylko w jej głowie, choć nie należał do niej. Mógł być kolejnym omamem, ale z całą pewnością nie stanowił części jej własnych myśli.

Strażnik siedział bez ruchu. Wciąż nie dostrzegał jasnego rozdarcia. Jeśli rozbrzmiewający głos był jego sprawką, świetnie to ukrywał. Tylko po co? To byłoby do niego niepodobne – przecież lubił się bawić, udowadniać, że ma

kontrolę. Może więc nie miał nic wspólnego z przejawiającą się obecnością?

Nagle March coś poczuła. Doznanie, podobnie jak słowa, pojawiło się naraz zarówno obok niej, jak i wewnątrz. Rezygnacja, rozczarowanie? Od razu zrozumiała, że istota próbująca się z nią skontaktować uznała, że dziewczyna nie słyszy.

Nie mogła pozwolić głosowi zamilknąć. Musiała zareagować. Nie wolno było jej mówić na głos, więc zrobiła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy: *pomyślała* słowa odpowiedzi.

– Słyszę, słyszę, słyszę! – powtarzała gorączkowo, nie poruszając przy tym ustami.

– Słyszysz? – Temu, do kogo należał głos, towarzyszyła teraz ulga.

– Tak. Nie wiem jak i dlaczego, ale słyszę. I nie tylko, bo też czuję. Kim jesteś?

– Na imię mi Alogos. A chwilowo jestem tym samym, co ty: więźniem. Pozwolę sobie na tym poprzestać, gdyż jak zapewne wiesz, tutaj nie jesteśmy tym, kim byliśmy na wolności. Stanowimy kłębki mrocznych wspomnień, lęków, obaw... żałosny pył...

Zamilkł, pozwalając swoim słowom zagnieździć się w sercu March. Każde z nich objawiało się w inny sposób. Uczucia, które miał i o których mówił, zamieniały się w jej własne doznania. Natychmiast wytworzyła się między nimi pewna nić. Mówiąc, wyciągał z wnętrza dziewczyny skojarzenia, które pozwalały jej w pełni go zrozumieć.

Poczuła w nim coś jeszcze. Może i był żałosnym pyłem, lecz miał moc, której nie sposób było zmierzyć, siłę przetrwania, jakiej nawet tysiąc Strażników Koszmarów nie umiałoby stłamsić. Skąd o tym wiedziała?

– Jak...? Co ty...? – Zaczęła zadawać pytania, które natychmiast urywała. Wreszcie zamiast nich posłała mu tylko

to, co czuła: niepewność, dezorientowanie, pragnienie, by ktoś wyjaśnił jej sytuację.

A on zrozumiał i zaczął tłumaczyć:

– Tkwę tu już od dawna. Nieważne dlaczego. Nie jestem przestępcą. Sama zresztą wiesz, że nie trzeba nim być, aby fery cię znienawidziły. Zamknęły mnie w więzieniu podobnym do twojego, nie zdając sobie sprawy z własnej głupoty i słabości. Istot takich jak ja nie można zniewolić.

– Istot takich jak ty? A więc nie jesteś człowiekiem?

Alogos prychnął.

– Nie.

– Ani ferem?

– Już ci powiedziałem: to nieistotne. Po prostu jestem, a skoro zdołałem się tu dostać, to sama powinnaś wyciągnąć wnioski. Mam ogromną magiczną moc.

Myśli March przyspieszyły. To oczywiste, że byle kto nie zdołałby przebić się przez zasłonę ferzych zaklęć. Tyle że sama nie byłaby w stanie odgadnąć tożsamości istoty.

– Jestem tu nowa – oznajmiła. – Dowiedziałam się o magii dopiero... No, kilka dni temu. Sama nie wiem, ile czasu minęło, odkąd mnie tu uwięzili.

Złocisty głos przez chwilę milczał.

– Czyżby? – spytał powoli. – Nie jesteś urodzoną wiedźmą?

– Jestem... – Zastanowiła się. – Podobno moja matka jest czarownicą, a ojciec był jednym z *nich*. Ale magii użyłam tylko raz... może dwa razy.

– To zastanawiające... – Zdawało się, że istota nie do końca jej wierzy. – Musisz zatem dysponować sporą mocą. Cóż, już sam fakt, że przebywasz tu dłużej niż dzień, a nadal nie zwariowałaś, świadczy o twej niezwykłości. Jak to robisz?

March pod żadnym pozorem nie uważała się za kogoś niezwykłego. Nie chciałyby taka być. Wolała być normalna, tak bardzo, jak to tylko możliwe.

– Nie robię niczego wielkiego – stwierdziła. – Po prostu zaczęłam myśleć. Koszmary są w mojej głowie. Jeśli wiem, że śnię, mogę je kontrolować.

– Zgadza się. Koszmary, więzienia, w jakich nas zamknęli, nie istnieją w świecie fizycznym, co wcale nie odbiera im prawdziwości, nam jednak pozwala na przejęcie kontroli. Czy Strażnik wie, że zdajesz sobie z tego sprawę?

– Chyba tak. Był wściekły, a teraz już mnie nie atakuje.

– Jesteś mądra. – Istota wypowiedziała te słowa bez większego uznania, jej ton świadczył, że mówi o rzeczy oczywistej. – W tym właśnie tkwi sekret całej magii, w umyśle. Wiesz, jak poprawnie go użyć?

By odpowiedzieć, March potrzebowała chwili.

– Wydaje mi się, że wiem. Zauważyłam, że gdy dużo myślę o blasku, w chmurach coś zaczyna świecić. Tylko przez chwilę, ale jednak. Wyobrażam sobie rzeczy, a one się dzieją.

– To się nazywa wizualizacja.

– Nie wiedziałam, że istnieje jakaś nazwa. Po prostu... to robiłam. Ale teraz wydaje mi się, że to nie działało, a blaski pojawiały się, bo ty próbowałeś się tu przedostać.

Szybko zaczęła dyskutować z przybyszem w bardzo swobodny sposób. Nie mógł być człowiekiem – nawet gdyby jej tego nie powiedział, szybko by się domyśliła. Z ludźmi nie rozmawiało się tak samo, nie czuło się ich... *wnętrza*, emocji.

– Możesz rozumieć to na różne sposoby – oznajmił Alogos. – Światło albo pochodziło ode mnie, albo sama je wytwarzałaś, lub też jedno i drugie. Przywołałaś mnie, więc odpowiedziałem... Tak, wydaje mi się, że właśnie tak było.

– Nie wzywałam nikogo, choć... W zasadzie raz zdarzyło mi się poprosić, żeby ktoś mnie usłyszał.

Niebo zajaśniało mocniej.

– Więc jestem – odrzekł spokojnie przybysz. – Najwyraźniej przywołała mnie twoja magia. Obawiam się jednak, że



w pojedynkę nie zdziałaś już nic więcej, a nawet jeśli, to zajmie ci to tak wiele czasu, że nim uda ci się stąd wyjść, w twoim świecie miną lata, wszystko się zmieni i powrócisz do rzeczywistości, której nie rozpoznasz.

– Czas tutaj płynie inaczej? – przeraziła się March.

– Nie. Przynajmniej nie do końca. Nikt nie jest w stanie manipulować czasem, lecz odrobina iluzji sprawia, że rzeczy wydają się inne. Czy znasz tradycyjne dary ferów? – March milczała, więc Alogos ciągnął: – Dar magii, dar młodości, dar snu. W Aislingen, gdy je połączysz, jesteś w stanie zakłąć ciało i umysł. To pierwsze nie starzeje się, staje w miejscu, za to drugie przyspiesza. Jeden rok mija niczym dzień, wiek jak miesiąc. To skomplikowane rzeczy, a wiedza o nich nie będzie ci na razie potrzebna, o ile uda ci się oszukać fery. Jesteś na dobrej drodze, by to zrobić, ale musisz przyspieszyć proces nauki. W co wierzysz: w przypadki czy w przeznaczenie?

Odpowiedź na to pytanie wcale nie przychodziła łatwo. Dotychczas March była bardziej skłonna do racjonalnego myślenia. Po tym, czego doświadczyła tutaj, bliżej jej było do wiary w przeznaczenie, choć na dobrą sprawę trafiła tu przypadkowo. Nie musiała w końcu spotykać ani Piątka, ani Callena, nie musiała uciekać z domu. Sama to wybrała.

– Nie wiem – stwierdziła. Była to najbezpieczniejsza odpowiedź.

– Więc powiem ci, że ostatecznie nie ma to żadnego znaczenia. Magia polega na kierowaniu przypadkami tak, by zmienić je w przeznaczenie. Powiedzmy więc, że nieprzypadkowo trafiłem tutaj, by ci pomóc. A ty w zamian pomożesz mnie.

– Ja miałabym pomóc tobie? – prychnęła.

– Słyszałaś o kluczach do koszmarów?

– Nie. A co to jest?

Po raz pierwszy Alogos się zaśmiał, krótko, ale szczerze. Od razu jednak spowaźniał.

– Klucz to coś, co pomoże ci się stąd wydostać. Wszystkie klucze znajdują się w pałacu królowej ferów, Wyrd. Umieszczono je w miejscu zwanym Biblioteką Snów. Nie przypominają tych, którymi otwiera się prawdziwe drzwi. Są raczej jak kule energii, w których zaklęto koszmary danej osoby. Rozbicie kuli uwalnia więźnia. Wyzwolić się można tylko poprzez walkę we własnej głowie. Mnie potrzebny jest ktoś, kto odnajdzie mój klucz i rozbije go, pozwalając mi naraz zmierzyć się ze wszystkimi koszmarami i otworzyć cełę.

March natychmiast doszukała się w jego słowach czegoś, co ją zastanowiło.

– Jesteś silny magicznie – powiedziała. – To dlaczego sam sobie nie poradzisz?

– Myślisz, że tego nie spróbowałem? Oczywiście, że zwyciężyłem swojego Strażnika, ale fery dodatkowo zabezpieczyły moje więzienie. Wykradły mi z pamięci część jednego ze snów, sprawiając, że nie mogę go pokonać. Gdy rozbijesz kulę, uwolnisz ten koszmar, a wtedy z pewnością sobie z nim poradzę.

– Ale w jaki sposób ja...?

Nie zdążyła dokończyć. Emocje przepływały jeszcze szybciej od myśli i Alogos natychmiast ją zrozumiał.

– To proste – odparł. – Ciebie nie wiążą dodatkowe zaklęcia. Jedyne, co musisz zrobić, to pokonać własnego Strażnika, stawiając czoło swym koszmarom.

– Jedyne! – prychnęła. – To cholernie trudne!

– Nie powinno być łatwe. – Alogos mówił z pełnym opanowaniem. – Jeśli masz być dobrą wiedźmą, musisz umieć wykonywać to, co trudne. Nie zostawię cię samej. Jesteś mi potrzebna i wierz mi, że i ty potrzebujesz mnie.

Urwał. Nagle March wyczuła jego niepokój.

– Muszę się teraz wycofać – oznajmił. – Wrócę tu i wszystko ci opowiem. Czekaj. I przygotuj się.

Nie dodając nic więcej, odszedł. Choć March nie mogła tego zobaczyć, była absolutnie pewna, że zniknął. W jednej chwili zupełnie przestała go czuć, rozpląnął się jak sen. Złocista łuna również zbladła, oddając przestrzeń we władanie mroku.



Więc March czekała. Przestała liczyć godziny i dni, które teraz, gdy spodziewała się kolejnych odwiedzin, jeszcze bardziej się jej dłużyły. Alogos nie wracał. Chwilami sądziła, że złocisty głos tak naprawdę wcale nie istniał lub, co gorsza, fery dowiedziały się o ich rozmowie. Tę ewentualność szybko jednak wykluczyła: wydawało się niemożliwe, by prześladowcy puścili jej płazem planowanie ucieczki. Jeśli chodziło o Strażnika, to gdyby nie fakt, że wciąż siedział w tym samym miejscu, zapomniałaby o jego istnieniu. Nie odwracał się w jej stronę, nie próbował wrzucić do nowych koszmarów. Powoli przestawała się go bać, choć jeszcze nie na tyle, by odważyć się na walkę.

Nie traciła nadziei, że Alogos, kimkolwiek był, powróci. Gdy niebo po raz kolejny rozjaśnił blask jego głosu, odetchnęła z ulgą.

– Jesteś! – zawołała z wyrzutem.

Nie przeprosił jej za długą nieobecność.

– Tak, jak zapowiedziałem – oznajmił tylko.

– Co się stało? Czekałam chyba z... No, nie wiem, jak długo, ale długo.

Trudno było jej się powstrzymać od robienia mu wyrzutów. Na dobrą sprawę i tak nie umiałaby go oszukać. Emocje pędziły ku niemu szybciej niż zdania, które budowała za

pomocą myśli. I tak zdumiewała ją szybkość, z jaką przywykła do tego rodzaju kontaktu.

– W moim więzieniu czas płynie inaczej – oznajmił Alogos. – Skoro ty miałaś go więcej, powiedz, czy się przygotowałaś?

– Słucham?

– Odchodząc, kazałem ci czekać i się przygotować. Zrobiłaś to? – Alogos nie zdradzał zniecierpliwienia, a mimo to jego ton sprawił, że March poczuła się głupio.

– Nie sądziłam, że mówiłeś na poważnie.

– Po co miałbym się wygłupiać?

To było dobre pytanie. Alogos nie wydawał się szczególnie skłonny do żartów.

– Tak czy inaczej, nie umiałabym się przygotować – zaprotestowała March. – Nie powiedziałaś mi, co robić.

– Czy nie było dość jasne, że chodzi o pracę nad umysłem? Słyszałaś kiedyś o ćwiczeniu go, choćby przez zwykłą medytację? Musisz nauczyć się pełnego skupienia, oddzielania prawdy od snu, a potem także rozpoznawania wszelkich stanów pomiędzy, takich jak ten. – Westchnął. – Mniejsza z tym. Będziemy pracować z tym, co masz, ufając, że twój umysł okaże się wystarczająco lotny.

March nie była pewna, czy próbował ją obrazić. Na razie nijak nie skomentowała jego słów.

– Co powinnam robić? – spytała, ze wszystkich sił próbując zachować pokorę, co było dla niej nowym doświadczeniem.

– Sprawa jest prosta. – Ledwo Alogos to powiedział, natychmiast urwał i się poprawił: – Cóż, dla ciebie pewnie nie będzie równie prosta, co dla mnie...

Gdyby nie to, że jego pomoc mogła okazać się niezbędna, March by go stąd wyrzuciła. Ostatecznie więzienie należało do niej. Poniekąd.

– W każdym razie – ciągnął – tak jak wspomniałem przedtem, chodzi o Strażnika. Znasz jego moc. Jedyne sposoby,

by z nim wygrać, to wybudzić się w koszmarze, który wsącza w twą duszę.

– Nie wierzę w duszę. – Ten komentarz jej się wymyknął.

– Guzik mnie obchodzi, w co wierzysz. Nazwij to umysłem, świadomością albo działaniem mózgu. I nie przerywaj mi.

Zbeształ ją, a ona – chyba po raz pierwszy w życiu – nie wiedziała, jak się odgryźć.

– Więc – podjął znowu – liczy się tu kontrola. Strażnik tworzy koszmary, ale obrazy, z jakich je buduje, należą do ciebie. Sama decydujesz, co z nimi zrobić. Twoim zadaniem będzie przejąć nad nimi władzę. Masz dwie opcje: po pierwsze możesz zmusić Strażnika, by cię zaatakował, a wtedy z góry zyskasz nad nim przewagę. Minus polega na tym, że w takim wypadku on natychmiast zorientuje się, że odkryłaś sposób walki, a z tego, co mówiłaś wcześniej, już coś podejrzewa.

– A jaka jest druga możliwość? – March zadała to pytanie dopiero po chwili, by tym razem nie wejść Alogosowi w słowo.

– Druga polega na tym, że będziesz musiała go sprowokować. To odbierze ci część mocy, lecz sprawi, że Strażnik nie zorientuje się w twych planach. Początkowo możesz być sparaliżowana, przytłoczona rzeczywistością snu. Ale jeśli odpowiednio się przygotujesz, obudzisz się i zwyciężysz. To bardzo ważne, by udało ci się za pierwszym razem. Szczerze mówiąc, nie dostaniesz kolejnej szansy.

Można było się tego domyślić. Przypuszczała, że walka z potworem będzie jedną z tych „na śmierć i życie”. Uświadomiło jej to, że dotąd – póki jedynie słyszała o takich starciach – wyobrażała je sobie zupełnie inaczej. Mimo wszystko była chyba szczęściarą.

– W jaki sposób mam z nim walczyć? – spytała.

– Jak już mówiłem, to koszmar i tylko przebudzenie oznacza zwycięstwo. W tym wypadku to nie atak jest najlepszą obroną.

Powinnaś być nieco jak... jak... – Alogos zawahał się, szukając dobrego porównania. – Jak marbir.

March chyba po raz pierwszy czegoś nie dosłyszała. Wydało jej się to dziwne. Jak można nie dosłyszeć myśli?

– Jak co? – spytała.

– Ach, no tak. Ty jesteś ze świata ludzi, ubożego w zwierzęta. Marbir to niewielki powietrzny wąż zamieszkujący Jaar. Gdy ktoś go zaatakuje, udaje martwego. Jego ciało flaczeje, a kiedy drapieżnik szykuje się, by je pożreć, wąż nagle się powiększa, otwiera paszczę i momentalnie zabija przeciwnika, zwykle odgryzając mu głowę.

Gdy Alogos zaczął opowiadać, March próbowała wyobrazić sobie tego węża, ale kiedy doszedł do odgryzania głów, dała sobie spokój.

– A więc mam udawać sparalizowaną, tak? – upewniła się. – Coś w ten deseń?

– Zgadza się. To na początek. Potem będziesz musiała zebrać całą swą moc i użyć jej w walce. Istotne jest, by zrobić to w przeciągu chwili, zaskakując Strażnika.

Poprawne wykonanie tych instrukcji musiało graniczyć z cudem.

– Nie bardzo wiem, jak się przygotować do tej walki – przyznała.

– Nauczę cię. W końcu po to tu przybyłem.

– Dobrze, ale...

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć. Złociste światło wybuchło, zalewając całą przestrzeń. Było jak cicha eksplozja i przez chwilę March, ogarnięta przerażeniem, sądziła, że zginęła. Wprawdzie świadomość trwała, ale wszystko zatopiło się w jaskrawym, rażącym blasku. Potem zaczęły pojawiać się kształty. Najpierw wyłoniła się zielona polana, przypominająca nieco tę, na którą March trafiła zaraz po przejściu do Aislingen, jednak w pewien sposób dziewczyna wiedziała, że to

inne miejsce. Wydawało się zdecydowanie mniej wrogie. Wokół rozciągał się las. Prowadziło ku niemu kilka usłanych kwiatami dróg, z których każda wychodziła wprost z polany.

Przestrzeń zawirowała. Podmuch wiatru uniósł March i odrzucił daleko, ku jednej ze ścieżek. Tuż przy niej w ziemię wbita była wysoka belka, na której powiewała fioletowa flaga. Stopy dziewczyny wiodły ją same, gdy weszła na ścieżkę. Wtedy wizja znów się zmieniła. Naraz wszystko spowiła czerń, a March zaatakował straszny ból, jakby coś ostrego przebiło jej brzuch. Chciała krzyczeć, ale jej słowa znów wytworzyły jedynie paletę barw, która na moment zamigotała w ciemności, po czym znikła.

*To tylko kolejny koszmar – próbowała przekonać samą siebie. Ból nie jest prawdziwy, nie jest prawdziwy...*

*Ale boli – odezwała się inna myśl. Boli jak cholera.*

Syknęła. Szukając zranionego miejsca, zdała sobie sprawę, że jej ciało rozszerzyło się do niemożliwej wielkości. Nie była w stanie natrafić dłonią na brzuch, nie mogła nawet poruszyć palcami. Impulsy ze świadomości zbyt wolno płynęły do ręki.

Stała się... wszystkim. Wszystkim, co złe. Ból rozszedł się na całe ciało. Nadchodził kolejnymi pulsującymi falami. Zwiększał natężenie. Musiała jakoś się go pozbyć. *Musiała*. Inaczej umrze...

I koniec. Wizja się urwała, a ona znów znalazła się w swoim koszmarze, obok Strażnika.

– Widzisz? – rozległ się głos Alogosa. Towarzysz zdawał się sugerować, że sam wprowadził ją w tę wizję. W pierwszym momencie nie mogła w to uwierzyć, ale już po chwili coś w niej pękło.

– To ty?! – wściekła się. – Ty to zrobiłeś?!

– Owszem. W końcu mam cię uczyć. – Jego ton nie zdradzał współczucia.

– Chcesz mnie zabić?!

– Pohamuj gniew, ucz się spokoju. Popełniłaś kilka błędów. – Nie pozwalając jej znów czynić sobie wyrzutów, zaczął objaśniać: – Po pierwsze, dałaś się podejść cierpieniu. Gdy się pojawiło, spanikowałaś i zaczęłaś szukać rany, choć powinnaś wiedzieć, że to tylko złudzenie. Po drugie: twoje myśli rozpoczęły walkę. Nic w tym dziwnego. Wątpliwości, niepewność, zastanawianie się, to wszystko ludzkie odruchy. – Zaśmiał się. – Tak, ludzkie, to dobre określenie. Właśnie one sprawiają, że czasami tak trudno wam używać magii.

March zastanawiała się, dlaczego mówił o ludziach z taką wyższością.

– W magii te rzeczy są bezużyteczne – ciągnął. – Pozwól tym myślom istnieć, ale niech... myślą się same. Nic sobie z nich nie rób. Skup się tylko na tym, co masz osiągnąć. Twoim celem nie jest walka ze złudzeniem, ale z tym, który je wytwarza. Koszmary nie istnieją, on tak. Trzeci błąd: nie starałaś się wykorzystać środków, jakie miałaś pod ręką. Byłaś wszystkim, prawda? Czułaś to. Zatem odkryłaś najprostszą drogę, by przejąć kontrolę nad koszmarem. Nawet nie przyszło ci to do głowy.

– Myślisz, że miałam dość czasu? – Wyrwałeś mnie z tego stanu równie szybko, co mnie w niego wprowadziłeś!

– Właśnie po to, by cię nie zabić. Zrozumiałaś wszystko, o czym mówiłem?

March, wciąż próbując ochłonać, powtórzyła każdy z błędów, jakie wymienił Alogos.

– Dobrze – powiedział. – To jeszcze raz.

I nie dając jej szansy na protest, ponownie wrzucił ją do koszmaru. Zaczął się dokładnie w momencie, w którym skończył się poprzedni. Znow dopadł ją ten nieprawdopodobny, wszechogarniający ból. Teraz wydawał się nawet większy niż przedtem. Nie mogła go znieść, nie mogła też w żaden sposób się uwolnić, a chyba wszystko byłoby



lepsze, nawet śmierć. Alogos wiedział, co czuła, bo szybko przerwał wizję. Gdy March się ocknęła, oddychała ciężko, jak gdyby przebiegła maraton. Przykuło to uwagę Strażnika.

– Boisz się? – Zwrócił ku niej ohydłą twarz.

Skulona March nie odpowiedziała od razu. Poprawiła włosy i podniosła się, wspierając ciało na drżących rękach.

– Nie – odparła hardo. – A ty?

Powieka monstrum zaczęła groźnie drgać. Stwór już uniósł dłoń, by złapać dziewczynę, jednak zrezygnował. *Przyjdzie czas* – uznała March. Teraz jeszcze nie była gotowa na starcie, sytuacja wydawała się beznadziejna. Ale *przyjdzie czas*, a wtedy go pokona.

Alogos wycofał się, słysząc głos Strażnika. Wrócił dopiero po kilku chwilach.

– Spodziewaj się mnie znowu – oznajmił cicho. – I ćwicz. Bądź gotowa.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Alogos odwiedził ją jeszcze kilka razy. Wciąż ćwiczyli. March drżała na samo wspomnienie bólu, jakiego przysporzył jej nauczyciel, ale ten nie zmieniał techniki. Rozumiała, że ostatecznie wyjdzie jej to na dobre. Musiała się przyzwyczaić, nauczyć. I z czasem rzeczywiście szło jej coraz lepiej. Już podczas piątego starcia zdołała zapanować nad przestrzenią na tyle, by rozświetlić mrok. Zrobiła to krzykiem. Uformowała w górze jasną pajęczynę i tym razem nie dała jej zniknąć. Rozszerzyła ją na wszystko wokół.

– Dobrze – oznajmił Alogos bez przekonania. – Choć jeszcze nie o to nam chodzi.

Rzadko ją chwalił. Na komplementy musiała poczekać aż do siódmej powtórki ćwiczenia, kiedy wreszcie zdołała przekonać siebie, że ból nie istnieje. Gdy odszedł, ogarnęła ją tak wielka ulga, że zapomniała, by dalej tworzyć własny scenariusz koszmaru. Wtedy pochłonął ją mrok i straciła przytomność.

Alogos nie dawał jej wytchnienia. Im bliżej byli celu, tym intensywniej kazał jej ćwiczyć.

Poza tym rozmawiali. Alogos czasem opowiadał jej o magii i Jaarze, ale o sobie mówił niewiele. Z czasem March stała się podejrzliwa wobec jego tajemniczości. Co takiego skrywał? I kim był? Ani razu z jego ust nie padło słowo, którym określiłby swój gatunek. Próbowwała jakoś go podejść, ale zbyt szybko wyczuwał te zamiary i po prostu ucinał dyskusje. Najwięcej rozmawiali na temat zadania, jakie jej powierzył.

– Zakładając, że stąd wyjdę... – zaczęła. Alogos natychmiast jej przerwał.

– Masz co do tego wątpliwości? – spytał ostro. – Jeśli tak, nawet nie próbuj.

– No dobra – odparła znudzonym tonem. – W takim razie...

– Nie wolno ci się zastanawiać, rozumiesz? To nie jest cholerna szkoła w świecie głupich ludzi. Tutaj za niezdany egzamin czeka cię śmierć.

Urwał, jakby chcąc, by te słowa właściwie do niej dotarły. Nie musiał aż tak się wysilać. March rozmyślała nad swoim zadaniem przez cały czas.

– Więc gdy już stąd wyjdę – podjęła znów temat – to jak trafię do pałacu królowej?

– Trafisz, tym się nie przejmuj.

– W porządku – odparła, choć w zasadzie ani trochę jej nie uspokoił. – A skąd będę wiedziała, która z kul należy do ciebie?

– Gdy będziesz już na miejscu, po prostu o mnie pomyśl. Biblioteka Snów działa w nieskomplikowany sposób, co ułatwia ferom docieranie do konkretnych koszmarów. Za pomocą samej myśli są w stanie przywołać odpowiedni klucz. I za bardzo się nie przejmuj. Skoro rzuciłaś zaklęcie, bądź pewna, że ono cię poprowadzi.

Liczyła na dalsze instrukcje, może nawet mapy, jednak Alogos mówił w taki sposób, jakby uważał, że dziewczyna wszystko już wie. Dała sobie kilka chwil do namysłu. Postanowiła wreszcie zapytać o kwestię, nad którą głowiła się już od dawna. Zaczęła bardzo ostrożnie.

– Czy... czy to możliwe, by... Kiedy już zdobędę twój klucz, to myślisz, że będę mogła pomóc jeszcze jednej osobie?

Alogos wydał się zdumiony.

– Komu? – spytał.

– Chodzi o pewnego chłopaka. Trafił tu wraz ze mną. No, właściwie to on mnie tu przyprowadził. I też jest w połowie ferem.

– To *twój* chłopak?

– Nie żartuj! – obruszyła się March. – Nie znoszę go.

– Więc dlaczego pragniesz mu pomóc?

– Chcę mu pomóc, bo... bo... – Zaczęła się gubić. – Co za pytanie! W pewnym sensie się zaprzyjaźniliśmy. Znamy się krótko, ale nie potrafiłabym go zostawić.

– Dlaczego? – Alogos faktycznie się zaciekawił. A ona nie umiała wyjaśnić mu swoich uczuć. Była zresztą zdziwiona, że nie potrafił ich pojąć. Wydawały się tak oczywiste... A może wcale takie nie były? *Zaprzyjaźniłam się z nim*. Chyba nie bardzo. Przecież znali się tak krótko, że przyjaźń wydawała się absurdalna. Tyle że okoliczności, przez które tu trafili, w jakimś sensie na zawsze ich ze sobą powiązały.

– Chcę mu pomóc, bo tak – rzuciła March. – Uda mi się czy nie?

Na dobrą sprawę oczekiwała tylko jednej odpowiedzi. Nawet gdyby Alogos zabronił jej się wtrącać w losy innych więźniów, i tak by go nie posłuchała.

– Podobno jesteś czarownicą – odrzekł. – Sama zdecyduj, czy ci się uda. Ja proszę tylko o jedną przysługę. Spełnij ją, a będziemy kwita. Potem będziesz mogła zrobić, co zechcesz.

– A jeśli fery mnie zabiją? – przeraziła się nagle. Pytanie samo wyrwało się jej z ust.

Alogos westchnął głęboko i z całą powagą stwierdził:

– Wtedy będziesz martwa. – Dał tym słowom należycie wybrzmieć w przestrzeni. Ubarwiły niebo dodatkowym, wyraźniejszym odcieniem złota. – Ale żywa zdziałasz o wiele więcej – dodał – więc postaraj się przeżyć.

– Tego właśnie było mi trzeba – odparła kwaśno. – Dzięki za pocieszenie.

Na pożegnanie jeszcze raz wrzucił ją w koszmar. Tym razem złość sprawiła, że nie tylko pokonała ból, ale w dodatku zalała niebo blaskiem własnego krzyku. I śmiechu. Zwycięstwo

przyniosło jej niewypowiedzianą ulgę. Dziwiła się, że jej powłoka fizyczna – czy raczej część umysłu, która znajdowała się w ferzym więzieniu – pozostawała niewzruszona.

– Właśnie o to chodzi. – Alogos wyraźnie się ucieszył. – Poradzisz sobie, zwłaszcza że nie masz innego wyboru. Szykuj się.



Jedyna szansa, jaką miała... Słowa Alogosa wciąż pobrzmiwały jej w głowie, a strach narastał. Chciał wydostać się na powierzchnię i całkowicie ją sparaliżować. Nie mogła mu się poddać. Przyszedł moment, w którym musiała stawić mu czoło, moment, którego nie mogła dłużej odwlekać.

Patrzyła na Strażnika, zastanawiając się, z której strony uderzyć. Wydawał jej się teraz o wiele obrzydliwszy i znacznie groźniejszy niż wcześniej. Smród emanował z niego ze zdwojoną siłą. Jak miała sobie poradzić z czymś tak ohydny?

Wyczuł jej wzrok. Powoli odwrócił się w jej stronę. Wokół przekrwionych oczu ciągnęły się nabrzmiałe żyły.

– Przyglądasz mi się – powiedział. – Czego chcesz?

Odwróciła głowę. To nie sprawiło, że zostawił ją w spokoju. Przeciwnie, zbliżył twarz do jej twarzy, a gdy przemówił, jego cuchnący oddech omal nie doprowadził jej do wymiotów.

– Szukasz zrozumienia dla swego strachu? – spytał. – Nie znajdziesz go, bo ja po prostu jestem, a na moje istnienie nie potrzeba wytłumaczenia.

– Jesteś na mojej łasce – wyszeptała nagle, sama nie do końca wiedząc dlaczego.

Na ohydnej twarzy przez krótką chwilę gościło zdumienie. Potem stwór zakrył je pogardą.

– Twojej łasce? – zadrwił. – A więc zaczęło się szaleństwo...

– To ja cię karmię – odrzekła, przy okazji uświadamiając sobie, że ma całkowitą rację. A to dawało jej przewagę. – Jestem dla ciebie wszystkim. I nie ja podlegam tobie, ale ty mnie.

Oczy Strażnika rozbłysły wściekłością. Przestał nad sobą panować. March tylko na to czekała. Zdążyła zrobić głęboki wdech, nim jego szponiasta dłoń wystrzeliła w kierunku jej gardła.

Nie szarpali się. Przynajmniej tego nie pamiętała. Łapy potwora prawdopodobnie zacisnęły się na jej szyi, czego nawet nie poczuła. Koszmar zaczął się natychmiast, odcinając jej świadomość. Był jak zanurzenie się w brudnej wodzie. March natychmiast zaczęła się topić, zatracając granicę między tym, co realne, a co nie.

*To tylko iluzja* – chciała powiedzieć, lecz gdy tylko otworzyła usta, wypełniła je gorzka, błotnista woda. W górze, bardzo, bardzo daleko, unosiło się blade światło.

Nagle przez głowę przemknęła jej jedna myśl, znienacka pojawił się obraz. Niewielki czarny wąż sunący wzdłuż kolorowych kwiatów.

*Marbir* – usłyszała głos Alogosa. Wspomnienie sprawiło, że natychmiast przypomniała sobie nie tylko, co się dzieje, ale też co mówił jej nauczyciel. Przestała walczyć, zmusiła wszystkie mięśnie do porzucenia machinalnych odruchów. Jeśli Strażnik chciał widzieć ją martwą, musiała pozwolić mu uwierzyć, że ją uśmiercił.

Zamknęła oczy, wstrzymała oddech. Poczowała, jak woda samoistnie wypływa z jej nosa, a potem znika w przestrzeni. March powędrowała myślami w stronę brzucha. Nie czuła żadnego ciepła, żadnej mocy. Ale przecież siła wciąż tam drzemała. Trzeba było tylko dać jej się obudzić.

Jeszcze kilka chwil, tylko kilka chwil...

Napięła ręce i nogi, przygotowała się. Odliczała. *Raz... dwa... trzy!* Moc skumulowała się i wybuchła, rozchodząc się po całym jej ciele, które przebiegł gwałtowny wstrząs. Podniosła się.

Nie był to wcale moment triumfu. Koszmar jeszcze się nie skończył.

Spojrzała w dół. Brudna woda, w której przed chwilą tonęła, obmywała jej stopy, na łydkach pozostawiając ciemną maź. Nie było przed nią ucieczki. Rozciągała się po horyzont, zagarnęła nawet niebo. Gdy March w nie spojrzała, runęła błotnista ulewa, powietrze wypełnił natomiast wstrętny smród. Poczowała mdłości – żołądek, z którego jeszcze przed chwilą pulsowała energia, teraz ścisnął się i skurczył, zamieniając się z miejsca mocy w najsłabszy punkt.

Chwyciła się za brzuch, próbując nie wymiotować. Nagle usłyszała głos.

– Jest tam! To ten kurdupel!

Uniosła wzrok. Billy Hopkins zmierzał już w jej kierunku, jeszcze realniejszy niż przedtem. Nie nurzał się w wodzie. Zdawało się, że szedł po niej, brud wypychał go na powierzchnię. Twarz chłopaka wykrzywiał uśmiezek.

– I co? – spytał Billy drwiącym głosem. – Jak ci się tu podoba? Dostałaś wreszcie to, na co zasłużyłaś. Śmierdzi? To ty sama śmierdzisz. Nie ma tu innego brudu niż twój własny. Umówmy się, nie byłaś świętą krową.

Gdy to powiedział, ponownie nawiedziła ją wizja płaczącej Isel. Przyjaciółka przystawiła sobie do nadgarstka ostry scyzoryk. *Jej scyzoryk!* Pokrywały go te same znaki!

– To twoja wina – szlochała Isel. – Ty mi to zrobiłaś.

Zaczęła ciąć skórę – nie powoli, ale agresywnymi ruchami. Wbijała ostrze w żyły, krzycząc ze złości i rozpacz. March, choć z ogromnymi wyrzutami sumienia, odwróciła od niej głowę.



- Już to przerabialiśmy - powiedziała. Jej słowa popłynęły w górę, gdzie światłem uderzyły w brudną wodę. Sprawilo to tylko, że cuchnący deszcz zacinał z jeszcze większą siłą, ale wizja Isel się rozproszyła.

Billy uniósł głowę. Blask na moment go przyćmił. Nagle powietrze rozdarł krzyk chłopaka, a jego twarz wykrzywiła się w bólu. W kolejnej chwili March usłyszała przerażający odgłos łamanych kości. Billy wrzeszczał wniebogłosy, gdy z jego pleców wyrosła para czarnych skrzydeł. Wpadł do wody. Klęczał w niej, pochylając głowę i ciągle jeszcze jęcząc, gdy skrzydła całkowicie się uformowały, pozostawiając wokół łopatek krwawe plamy.

Czy powinna mu pomóc? Skarciła się za tę myśl. Nie podeszła do niego, a on skierował twarz w jej stronę. I była to już twarz kogoś innego.

Fera. Nie pięknego jak te, które spotykała do tej pory, choć o równie - o ile nie bardziej - okrutnym obliczu. Jego skóra wydawała się zwęglona, wydłużone palce kończyły się ostrymi szponami. Chichotał, wzbijając się w powietrze. Znalazł się przy March tak szybko, że nie zdążyła zareagować, nim ją powalił, pazurami rozdzierając jej ramię. Krzyknęła z bólu i uderzyła plecami o kamieniste dno.

To była ostatnia walka. Wiedziała o tym. Teraz albo nigdy. Znów pozwoliła ciału znieruchomieć, liczył się tylko umysł. Wciąż mimowolnie próbowała łapać oddech, gdy ciężka łapa ścisnęła jej szyję, ale i ten odruch wyłączyła. Rana po pazurach, z której sączyła się gęsta krew, piekła niemiłosiernie, jakby żywym ogniem. March miała wrażenie, że w pewnym sensie umiera. Odganiała strach. W końcu jej fizycznemu ciału nic nie groziło. I nie zagrozi także umysłowi.

Zamykała i otwierała oczy. Twarz oprawcy wciąż się zmieniała. Raz był ferem, raz Billym, raz Strażnikiem.

Kimkolwiek się stawał, March poddała się jego mocy. Niech ją zabije tutaj, a tym samym pomoże jej obudzić się gdzie indziej.

Gdy tylko tak pomyślała, opanował ją spokój. Choć nic nie zrobiła, ucisk osłabł. Na twarzy prześladowcy – a teraz był nim już tylko Strażnik – pojawiło się zdumienie.

– Widzisz? – zaśmiała się March. – Mówiłam, że to ja tu rządę.

Wstała, strząsając go z siebie jak proch. Zebrała całą moc, a potem wrzasnęła. Był to tylko jeden okrzyk. Włożyła w niego całą energię. Niczym potężna fala zalał powietrze blaskiem, zamienił wszechrozlewającą się wodę w kałużę i objął władzę w niebie.

A potem zgasł. I wraz z nim zgasł koszmar. March, wolna i szczęśliwa jak nigdy, choć wyzuta z sił, zemdląca.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ocknęła się. Słońce raziło tak bardzo, że nawet pod jej zamkniętymi powiekami tańczyły jaskrawe barwy. Odwróciła twarz ku ziemi – cieplej, pachnącej kwiatami. Leżała tak przez kilka chwil, oddychając szybko i urywanie, krew pulsowała jej w głowie z każdym gwałtownym uderzeniem serca. Dopiero gdy tuż obok jej ucha przemknęło coś małego, podniosła się i otworzyła oczy.

Długo przyzwyczajała się do światła. Kontury rozmytych kształtów majaczyły w oddali, a kiedy wreszcie się wyostrzyły, March pomyślała, że wpadła do kolejnego koszmaru.

Niedaleko stała grupa ferów. Kolorowe skrzydła połyskiwały w blasku południa. Istoty przyglądały się jej z zaciekawieniem, nie wyczuła w ich aurach wrogości. Tak czy inaczej, przypuszczała, że atak to tylko kwestia czasu – gdy się do niej zbliżą, dostrzegą, kim jest.

Najodważniejszy z grupy ruszył w jej stronę. Jego skóra była zielona jak wczesnowiosenna trawa, skrzydła miał za to złote, pokryte aksamitnoczarnymi plamkami.

March nie wycofała się – ucieczka pogorszyłaby sytuację. Czekwała, aż fer stanie tuż obok niej. Gdy to zrobił, nie odezwał się ani słowem, za to patrzył na nią tym samym niepokojącym wzrokiem, jaki posyłały jej inne napotkane przez nią fery. Badał ją. Nie chciała, by wyczuł jej strach, więc podniosła się, wyprostowała i dumnie zadarła nos.

– Czym jesteś? – spytał przybysz.

March uniosła brwi.

– Chyba widzisz, prawda? – odparła. – Jestem... – Przemyslała to sobie. Nie całkiem dobrze, bo miała na to niewiele ponad sekundę. – Jestem czarownicą.

Fer zmrużył oczy.

– Niemożliwe, więdźmy nigdy nie zapuszczają się na te tereny. My ich nienawidzimy.

Coś w jego tonie sprawiło, że March natychmiast skojarzył się ze szkolnymi gnębiciełami. Po powrocie z koszmaru miała znacznie mniejszą tolerancję na zarozumiałców.

– Ale ja tu przyszałam, jak widzisz. Możesz być za to pewien, że nie do ciebie.

Chyba pozwalała sobie na zbyt wiele, zważywszy na liczbę potencjalnych przeciwników. Zwyciężyła Strażnika, co dodało jej siły, tylko czy nie była to siła jedynie w jej wyobraźni? Towarzysze stojącego przed nią fera zaczęli powoli się zbliżać. *Szlag*. Właściwie już była martwa. Te istoty, choć wyglądały na młode, mniej więcej w jej wieku, magią władały od dzieciństwa. Ale skoro zaczęła już brnąć...

– Odsuń się – rozkazała mu. – Mam zamiar wrócić do swojego świata.

– Ty ohydna... – Zamachnął się. W jego otwartej dłoni rozbłysła świetlista kula. March odruchowo się skuliła.

– Stój! – rozległ się donośny głos. Fery i March zwrócili twarze w kierunku, z którego dochodził. W powietrzu pędził ku nim błękitny fer, ten, któremu wcześniej towarzyszyła różowa ferini. Teraz był sam. Wylądował miękko w trawie. – Odejdźcie stąd! – zwrócił się do ciekawskich ferów. Te miały niechętne miny. – Czy mam spisać wasze imiona i powiadomić rodziców, że beczynnienie się szwendacie zamiast zająć się nauką?

March mimowolnie wytrzeszczyła oczy. Nie spodziewała się usłyszeć podobnych słów od skrzydlatego. Młode fery oddaliły się bez narzekań, a błękitny skupił uwagę na niej. Wyglądało

na to, że nie wie, co powiedzieć. Nie udało mu się ukryć zdziwienia. Otworzył usta i natychmiast je zamknął. Zrobił tak kilka razy. Wreszcie nieskładnie zapytał:

– A więc ty... zdołałaś... tak?

– Mhm... zdołałam, tak.

Tym razem hardy ton okazał się jeszcze większym błędem. Fer szarpnął jej ramię, świat zawirował i naraz March upadła na coś twardego. Znów została przeniesiona, choć tym razem nie do pałacu Khonsu.

Nie wiedziała, czym było nowe miejsce. Jego przepych raził w oczy. Na lśniącej podłodze, mieniącej się niczym tęcza, piętrzyły się góry złota i błyszczących klejnotów. Część ze zgromadzonych rzeczy nie wydawała się szczególnie cenna, choć pewnie miały swoją magiczną wartość. March rozpoznała wśród nich sprzęty, których używały wiedźmy: różdżki, kociołki, także kilka sztyletów. W tym rozgardiaszu nie sposób było pominąć najwspanialszego miejsca: w centrum pomieszczenia stało wzniesienie. Prowadziły do niego kryształowe schody. Na szczycie stał jasnioletowy tron. Widząc zasiadającą na nim istotę, March szeroko otworzyła usta.

Nie musiała pytać, kim była postać na tronie. Gdyby sama miała wyobrazić sobie królową ferów, nie byłaby w stanie nadać jej nawet w połowie tak pięknego wyglądu. Istota miała niezwykle jasną skórę, niemal zupełnie białą, przez co każdy najdrobniejszy szczegół odznaczał się w jej fizjonomii. Wielkie oczy mieniły się różnymi kolorami, pełne usta były wściekle czerwone. Długie, białe włosy opadały aż do stóp władczyni, a skrzydła... Były niesamowite. Królowa miała ich aż dwie pary: potężnych, motylich, purpurowych, silnych. Patrząc na nie, March poczuła zazdrość. Po raz pierwszy pomyślała, że jako dziecko latających istot też powinna mieć skrzydła, choćby malutkie.

– Ukłęknij! – rozkazał błękitny.

Nie zrobiła tego. Pewnie w innych okolicznościach – gdyby nie doprowadzono jej tu przymusem – kolana same by się jej ugięły przed pięknym ferini. Ale teraz nie pozwalała jej na to duma. Fer próbował zmusić ją do pochylenia się. Królowa go powstrzymała.

– March Sky... – przemówiła głosem, który był zarazem eteryczny, jak i pełen mocy. Przyglądała się więźniarce bez mrugnięcia powieką. Ta z trudem wytrzymywała jej spojrzenie, jednak nie odwróciła wzroku. – March Sky... – powtórzyła władczyni, jakby tylko po to, by kontemplować brzmienie tego imienia.

– To ja, zgadza się. Czego ode mnie chcesz?

– Okaż szacunek! – warknął fer.

Królowa zachowała spokój.

– Odejdź, Lei – poleciła. Błękitny nawet przez chwilę nie protestował. Skinął tylko głową i rozplynął się w powietrzu. March i władczyni zostały same. – Przybyszko ze świata ludzi – ferini zwróciła się do niej – chciałabym powiedzieć, że witam cię w mych progach, lecz jak zapewne się spodziewasz, nie jesteś tu mile widzianym gościem.

– Wcale nie chciałam tu przychodzić – odparła gniewnie. – Ile czasu przetrzymywaliście mnie w więzieniu?!

– Niedługo. – Ton królowej pozostawał łagodny.

– Ile? – powtórzyła March przez zaciśnięte zęby.

– W pewnym sensie wciąż jesteś moim więźniem – przypomniała jej władczyni. – Nie ja powinnam odpowiadać na twoje pytania, lecz ty na moje... Wiem, to nie twoja wina, że się tu znalazłaś. Zwiódł cię Callen Malloway. Nie jesteś pierwszą osobą, którą chciał wykorzystać.

March zmarszczyła czoło.

– C-co? – wyjąkała.

Na twarzy królowej zagościł lekki uśmiech.

– Jesteś mądra, lecz młoda; silna, choć naiwna. Ten chłopak utracił swą magiczną moc w dniu, w którym go wygnaliśmy. Nie każdego okładamy tak potężnymi klątwami. Zwykle dajemy drugą szansę szturmującym naszą krainę.

– Nie szturmowałam jej! – zaprotestowała March. Jej uniesiony głos przetoczył się echem po sali.

Władczyni nie przejęła się tym wybuchem.

– Aislingen to nasza największa świętość – oznajmiła. – Ktokolwiek nieproszony postawi stopę na tej ziemi, jest traktowany jak wróg. Może ci się to wydać niesprawiedliwe. Cóż, nie odpowiadam za cudze myśli i postawy. Musisz jednak wiedzieć, że nasz świat jest mały, przez co wciąż czujemy na karku oddech nieprzyjaciół, jesteśmy stale zagrożeni i tylko potężna magia trzyma z dala tych, którzy pragną nas podbić.

– Przecież nie przybyłam tu, żeby z wami walczyć – odparła March z większym opanowaniem. – Jakim cudem miałabym to zrobić?

– Cudem swej magii, March Sky – odrzekła Wyrd. – Skąd możemy wiedzieć, jaką siłą dysponują przychodzące tu istoty? Magii nie mierzy się liczbą jej użytkowników, ale zdolnościami jednostki. Twoje... Cóż, przyznaję, że mnie zdumiały. Pokonałaś Strażnika, uciekłaś ze swego więzienia i teraz stoisz tu przede mną, a ja wcale nie czuję twego strachu. Nie boisz się mnie?

To pytanie nie brzmiało jak groźba. March zaczęła się wahać. Bała się królowej, to jasne, że się jej bała. Domyślała się, że mimo aury delikatności i młodzieńczości Wyrd jest wiekowa i okrutna.

– Ja... – Urwała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Nagle do jej uszu dotarł znajomy dźwięk: odgłos lepkich łapek stąpających po posadzce. Spomiędzy leżących skarbów wyłonił się czarny kot.

– Piątek, co ty...



Kot przyspieszył i wskoczył na kolana władczyni, po czym wygodnie się na nich usadowił.

– Znasz go? – Królowa zaczęła gładzić jego głowę.

March zacisnęła pięści. Nie miała żadnych wątpliwości, że to jej znajomy, ale ostatecznie skłamała.

– Nie. Pomyliłam się.

Piątek zamruczał, gdy dłoń Wyrd przesunęła się po jego grzbiecie. March nabrała ochoty, by dopaść do tronu, zrzucić kota z jej kolan i cisnąć nim o ścianę. Był zdrajcą. Teraz stało się absolutnie jasne, że to on wydał ich ferom wtedy, gdy tak nagle zniknął po przejściu do Aislingen. Musiał znać sposób, by się z nimi skontaktować.

– O co chodzi? – spytała władczyni, bez problemu wyczuwając jej wątpliwości.

– O nic – odparła szybko.

Jeszcze przez kilka chwil królowa głaskała kota, po czym zwróciła się znów do March.

– Nie tolerujemy ludzi. Wiesz o tym. Mamy swoje powody, których nie chcę ci tłumaczyć, gdyż wiem, że nie zechcesz mi uwierzyć. Nie miej nas jednak za okrutne plemię, mszczące się na całej waszej rasie. Prawda jest taka, że współpracujemy z waszą Społecznością, a także z innymi ferami, oczywiście w granicach uprzejmej neutralności. Gdy przypadkowo trafiają do nas przybysze z waszego świata, odsyłamy ich. Ci, którzy pragną wykraść naszą moc, zostają ukarani, nie zawsze więzieniem podobnym temu, w którym ty się znalazłaś. Wierzymy w dawanie solidnych nauczek. Dopiero przy próbie walki niszczymy. Ale...

Królowa urwała. Jej oczy rozbłysły nowymi barwami.

– Umiemy również docenić tych, którzy noszą w sobie prawdziwą moc. To błogosławieństwo. A ty udowodniłaś, że jesteś urodzoną wiedźmą. Nie wyrzekniemy się faktu, że krąży w tobie nasza krew. Jednocześnie nie wierzymy, że samo twoje

pochodzenie sprawia, że zasługujesz, by nazywać się jedną z nas. Jeśli chronimy swoje interesy, to tylko dlatego, że pragniemy utrzymać bezpieczeństwo i jedność wewnątrz naszego świętego plemienia.

Znów odczekała kilka chwil.

– Tym, którzy okażą swą wartość, jesteście w stanie coś zaoferować – oznajmiła. – Fery w Elphame są o wiele bardziej chętne, by uczyć młode wiedźmy. To one zawarły dawno temu pakt z ludzkością, pozwalając wam zachować magię wiecznego Jaaru. Jestem w stanie odesłać cię do ich krainy. Niech mają z ciebie pożytek.

– A jeśli nie chcę tam pójść? – spytała March.

– Nie chcesz? – podchwyciła władczyni. Doskonale zdawała sobie sprawę, że dziewczynie zależało na poznaniu magii. – Właśnie! – zaśmiała się, gdy ta nic nie odpowiedziała. – A więc, jak mówię, odeślę cię do kraju elphamskich ferów, lecz najpierw przyuczymy cię magii tutaj. Niech wiedzą, że w Aislingen uczciwie traktujemy tych, którym życie dali nasi bracia i siostry.

– Miałabym wam zaufać? – prychnęła March.

– A czy masz inny wybór? – Głos Wyrd zabrzmiał teraz nazbyt słodko. Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Piątek przeciągnął się i zamruczał. March miała wrażenie, że ukrywał swoją zdolność mówienia, by podsłuchiwać. Dlaczego? Przecież fery powinny wiedzieć, że mówił. Tamten błękitny go słyszał...

Królowa uniosła dłoń. Wykonała w powietrzu zamaszysty gest, sprawiając, że między tronem a March pojawiła się gęsta mgła. Dziewczyna odsunęła się, sądząc, że Wyrd oszukała ją i próbowała rzucić jakieś zaklęcie. Ale gdy mgła opadła, nie wydarzyło się nic niepokojącego. W sali pojawił się za to długi stół, na który March patrzyła z mieszaniną szoku i fascynacji. Był suto zastawiony potrawami, jakich nigdy dotąd nie

widziała. Owoce miały różne kolory i kształty, mięso i pieczywo pachniały słodkimi przyprawami. Na stole znalazło się też kilka dzbanów wypełnionych spienionym płynem. Obok stały srebrne i złote kielichy.

– Jedz i pij. – Królowa zaprosiła ją gestem. – Posmakuj darów naszej krainy.

March nie podchodziła do stołu. Zapachy wydały jej się zbyt mamiące, nie ufała im. Wyrd utkwiała w niej oczekujące spojrzenie. Wyczuła, o co chodzi, więc zdjęła z kolan śpiącego kota, wstała z tronu i majestatycznym krokiem podeszła do stołu. Nie spuszczać wzroku z gościa, napełniła srebrny kielich czerwonym płynem i zaczęła pić.

– Honor – oznajmiła, ponownie siadając. – Fery nie oszukują. Możesz mi ufać.

March wstrzymywała się jeszcze przez jakiś czas. O ile w celi nie czuła głodu, o tyle teraz dopadł ją tak potężny, że nie potrafiła dłużej się powstrzymać. Gdy wykonała krok w stronę stołu, nie było już odwrotu. Zapach jedzenia osaczył ją i oczarował. Musiała walczyć z chęcią, by nie zacząć kosztować wszystkich potraw naraz. Zachowując ogładę, sięgnęła najpierw po napój, ten sam, którym raczyła się królowa.

– To wino? – spytała.

– Martwi cię to?

– W moim świecie nie... No... Hm...

Powąchała trunek. To wystarczyło. Bezwolnie upiła łyk, który natychmiast zamienił się w kolejny i w jeszcze jeden. Odłożyła kielich dopiero, gdy opróżniła jego zawartość. Tak się jej przynajmniej zdawało, bo gdy wylądował na stole, dostrzegła, że samoistnie napełnił się na nowo.

– W *moim* świecie panują inne zasady – oznajmiła władczyni. Jej wzrok stał się hipnotyczny. Coś zmusiło March, by

spojrzała w jej piękną twarz. Kiedy już to zrobiła, nie potrafiła się uwolnić od jej czaru.

Naraz ogarnęła ją senność. Upadła, nie uderzając o twardą podłogę – zamiast tego wylądowała na czymś miękkim.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Obudziła się w wygodnym łóżu. Tonęła w lśniącej pościeli, a wokół unosił się przyjemny, świeży zapach. Słońce wciąż świeciło mocno, ale nie drażniło jej oczu. Rozejrzała się. Ktoś przeniósł ją do wielkiego, jasnego pokoju. Przez szereg okien, osłoniętych jedynie cienkimi, podrygującymi na lekkim wietrze firanami, do środka zaglądało czyste niebo. Wszystko tu było tak inne niż w więzieniu, jak tylko można to sobie wyobrazić. To z kolei sprawiło, że March na poważnie zaczęła się zastanawiać, czy nie trafiła z koszmaru do snu, który mógł być równie niebezpieczny.

Wstała. Wciąż miała na sobie ubranie, w którym wyruszyła. Ciężkie buty uderzyły o twardą posadzkę.

– Raz, dwa, trzy – powiedziała wyraźnie, by sprawdzić, co stanie się z jej głosem. Nie zamienił się w barwy. To chyba nie był sen, ale przecież w koszmarze zwykle też się nie zmieniał.

Podeszła do okna. Widok za nim poraził ją pięknem. Dookoła budynku, w którym była, roztaczał się zielony ogród. Nad barwnymi kwiatami wysokimi niczym wielkie domy latały fery. Ich skrzydła mieniły się w słońcu, ciała niektórych były zupełnie nagie, co March przyjęła raczej z zachwytem kogoś przyglądającego się sztuce niż z szokiem. Wyżej, na tle jasnofioletowego nieba, latały potężne pszczoły i motyle. Te drugie miały chyba rozmiary słoni. Patrząc na nie, zaczęła się bać, jednak wyglądało na to, że żyły z mieszkańcami tego miejsca w pokoju. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że część z nich była osiodłana.

Dalej wznosił się masywny pałac. Miał barwę stonowanego fioletu. Spiczaste wieże sięgały nisko zawieszonych chmur. Do pałacu wiodło kilka ścieżek wyłożonych srebrnymi kamieniami. Fery wędrowały po nich tam i z powrotem. Niektóre rzucały ciekawskie spojrzenia obserwującej ich z okna dziewczynie. Pokazywały ją sobie palcami. Wtedy March się speszyła i natychmiast zasłoniła firanę.

Jej oddech przyspieszył. W tym pięknie kryło się coś przerażającego, wiedziała o tym. Nie mogła dać się zwieść. Znalazła się w sercu wrogiej krainy, zupełnie sama wśród istot, które jeszcze kilka godzin temu chciały, by postradała zmysły. Zaczęła nerwowo przechadzać się po komnacie. Przystanęła dopiero, gdy omal nie wpadła na niewysoki stół. Był wyłożony magicznymi narzędziami. Uklękła, by je zbadać.

Przedmioty przypominały te z Domu Czarownic, ale tu było ich więcej i rozłożono je w pewnym porządku. Na środku leżał dysk ozdobiony pentagramem. Natychmiast skojarzył jej się z głupkowatymi filmami o czarownicach. Obok niego stały dwie świece, niebieska i czerwona. Na ołtarzu – bo chyba tym był stół – znajdowało się też kilka długich drewnianych różdżek, każda zakończona ozdobnym kamieniem, i różne sztylety.

*Jak one się nazywały?* – próbowała sobie przypomnieć. – *Jakoś na A... Aname, alame?*

Mniejsza z tym. Dość, że każdy z nich w porównaniu z jej scyzorykiem stanowił małe dzieło sztuki. Rękojeści były rzeźbione, srebrne ostrza lśniły. Chyba jeszcze nikt ich nie używał. March zawiesiła rękę nad ołtarzem, chcąc sięgnąć z niego któreś z narzędzi. Zrezygnowała z tego zamiaru, w obawie, że mogły zostać zaklęte.

Powiodła wzrokiem po pozostałych magicznych przyborach. Na lewo od dysku stały spory kielich, kociołek i coś, co

wyglądało na kadzielnicę. Na szczęście nie rozpalono w niej ognia. Bóg raczy wiedzieć, co fery mogły spalać.

Wyprostowała się, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Nie takie, jak w świecie ludzi – rozległ się tylko jeden, donośny dźwięk. Osoba stojąca na zewnątrz nie czekała na zaproszenie. Drzwi się otwały i do pomieszczenia weszła wysoka ferini. W pierwszej chwili wydała się March czymś w rodzaju ducha. Jej skóra była bladobłękitna, ledwie odznaczała się od powłóczystej białej sukni. Czarne, zaczesane do tyłu włosy lśniły, jakby pokrywały je kryształki.

Ferini spojrzała na dziewczynę, choć jej wzrok wydał się tak obcy, że równie dobrze można by stwierdzić, że wcale jej nie dostrzegła.

– Witaj w Domu Gości – przemówiła głębokim głosem. Zdawało się, jakby zupełnie nie dochodził z jej gardła.

– Gdzie? – odparła March.

– To miejsce dla naszych ludzkich przyjaciół – oznajmiła ferini, posyłając jej dalej to samo mętne spojrzenie. – Jeszcze dziś odwiedzi cię biegły w magii fer, by wprowadzić cię w tajniki naszych nauk. Musisz odpowiednio się przygotować, dlatego też dostałaś strawę. – Nieznacznym ruchem głowy wskazała na stół.

– Kto i kiedy tu przyjdzie? – spytała March, nie przejmując się głodem.

Ferini lekko się uśmiechnęła.

– Przekonasz się – odparła, po czym odwróciła się w stronę drzwi. Nie szła w ich kierunku, a raczej popłynęła, unosząc się lekko nad ziemią. – Gdybyś pragnęła się ze mną skontaktować, wypowiedz moje imię. Ilya.

Ostatnie słowo zadźwięczało niczym wygrane na niewidzialnym instrumencie.

March nie zdumiałaby się, gdyby Ilya przeniknęła przez drzwi, jednak ferini otworzyła je z powrotem i delikatnie je za



sobą zamknąwszy, pozostawiła dziewczynę w stanie przypominającym coś z pogranicza zdumienia i oczarowania. Dopiero coraz wyraźniejszy, nęcący zapach kazał March odwrócić się ku stołowi.

*Nie* – powiedziała sobie. Nie będzie niczego jadła. Poprzedni posiłek sprawił, że natychmiast zasnęła. Jedzenie musiało być zaklęte. Nie wolno było jej dać się zwieść, nie tylko ze względu na samą siebie. Musiała odwdzińczyć się Alogosowi. No i uratować Callena. Znajdowała się tak blisko pałacu, rozmawiała z samą królową, więc kto wie, czy nie zostanie ponownie tam zaproszona. Jak najszybciej będzie musiała znaleźć Bibliotekę Snów.



Czekała ze zniecierpliwieniem. Musiała uważać, by fer, który miał przybyć, nie zorientował się, jak bardzo ciekawiła ją nauka magii. Zastanawiała się, jak wiele czasu będzie potrzebować, by nauczyć się teleportacji. Sądziła, że gdy już uda się jej poznać technikę przenoszenia się z miejsca w miejsce, z łatwością odnajdzie Bibliotekę.

Na wszelki wypadek nie opuszczała pokoju, mimo ogromnej chęci, by trochę porozglądać się po Domu Gości. Leżała na łóżku i wciąż wpatrywała się w drzwi, sądząc, że to przez nie wejdzie fer. Jej podejrzenia okazały się nietrafione, bo gdy ktoś wreszcie zawołał ją po imieniu, głos wcale nie dochodził zza drzwi, ale spoza budynku.

– March Sky! Jestem za oknem!

Zdumiona podniosła się z łóżka, po czym zaczęła zaglądać w każde z okien po kolei. Wołająca ją postać zaczęła się śmiać. Przestała dopiero, gdy dziewczyna dotarła do właściwego okna i stanęła tuż przed unoszącym się za nim ferem.

Zdumiał ją jego widok. Na dobrą sprawę istota nie różniła się szczególnie od ludzi. Jej skóra miała brązowy odcień, skrzydła były kasztanowe, a włosy czarne. Fer ubrany był jedynie w złocistą przepaskę, do której doczepiona była drobna sakwa, ramiona miał nagie, a stopy bose. Sądząc po wyglądzie, March nie dałaby mu więcej niż siedemnastu lat, choć pewnie obejmowały go czary.

– Jestem Hypnos – odezwał się.

Jego oczy błyszcząły, kojarzyły się March nieco z oczami Callena, choć zdecydowanie nie były równie smutne.

– Wysłano mnie, bym uczył cię magii.

Coś mu odpowiedziała, tyle że sama w sumie nie wiedziała co. Chyba po prostu się przedstawiła. Było w jego spojrzeniu coś, co... No właśnie, nazywał się Hypnos, już to wydało jej się podejrzane.

– Mogę wfrunąć? – zapytał. Mówił dość szybko, nie krępował się ani trochę, zupełnie jakby March wcale nie była dla niego obca.

– Chyba... no... możesz – odparła. Gdyby w porę nie ugryzła się w język, dodałaby jeszcze, że i tak nie jest w stanie mu niczego zabronić. W końcu to nie jej dom.

Hypnos zatrzymał się przed ołtarzem.

– Aach – westchnął radośnie. – Widzę, że już obdarowano cię magicznymi narzędziami.

– Obdarowano? – March spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie znosiła siebie za sposób, w jaki zaczęła się właśnie zachowywać.

Fer zamaszystym ruchem wskazał stół.

– Ach, no tak – zreflektowała się. – Ale to nie moje. Już tu leżało.

– Oczywiście, że są twoje – zaśmiał się. – Królowa zawsze obdarowuje ludzi czymś pięknym.

*O ile akurat nie przetrzymuje ich w więzieniu* – pomyślała March. Zdumienie na powrót ustępowało podejrzliwości, co było dobrym znakiem.

Hypnos dostrzegł pozostawione przy łóżku jedzenie.

– Nie byłaś głodna? – zaciekawiał się.

– Nie.

Podfrunął do stolika.

– Mogę? – spytał, wyciągając dłoń po spore, okrągłe ciastko.

March wzruszyła ramionami.

– Tak sędzę.

Po chwili oprócz ciastka z tacy zniknęły jeszcze spora pajda chleba i kilka niewielkich owoców. Hypnos wypił też dwa pełne kielichy wina. I w żaden sposób to na niego nie podziałało. Nie tylko nie zapadł w sen, ale w dodatku wydawał się absolutnie trzeźwy. Gdy skończył jeść, wrócił do ołtarza i usiadł przy nim ze skrzyżowanymi nogami.

– Zechcesz do mnie dołączyć? – spytał.

March niepewnie ruszyła w jego stronę. Przyjęła pozycję podobną do jego.

– Chciałbym zacząć od razu – oznajmił fer. – Królowa mówiła, że jesteś urodzoną wiedźmą, nieoszlifowanym talentem, co nie dziwi, biorąc pod uwagę fakt, że płynie w tobie nasza krew. Dzieci ferów często ujawniają silne magiczne zdolności, więc nie jesteś w tym wypadku szczególna.

– Doskonale – odparła.

– Słucham? – zdumiał się Hypnos. Pewnie sądził, że ją zawiedzie, mówiąc, że mimo magicznych zdolności nie było w niej nic niezwykłego.

– Przejdźmy do rzeczy – poprosiła, nie siląc się na miły ton.

Fer zapatrzył się na nią, po czym nieco zdezorientowany odwrócił się znów ku ołtarzowi.

– Więc, o czym ja... Ach, tak – otrzeźwiał. – Mieliśmy porozmawiać o narzędziach. W takim razie... – Wodził ręką nad stolikiem i w końcu złapał jeden ze sztyletów. – No tak. Czarownice znają cztery podstawowe narzędzia. Wiesz, dlaczego akurat cztery?

Dał jej chwilę do namysłu.

– Bo to pewnie jakaś magiczna liczba – stwierdziła dość obojętnie.

– Hm... Tak, choć w zasadzie każda liczba jest magiczna. W przypadku narzędzi chodzi o cztery żywioły. Znasz je?

Uniosła brwi. Za kogo on ją miał?

– Ogień, woda, ziemia i powietrze – odparła.

– Tak, ale nie w tej kolejności – oznajmił Hypnos.

– To ma znaczenie?

– W magii owszem. – Przejechał dłonią po ostrzu. – Pierwszym żywiołem jest powietrze. Stanowi załączek każdego zaklęcia, używasz go, wypowiadając słowa mocy. Słowa czarownicy mają tworzyć przyszłość, dlatego narzędziem powietrza jest athame, symbol woli. – Wyciągnął coś ze swojej sakwy. – Podobno chciałyś to odzyskać – powiedział, wręczając jej jakiś przedmiot.

March zdumiała się, widząc swój scyzoryk. Nie mogła uwierzyć, że fery postanowiły jej go zwrócić.

– Co prawda nie przypomina zwyczajnego sztyletu, ale jeśli w twoich rękach działa, nie ma sprawy – stwierdził Hypnos.

Trzymając ostrze, March czuła się o wiele pewniej. W końcu to przy jego pomocy rzuciła pierwsze czary.

– Kolejnym żywiołem jest ogień – ciągnął fer, zdejmując z ołtarza różdżkę. – To on nadaje zaklęciu mocy, bez niego nie zdołasz ożywić czarów. Tak jak więdzmy powietrzne są kimś, kogo wy nazywacie intelektualistami, tak czarownice ogniste dysponują potężną energią i świetnie sprawdzają się w walce. Sądzę, że ty należysz do tych drugich.

March nie była pewna, czy przyjąć te słowa jako komplement. Zwykle jej bojowe nastawienie uważano za skazę.

– Czyli moc czarownicy wiąże się z jednym z żywiołów? – zaciekała się.

– Dokładnie, jesteś pojętna. – Hypnos starał się być miły, co wcale jej się nie podobało.

– Chyba nie trzeba być wielką myślicielką, żeby na to wpaść – zauważyła.

W odpowiedzi fer tylko wzruszył ramionami.

– Z mocą wiążą się też kolory magii - ciągnął. – Rzucałaś już zaklęcia, więc powinnaś wiedzieć, jaki kolor ma twoja magia.

– Złocisty – wyznała od razu. Przy okazji pomyślała też o Alogosie. Jego siła wydawała się o wiele większa, ale również złota. – A twój?

– Ja jestem seledynowy – zaśmiał się fer. – To znaczy, że moja magia działa najlepiej przy użyciu kolejnego żywiołu, czyli wody. – Odstawił różdżkę i wziął z ołtarza kielich. Zapatrzył się w niego. Jego oczy błyszczały, odbijając kryształ. – Nie wszyscy cieszą się, gdy zostają obdarowani tą mocą. Woda jest pasywna i najlepiej sprawdza się w przypadku osób, które chcą wróżyć i leczyć, a także zgłębiać tajniki ludzkiego wnętrza. W walce nie jest więc przydatna, ale bez niej twoje czary nigdy nie zyskają płynności. No i woda ze spokojnej rzeki może stać się wzburzonym oceanem. Trzeba tylko umiejętnie nią pokierować.

Mówił o tym ze szczególnym uczuciem.

– Ostatnim żywiołem jest ziemia. To tu czary stają się prawdą, kwitną. Czarownice, których moc opiera się na ziemi, to zwykle te, o których czytasz w ludzkich bajkach. Mieszkają w samotnych chatkach i uprawiają ogródek. Oczywiście to uproszczenie.

March od razu stanął przed oczami obraz staruchy z *Jasia i Małgosi*. W tej baśni nie było chyba ani krzty prawdy, choć kto wie. Zastanawiała się, jaką wiedźmą była Irma. Pewnie silną, ale też mądrą, może łączyła w sobie ogień i powietrze?

– Narzędzia – mówił dalej Hypnos – to nic więcej jak przedmioty. Dzięki praktyce magicznej napełnią się twoją mocą, a gdy już osiągniesz wyżyny swych możliwości, przestaniesz ich potrzebować.

– Może wcale nie chcę osiągać wyżyn swych możliwości? – odrzekła obojętnie March.

Hypnos zrobił wielkie oczy.

– A po cóż innego być wiedźmą?

Dziewczyna nie miała zamiaru dłużej silić się na bycie neutralną. Już i tak za dużo tu znosiła.

– Zastanówmy się – westchnęła. – Trafiłam tu w wyniku intrygi, a twoi kumple zamknęli mnie w cholernym więzieniu ze śmierdzącym dupkiem, i pewnie ciągle bym tam siedziała, gdybym nie nauczyła się z nim walczyć. Teraz za to proponujecie mi naukę magii i jak gdyby nigdy nic udajecie przyjaciół.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – zauważył Hypnos bez zbędnej krępacji.

– Więc czego chcecie?

Fer wydał się zbity z tropu.

– Jeśli chodzi o mnie, spełniam po prostu rozkaz królowej. Coś ci obiecała, okazałaś się godna poznania części naszych sekretów. To one stanowią powód, dla którego jesteśmy tak zazdrośni o magię. Może... – Zastanowił się. – Może gdybym coś ci pokazał, lepiej byś zrozumiała, dlaczego tak bronimy swej krainy przed napływem obcych?

Wiele myśli przefrunęło przez głowę March. Nie pozostawało jej nic innego jak zgodzić się na propozycję fera. Im więcej

zobaczy, tym lepiej pozna Aislingen i może uda jej się trafić do Biblioteki Snów.

– Co chcesz mi pokazać? – zapytała.

– Nasze święte miejsce – odparł Hypnos. – Ale byśmy mogli tam pójść, musisz podać mi dłoń.

– O nie – jęknęła. – Mam się teleportować? Nie znoszę tego. Fer znów się roześmiał.

– Nie – zapewnił ją. – Tym razem polecimy. – Zamachał skrzydłami.

March od razu zaczęła węszyć w tym podstęp.

– Żebyś mógł mnie zrzucić z wysokości, tak? – prychnęła. – W takim razie podziękuję.

Zdawało się, że uraziła go tymi słowami.

– Nie chcę cię zabijać – obruszył się. – Zresztą naprawdę uważasz, że gdybyśmy chcieli twojej śmierci, to ciągle byś żyła?

– Grozisz mi?! – Zerwała się z podłogi. Ścisnęła scyzoryk, gotowa do walki wręcz, co pewnie by się nie sprawdziło w przypadku magicznej istoty. Jej reakcja z całą pewnością była przesadzona, ale nie mogła nic na to poradzić.

Hypnos również wstał.

– Nie boję się ciebie – oznajmił. Badał ją przenikliwym spojrzeniem, zaglądał głęboko pod powierzchnię. Dotarło do niej, co mówił na temat wody i zdolności czytania uczuć innych; właśnie to robił. – Owszem, twój gniew mógłby okazać się wspaniałą bronią, ale wciąż jeszcze nie potrafisz go odpowiednio ukierunkować. Sama się tego nie nauczysz.

Patrzyli na siebie przez kilka chwil. Wreszcie March uznała, że pora zrezygnować z dumy. *Poza tym mam poznać ich sekrety* – powtórzyła w myślach.

– Więc chodźmy. – Wyciągnęła rękę w kierunku fera. Był to jedyny akt kontroli, na jaki mogła się zdecydować. Hypnos ujął jej dłoń bardzo delikatnie i poprowadził w stronę okna.

Gdy stanęli na parapecie, od razu zakręciło jej się w głowie. Zastanawiała się, czy będzie umiała udawać spokojną. Na razie skupiała się na tym, by nie krzyknąć, gdy już rzucą się w przestrzeń.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Hypnos po prostu wystawił stopę na zewnątrz i zdawało się, że stąpał po powietrzu. Uśmiechnął się do March, która ostrożnie i z narastającym lękiem ruszyła za nim.

To było najdziwniejsze uczucie, jakiego doświadczyła. Jednocześnie miała wrażenie, że idzie po czymś solidnym, a jednak przestrzeń wydawała się lekka, delikatniejsza od puchu. Dlaczego March nie spadała? Fer mógł latać, ale teoretycznie na nią powinna działać grawitacja, a wcale tak się nie działo.

– O co chodzi? – zaciekawiał się Hypnos, widząc jej zdumienie.

– O nic – odparła, ale zaraz się poprawiła: – O wszystko. Dlaczego ziemia mnie nie przyciąga?

– Prawa magii różnią się od praw twojego świata. Po prostu objąłem cię swoją aurą. Nie czujesz tego?

– Jakoś się na tym nie skupiłam – oznajmiła z przekąsem.

– Wszystko w swoim czasie – uznał Hypnos.

Ruszyli przed siebie. Fer machał delikatnie skrzydłami i powoli zataczał koła w przestrzeni, dzięki czemu March mogła podziwiać świat w dole. Dostrzegła, że kamienna ścieżka łączy ze sobą kilka wysokich budynków, wszystkich bardzo podobnych, o fioletowych ścianach wyciosanych jakby w kryształ. Dom Gości miał kilka pięter, a okna we wszystkich zasłonięte były podobnymi firanami. Czy i tam mieszkali jacyś ludzie?

Nagle jej serce zabiło mocniej. Może właśnie taki budynek zajmowała kiedyś jej matka? Albo matka Callena? Myśl o tym, że fery umieściły ją w takim miejscu, napełniła ją strachem,



właściwie nawet obrzydzeniem. To wszystko mogło być piękne, ale przerażająco piękne. Zdradziecko piękne.

Fery zwracały na nią uwagę. Była jedynym człowiekiem w powietrzu i nawet patrząc w dół, widziała tylko skrzydlatych, przez co czuła się wyobcowana jeszcze bardziej niż w świecie ludzi, gdzie wyróżniał ją zaledwie niski wzrost. Tutaj wciąż musiała mierzyć się z podejrzliwymi spojrzeniami. Nie należała do tego świata, wiedziała, że nikt jej tu nie chce.

Gdy wylądowali przed wysokim budynkiem, poczuła oczekiwaną ulgę.

– Nie chcę tego powtarzać – stwierdziła.

– Nie podobało ci się? – spytał Hypnos bez przekonania. Pewnie sądził, że wszyscy ludzie marzą o lataniu. Może i tak było, gdy włamywał się do ich snów. Ale March wcale nie chodziło o unoszenie się, ale o fery, których wzrok wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że podróże w przestworzach powinny być zarezerwowane tylko dla nich.

– Nie – skłamała. – Wolę się trzymać solidnej ziemi.

– Dobrze, w takim razie chodź. Nie obiecuję, że w miejscu, do którego cię zaprowadzę, będzie bardzo ziemiście, ale nie będziesz musiała latać. Choć twój duch pewnie będzie się unosił.

– Mój duch? – podchwyciła. – Niby w jakim sensie?

– Przenośnym – odparł fer.

– Oby. A właściwie co to za miejsce?

Stali przed sporym budynkiem wykonanym z tego samego materiału co pozostałe. Kształtem przypominał trochę jajo – jajo złożone przez gigantycznego ptaka. Nie było tu żadnych drzwi ani okien.

– To świątynia – oznajmił Hypnos, na co March uniosła brwi. Widziała już różne święte budowle, ale żadna nie wyglądała nawet w połowie tak dziwnie jak ta.

– Ale jak tam wejdziemy? – zastanawiała się. – Drzwi są po drugiej stronie?

Fer potrząsnął głową.

– Przejście znajduje się pod ziemią – odparł. – Za mną.

Ruszył ku niskim schodkom prowadzącym do ciemnego wejścia. March szła ostrożnie, wciąż obawiając się tego, co może ją spotkać. Na chwilę pograżyli się w zupełnym mroku, który potem rozświetlił się delikatnym fioletem. Gdy tylko przestąpili próg świątyni, atmosfera napełniła się ciepłem i spokojem.

– Wow – March nie potrafiła ukryć zachwytu. Świątynia była wielka i wspaniała. Ściany wyglądały, jak gdyby spływały po nich jasnofioletowe strumienie. W powietrzu unosiły się spore przedmioty w kształcie piramid. Każdy z nich świecił własnym blaskiem. Tuż nad głową March wznosiła się żółta piramida, naprzeciw niej, przy odległej części ściany, ognistym żarem płonęła czerwona. Piramida na prawo od dziewczyny przypominała błękitne niebo zamknięte w trójkątnym więzieniu. Ostatnia z nich, na lewo od March, kojarzyła się z głęboką morską tonią – była ciemnozielona.

Na środku obracał się okrągły ołtarz. Lśnił czystym, białym światłem, które utrudniało zobaczenie pozostawionych na nim przedmiotów. U sufitu kłębiło się coś, co przypominało gęstą, jasną mgłę. Instynktownie March wiedziała, że to właśnie stamtąd emanuje ta tajemnicza, przyjemna energia.

– Wytłumaczę ci kolory – oznajmił Hypnos. – Sama świątynia jest fioletowa, co kojarzy się ze światem ducha, a także planem, na jakim częściowo znajduje się nasza kraina. Nazywamy go astralnym. Świątynia ma kształt jaja, bo zgodnie z naszymi wierzeniami cały świat wykuł się niczym ptak lub wąż. Oba te zwierzęta są dla ferów święte. Jeśli wszystko zostało stworzone w ten sposób, to znaczy, że i my możemy podobnie tworzyć nowe rzeczy.

– Nawet jeśli to nieprawda – zauważyła March. Było jej trochę głupio, że nie potrafiła w takim miejscu pohamować racjonalnego myślenia.

Hypnos zamrugał.

– Słucham?

Machnęła ręką.

– Nieważne. Chodziło mi tylko o to, że... No, świat powstał w wyniku Wybuchu.

Nie sądziła, że fer zrozumie. Myliła się.

– Znamy ludzkie teorie o świecie i uważamy je za opowieści równie piękne co nasze – oznajmił. – Być może wasz Wybuch jest mniej romantyczny i bardziej prawdziwy w sensie materialnym, ale tutaj liczą się symbole. Nie muszę wierzyć w ogromne jajo. Ba, ja wcale w nie nie wierzę. Ale moi przodkowie nadali mu znaczenie i dzięki temu znaczeniu działa magia.

March wzruszyła ramionami. Sposób, w jaki o magii wyrażał się Hypnos, sprawiał, że mogłaby uznać czary za naukę ścisłą.

– A pozostałe kolory? – spytała.

– Błękit nieba to czyste powietrze, płomień to naturalnie ogień, barwą wody jest zieleń, a ziemia kojarzy się nam z żółtym piaskiem.

– W porządku... a to u góry? – Wskazała palcem zgromadzone u sufitu energie.

– To pozostałości uprawianej tu magii. Każdy rytuał wzbudza moc, którą normalnie powinno się rozproszyć, ale tutaj, gdzie ta energia przynależy, można zostawić jej część, by potem użyć jej w innych czarach. I po to, by ułatwić życie istotom zamieszkującym święty przybytek.

March rozejrzała się raz jeszcze, bardzo dokładnie badając każdy zakątek świątyni. Bała się, że za pierwszym razem pominęła jakieś ważne szczegóły, ale nikogo tu nie było.

– Jakim istotom? – spytała więc.

Hypnos wydawał się zadowolony, że udało mu się ją czymś zaskoczyć.

– Część z nich jest niewidzialna – powiedział. – Ale nie wszystkie.

Podfrunął ku błękitnej piramidzie. Dopiero teraz March dostrzegła, że umieszczono w niej niewielkie drzwiczki. Fer uchylił je i wyciągnął ze środka spory słoje. Po wylądowaniu postawił go na podłodze, by mogła przyjrzeć się jego zawartości. Najpierw sądziła, że w środku znajduje się po prostu mgła, może fragment szarego nieba o poranku. Pewnie fery mogłyby skraść jego część i zamknąć tu do własnych celów. Po chwili dostrzegła w słoju niemal przezroczystą istotę. Wyglądała jak miniaturowa dziewczynka. Miała długie włosy, które rozwiewał silny wiatr panoszący się w słoju. Jej ręce i nogi wydawały się niestałe, wciąż zmieniały kształty, to stapiając się z tłem, to się od niego oddzielając. Otwierała usta do krzyku.

– Co to jest? – przeraziła się March.

– To sylf, żywiołek powietrza.

– Ona krzyczy? Uwięziliście ją?

Hypnos pokręcił głową.

– Nie. To znaczy w pewnym sensie jest uwięziona, ale raczej jej to nie przeszkadza. Mimo że przypomina człowieka, nie ma ludzkich uczuć. Właściwie wcale ich nie ma. Uczucia to domena wody, a sylfy są w całości stworzone tylko z powietrza. Każdy żywiołek wiąże się z inną z czterech świętych mocy. Słoje jest zaklęty, więc w środku ta istota ma niezmierną przestrzeń do latania, czyli robienia tego, na czym zna się najlepiej.

Mimo zapewnień Hypnosa March współczuła zamkniętej w słoju istocie. Wydawała się tak ludzka...

Fer odfrunął ze słojem, po czym otworzył drzwi w kolejnej, ognistej piramidzie. Przyniósł ze sobą następny słoje. Leciał

szybko, a gdy postawił go na podłodze, pomachał rękami, jakby szkło go poparzyło. March zajrzała do środka. W słoju panoszyły się płomienie, a między nimi przemykały małe, przypominające jaszczurki istoty. Ich oczy żarzyły się niczym węgle, a ciała gasły, pozostawiając po sobie ciemne ślady, i na nowo się zapalały.

– To salamandry – wytłumaczył Hypnos. – Nazwano je tak dlatego, że przypominają jaszczurki. A może to jaszczurki nazwano z powodu podobieństwa do salamander... To bez znaczenia. Jak się zapewne domyślasz, to żywiołaki ognia. Pomagają w magii, ale trzeba być z nimi bardzo ostrożnym. Na wolności mają tendencje do wywoływania pożarów.

Być może to z powodu swoich związków z wodą Hypnos nie chciał długo zajmować się tymi istotami. Odleciał, by włożyć je z powrotem do ognistej piramidy.

Wrócił z czymś, co przypominało akwarium – dokładnie takie, w jakim trzyma się złote rybki. Ale zamiast rybek w środku była istota z długimi, błoniastymi łapkami, głową przypominającą żabią i z długim rybim ogonem. Jej wielkie oczy, choć osadzone na zwierzęcym pyszczku, wydawały się rozumne. Patrząc w nie, March miała wrażenie, że postać chce jej coś powiedzieć. W pewnym momencie dziewczyna poczuła ból w okolicy serca. Wiedziała, że to tylko emocja, ale był tak silny, że niemal fizyczny. Nagle Hypnos zabrał akwarium.

– Nie! – zaprotestowała. – Musisz ją wypuścić, słyszysz?! Ona chce wyjść!

Rzuciła się za ferem, gotowa wyrwać mu akwarium z rąk, ale on zdążył już wzbić się w powietrze.

– Rozumiem – powiedział spokojnie, gdy odstawił je na miejsce i wrócił na ziemię. – Poczułaś coś, to normalne.

– Jasne, że poczułam. Ona cierpi!

– Nie, to nie ona cierpi. Undyny, żywiołaki wody, mają zdolność wzbudzania emocji... w nas. – Utkwił w niej łagodnie,

choć wyraźnie smutne spojrzenie. – Uczucia należały do ciebie. Co cię trapi, March Sky?

– Nie twój interes – warknęła.

Chciała, żeby dał jej spokój. Na szczęście nie naciskał. Podfrunął do ostatniej piramidy, z której wyjął donicę z ziemią. Tkwił w niej malutki, suchy pień. Gdy Hypnos położył na nim palec, cienkie gałązki objęły go powolnym ruchem.

– Gnom – oznajmił. – Żywiołek ziemi. Prawie wcale się nie ruszają, lubią zagracone miejsca, oczywiście w pobliżu kamieni, piasku lub ciepłej gleby. W magii bywają zupełnie bezużyteczne. Mogłabyś je nazwać leniwymi, gdyby nie fakt, że nie mają zdolności do odczuwania chęci lub jej braku. Po prostu są, trwają. Tego właśnie może nauczyć się od nich wiedźma. Taki powinien być umysł tego, kto rzuca czary: niezmacony.

Brzmiał podobnie do Alogosa.

– Na dziś to tyle – oznajmił.

– Co? – March nie kryła zawodu. Nie zobaczyła nawet głównego ołtarza.

– Chciałem tylko, byś poczuła atmosferę świętego miejsca, zaznajomiła się z nim. Jutro rzucimy pierwsze czary.

– Ale...

– Wybacz, to wszystko.

Hypnos lekko się uklonił, a jego głos brzmiał bardzo stanowczo. March nie protestowała, gdy wyprowadził ją ze świątyni. Myślała tylko o tym, że właśnie tak działały fery: postanowiły jej coś dać, ale bardzo szybko mogły to odebrać. I pod żadnym, *żadnym* pozorem nie wolno było im ufać.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nocą obudził ją ból. Jej ramię pulsowało. W półśnie przejechała po nim dłonią i wyczuła trzy długie bruzdy. Ohydna twarz Strażnika wróciła do niej tak żywa, jakby znów się nad nią pochylał, znów chciał wedrzeć się w jej umysł. Oprzytomniała, usiadła na łóżku.

Coś było nie tak, cholernie nie tak. Skoro walczyli tylko w jej głowie, to jakim cudem ślady pojawiły się także na ciele? I dlaczego za dnia rana jej nie bolała, a teraz piekła tak, jakby była całkiem świeża?

W pokoju panował półmrok. Firany w oknach były zaciągnięte, ale i tak prześwitywało przez nie rozgwieżdżone niebo. March odsłoniła jedną z nich. Świetlisty widok, który za nią czekał, pozwolił jej na moment zapomnieć o bólu.

To nie było po prostu nocne niebo. To był kosmos. Fiolet, granat i złote, płonące gwiazdy tworzyły mozaikę zapierających dech w piersiach barw. Przestrzeń poruszała się, płynęła w przestworzach galaktyki. Drogi Mlecznej? Chyba tak właśnie wyglądała, o ile March dobrze pamiętała zdjęcia, które podsuwała im pani Drew. Nawet na nich kosmos nęcił, ale tu był na wyciągnięcie ręki. Aislingen przemierzało go, odwiedzając być może setki snów.

– Callen – wyszeptała March. – Callen.

Chciała go przywołać, chciała, by znów nawiedził ją w świecie astralnym. Przypuszczała, że jej się to nie uda, ale wciąż wierzyła. To on pierwszy pokazał jej ten widok i w samotności nocy tęskniła za chłopakiem bardziej niż za dnia. Musi się pospieszyć. Musi go uratować. Inaczej ta



podróż faktycznie okaże się bez sensu, a zakłęcie Irmy nigdy się nie wypełni.

Długo przyglądała się zakłętemu niebu. Wreszcie poczuła zmęczenie i wróciła do łóżka, gdzie ból na nowo dał o sobie znać. Zamknęła oczy, starając się odpłynąć ku snom i o nim nie myśleć. Pod powiekami pojawiły się obrazy, jakie wsączył w nią Strażnik. Długo musiała sobie powtarzać, że to tylko koszmary i nic z jego strony już jej nie grozi, by w końcu zasnąć.



Naciskała wciąż kolejne klamki. Towarzyszyła jej niezaspokojona ciekawość, gdy przechadzała się korytarzami Domu Czarownic. Zza każdych drzwi wyglądała jednak tylko ciemność, sekrety wiedźm spowijał nieprzenikniony mrok. Wreszcie dotarła do pokoju, który już dobrze знаła. Może choć tu zdoła coś zobaczyć.

Nie wiedzieć czemu tym razem zwlekała z pociągnięciem klamki, zupełnie jakby za drzwiami kryło się coś, co jednocześnie pragnęła zobaczyć, ale również się tego obawiała. Czuła się jak mała, zaintrygowana dziewczynka próbująca wtargnąć do świata dorosłych. Gdy wreszcie uchyliła drzwi, przez niewielką szparę dostrzegła, że pokój jest oświetlony.

– Wejdz – zachęcił ją głos ze środka. Był ciepły, choć stanowczy. Nie mogła nie posłuchać.

Gdy tylko przekroczyła próg, uderzyło ją to, jak niewiele rzeczy zmieniło się w pomieszczeniu, odkąd była tu po raz pierwszy (czy może raczej jak rzeczy wyglądały, zanim pojawiła się w Domu Czarownic, bo wszystko wskazywało na to, że teraz odwiedziła przeszłość). Podłogę pokrywał kwiecisty dywan, łóżko pozostawało takie samo, choć pościel była

wygnieciona. Jedynie portret przedstawiający kobietę z mężczyzną zniknął ze ściany. Za to teraz ta właśnie kobieta siedziała w fotelu, kołysząc się i uśmiechając do gościa.

– Irma – wyszeptała zaskoczona March. Jej słowa niczym świetlista mgiełka uniosły się i powędrowały ku oknu, gdzie wytworzyły smugę.

Kobieta wyglądała, jakby wprost wyjęto ją z obrazu. Miała nawet tę samą suknię i rękawice. Mimo młodzieńczej twarzy jej bystre oczy zdawały się należeć do kogoś starszego, kto nażył się już dość, by zdobyć wiedzę, którą można się dzielić.

– Usiądź. – Wskazała March łóżko. Ta zapadła się w pościeli i spojrzała na kobietę.

Nagle usta, czoło i policzki Irmy zaczęły się zmieniać. Popękały, pokryte siecią głębokich zmarszczek. Włosy z blond zmieniły się w siwe, ale fryzura pozostała ta sama. Podobnie oczy, utkwione wprost w March. I bez zbędnych tłumaczeń ani wprowadzeń stara czarownica zaczęła opowiadać, a to, co mówiła, brzmiało jak mądrość płynąca z niewyczerpywalnego źródła.

– Istnieją dwie *ty*, ale tylko jedna z nich jest prawdziwa. Musisz o tym wiedzieć. Pierwsza *ty* żyje wśród ludzi i zachowuje się jak oni, robi wszystko to, czego ją nauczono, czasami nawet buntuje się przeciw tym rzeczom, lecz wciąż pozostaje tylko tą, którą wyuczono, którą stworzono. Podszywa się pod ciebie, do tego stopnia potrafi się z tobą zjednoczyć, że zaczynasz nazywać ją *ja*. Ale ona jest zaledwie maską. Trzeba ją nosić, jest ważna i potrzebna, jednak wiatry życia pchają ją w różne strony i czasem zaczynasz tracić nad nią kontrolę. Nie wolno ci do tego dopuścić, rozumiesz?

March pokiwała głową, choć tak naprawdę nie była pewna, czy rozumie. Sądziła, że tak. Przynajmniej w jakimś stopniu.

– Poza tym jest ta druga *ty*, ta prawdziwsza – ciągnęła Irma.  
– Ta, która czasem drzemie, ale kiedy się budzi, wszystko

rozumie, podejmuje właściwe decyzje. To z niej płynie twoja moc. Co śmieszne, czasami wydaje się odległa, odleglejsza niż ta pierwsza, ale gdybyś zdjęła wszystkie warstwy ubrań, ciała, przeszłych dni, dotarłabyś do niej i zrozumiała, że tylko ona jedna była tam przez cały czas. I zawsze będzie. Niedługo będziesz musiała ją chronić, by ona mogła ochronić ciebie. Rozumiesz?

To ponownie zadane pytanie wydało się szczególnie ważne.

– Ja... – zaczęła March.

– Tak, rozumiesz – powiedziała Irma. – *Ona* rozumie. Nauczy cię. Bądź gotowa. Rusz po swoje złoto.

Te słowa zabrzmiały znajomo. March próbowała je sobie przypomnieć, gdy nagle z odległego pomieszczenia – z pokoju czarownic – popłynęły słowa zaklęcia. To ona sama je wypowiadała.

*Rozwiej pył, zdmuchnij kurz  
Stare prawa się odnowią  
Oczyść szlak, pokaż znak  
Niechaj bramy się otworzą*

*Sto odłamków lustro ma  
Księżyc w każdym twarz odbija  
Klucz jest w drzwiach, przekręć go  
Zapomnienia czar przemija*

*Długo szłam, wytchnąć daj  
Gdy odpocznę, w drogę ruszę  
Cel jest złotem, które lśni  
Znajdę je, a potem wrócę*

Zaklęcie odbijało się echem w jej umyśle, każde ze słów wybrzmiewało jakby w tym samym momencie, zlewając się

w jeden długi dźwięk. Muzyka rezonowała w głowie March, aż sen się skończył. Potem dziewczyna nic z niego nie pamiętała.



Kolejnego dnia obudziła się podekscytowana. Wreszcie miała zobaczyć magię, prawdziwą. Zastanawiała się, jak to będzie wyglądać. To, że użyła czarów już dwa razy, jeśli nie liczyć walki ze Strażnikiem, nie miało większego znaczenia. W zasadzie tworząc portal, a potem przechodząc przez niego, była zbyt oszołomiona, żeby zwrócić uwagę na samo działanie mocy, a gdy spaliła kawałek drewna na polanie, stało się to tak szybko, że nie miała szansy niczego zobaczyć.

W zasadzie była zła na siebie o ten entuzjazm. Powinna przecież nienawidzić wszystkiego, co wiązało się z ferami. Tyle że magia ją pociągała, zupełnie jakby odezwał się w niej tajemniczy zew. *Krew ferów* – przypomniała sobie słowa Callena. Może to było jej powołanie czy coś w tym stylu? Właściwie nie dało się tego wytłumaczyć. Najważniejsze było jednak to, do czego miały jej się przydać czary. Liczyła, że Hypnos pokaże jej, jak używać energii, i że potem będzie mogła wykorzystać tę wiedzę do ocalenia Alogosa i Callena. Jak i kiedy? O tym na razie bała się myśleć.

Prawie nie tknęła śniadania przyniesionego przez Ilyę. Opiekunka Domu Gości zdawała się ignorować to, że dziewczyna zostawiła zarówno obiad, jak i większość kolacji z poprzedniego dnia, zupełnie jakby sprawy doczesne ani trochę nie zajmowały ferini. March ciągle bała się jedzenia skrzydlatych. Każdy kęs brała powoli i w dużych odstępach czasu.

Był jeszcze chłodny ranek, gdy popędziła do świątyni, gdzie czekał już na nią Hypnos. Ledwo przekroczyła jej próg,

ponownie doświadczyła tej nieziemskiej ciszy. W powietrzu wciąż krążyła ciepła, przyjemna energia.

– Jestem! – wydyszała March, burząc świętą atmosferę. – Zaczynamy?

Zależało jej na pośpiechu głównie ze względu na Alogosa i Callena. Miała nadzieję, że Hypnos nie zna sposobu, by odkryć jej zamiary.

– Nie tak prędko – przystopował ją. – Wiem, że tamten chłopak wrzucił cię na głęboką wodę, widzisz jednak, do czego to doprowadziło.

March skrzywiła się na te słowa. Nabrała ochoty, by wygarnąć mu to i owo, ale nie dał jej dojść do głosu.

– W magii lepiej robić rzeczy stopniowo – ciągnął. – Zwykle na samym początku trzeba ustalić żywioł, który najlepiej działa w przypadku konkretnej wiedźmy. Jeśli chodzi o ciebie, wiemy już, że jest nim ogień, co oznacza, że musimy być tym ostrożniejsi.

Zmarszczyła czoło. Chciała zapytać o powody tej ostrożności, ale chyba umiała je sobie wyobrazić. Tak czy inaczej, Hypnos dodał:

– Zdarzały się przypadki samozapłonu ognistych wiedźm.

March wytrzeszczyła oczy.

– Naprawdę? – wydusiła.

– Oczywiście. Związek z danym żywiołem może doprowadzić do pewnego rodzaju zlania się z nim, a to nic dobrego. Człowiek, tak samo jak fer i zdecydowana większość istot, nie przynależy tylko do jednej ze świętych sił. Musi je równoważyć. Jeśli wiedźma niechcący zmieni się w wiatr lub rozleje jak woda, można jej pomóc. Podobnie gdy zacznie stapiać się z ziemią, bo proces skamieniania jest bardzo długi. Ale gdy buchną z ciebie płomienie, szok i ból mogą sprawić, że sobie z tym nie poradzisz. Bardzo niewiele czarownic uratowało się po rozpoczęciu procesu spalania.

Urwał, widząc minę March.

– Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział szybko.

– Za późno – wycedziła.

Wyraźnie go to zmartwiło.

– Nie obawiaj się – odparł. – Podobne rzeczy zdarzają się niezwykle rzadko. – Rozejrzał się. – Od czego mieliśmy... Ach tak. – Podeszedł do głównego ołtarza i zapalił kadzidło. Po chwili w świątyni unosił się już słodkawy zapach.

Wróciwszy do March, Hypnos powiedział:

– Chciałbym, żebyś na początek nawiązała kontakt z magią zamieszkującą twoje ciało.

– Już to robiłam – wymknęło się jej. – To znaczy... No tak, Callen mi to pokazał.

Na dobrą sprawę nie było sensu w robieniu z tego tajemnicy.

– Pamiętasz, gdzie znajduje się twój środek energetyczny? – spytał fer.

– W brzuchu. – March kolistym ruchem zaznaczyła miejsce, w którym czuła największą moc.

– W takim razie usiądź i spróbuj nawiązać z nim kontakt.

W odpowiedzi posłała Hypnosowi spojrzenie, w którym zdumienie mieszało się z zażenowaniem. Miała nawiązać kontakt z własnym brzuchem?

– Nie rozumiem – przyznała.

– Powiedziałaś, że chłopak powiedział ci, jak to zrobić – odrzekł fer.

– Nie było czasu na przygotowania. Po prostu to zrobiłam, żeby wiedzieć jak.

– Jak co?

– Jak skopać wam tyłki.

Hypnos w ogóle nie przejął się tymi słowami.

– Chyba ci nie wyszło – zauważył.

March zmrużyła oczy. Zastanawiała się, czy to tylko droczenie się, czy już kłótnia.

– Nic straconego – zapewniła.

– Dobrze. – Fer klasnął w dłonie. – Koniec żartów. Pora na magię. Usiądź, tak jak prosiłem, i zamknij oczy.

Trochę się ociągała, jednak spełniła polecenie. Gdy tylko przestała widzieć świątynię, zaczęła o wiele mocniej ją *czuć*, czuć na sposoby, jakich nie znały normalne zmysły. W powietrzu unosiły się miliardy drgających cząsteczek magii, które March zgłębiała teraz swoją aurą.

– Jesteś dobra w rozpoznawaniu magicznej energii – oznajmił Hypnos. – Wiesz dlaczego?

– Hmmm – mruknęła w odpowiedzi, co nie miało znaczyć ani „tak”, ani „nie”. Domyślała się, ale nie miała pewności co do odpowiedzi. „Jestem półferinią” wydało się zbyt banalnym wytłumaczeniem.

– Bo jesteś półferinią, ferianą – odezwał się znów Hypnos. – Magia płynie w naszych żyłach. Jeśli chodzi o ludzi, zyskują oni dostęp do naszego świata poprzez połączenie swej krwi z krwią ferów. To z twoich rodziców, które jest człowiekiem, niemal na pewno uprawia czary. To matka czy ojciec?

– Matka – odparła, na moment tracąc kontakt z energią świątyni. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wcale nie jest pewna odpowiedzi na pytanie Hypnosa. Callen mówił o jej rodzicach z dziwną pewnością, a ona mu uwierzyła i wcale nie podważyła jego słów, może dlatego, że zbyt była zajęta walką z faktem istnienia magii. A przecież powinna była dociękać głębiej. Może Callen tylko *zdawał się* wiedzieć więcej od niej, a tak naprawdę wszystko zgadywał. Dlaczego? Żałowała, że podczas krótkiej rozmowy z Wyrd nie zapytała o swoją przeszłość. Ale czy królowa cokolwiek by jej powiedziała? Jeśli wiedziała, kim faktycznie była Emma Sky, czy ją adoptowała, czy gdzieś znalazła, to zapewne wolałaby zatrzymać prawdę dla siebie.

– Spróbuj nawiązać kontakt ze swym ciałem – mówił Hypnos. – Odnajdź ukrytą w nim magię.

March oddaliła się myślami od matki. Nie było to łatwe, bo za każdym razem, gdy przed oczami stawała jej twarz Emmy Sky, czuła wyrzuty sumienia. Ale przecież w tej chwili nie mogła nic poradzić na to, jak potoczyły się sprawy.

Skupiła się znów na energii. Wyczucie siły przyszło jej z łatwością. Przyjemne ciepło rozchodziło się po całym ciele, lecz wciąż najmocniej emanowało z brzucha. Impulsy wędrowały stamtąd do klatki piersiowej, ud, potem sięgały kończyn i wreszcie uderzały do głowy, wprawiając dziewczynę w nastrój, którego nie umiała nazwać, ale wiedziała, że to coś pozytywnego.

– Daj się energii rozchodzić po ciele. Nie wykorzystuj swej własnej. W przestrzeni jest jej wystarczająco dużo. Pobieraj ją z oddechem.

Głos Hypnosa stał się lekki i wyjątkowo niski. March głęboko wciągnęła powietrze w płuca, ale zamiast kolejnej fali przyjemnego ciepła poczuła ból.

– Au! – Syknęła. Doznanie było zbyt silne; piekący dreszcz przebiegł przez jej ramię.

– O co chodzi? – zaniepokoił się fer.

– O nic – skłamała, wiedząc dobrze, że jej nie uwierzy.

– Coś poszło nie tak. Powiedz co. Lepiej każdy problem rozwiązać od razu.

– To wina waszego Strażnika – odparła niechętnie. – Zranił mnie podczas walki.

– I ślad stał się fizyczny? – Hypnos wysoko uniósł brwi. Jego zdumienie zaniepokoiło March.

– A nie powinien taki być? Też się nad tym zastanawiałam, ale może magia tak po prostu działa?

Fer zrobił nietęgą minę.



– Cóż, zranienie miało miejsce we śnie, więc teoretycznie... – Namyślił się. – Mogę je zobaczyć?

March, która wiedziała, że wymagałoby to od niej zdjęcia bluzy, natychmiast zaprotestowała.

– Gdybym ją obejrzał, byłoby mi łatwiej ocenić, jak cię wyleczyć. Pamiętaj, że moim żywiołem jest woda. Znam się na używaniu energii uzdrawiającej.

Westchnęła. Nie chciała tego robić, ale rozsądek podpowiadał jej, że ktoś powinien zobaczyć ranę. Jeszcze przez kilka chwil walczyła z wątpliwościami, aż wreszcie zdjęła bluzkę tylko w połowie, odsłaniając jedno ramię. Czuła się nieświeżo. Nie wiedziała, ile czasu tu spędziła, w tym samym ubraniu, w którym przybyła, co dodatkowo zawstydzało ją przed ferem. Pomijała to, że nie lubiła swojego chudego ciała i nie znosiła, gdy ktoś je oglądał, nawet lekarz.

Hypnos podszedł do sprawy delikatnie. Skupił całą uwagę na bliźnie. Gdy jej dotknął, oboje syknęli. March poczuła ten sam ból, co przed chwilą, i zdawało się, że blizna poraziła również fera.

– Dziwne – stwierdził. – Nie sądziłem, że Strażnik Koszmarów może uszkodzić kogoś w podobny sposób.

– Czyli nie możesz mi pomóc?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Spróbuję.

Uniósł ręce nad jej ramieniem. Wy płynęła z nich seledynowa energia, skrząca się dodatkowym srebrzystym blaskiem. March poczuła ciepło rozlewające się po ciele, jednak gdy energia dotarła do samej rany, ból tylko się wzmógł.

– Nie – powiedziała. – To boli.

Hypnos odsunął się, a ona poprawiła bluzę.

– Więc co mam robić dalej? – spytała. – Wyczuć magię, tak?

– Spróbuj jeszcze raz. A gdy pojawi się ból, ignoruj go tak długo, jak tylko będziesz w stanie. Może sam zniknie.

*Może sam zniknie* – powtórzyła w myślach. Wiedziała już na pewno, że fery jej nie pomogą. Czym była ta rana? Skoro nawet Hypnos nie wiedział, jak jej zaradzić, to czy Strażnik użył magii, z jaką nie dało się walczyć? W nocy blizna mniej ją przeraziła. Teraz March zaczęła się bać, że będzie ją nosić do końca życia.

– Poczuj znów magię – powiedział fer. – Najpierw tę wokół, a potem siłę ukrytą we własnym ciele.

Zamknęła oczy, starając się oddalić wszelkie niepotrzebne myśli. Od razu zajęła się mocą w brzuchu. Gdy tam dotarła, najpierw czuła przyjazną energię, ale już po kilku chwilach przyplęnęła nagle, niezrozumiała złość. Nim March zdążyła otworzyć oczy, gniew zalał ją do tego stopnia, że zupełnie straciła nad nim kontrolę. Magia uciekła, a zamiast niej wszystko zalała czerń.

Trzęsa się. Choćby chciała, teraz nie mogła już przerwać tego stanu. Przerazona, otwierała usta, by o coś zapytać, ale nie popłynęły żadne słowa. Ból w ramieniu rozprzestrzenił się i zalał jej czaszkę. Cierpiała tylko chwilę, potem straciła świadomość.

Nadeszła wizja.



Trzymała za rękę jakiegoś fera. I wcale nie był to Hypnos. Była tak zdezorientowana, że w pierwszej chwili nie umiała rozpoznać, co się stało. Potem wypowiedziała kilka słów, by zyskać pewność: nie usłyszała głosu, znów wytworzyła jedynie barwy, ale tym razem energia miała kolor ciemnego granatu.

Upewniwszy się, że śni, March spojrzała na fera. Miał oliwkową skórę, zielone włosy i rozłożyste skrzydła, podobne jak u ważki.

– Emmo – powiedział do niej.

Wtedy czas się zatrzymał.

*Emmo, Emmo, Emmo* – krążyło jej w głowie. Miała wrażenie, jakby wpadła w tunel, od którego ścian echem odbijało się tylko to imię. Wiedziała, kim była. Stała się swoją matką.

Ciało, jakie zyskała w wizji, decydowało za nią. Nagle straciła kontrolę nad ustami. Słowa, które z nich padły, były zaskoczeniem dla niej samej.

– Musimy stąd odejść. Natychmiast – powiedziała.

– Nie stworzę portalu – odparł przerażony fer. – Wytropią naszą magię.

– W takim razie skorzystajmy z pomocy...

Urwała, bo wokół zaczęły materializować się inne fery. Emma Sky zdążyła jeszcze tylko raz coś zawołać, a potem wizja zbledła. March wciąż słyszała krzyki, po czym nagle przeniosła się w inne miejsce. Zalała ją kolejna fala bólu, innego niż ten, który przyniósł wizję.

Zaszokowana uświadomiła sobie, że rodzi. Rodziła samą siebie!

To odkrycie tak ją przerażyło, że nie była w stanie dłużej utrzymać wizji. A potem niczego już nie czuła ani nie widziała, za to bardzo wyraźnie słyszała słowa Wyrda, które dochodziły jakby z oddali, jednak były wyraźne. Więcej niż wyraźne. Wyjaśniały wszystko.

– Pozwolimy ci urodzić, ale wyślemy cię z powrotem do twojego świata. Musisz tam wrócić i wiedz, że o wszystkim zapomnisz. Nigdy nie pozwolimy ci ponownie odwiedzić Aislingen. Na zawsze stracisz dostęp do magii i będziesz żyć jak zwykła kobieta, ślepa na Jaar i jego czary.

Szłochała tylko przez chwilę. Potem wspomnienia rozwiały się jak ulotny zapach, pozostawiając jedynie poczucie otępienia. Kim była, kim się stała, dlaczego zdawało jej się, że ktoś wykradł jej przeszłość?

March czuła już te rzeczy – miała już to beznadziejne, okropne wrażenie pustki. Wtedy, gdy Strażnik rzucił ją w jeden z koszmarów. A teraz zrozumiała już, czyich emocji doświadczyła.

Szybko wróciła do swojego ciała. Otworzyła oczy i wściekła zerwała się z podłogi.

– Już wszystko wiem! – krzyknęła. – Wiem, co zrobiliście mojej matce!



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Protestowała, gdy Hypnos oznajmił, że musi zabrać ją do pałacu. Nie zdołała jednak długo mu się opierać. Wprawdzie nie wyraził wprost groźby użycia magii, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że ta możliwość wisiała w powietrzu.

– Musisz porozmawiać o tym z królową, nie ze mną – nalegał, gdy żądała od niego wyjaśnień.

– Tak, a ona z pewnością powie mi prawdę – wycedziła. – Czeka! – zawołała, gdy fer zmierzał już ku wyjściu. Uświadomiła sobie, że zostawiła na podłodze swój scyzoryk. Od teraz nie miała zamiaru się z nim rozstawać. Wróciła po niego, a potem szybko ruszyła za Hypnosem.

Fer milczał, wyprowadzając ją ze świątyni. Właściwie przez całą drogę do pałacu nie odezwał się ani słowem, choć z pewnością wydawał się mocno podenerwowany. Szli szybko kamienną ścieżką. March patrzyła hardo przed siebie, nie przejmując się mijanymi ferami, które odwracały się w jej stronę z mieszaniną zaciekawienia i gniewu, jakby sądziły, że samo postawienie ludzkich stóp w tym miejscu kala ich świętą ziemię. Piękno krainy nie robiło już na dziewczynie wrażenia.

Nie musieli wchodzić do pałacu – królową spotkali w otaczającym go ogrodzie. Stała przy drzewie o wielkich żółtych owocach. Odwróciła się w ich stronę i wpatrywała we wzburzoną March z pełnym spokojem. Dziewczyna nienawidziła jej za to. Miała ochotę rzucić na nią ten sam czar, którym spaliła gałązkę. Powstrzymywała ją tylko ledwo przebijająca się przez gniew świadomość, że władczyni nie tylko uszłaby z życiem, ale też w mgnieniu oka ją zabiła.

– Co was sprowadza? – spytała słodkim głosem Wyrd.

– Moja matka! – warknęła March.

– Nie powinnaś w ten sposób zwracać się do kró... – zaczęła Hypnos.

– Daruj sobie! – wrzasnęła, opluwając go. Zachował kamienną twarz. – Mów, co się stało z Emmą Sky! – rozkazała królowej. – To prawda, że była czarownicą?! Zniszczyliście jej życie, tak?! Widziałam, wszystko widziałam!

Wyrd podeszła do niej z gracją. Jej oczy lśniły, March dostrzegła, że miały jasny, ametystowy odcień.

– Widziałaś wszystko? – Nadal przemawiała łagodnym głosem. – Co takiego widziałaś?

To nie było najłatwiejsze pytanie. W końcu większość z tego, co March zobaczyła w wizji, pojawiło się jako rodzaj przekonania. Przez tę jedną chwilę czuła dokładnie to samo, co matka – taka, jaką była przed urodzeniem jej. I знаła jej przeszłość tak, jakby sama ją przeżyła. Teraz pozostało z niej niewiele, ale te kilka rzeczy pamiętała: Emma Sky była czarownicą, naprawdę związała się z ferem i wygnano ją za to, rzucając przekleństwo sprawiające, że na zawsze miała zapomnieć o magii. Tak, Callen przebąkiwał coś o takiej możliwości, ale kiedy March faktycznie mogła tego doświadczyć, wszystko stało się nagle tak prawdziwe...

Wahała się z odpowiedzią.

– Po prostu wiem, co zrobiliście – odparła wreszcie zamiast silić się na opisywanie swojego doświadczenia.

– Wiesz, co zrobiliśmy – powiedziała Wyrd – ale nie wiesz dlaczego. Nie widziałaś więc *wszystkiego*. Świat jest o wiele bardziej skomplikowany, niż ci się wydaje.

March nie umiała zliczyć, ile razy słyszała podobne słowa od przeróżnych osób. Niemal zawsze stanowiły żalospną wymówkę.

– Zniszczyłaś życie mojej matki, czy tak? – spytała ostro.

Zamiast od razu odpowiadać, władczyni dała sobie czas do namysłu. Podeszła znów do drzewa i zerwała jeden z owoców. Bawiła się nim, obracając go w dłoniach. March patrzyła na nią z narastającym zniecierpliwieniem. W końcu Wyrd odpowiedziała, a właściwie zapytała:

– Zniszczyłam jej życie? A może je ochroniłam?

March prychnęła.

– Jesteś bezczelna!

Hypnos ze strachem wciągnął powietrze. Królowa tylko się roześmiała.

– Tak niewiele o nas wiesz – powiedziała. – Nie pojmujesz naszej magii. To właśnie problem ludzi. Chcecie wiedzieć wszystko, ale gdy dostajecie wiedzę, albo was ona przeraża, albo niczego nie rozumiecie. Wierz mi, że twoja matka jest o wiele bezpieczniejsza, nie pamiętając o rzeczach, jakie tu widziała. Nie nadawała się na czarownicę.

Chociaż delikatny ton władczyni ani na chwilę się nie zmienił, March wiedziała, że Wyrd czuje podskórną złość. Mówiąc o jej matce, balansowała na granicy pogardy.

– Być może ty nadasz się lepiej – dodała. – Tego nie wiem. Hypnos usiłuje to sprawdzić.

Obie zwróciły twarze na fera, który nagle się speszył.

– T-tak – wyjąkał. – Jest naprawdę...

– Pierwsze wrażenia zwykle są mylne – władczyni zbyła niedokończoną myśl, po czym znów przemówiła do March: – Jeśli chcesz, opowiem ci więcej o twojej matce. Zapraszam.

Wyciągnęła ramię, jakby chciała ją objąć. March odsunęła się, ale pozwoliła Wyrd poprowadzić się do pałacu. *Może właśnie teraz* – myślała. *Może teraz uda się jej poznać choćby niewielką część budynku. A potem nie tylko rozwalę tę zasraną Bibliotekę, ale wszystkich ich zniszczę.*

U drzwi pałacu, wysokich i srebrnych, ozdobionych półksiężycami, niczym posągi stali dwaj strażnicy. Ich ciała



były równie fioletowe co ściany budowli, więc w pierwszej chwili March nawet ich nie dostrzegła.

Drzwi otworzyły się same, a dziewczyna i królowa – już bez Hypnosa – wkroczyły do sali tronowej. Władczyni machnęła ręką, wyczarowując zastawiony stół. March nie miała zamiaru niczego jeść.

– Czy myślisz, że to, co robię, jest wielką magią? – zapytała Wyrd, patrząc na nią z ukosa.

March wzruszyła ramionami.

– Stać cię na o wiele więcej – uznała. – Umiesz niszczyć ludziom życia.

– To prawda. Potrafię wiele, a czary przynoszące natychmiastowy efekt to nic wielkiego. Niektórzy ludzie, a nawet fery, potrafią stworzyć... jak wy to mówicie? Biznes. Biznes na rzeczach tego typu. Sprzedają samonakrywające się stoliki, domy, które można przenosić w kieszeni, amulety sprawdzające się lepiej lub gorzej... Ale to nie prawdziwa magia.

March wodziła wzrokiem za królową, która teraz lekkim krokiem przechadzała się po sali. Poły jej szaty podrygiwały jakby w tańcu.

– Prawdziwa magia – ciągnęła Wyrd – to ta, którą czujesz w powietrzu. Jeśli umiesz ją odszukać, nigdy nie będziesz samotna. Ta moc sięga głęboko, aż do szpiku kości, zmienia nas, przeobraża. Niczym gąsienice, pokryci magiczną powłoką rozwijamy skrzydła i barwy motyla. To ta magia pomogła ci wygrać ze Strażnikiem i przyznaję, że mi tym zaimponowałaś. A jednak...

Królowa urwała na chwilę. Poprawiła suknię i zasiadła na tronie.

– A jednak nie wiem, na ile masz w sobie mocy, by używać tego rodzaju czarów każdego dnia.

March zaciskała pięści. Jak ona śmiała mówić z takim spokojem? Jak śmiała nie okazać żadnej skruchy za to, co zrobiła?

– Nie boję się – wycedziła dziewczyna. – Ani ciebie, ani twojej magii.

Wyrd pokręciła głową.

– Czujesz się silna, bo wygrałaś ze Strażnikiem, i pewnie teraz sądzisz, że nie ma gorszych potworów od niego. Mylisz się. Ale mniejsza z tym, bo nawet jeśli masz odwagę, to nic nie znaczy. Możesz być nieustraszona, a mimo to nie dać sobie rady z magią. Ludzie przeceniają umysł, nie doceniają zaś ciała. Magia może rozsadzić człowieka, czasem wręcz dosłownie. Skąd mogę wiedzieć, ile jesteś w stanie wytrzymać?

Patrzyła na dziewczynę tak, jakby oczekiwała, że to ona będzie umiała odpowiedzieć na to pytanie. March milczała, sama zadając je sobie w myślach.

– Magia jest darem. Nie możemy dać jej byle komu. Powinna być dostępna jedynie dla wybranych. W dawnych czasach ludzie jej nie znali, nie potrafili jej używać. Takie było naturalne prawo. Potem zostało pogwałcone. Jaar i wasz świat zaczęły się rozdzielać, a część ludzi i ferów nie chciała na to przystać.

– Znam tę opowieść – odrzekła March. – Usłyszałam ją od Callena. Tego samego, którego wciąż więzicie. – Mało brakło, a splunęłaby w stronę władczyni.

– Mamy swoje powody, by go ukarać – ucięła królowa, po czym wróciła do przerwanej historii. – Uważamy, że dawne prawo było lepsze. Moc magiczna nie należała do was, a my nie zgodziliśmy się, byście jej używali. Inne fery postanowiły podzielić się z wami swym darem, lecz my nie. A wiesz dlaczego?

– Zgaduję, że przez chciwość. No i poczucie wyższości.

Wyrd z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Chcesz być wiedźmą, tą, która jest mądra, a twoje wnioski są tak naiwne. Czy ryby chcą latać niczym ptaki? Jak długo przeżyłyby w powietrzu, skoro ich żywiołem jest woda? Wielkie ambicje sprowadzają upadek, a dary zamieniają się w przekleństwa. Właśnie tak działa magia. W świecie ludzi nie da się jej utrzymać w ryzach, nawet wy sami nie wiecie, jak zorganizować magiczną społeczność. Musicie odwoływać się do setek praw, bo nie jest wam przypisana ta sama moc, co nam.

March westchnęła. Teraz zamiast patrzeć na królową, przyglądała się stołowi. Było na nim jeszcze więcej potraw niż poprzednio.

– Więc dlaczego go więzisz? – Nie miała zamiaru odpuścić.

– Myślisz, że mam inny wybór? – odparła władczyni. – Muszę przede wszystkim dbać o dobro Miasta Snów. Aislingen jest bardzo niewielkie w porównaniu do Jaaru i innych ferzych krain.

– W jednej z nich rządzi twoja siostra – przypomniała sobie March.

– Rządziła. W Elphame. Czasy Ishtar dawno już przeminęły. Teraz w tamtym miejscu włada ktoś inny.

– Nie możecie się pogodzić?

Po zadaniu tego pytania March uznała, że mogło wydać się dość infantylne.

– To niemożliwe – odparła Wyrd.

Dziewczyna nie miała zamiaru ustępować. Nie teraz. Chciała uświadomić władczyni, jakimi potworami są fery, chciała, żeby Wyrd sama zdała sobie z tego sprawę.

– Czy twoje więzienie musi być tak okrutne? Uważasz, że ten rodzaj kary jest sprawiedliwy? Kim jesteście, żeby robić takie rzeczy? – Każde z tych pytań wyrzucała z siebie niczym oskarżenie. – W moim świecie tylko najbardziej plugawe...

– Dość. – Wyrd ruchem dłoni sprawiła, że March na moment zabrakło tchu. Trzymała ją tak przez kilka sekund, po czym pozwoliła jej odetchnąć. – Nie porównuj nas do swojej rasy. My tylko dbamy o świętą magię. Wystarczy, że ktoś stanie się dla nas zagrożeniem, a bez mrugnięcia okiem oddamy go Strażnikowi. Ciebie wsadziliśmy, przekonani, że działałaś ze swoim towarzyszem. Dopiero potem okazało się, że niewiele wiesz o naszym świecie. Nie przenoś swoich praw na mój świat. To, co tobie wydaje się okrutne, dla nas bywa koniecznością. Nie cofnę się przed niczym, byle tylko zachować równowagę w Mieście Snów.

– Gdzieś mam twoją krainę – odparła March. – Wasze sny niszczą ludzi. Chcę, żebyś przywróciła Emmie Sky jej moc – zażądała. Na myśl o matce poczuła ucisk w żołądku. Nie powinna była jej zostawiać. Nigdy. – I odeślij mnie do domu. Gardzę tobą i tą krainą. Jesteście niczym.

– Mam cofnąć czar? – odparła drwiąco Wyrd. – Czy wiesz, jak to by się skończyło?

– Nie obchodzi mnie to!

– Teraz nie obchodzi. A co będzie potem?

– Dlaczego to robisz? – spytała nagle March. – Dlaczego jesteś... jesteś *tym*? Niby piękną istotą, ale tak... złą, podłą?

Władczyni zaśmiała się tak, jakby usłyszała komplement.

– Czyż właśnie nie w ten sposób opisywał mą rasę wasz Szekspir? Fery nie są i nigdy nie były waszymi przyjaciółmi, wbrew temu, co można usłyszeć w Elphame. A mimo to... – Wstała i nieśpiesznym krokiem podeszła do dziewczyny. – Postanowiłam opowiedzieć ci o sobie i swym plemienu, Tuatha. – Po raz kolejny spróbowała objąć March, ale ta się cofnęła. – Może coś zjesz?

– Nie. Zrobiłam to wcześniej i zasnęłam. Jedzenie jest zatrute.

Wyrd nie potrafiła ukryć rozbawienia, gdy sięgnęła po jeden z kolorowych owoców i wgryzła się w niego.

– Wino też piłaś i nie otumaniło cię – zauważyła March. – Reagujesz na to inaczej niż ja.

– Jesteś spostrzegawcza. Dołożmy to do twych zalet. W naszej gościnie nie ma jednak żadnego podstępu. Nie chcę cię omamić ani uśpić. Po prostu musisz się przyzwyczać do naszego jedzenia. Zobaczysz, że gdy odeślemy cię do domu, a zrobimy to na pewno, jeszcze za nim zatęsknisz. Ale... jeśli nie chcesz jeść, dobrze. Pozwól zatem, że przejdziemy do mojej komnaty. Chciałabym dla ciebie zagrać.

March uniosła brwi. Propozycja królowej zupełnie zbiła ją z tropu.

– Zgoda – odparła po chwili zastanowienia. *Pokaż mi więcej pałacu, jasne... Pokaż mi Bibliotekę Snów.* Oczywiście za ofertą Wyrd musiał kryć się jakiś podstęp, co do tego March nie miała wątpliwości, tyle że nie miało to znaczenia.

Rozglądała się za drzwiami, które wyprowadziłyby je na zewnątrz, ale nigdzie takich nie dostrzegła. Wyrd poprowadziła ją do solidnej ściany i zwyczajnie zrobiła krok naprzód, wchodząc w nią. Ściana pomarszczyła się niczym woda, do której wrzucono kamień.

– Zapraszam! – z drugiej strony dobiegł głos królowej.

To wydawało się zbyt surrealistyczne. March stała przy ścianie i przyglądała się jej ze szczerym zdumieniem. Zawahała się przed postawieniem stopy, ale w końcu, idąc za przykładem władczyni, weszła w mur, który w dotyku przypominał pajęczynę.

Przestrzeń wypełniły barwne światła. Gdy wzrok March się do nich przyzwyczał, dziewczynę zalała nowa fala zachwytu, zachwytu, który na moment sprawił, że wszystkie myśli opuściły jej głowę. Piękno w brutalności Aislingen było delikatne, uspokajające.

Otumaniające.

Znalazła się w długim, przypominającym tunel korytarzu. Ze wszystkich stron, nie tylko po bokach, ale też u góry i w podłodze, otwierały się kolejne portale. Władczyni wyciągnęła rękę, a wtedy podłoga drgnęła i przemieściła się pod ich stopami. Tuż przed nosem królowej zmaterializowały się seledynowe drzwi. Wyrd nacisnęła klamkę i wpuściła March przodem.

– To... twoja komnata? – zdumiała się dziewczyna.

Pomieszczenie było raczej surowe, choć nie odbiegało pięknem od sali tronowej. Ściany i podłogę pokrywał kwiatowy wzór. W środku znajdowała się duża, złota harfa. Stała na rzeźbionych nogach, kojarzących się March z pazurami drapieżnego ptaka. Po obu jej stronach ustawiono wyłożone poduszkami krzesła.

– Usiądź, proszę. – Królowa wskazała jej miejsce.

March zatopiła się w wygodnym siedzeniu i lepiej przyjrzała harfie. Wyciągnęła dłoń, by dotknąć strun. Próbowwała pociągnąć jedną z nich, co okazało się niemożliwe.

– Tylko ja potrafię to zrobić – oświadczyła królowa, siadając naprzeciwko niej. Teraz wydawała się urażona tym, że ktoś bez pozwolenia ośmielił się dotknąć jej własności. Poprawiła włosy i ułożyła ręce na strunach.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

– Obiecałam opowiedzieć ci o naszej krainie. Muzyka pomoże nam się skupić.

Pociągnęła za strunę, a ta wydała delikatny dźwięk, który niósł się w przestrzeni jeszcze przez kilka chwil. March miała wrażenie, że poruszył powietrze, które napięło się i rozluźniło. Królowa odetchnęła, po czym pociągnęła kolejną strunę. Ta wywołała w atmosferze przyjemne ciepło, takie jakie wyczuwało się w świątyni. Muzyka, która wypełniła przestrzeń, gdy Wyrd musnęła trzecią strunę, lała się niczym

woda, z kolei czwarta struna zabrzmiała podobnie do świergotu ptaków. Nie ulegało wątpliwości, że harfa została zaklęta. Była w niej jeszcze jedna struna, lecz tej królowa na razie nie dotykała.

Gdy instrument był już nastrojony, Wyrd zaczęła grać, w tym samym czasie opowiadając:

– Ziemia i niebo były wtedy jednością, tak mówią stare podania. Święte, odwieczne istoty żyły wśród nas, a sama matka tego świata, Danu, kroczyła między ferami. Można było rozmawiać z górą lub lasem, rzeką i gwiazdami. Ich duchy były nam przyjaciółmi, a wszystko żyło, poruszało się i było piękne. Ten wiek nazywamy zielonym. To w jego trakcie nadano światu prawa, a w pięciu świątyniach umieszczono wielkie kamienie żywiołów.

Muzyka płynęła spod palców władczyni nieprzerwanie, bez najdrobniejszego fałszu. To nie były zwyczajne dźwięki. Tkwiło w nich coś tajemniczego. March skupiała się na nich bardziej niż na słowach Wyrd. Właściwie to one uzupełniały nuty, a nie odwrotnie. Stopniowo muzyka przejmowała kontrolę nad przestrzenią. Pomieszczenie sprawiało wrażenie nierealnego, ściany rozpływały się, a łodygi wymalowanych na nich kwiatów wydłużały i zawijały.

– W tamtych czasach – ciągnęła władczyni – fery żyły w zgodzie. Jedynie my, jednorożce i same odwieczne istoty dysponowaliśmy siłą magiczną. Nie prowadziło to do niesnasek, każdy bowiem znał swe możliwości.

W tym momencie słowa nagle przestały docierać do uszu March. Dziewczyna zapatrzyła się w nogi harfy. Szpony podrygiwały w takt muzyki. Utwór królowej zdołał je ożywić.

*Co jest?* – myślała. Czyżby zasypiała? Spróbowała się otrząsnąć, ale teraz było to już niemożliwe.

– ...a my dostaliśmy władzę nad snem. – Dotarło do niej urwane zdanie władczyni. – I właśnie ta moc pozwala nam

rządzić światem. Możemy opowiadać historie, a gdy się wie, jak to umiejętnie zrobić, można na nowo opowiedzieć czyjeś życie... poprawić je... zmienić. Wierz mi, że nikt nie dysponuje równie silną bronią co opowiadacz.

March uniosła spojrzenie na królową. Chciała o coś zapytać, jednak widząc twarz Wyrd, nagle z tego zrezygnowała. W głowie pojawiły się za to nowe pytania: dlaczego włosy władczyni falują jak woda, dlaczego jej oczy nagle wypełniło nocne, rozgwieżdżone niebo i jak to możliwe, że w środku dnia komnatę wypełniła noc rozjaśniona blaskiem wielkiego, srebrnego księżyca?

Nim którekolwiek z tych pytań opuściło usta March, rozległ się jeszcze jeden, głębszy dźwięk, najbardziej magiczny ze wszystkich – władczyni pociągnęła ostatnią ze strun, sprawiając, że dziewczynę zmogła senność. Głowa opadła jej na ramię, a w uszach jeszcze przez kilka chwil dźwięczały szepty królowej. Wyrd mówiła jej o tym, jak March się tu dostała, kim była i co może osiągnąć, zostając w Mieście Snów przez kolejne sto lat.

Tysiąc lat.

Na zawsze.





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Pamiętasz? – Ten głos, wciąż powtarzający tylko jedno słowo, dochodził jakby z oddali.

Wierciła się na łóżku, próbując odpowiedzieć na to pytanie, ale nie umiała. Jedynym dźwiękiem, który była w stanie z siebie wydusić, było ciche pojękiwanie. Co takiego miała pamiętać?

– Obiecałaś mi – dodał głos. Był męski, z całą pewnością męski. To wszystko, co o nim wiedziała. Nie potrafiła przypisać go do żadnej twarzy. Dlaczego brzmiał tak surowo? Dlaczego zdawał się nie mieć ciała?

I dlaczego w ciemnej przestrzeni jej snu tworzył wokół złociste plamy?



Rankiem słońce wstało inaczej – było świeże i młode, żywe i wspaniałe. Nagle świat wydał się March cudownym miejscem. Obudziła się z koszmarne snu, który teraz był tak odległy, że pamięć o nim niemal zupełnie się zatarła. Ledwo przypominała sobie występujące w nim istoty, zamglone twarze migały niczym obrazki w szybko wyświetlanym filmie. Za to przestrzeń, ta prawdziwa, pachniała pięknem. Tak, gdyby piękno mogło pachnieć, byłby to właśnie ten zapach.

Zerwała się z łóżka. Miała na sobie powłóczystą suknię. We śnie, długim i nieprzyjemnym, nigdy nie nosiła podobnych ubrań. Zawsze wybierała ohydne, przetarte spodnie

i niegustowne bluzy. Z radością przyjrzała się nowej dziewczynie, którą dostrzegła w lustrze.

Zaczęła wszystko sobie przypominać. Zabłąkała się. Chyba miała uciec z domu... A może tylko się przejść? Przypadkiem wpadła w portal, który przywiódł ją aż tutaj. Potem zobaczyła te kolorowe, piękne istoty. Zaoferowały jej posiłek i sen. Była chora, cierpiała na przypadłość, którą jedynie one potrafiły wyleczyć. I zrobiły to. Wczorajszej nocy... No, może nie wczorajszej, ale jakiejś innej, wcześniejszej... usłyszała ich muzykę i śpiewy. Chór barwnych motyli postaci wyśpiewywał pieśń jakby tylko dla niej. Tańczyły dziko, a ona dołączyła do ich zabawy. Dźwięki harf sprawiły, że jej duch uniósł się wysoko ku niebu. Zatonął w jego fiolecie. Nawet teraz je słyszała. Zaczęła znów tańczyć w ich rytm, a potem nagle przystanęła i usiadła na łóżku.

*Ale kiedy tu trafiłam? – zastanawiała się. Jak długo spałam?*

Gdy o tym rozmyślała, czas jakby zmienił formę. Dawniej, w bardzo odległej przeszłości, liczyła dni po kolei, a tutaj zdawały się kręcić w kółko. Miała pewność, że już kiedyś odwiedziła ten świat, stało się to... wczoraj, może jutro? Dni przeszłe i przyszłe stopiły się w jedno, nie różniły od siebie. Znała je wszystkie na pamięć.

Westchnęła. Czego dotyczył jej sen? W tym, który pamiętała najlepiej, odzywał się czyjś głos. Przypominała sobie też twarze: jakiejś siwej, młodej kobiety... *Zaraz, siwej i młodej?* Była blondynką, a potem... Ale ten sen przyśnił się jej wcześniej, nie minionej nocy.

Usiłowała jakoś poukładać to sobie w głowie. Pojawiło się więcej twarzy: kobieta o ciemnych włosach, całkiem zresztą do niej podobna, pulchna dziewczyna, tłusty czarny kot. Śniła o nich czy nie? Potem zobaczyła dom i ciemne uliczki. To było miejsce, z którego uciekła. Choć może i ono stanowiło tylko część nocnych mar?

Rozejrzała się po solidnych ścianach pięknego pokoju. Nic lepszego, nic cudowniejszego nie mogło jej spotkać. A na dodatek miała nauczyć się magii. Tak! Teraz sobie to przypomniwała. Cudowna istota, ta w zwiewnej sukni i z dwoma parami skrzydeł, obiecała jej to! Wyglądała niezwykle, była godna czci, wszelkiego podziwu, najwyższego szacunku.

March znów zapragnęła śpiewać i tańczyć, walcząc z przekonaniem, że to wcale nie w jej stylu i że zachowuje się jak idiotka. Coś nie dawało jej spokoju. Coś, co zdawało się wołać: „Nie!”. Było to „Nie!” rozlegające się gdzieś głęboko, w samym środku jej serca, zupełnie jakby nosiła tam drugie, bijące własnym rytmem. Skąd brało się to dziwne uczucie?

*Strach* – pomyślała. Nerwy skołatane po trudnym śnie, takim, w którym dotyka się samych głębin strachu, ale nie rozumie się ich źródła. Choć dzień był jasny, miała wrażenie, jakby zbudziła się w samym środku nocy.

Padła na miękką poduszkę i zamknęła powieki. Natychmiast pojawił się pod nimi obraz: kolejna twarz. Nie widziała dokładnie jej konturów, za to ewidentnie wpatrywała się w nią para błyszczących oczu. Zerwała się nagle.

– On nazywa się... – zaczęła, a ukryta część jej samej dopowiedziała imię, wykrzyzczała je, ale March jej nie usłyszała. Wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy zdoła rozpoznać jeszcze jakiś dźwięk. Nie była w stanie.

Machnęła ręką. *To wszystko bzdury* – uznała. Teraz właśnie miała okazję być szczęśliwa. I będzie taka, choćby miała zapomnieć całą swoją przeszłość. A może właśnie dzięki temu.



– Callen! On nazywa się Callen! – wołała rozpaczliwie. Była teraz oddzieloną od ciała, pozbawioną zmysłów częstką, nawet nie duchem, ale czymś marnym, ulotnym, co tylko kurczowo trzymało się wątpliwej prawdy o samej sobie. Choć bezcielesna, paradoksalnie była uwięziona w ciele, tym, które jeszcze do wczoraj należało do niej, a nad którym całkowicie straciła już kontrolę.

Doskonale wszystko pamiętała: bezwładnie opadające ręce, zawroty głowy, które szybko przestała mieć, brak przytomności. Patrzyła na to, co działo się z jej ciałem, jakby z innego, odległego miejsca, choć nadal widziała oczami, które nazywała swoimi. Fery zabrały ją, napoiły dziwną substancją i położyły do łóżka, a potem, w towarzystwie drgawek i gorączki, każda najdrobniejsza cząstka niej odmawiała posłuszeństwa umysłowi, a on wreszcie wypchnął tę część March, która zachowała w sobie najwięcej świadomości prawdy, i zamknął ją w dziwnym więzieniu. Choć nie było materialne, umiałyby je opisać w całkiem fizyczny sposób.

Błoto, brud, ciemna woda stająca się już prawie grząskim łądem. March tonęła w tej wstrętnej substancji po kolana, a przynajmniej tonęła w niej „prawdziwa ona”, „prawdziwa ja”. Sen, w którym Irma przekazała jej swoją naukę, wrócił i stał się nagle całkowicie zrozumiały. Coś w niej zamieszkało, coś, co zupełnie ją obezwładniło i kazało wierzyć, że stała się kimś innym, a prawdziwą March zepchnęło w odmęty umysłu. Obezwładnił ją czar Wyrd. Próby kontaktu z własnym ciałem były na nic.

To był nowy rodzaj więzienia, gdzie rolę Strażnika odgrywała niemoc, a osobowość, którą wszczepiła March królowa, była zbyt pochłonięta iluzją szczęścia, by usłyszeć jej krzyk.



– Chyba weszłaś już na całkiem nowy poziom, prawda? – spytał Hypnos. Uśmiechał się promiennie, wywołując w March przeświadczenie, że mogłaby się w nim zakochać.

*Zakochać się w nim?* Ta myśl zarazem ją przestraszyła, jak i napełniła nadzieją. Gdyby tak wyjść za fera? Może i ona zyskałaby takie skrzydła jak on? Może wtedy w pełni by ją tu zaakceptowano? Oczywiście fery były niezwykle przyjazne. Uśmiechały się do niej, gdy zmierzała do świątyni, ale miała wrażenie, że z jakiegoś powodu nie do końca mają ją za jedną z nich.

– Tak sądzisz? – spytała, uświadomiwszy sobie, że zamiast odpowiedzieć, zanurzyła się w marzeniach. – Co będziemy dziś robić?

Spojrzała na ołtarz. Stały na nim niewielki kociołek i sporo metalowych miseczek. Reszta sprzętów znikła. Pozostało jedynie athame, które leżało między dwiema świecami.

Fer zaprosił ją, by podeszła bliżej. Usiedli przy ołtarzu, dzięki czemu mogła lepiej przyjrzeć się zawartości miseczek. Niektóre wypełniały płatki kolorowych kwiatów, w innych znajdowały się sproszkowane substancje, z kolejnych wydobywał się ostry zapach ziół.

– Przygotujemy eliksir – oznajmił Hypnos. – W dodatku bardzo niezwykły; najpotężniejszy, jaki znają fery.

March podekscytowała się. To uczucie wydało jej się obce. Chyba dotąd podchodziła do rzeczy tego typu z rezerwą... Ale to było dawno, w koszmarach. Uniosła na Hypnosa zaciekawione spojrzenie.

– Co to za...?

– Najpierw trochę teorii – przerwał jej. – Nauka o eliksirach jest niezwykle trudna. Czy słyszałaś już o tym, że jeśli wiedźma ma uzdrawiać, musi też wiedzieć, jak truć?

March potrząsnęła głową.

– Każdy eliksir zawiera składniki, które przynoszą rezultat jedynie, gdy użyje się ich w odpowiedniej dozie – tłumaczył Hypnos. – Nadmiar może spowodować przeciwieństwo tego, czego sobie życzymy. Dlatego warząc magiczne napoje i leki, trzeba być niezwykle ostrożnym, zwłaszcza gdy sporządza się ten, o którym mówię.

– Czyli?

Oczy Hypnosa stały się wielkie, gdy oznajmił:

– Elixir snu.

– Elixir snu? – zdumiała się March. – Uważasz, że on jest najpotężniejszy ze wszystkich? Niby dlaczego?

– Jest najpotężniejszym z tych, które *my* potrafimy sporządzać. Ma w sobie bowiem cechy wszystkich innych. Uzdrawia i mami, truje i przynosi zrozumienie. Chory musi spać, by jego ciało mogło zostać uleczone, lecz gdy śpi zbyt długo, umiera. Ten, kto pogrąża się w marzeniach lub koszmarach, traci zmysły, ale ten, kto wie, jak zrozumieć ukryte znaczenia snu, otrzymuje niezwykle dar, dostaje nowe oczy, może spoglądać we własną duszę. Sny mają swe klucze.

*Klucze! Właśnie to!* – usłyszała nagle March. Głos tłukł się jakby w jej brzuchu. Nie rozumiała, dlaczego się pojawił ani do kogo należał. Mimo to zdawało się, że próbował jej o czymś przypomnieć, o czymś zapomnianym tak dawno temu, że teraz dochodziły do niej jedynie strzępki wspomnień.

– Coś nie tak? – spytał Hypnos, dostrzegając jej zmartwioną minę.

– Nie, wszystko w porządku – skłamała. – Więc co z tym eliksirem?

Fer przyglądał jej się z troską. To, dlaczego tak na nią patrzył, stanowiło kolejną zagadkę. Sprawiał wrażenie innego niż przedtem, jakby mniej pewnego siebie i nie do końca przekonanego do tego, co robił. Dlaczego zauważyła to właśnie

teraz? A poza tym jak długo go znała? Bo jeśli przywędrowała tu kilka dni temu, to...

– Musimy użyć wszystkich składników, jakie tu są, oczywiście zachowując odpowiednie proporcje. – Hypnos rozproszył jej myśli. Zaczął opisywać zawartość każdej z miseczek. – Te fioletowe płatki to lawenda. Przynoszą piękne, spokojne sny, dają ukojenie tym, którzy tego potrzebują. Brązowy proszek to roślina nazywana Zielonym Darem. Pomaga ferom w doznawaniu wizji. Dalej mamy niebieski lotos. Zapewnia czystość oglądu. Te małe złociste kamyki nazywamy gwiazdym pyłem. Tak naprawdę nie pochodzą z gwiazd, bo to nasiona rzadkiej rośliny, jedynej, która występuje na rozległej Pustyni Południowej w Jaarze.

Wymienił jeszcze kilka składników o mniej lub bardziej tajemniczych nazwach, których March i tak nie umiałaby zapamiętać, po czym położył obie dłonie na kociołku. Trwał w takiej pozie kilka chwil, aż woda zaczęła parować.

– Jak to zrobiłeś? – zaciekała się March.

– Magia. – Hypnos wzruszył ramionami. – To zaklęcie nie jest dla mnie łatwe. Mówiłem ci już, że moim żywiołem jest woda.

– Mówiłeś? – March się zawahała. Bez względu na to, jak się starała, nie umiała sobie przypomnieć ostatnich dni. Ale gdy wspomniła o swoim żywiole, przed oczami stanął jej obraz świątyni. I stali tam nie dalej jak...

– A może nie? – zastanawiał się Hypnos. – To nieistotne. Teraz pokażę ci, jak uwarzyć eliksir.

Przez następną godzinę wkładali dokładnie odmierzone składniki wywaru do bulgoczącej wody. Za każdym razem, gdy do kociołka trafiało kolejne zioło lub proszek, Hypnos mieszał w nim za pomocą athame. Z ostrza sączyła się seledynowa energia. March była tak pochłonięta obserwowaniem go, że nie zauważyła, jak do świątyni wszedł tłusty czarny kot.



Dostrzegła go dopiero, gdy połaskotał ogonem jej rękę. Wyciągnęła dłoń, by go pogłaskać, i zamarła.

To on! – odezwał się znów ten sam głos. Znała tego kota, na pewno już go widziała. Ale kiedy, gdzie?

W jej głowie znów pojawił się obraz. Zobaczyła miejsce zupełnie odmienne od tego, w którym była teraz. Szła ciemną ulicą, zdenerwowana i smutna, za towarzysza mając jedynie kota. Mówiła do niego, aż wreszcie jej odpowiedział. Wydało jej się to niemożliwe, choć teraz takie nie było. Bo koty przecież potrafią mówić?

– Chyba nie czujesz się najlepiej, prawda? – usłyszała głos Hypnosa. Fer brzmiał fałszywie, jakby wiedział o czymś ważnym, czego nie mógł lub nie chciał jej zdradzić.

– A jak powinnam się czuć? – zapytała całkiem szczerze. Potrzebowała kogoś, kto nazwie jej emocje, co samo w sobie było podejrzane...

– Jesteś nieswoja – stwierdził fer.

Przytaknęła.

– To prawda. Jest mi jakoś dziwnie...

– Chcesz się położyć?

Kot dalej się do niej łąsił. Była niemal pewna, że próbuje jej coś przekazać. Tylko czy koty mówią? Zaraz... Przed chwilą wydawało jej się to oczywiste...

– Skończmy eliksir – zaproponował Hypnos. – Będziesz mogła się napić i zapaść w przyjemny sen.

Mimo że obiecywał jej coś, co powinno ją ucieszyć, ani on, ani ona nie wydawali się zadowoleni. Kot za to głośno zamiauczał.

– Okay – odparła, po czym wrócili do warzenia.



*Dupek!*

Gdyby tylko mogła coś kopnąć, zrobiłaby to z całej siły. Hypnos perfidnie ją oszukiwał. Jego eliksir prawdopodobnie miał zniszczyć jej świadomość. Nawet teraz z każdą chwilą czuła się, jakby opuszczała ją kolejna cząstka prawdziwej osobowości, z trudem utrzymywała w głowie obraz świata, jaki знаła. Ta druga March – ta, którą stworzyło zaklęcie Wyrd – przejmowała ją coraz szybciej. Była intruzem naśladowującym tak wiele jej cech.

Próbowała zrobić wszystko, by nie rozpuścić się w nicości. Jedyne, co jej pozostawało, była magia. Skupiła się na sile, lecz nie była w stanie jej wyczuć. Jak mogła to zrobić, skoro nie rządziła już brzuchem, w którym kumulowała się jej moc?

*Alogos... Alogos...* Starła się wezwać nauczyciela. To on próbował skontaktować się z nią we śnie. Wiedział, jak się do niego przedostać. Niestety bez względu na to, jak często powtarzała jego imię, odpowiedź nie przychodziła.

*Przeklęta Wyrd!* March jej nienawidziła! I teraz jedynie ta nienawiść trzymała ją przy życiu.



Kot był nieznośny. Pomiaukiwał za każdym razem, gdy Hypnos wrzucał do kociołka kolejne składniki. Kilka razy próbował nawet wytrącić mu je z ręki, przez co fer omal nie pomylił proporcji. Wreszcie, doprowadzony do granic wytrzymałości, chwycił zwierzę za kark i wyrzucił ze świątyni.

– Skąd wziął się tu ten kot? – spytała March.

– Nie wiem. Przyplątał się. To przybłąda ze świata ludzi.

*Świat ludzi...* Było to coś, co March знаła. Mieszkała tam... kiedyś, bardzo dawno temu.

*Wcale nie dawno, idiotko!* Prześladowający ją głos wrócił. Stał się tak odrębny, że dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy wszystko z nią w porządku. Czy była chora, opętana? Dlaczego wpadła w ten dziwny stan?

Hypnos przelał eliksir do czarki.

– Wypij – polecił. – Wszystkie złe myśli znikną.

Przyłożyła naczynie do ust. Wywar, choć jeszcze przed chwilą bulgotał, teraz był przyjemnie chłodny. Słodko-gorzki smak nie przypominał niczego, co dotąd piła.

Stało się dokładnie tak, jak zapowiedział Hypnos – opuściły ją wszelkie nieprzyjemne myśli.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Coś wielkiego łąziło po niej, skakało, chciało ją obudzić. Na wpół wybudzona ze snu, wciąż jeszcze próbowała odgonić od siebie niewidzialną istotę. Gdy wreszcie całkiem otrzeźwiała, podniosła się na łokciach i rozejrzała po komnacie. W blasku srebrzystego księżyca ujrzała czarnego kota. Powoli wróciły wspomnienia z poprzedniego dnia.

– To ty – powiedziała, wyciągając rękę, by go pogłaskać, kot jednak zrobił unik.

– Owszem, ja – odparł ludzkim głosem, a ona znów nie mogła się zdecydować, czy to normalne. – Pamiętasz mnie? – spytał.

March zmarszczyła czoło.

– Eh... No... – Coś sobie przypominała, ale trudno było powiedzieć co.

– Nie pamiętasz – stwierdził z wyrzutem. – Jestem Piątek. Piątek Trzynasty.

Kojarzyła to imię.

– A ty jak się nazywasz?

To pytanie całkowicie ją zaskoczyło.

– March – odrzekła bardziej samej sobie niż jemu.

– Nazwisko?

– Ahm... Sky?

– Pytasz mnie czy mówisz?! – zniecierpliwiał się kot. – Swoją drogą, uważasz, że to całkiem normalne, by z takim trudem przypominać sobie własne nazwisko?

Dała sobie czas do namysłu. Głowa szybko zaczęła ją boleć. Chyba nie zawsze tak było, kiedyś... Ale kiedy? *Dawniej...*

Dawniej myślenie przychodziło jej z taką łatwością, a teraz trzymała się, by przywołać w pamięci jakikolwiek obraz. Faktycznie coś tu nie grało.

*Bo nie gra!* Głos w jej głowie odezwał się głośniej. *Piątek! Piątek!* – wołał. *Zrób coś z tym! Chociaż ty mnie usłysz!*

– Nazywasz się Piątek, tak? – Zerknęła na kota. Dobrze przyjrzała się puszystemu ogonowi, sporym łapom i tłustemu brzuchowi. Wiedziała, że to zwierzę było w pewien sposób niezwykle. – I skoro mówisz, to...

– Tak, jestem na tym świecie jedynym kotem, który mówi – przerwał jej, wyraźnie zniecierpliwiony. – No, okay, może gdzieś istnieją jeszcze inne, ale nic mi o tym nie wiadomo. I tak, nawet w świecie magicznym stanowią wyjątek. W ogóle jestem wyjątkowy, a już niedługo będziesz zawdzięczać mi życie. Ale tak nie będziemy gadać. Słuchaj! – Delikatnie smagnął ją ogonem po twarzy, gdy znów zaczęła odpływać. – Rusz tyłek i zajrzyj pod łóżko.

– Co? – Zamrugwała.

– To, co powiedziałem. Raz, raz!

Wykonała polecenie. Pod łóżkiem znalazła niewielką skrzynię. Wyciągnęła ją i otworzyła. W środku były tylko czarne ubrania i scyzoryk. Wzięła go do ręki, a wtedy...

*Tak! Tak!* – zawołał głos. Potem wykrzyczał jeszcze jedno „Tak!”, które tym razem dobiegło z jej ust. Fizycznych!

Naraz poczuła się, jakby ktoś ją ogłuszył. Miała wrażenie, że jej głowa pęka na pół, co wcale nie przyniosło żadnego bólu. Przez kilka chwil świat w jej oczach wirował, potem wszystko ogarnął półcień. W jej ciele doszło do czegoś w rodzaju starcia. Wyraźnie widziała, jak naprzeciw siebie stają dwie March: jedna miała na sobie ciemne dżinsy i bluzę, a zaciśnięte pięści wskazywały, że zaraz kogoś walnie. Druga przypominała kukłę. Miała ciało tej pierwszej, ale jej oczy były puste, a strój – aksamitna, kolorowa suknia – do niczego się nie nadawał.

Następnie do głowy dziewczyny zaczęły sączyć się wspomnienia. Prawda sama oddzielała się od kłamstw. Stopniowo March zaczęła przejmować kontrolę nad każdą częścią swojego ciała. Zdawało jej się, że przechodzą po nim setki mrówek, wszystkie tworzące je cząstki wibrowały. Iluzoryczna jaźń, zupełnie wypompowana z emocji, rozplynęła się i pozostał po niej jedynie niesmak.

Znów zakręciło się jej w głowie. Opadła na łóżko, a dłońmi masowała skroń. Udało się, była wolna!

Miauknięcie na nowo przywróciło ją do pionu.

– Piątek! – zawołała.

– Ćśś – syknął kot. – Nie mogą nas usłyszeć.

– Co? Ale jak ty... – I wtedy sobie przypomniała. – Zdradziłeś nas, prawda? To ty doniosłeś ferom, że pojawiliśmy się w Aislingen!

– Niby po co miałbym to robić? – prychnął. – Przy twojej głupocie sama zaraz sprowadzisz na siebie kłopoty.

– Więc jak...

– Jeśli się nie przymkniesz, niczego ci nie powiem, jasne?

Z trudem opanowywała gotującą się w niej złość. Dopiero po kilku głębszych oddechach uświadomiła sobie, że Piątek nie przyszedłby do niej, gdyby faktycznie był zdrajcą.

– Co się stało? – zapytała spokojniej.

– Co się stało? – powtórzył. – Wylądowałaś w piekle. No, ale przynajmniej jest tu całkiem przyjemnie.

– Nie gadaj głupstw!

Machnął ogonem i uniósł pyszczek.

– Niech będzie – powiedział urażony, po czym zaczął opowiadać: – Zaraz po tym, jak się przenieśliśmy, wyczułem, że coś się stanie. Mam nie tylko dziewięć żyć, ale też co najmniej siedem zmysłów. Dobrze znam fery. Wiedziałem, że jeśli was znajdą i uwiężą, nie zdołacie sami się uwolnić. Nie mogłem pozwolić, by pojмали mnie razem z wami.

– A więc to była twoja taktyka? Zostawić przyjaciół w potrzebie? – syknęła March.

Kot obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Chyba jeszcze nie zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, co? – stwierdził. – Poza tym szlachetne idee są... no, szlachetne, ale niekoniecznie rozsądne. W podobnych sytuacjach, nawet jeśli złapią twoich przyjaciół, przede wszystkim musisz sama nie dać się pojmać. Nikt nie wiedział o naszych przenosinach, więc sytuacja byłaby beznadziejna, gdyby i mnie zamknęli w koszmarze. Mogłem wam pomóc, tylko pozostając na wolności.

– Jak miałeś zamiar to zrobić? Nie pamiętam, żebyś próbował.

– A myślisz, że byłbym tak głupi, żeby dać to po sobie poznać? Naprawdę, ludzie są kretynami – westchnął kot. – To jasne, że szukałem sposobu, żeby was uwolnić, również dlatego, że potrzebuję waszej pomocy. Bez was nie przeniosę się z powrotem do świata ludzi. Aislingen może mieć pełno kolorowych i pachnących kwiatków, ale nie mam zamiaru spędzać tu reszty życia. Tutejsze fery nienawidzą ludzi. *Nienawidzą*. W najlepszym przypadku zrobiliby z ciebie kogoś w rodzaju zwierzęcia domowego. – Namyślił się. – Czyli kogoś takiego jak ja...

– Więc potrzebujesz nas do przeniesienia. Oczywiście nie zrobiłbyś nic bezinteresownie.

– Wspólne interesy łączą nas wszystkich.

– A jaki interes kazał ci się łączyć u stóp tej zasranej Wyrd?

Piątek się zawahał.

– Nie jest wcale taka zła – stwierdził. Nim March zdążyła go ochrzanić, szybko dodał: – To była część mojego planu. Zaraz po tym, jak was porwali, popędziłem w stronę pałacu. Przechadzałem się trochę po ogrodzie, aż natrafiłem na królową. Miałem szczęście, że w żaden sposób nie skojarzyła



waszego przybycia z moim. Oczywiście ani słowem się do niej nie odzywałem. Wzięła mnie za przybłędę i przygarnęła.

– W jaki sposób pomogło ci to w obmyśleniu planu uratowania nas? Co zrobiłeś, żeby nam pomóc?

Piątek napuszył się.

– Najpierw musiałem zaznajomić się z ich sposobem traktowania więźniów. Być może zdołałaś to zauważyć, ale sam pałac... swoją drogą, nazywają go Ametystowym Snem... no, w każdym razie on też nieco przypomina marzenia senne. Chodziłem to tu, to tam, czasem się gubiąc. Dużo czasu spędzałem w towarzystwie Wyrd.

March przerwała mu gestem.

– Dużo czasu? – powtórzyła. – Czyli właściwie ile? Nie wiem, jak długo byłam uwięziona.

– Tydzień – odparł.

– Tydzień?! Bez jedzenia i...

– To iluzje. Tak naprawdę twoje ciało było karmione i przebywało w Bibliotece Snów.

– Wiesz, gdzie ona jest? – Serce March zabiło mocniej.

Piątek zjeżył sierść.

– To ponure miejsce – odparł. – Widziałem je tylko przez ułamek sekundy. Trzymają tam uśpione ciała więźniów. Karmią je magiczną energią i obserwują, jak wyglądają ich koszmary. Umysł każdego z przetrzymywanych zostaje w tym czasie przeniesiony do ciała astralnego, a ono, naturalnie, przebywa w innej rzeczywistości. Tam czas można dowolnie rozciągać albo przyspieszać.

– Zaraz. Ale kiedy ja się obudziłam, nie leżałam w żadnym pomieszczeniu, tylko na polanie...

– Przenieśli cię. Nie powiem, żeby nie mieli z tym problemu, co to, to nie.

March zmarszczyła czoło.

– Mów jaśniej.

Piątek przez dłuższy czas nadstawiał uszu, nasłuchując ewentualnych odgłosów. Kilka razy przespacerował się po łożku i rozciągnął, po czym kontynuował:

– Zdziwiłaś ich, nie ma co. Nie spodziewali się, że zdołasz pokonać Strażnika. Z tego, co zrozumiałem, takie rzeczy zdarzają się niezwykle rzadko, a już na pewno nie wychodzą tak niedoświadczonym wiedźmom. Kiedy tylko zorientowali się, że walczysz, wybuchła panika. Ściągnęli do Biblioteki Snów samą Wyrd, a ja oczywiście wślizgnąłem się za nią. To królowa zdecydowała o przeniesieniu cię na polanę. Nie mogła pozwolić, żebyś widziała tajemne pomieszczenie, a nie ulegało wątpliwości, że zaraz się wybudzisz.

– Jak się zachowywałam?

– Wierzyłaś i szeptałaś coś pod nosem. Wyrzucili cię na polanę, pewnie z nadzieją, że będziesz zdezorientowana. Przypuszczam, że chcieli odesłać cię do domu.

– Ale im się nie udało. Spotkałam grupę ferów, a potem przyszedł ten niebieski.

– Lei – powiedział Piątek.

– Był zdziwiony, że mnie zobaczył... – March się zawahała.

– To była pewnie część ich sztuczki. Udawał, może po to, żebyś miała się za kogoś szczególnego. Wzbudzanie w ludziach wiary w ich wyjątkowość to część działania ferów.

– No, w każdym razie on zabrał mnie do Wyrd i...

– I musieli wymyślić historyjkę, żeby cię tu zatrzymać. Wyglądało to tak, jakbyś po raz pierwszy trafiła do pałacu, a potem udawali twoich przyjaciół, obiecali nauczyć cię magii. Oczywiście przekazaliby ci tylko bardzo płytką wiedzę, poplątali wszystko tak, że nigdy nie nauczyłabyś się, jak właściwie używać mocy. Fery są mistrzami kłamstwa. Niejedno tu widziałem i sam zacząłem się gubić w tym, co jest prawdą, a co nie, chociaż na mnie nie podziałali żadnymi czarami.

– A na mnie tak! – zawołała, zapominając o tym, że ktoś może ją usłyszeć. – Najpierw zasnęłam po wypiciu wina, a potem ta muzyka... – Znów ściszyła głos. – Dlaczego po prostu mnie nie zabili?

Piątek przeciągnął się w taki sposób, jakby próbował wzruszyć ramionami.

– Mam dwie teorie – oznajmił. – Pierwsza to taka, że chcą się po prostu tobą pobawić. Fery z Aislingen są znane z zamiłowania do takich rozrywek. Ale przyszło mi też do głowy, że ich w pewien sposób zaciekawiałaś i próbują teraz odkryć twój sekret.

– Którego nie mam – zaprotestowała natychmiast.

– Może masz, ale o tym nie wiesz?

– Jasne – prychnęła. – A co z tą muzyką? Wyrd ma jakąś harfę.

– Czary Wyrd są niezwykle silne, ale to naturalne. W końcu w jej żyłach płynie magia całej tej krainy. Całe szczęście, że cię obudziłem. Jeszcze kilka spotkań z nią, a bezpowrotnie byś się zatraciła.

To, co powiedział, uderzyło March. Zwłaszcza słowo „bezpowrotnie”. Teraz wiedziała już na pewno, że ofiarą właśnie takiej magii padła jej matka. Najwyraźniej nie można było już jej pomóc.

– Wiesz, co z Callenem? – spytała, by nie musieć stawiać czoła tej nowej, posępnej myśli. – Widziałeś go?

Kot potaknął. Wydał się bardzo niepewny.

– Muszę przyznać, że nie jest najlepiej. Wsadzili go w koszmar, z którym sam na pewno sobie nie poradzi. Wiesz, jak oni działają, sama tego doświadczyłaś. Dobrze wiedzą, co cię rani i jak dotrzeć do najgorszych wspomnień, a jego przeszłość jest boleśnieszka od twojej.

March nic na to nie odpowiedziała. Dotychczas uważała swoje życie za wystarczająco ponure, choć pewnie połowa

ludzkości tak samo myśli o swoich.

– Chłopak prawie wcale się nie rusza – dodał Piątek. – Śpi niezwykle głęboko.

– Wiesz, jak go uratować? – March drgnęła, gotowa, by wstać i zrobić coś od razu. – Jeśli się tu przechadzałeś i badałeś teren...

– To nie takie łatwe...

– Nie chcę tego słuchać. Masz mnie za idiotkę? Dobrze wiem, że nie będzie łatwo, ale chyba zrobiłam już kilka całkiem niezłych rzeczy.

– Nie rozumiesz. To, czego dokonałaś, jest... owszem, niespodziewane...

– Powiedziałam: dość! – syknęła. – Tak czy inaczej, spróbuję pomóc jemu, i nie tylko jemu.

Piątek wlepił w nią zdumione spojrzenie.

– Jak to nie tylko jemu?

Choć miała zamiar zostawić tę historię na potem, musiała opowiedzieć mu o Alogosie. Zdawało jej się, że kot, mimo że uwierzył w każde słowo, nie ufał do końca jej nauczycielowi.

– I nawet nie powiedział ci, kim jest? – spytał. – Ciekawe dlaczego...

– Gdyby nie on, w ogóle by mnie tutaj nie było. Obiecałam mu pomóc na pewno to zrobię. Muszę tylko wiedzieć, czy sam poznałeś jakiś sposób.

Nagle Piątek dumnie uniósł łeb.

– Gdybyś jeszcze nie zauważyła... – powiedział powoli. Na jego szyi zabłysnęło coś srebrnego. March chwyciła przedmiot.

– Co to jest? – spytała.

– Pieczęć Wyrda, otwiera wszystkie pomieszczenia w Ametystowym Śnie. Jak już dobrze wiesz, jestem złodziejem kluczy, a pieczęć Wyrda to najlepszy klucz ze wszystkich. Bez niej nie mógłbym z powrotem dostać się do sypialni królowej. Ale nie przyzwyczajaj się do niego. Zgarnąłem go tylko

pro wizorycznie, żeby się sprawdzić. Trzeba będzie go oddać i zwinąć jeszcze raz.

March przyjrzała się kluczowi. Nie wyglądał na zwyczajny. Przypominał raczej błyszczącą kulę, przy czym wydawał się nie do końca stały, jakby tworzyło go światło. A mimo to przymocowano go do srebrnego wisiora, który Piątek jakimś cudem zdołał założyć sobie na szyję.

– Pieczęć działa inaczej niż zwykły klucz – zaczął wyjaśniać, gdy o to zapytała. – W Ametystowym Śnie nie ma zwykłych zamków. Ale mając na sobie pieczęć, możesz dostać się do każdego pomieszczenia.

– Myślisz, że do Biblioteki Snów też się dostanę bez problemu?

– Dostać, dostaniesz, ale czy bez problemu?

– Okay. – March zignorowała wątpliwości kota. – Musimy znaleźć tę Bibliotekę, rozbić klucze koszmarów i... – Zatrzymała się. – No właśnie, i co potem? – Wlepiała w Piątka oczekujące spojrzenie.

– Dobrze pytanie – odrzekł. – W Bibliotece Snów pracuje cała masa ferów. Nie będzie łatwo wyswobodzić więźniów, ale... – Zastanowił się. March z nadzieją wyczekiwała, aż w jego głowie zrodzi się jakikolwiek pomysł. – Zbliża się Święto Ognia i Wody – oznajmił wreszcie.

– A jaki to ma związek?

– Oczywiście. Fery będą zajęte przygotowaniem, a potem obchodami. Większość dostanie *wychodne*, co nie? Będą uczestniczyć w rytuale. Najlepiej działać właśnie wtedy.

– Wtedy, czyli kiedy? Na jaki dzień przypada to święto?

– Przesilenie letnie, dwudziesty pierwszy czerwca.

March westchnęła.

– Mam tak długo czekać? Przecież jest dopiero... Który?

– Szesnasty.

Szybko policzyła pozostałe dni, boleśnie uświadamiając sobie, że wcale nie ma ich tak wiele. Z drugiej strony nawet kilka godzin mogło okazać się krytycznych dla Callena, skoro Piątek twierdził, że stan chłopaka jest tak okropny. O Alogosa się nie martwiła. Wiedziała, że bez problemu wytrzyma tyle, ile będzie musiał.

Raz jeszcze rzuciła okiem na pieczęć.

– Może chodźmy tam od razu – zaproponowała nagle, podnosząc się, gotowa do drogi. – Skoro już masz ten cudowny klucz...

– Zwariowałaś? Przecież by nas zabili. Poza tym, posłuchaj, tak naprawdę zostało niedużo czasu, a przed tobą stoi zadanie o wiele większe niż uwolnienie tej dwójki. Rozumiesz, co mam na myśli?

March pokręciła głową.

– Chyba nie bardzo...

– Musisz nauczyć się walczyć – oznajmił poważnie kot. – Fery bez wątpienia nas zaatakują. Właśnie dlatego nie możemy działać natychmiast. Szczerze mówiąc, i tak nie mamy większych szans, ale warto próbować chociaż *jakoś* się przygotować. Powinnaś wykorzystać swoje lekcje z Hypnosem i namówić go do pokazania ci techniki walki. Zgodzi się, jeśli uzna, że wciąż jesteś pod wpływem czararu, za to ty musisz robić wszystko, żeby się pod tym wpływem nie znaleźć. Przede wszystkim nie pij eliksirów, a jeśli chodzi o jedzenie, bierz tylko owoce i chleb, o ile nie pachnie ziołami.

Przytaknęła, zastanawiając się, jak długo będzie umiała wytrzymać na takiej diecie. Coś jeszcze przyszło jej do głowy.

– A co, jeśli Wyrd znów każe mi słuchać swojej muzyki?

– Wtedy musisz...

Usłyszeli czyjeś kroki na korytarzu. Piątek prędko zanurkował pod łóżko, a March opadła na poduszkę, udając, że śpi, dokładnie w chwili, gdy drzwi komnaty się otworzyły.

Ktoś wszedł do środka i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu. March lekko uniosła powiekę. Zmroziło ją, gdy zobaczyła Ilyę rozglądającą się dokładnie po wszystkich kątach. Jej ciało lekko świeciło, jakby otaczała je luna. Dziewczyna znów zamknęła oczy i nie otwierała ich, póki ferini nie odeszła.

Piątek odczekał dłuższy czas, nim ponownie wskoczył na łóżko.

– Jeśli Wyrd dla ciebie zagra – szepnął – wtedy... No cóż, wtedy musisz jakoś sobie radzić. Ale podobno twój przyjaciel stwierdził, że masz dobry umysł. Silna wola i tak dalej. To chyba wystarczy...





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Początkowo March sądziła, że udawanie zaklętej będzie trudne, ale kiedy wreszcie stanęła przed Hypnosem w świątyni, wydało się wręcz niewykonalne. Przez całą noc nie zmrużyła oka, dlatego miała ograniczoną zdolność grania zadowolonej. Poza tym niedokładnie już pamiętała swoje zachowanie, gdy była pod wpływem czarów. Obrazy z poprzedniego dnia migały jej przed oczami, ale były zamglone i miała wrażenie, że dotyczą kogoś innego.

– Wyglądasz niewyraźnie – zauważył fer, jeszcze nim stanęli przed ołtarzem.

– Źle spałam – odparła bez zastanowienia. Dopiero potem naszła ją myśl, że niewłaściwie to zabrzmiało. W końcu czary miały wprowadzić ją w dobry nastrój, więc w pewien sposób przyznała, że nie zadziałały.

Hypnos przyjrzał jej się uważnie.

– Naprawdę? – Nie krył zdumienia.

– Chodzi mi tylko o to, że... – Musiała naprędce coś wymyślić. – No, miałam tyle pięknych snów i robiłam mnóstwo rzeczy... – Uśmiechnęła się tak słodko, że ją samą zemdliło. – Tańczyłam, skakałam, niebo wirowało... No, to czym się dziś zajmujemy? – szybko zmieniła temat. – Może pokażesz mi jakiś sposób... walki?

Miała nadzieję, że spojrzenie, jakie mu posyłała, było wystarczająco niewinne.

– Walki? – zdumiał się. – Dlaczego chcesz się jej nauczyć?

– No... – Zawahała się. – W sumie może wcale nie potrzebuję takiej wiedzy. Tu, w Aislingen, niszczycielska moc pewnie mi

się nie przyda. W końcu jesteście dla mnie tak dobrzy...

Coś jej mówiło, że fer nie uwierzył w jej udawanie, a przynajmniej że nabrał dodatkowych wątpliwości. Spodziewała się kolejnych pytań, ale on tylko uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Chciałbym wrócić do nauki wyczuwania magii – oznajmił.  
– Usiądź, proszę.

Posłusznie zajęła miejsce przy ołtarzu, przy okazji próbując szerzej się uśmiechnąć. To, że miała na sobie ohydną sukienkę ozdobioną różami, nie pomagało jej lepiej się poczuć.

Zamknęła oczy. Nie czekała na instrukcje Hypnosa. Od razu poczuła w brzuchu przyjemne ciepło. Jednocześnie naszła ją myśl o własnej mocy. Miała magię, znów w pełni kontrolowała swoje ciało. A gdyby już teraz użyć czarów? Mogłaby zaatakować nauczyciela i...

Nie... – Naszła ją kolejna refleksja. To nie była właściwa chwila. Nawet gdyby wygrała z Hypnosem, to co później? Marnując siłę na walkę z nim, osłabiłaby się przed starciem, które dopiero ją czekało.

Opanowała rosnące ciepło. Nie mogła pozwolić mu się rozlać tak, jak wcześniej. Utrata świadomości i wizje zbyt wiele ją kosztowały.

– Dobrze ci idzie – oznajmił Hypnos, na co ona natychmiast otworzyła oczy.

– Skąd wiesz? – spytała ostro. – Chyba tego nie widać, prawda?

Znów się zagalopowała. Znów za bardzo przypominała prawdziwą, nieodurzoną March.

– Jestem empatą – odparł fer. – Wyczuwam wiele rzeczy...

Jego wzrok sugerował coraz większą podejrzliwość.

– Naprawdę? – odchrząknęła i zmieniła ton na rozmarzony. – Jesteś niezwykły!

Hypnos nie był łasy na komplementy. March jeszcze szerzej się uśmiechnęła, czego efekt nie wydawał się piorunujący. Najpewniej tylko się pograżyła. O dziwo, fer znów milczał na ten temat i właśnie to milczenie było podejrzane. Gdyby March wiedziała, co sobie pomyślał, mogłaby poczęstować go odpowiednim kłamstwem, a tak...

– W porządku – powiedział. – Skoro tak dobrze wyczuwasz już swą energię, pora, byś poczuła też energię kogoś innego.

– Twoją?

– Nikogo innego tu nie ma, jeśli nie liczyć duchów natury. Ale one nie będą dobre na początek. Powinnaś raczej poczuć kogoś cielesnego.

Przesunęła wzrokiem po jego ciele. Faktycznie, był cielesny, i to w całkiem przyjemnym znaczeniu tego słowa. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale teraz musiała przyznać, że podobała jej się jego atletyczna postura.

Nagle wróciła do niej myśl, którą miała, będąc pod wpływem czaru. *Mogłabym się w nim zakochać...* Na tak idiotyczny pomysł mogła chyba wpaść jedynie omamiona czarem. Hypnos był jej wrogiem, i to śmiertelnym. No i – nie oszukujmy się – miał skrzydła. Sama nie wiedziała już, co stanowi większą przeszkodę.

– Potrzymaj ręce – poprosił. – Pozwól energii trochę się skrzyć, a potem dotknij mnie i po prostu zamknij oczy.

– Gdzie mam cię dotknąć? – spytała z zakłopotaniem.

– Gdziekolwiek – mruknął. Był już w pozycji medytacyjnej, chyba lotosowej czy coś w ten deseń.

– Okay – westchnęła. Tak jak mówił, potarła dłonie. Przesłała do nich trochę energii. Ta rozeszła się na wszystkie palce, wywołując mrowienie. Potem, dokładnie przyglądając się ciału fera, próbowała zdecydować, gdzie położyć dłoń. Wreszcie uznała, że najbezpieczniej będzie dotknąć kolana.

Zamknęła oczy. Tym razem magia nie była już tak łatwo wyczuwalna. Pierwszym, z czego zdała sobie sprawę March, było przyśpieszenie pulsu. Dopadły ją też wątpliwości. To wszystko szło chyba w niewłaściwym kierunku. Zaczęła się pocić.

– Nie denerwuj się – napłynęły do niej słowa Hypnosa. – Skup się tylko na mojej energii. Odpowiedz sobie na pytanie: kim on jest?

*Dobre pytanie* – pomyślała. Tyle że zamiast uzyskać prostą odpowiedź, przekopywała się przez własne dociekania. Jest ferem, jest okrutny, chce mnie zwieść. Jest całkiem miły, zna się na nauczaniu. Jest wstrętny, działa w zмовie z Wyrd. Jest trudny do rozgryzienia, może ma jakieś ukryte cele.

Jest przyjazny, chce mi pomóc.

Gdy tylko pojawiła się ta myśl, March przerwała ćwiczenie. Miała wrażenie, że to jedno stwierdzenie nie pochodzi z jej głowy, ale z zewnątrz, jakby faktycznie przysłała je intuicja. Zmrużyła oczy, wpatrując się w Hypnosa. Fer również na nią spojrział.

– I co? Jaki jestem? – zapytał wesoło.

– To... trudne – odparła. Ze wszystkich sił próbowała wygiąć usta do szczerzego uśmiechu, ale zupełnie jej to nie wychodziło.

Hypnos za to posłał jej ciepły uśmiech.

– Nie martw się, to normalne. – Poklepał ją po plecach. – Spróbuj jeszcze raz.

Kolejne dwie godziny March spędziła na czytaniu go, a im głębiej wchodziła – przynajmniej na tyle, na ile jej pozwalał – tym większe miała wątpliwości. Owszem, nie wyczuwała podstępów, ale przecież mógł idealnie go zakamuflować. Wzbudzał w niej zaufanie pewnie po to, by ją omamić. A jednak, jeśli wiedział, że nie jest już spętana zaklęciem, dlaczego nie rzucił go na nowo? Nie dał jej eliksiru... Być może

czekał. W zasadzie i tak miał ją w garści, póki była tutaj, w jego krainie.

*Boże, zamknij się* – rozkazała własnemu umysłowi. Stanowczo za dużo o tym wszystkim myślała.

Koniec dzisiejszej lekcji March przyjęła z ulgą i szybko opuściła świątynię. W drodze do Domu Gości dołączył do niej Piątek. Przez kilka chwil szli w całkowitym milczeniu. On machał ogonem jak rasowy kot, a ona pospieszyła do swojej komnaty. Wpuściła go do środka, rozejrzała się i spytała:

– O co chodzi?

– O nic. Chciałem tylko wiedzieć, jak ci poszło.

Wzruszyła ramionami.

– Nijak. Liczyłam na to, że Hypnos pokaże mi, jak walczyć, ale nie zrobił tego. – Westchnęła. – Nie mogę przestać myśleć o tym, co obiecałam Alogosowi. No i trzeba też pomóc Callenowi, a im dłużej to się przeciąga, tym bardziej wątpię w powodzenie.

Piątek wskoczył na łóżko. Zdawało się, że siądzie March na kolanach, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu.

– Wiesz – powiedział – czasami trzeba się bać i nie wierzyć w swoje szczęście, a mimo wszystko próbować. Nie da się przygotować na wszystko ani być zbyt ostrożnym.

– Może się nie da – przyznała – i to mnie właśnie martwi. Poza tym muszę cię o coś spytać.

– Proszę bardzo.

– Chcę zapytać o ciebie.

Po tych słowach Piątek natychmiast stracił pewność siebie.

– O mnie? – odparł z wahaniem. – Nie rozumiem.

– Jak długo znasz Callena?

Już wcześniej się nad tym zastanawiała. Piątek wprawdzie twierdził, że jedynie kojarzy chłopaka, ale wcale to tak nie wyglądało.

– No... Trochę. – Kot się zamyślił. – Trochę się znamy.

– Co znaczy *trochę*? Mów jaśniej.

Piątek zeskoczył z łóżka, jakby obawiał się, że będzie musiał patrzeć jej w oczy, a potem zaczął nerwowo przechadzać się po komnacie.

– Po wydarzeniach w Finfolk nie żyło tam wiele czarownic – oznajmił. – Nawet pomimo tego, że miasteczko jest jednym z ostatnich miejsc.

– Takich, z których, jak to mówił Callen, magia *wycieka* na końcu? – podchwyciła March.

– Dokładnie. Czarownice lubią w nich zamieszkiwać, ale oczywiście bały się Finfolk. Odżyło tam zbyt wiele głupich legend, zabobonów. Fery wciąż je za to odwiedzają. Mają tam kilka miejsc, w których lubią przesiadywać. Znasz to drzewo, które nigdy nie rodzi owoców?

March się zastanowiła. Przypominała sobie, że Isel faktycznie wspomniała jej kiedyś o dziwnym drzewie rosnącym w finfolskim parku. Zakwitało, to prawda, ale nigdy nie rodziło owoców. Coś zawsze niszczyło kwiaty, nim pszczoły zdążyły się nimi zająć.

– To fery je zasadziły – wyjaśnił Piątek. – Drzewo stanowi rodzaj portalu z Aislingen do świata ludzi. Z jednej strony przydaje się im w podróżach między wymiarami, za to z drugiej muszą pilnować, by nigdy nie pojawiły się na nim owoce. Są magiczne, a gdyby ktoś je zjadł, zyskałby niezwykłą moc, nawet jeśli tylko na moment. Wiesz, że skrzydlaci nie znoszą, gdy inni sięgają po siłę, którą uważają za dostępną tylko im.

– Chwilę. – March powstrzymała kota, nim zdążył rozgadać się na temat Finfolk. – Pytałam o ciebie i Callena.

Być może się myliła, ale miała wrażenie, że Piątek celowo unika tematu.

– To nic ciekawego – stwierdził. – Kiedy przybyłem do miasteczka, on już tam był. Od czasu do czasu go

odwiedzałem, ale nie mogę powiedzieć, żebyśmy się zakumplowali.

– Ale jak długo się znacie? Znałeś też Irmę. W ogóle kiedy doszło do ataku na siostry Malloway?

– Bo ja wiem? Trudno zliczyć, ile minęło lat.

– Jak to? Przecież musiało się wydarzyć niedawno, skoro Callen ma szesnaście lat. Obie siostry umarły, tak? Kiedy?

Nagle Piątek stanął w miejscu. Jego oczy zabłyśły, przez chwilę wydawał się zwykłym kotem.

– Dlaczego zadajesz mi tyle pytań?

– Tak po prostu. Z ciekawości. Zresztą...

– Przeprowadzasz śledztwo? – warknął. – Myślałem, że masz na głowie ważniejsze sprawy. – Podeszedł do łóżka i wlepił w nią groźne spojrzenie. – Posłuchaj, March Sky – dodał, zanim zdążyła w jakikolwiek sposób się obronić. – Pomogę ci, bo tego chcę. I potrzebuję. Ale potem więcej się nie spotkamy, więc nie musisz wiedzieć o mnie więcej, niż wymaga tego sytuacja. I nie życzę sobie podobnych pytań. Są zbyt osobiste.

Ruszył w stronę wyjścia.

– Otwórz – rozkazał.

Zdezorientowana March podeszła do drzwi i pociągnęła za klamkę, a Piątek z wysoko uniesionym ogonem opuścił komnatę. Ona natomiast usiadła na łóżku. Chwilę zajęło jej dojście do siebie, a potem w myślach prześledziła całą ich rozmowę. Nie widziała w niej niczego, co mogłoby wprowadzić kota w podobny nastrój. *Ale jeśli go zdenerwowałam – pomyślała – to pewne, że ma jakieś tajemnice.*

– On i Callen – mruknęła. To, co wiedziała na ich temat, było jedynie wierzchołkiem góry lodowej. I mimo że bała się tego, czego jeszcze może się dowiedzieć, miała zamiar poznać całą prawdę.





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Zbliża się Święto Ognia i Wody – oznajmił Hypnos podczas kolejnych zajęć. – Na ten czas będziemy musieli zawiesić nasze lekcje.

March pokręciła głową, starając się nie zdradzać entuzjazmu.

– Nie chcę cię urazić, ale musisz wiedzieć, że nie będzie ci wolno brać udziału w uroczystościach.

Właśnie to miała nadzieję usłyszeć. Z pewnym trudem udała zawiedzioną.

– Och, dlaczego? – odparła, siląc się na zawiedziony ton.

– Święta są dla nas szczególnie istotne – oznajmił fer. – Nie chcemy, by postronni oglądali rytuały. Przykro mi.

– Mnie również. – Spuściła głowę, po czym uśmiechnęła się, wracając do udawania zakłętej.

Wszystko wskazywało na to, że udało jej się uspić czujność ferów. Nie zaobserwowała żadnych zmian w zachowaniu Hypnosa ani Ilyi, jeśli zaś chodzi o Wyrd, ta nie zapraszała jej już do pałacu. March sama nie wiedziała tylko, jak długo będzie w stanie grać. Codziennie jadła na śniadanie tylko dwa jabłka, a piła wyłącznie czystą wodę. Elixiry i wino wylewała za łóżko, przez co w pokoju roznosił się kwaśny zapach, któremu nie pomogło ciągłe wietrzenie. Coraz bardziej niepokoiło to Ilyę, jednak ferini o nic nie pytała.

Udawanie szczęśliwej było cholernie trudne. W każdej wolnej chwili March myślała tylko o uwięzionym Callenie, a obawy zdawały się ścisnąć jej żołądek. Była boleśnie świadoma własnej niemocy, jak i tego, że każda minuta mogła okazać się

dla chłopaka decydująca. Nie, nie rozumiała, jak dokładnie działało mamienie, ale to sprawiało, że tym większy prześladował ją lęk. Wracała też myślami do matki. Czy Emma Sky przeżywała od wielu lat to samo, co March czuła uwięziona w ciele, które na krótko przestało do niej należeć? Gdyby miała spędzić choćby dzień dłużej w tym stanie, pewnie by oszalała. Może i jej matka postradała już zmysły, może *prawdziwa* Emma Sky na zawsze znikła, a March nigdy nie będzie mogła jej poznać?

Musiała się stąd wydostać. Piękno Aislingen było duszące, straszne. Niestety Hypnos wciąż nawet nie zająknął się o nauce walki, a ponieważ do święta zostały już tylko dwa dni, straciła nadzieję, że zdoła z czyjąś pomocą przygotować się do możliwego starcia. Dziś fer również oznajmił, że będą uczyć się czegoś innego.

– Być może już ci to mówiłem – zaczął – ale magia to przede wszystkim działania umysłu. By dobrze go użyć, musi być czysty i pozbawiony zewnętrznych wpływów, także wpływu tych, którzy chcą ci mącić w głowie.

Marszcząc czoło, March posłała mu niepewne spojrzenie.

– Mącić w głowie? – odparła powoli.

– Ustalmy jedno – powiedział zasadniczym tonem. – Wbrew temu, co sądzą niektórzy, nie da się *czytać* w myślach, przynajmniej nie dosłownie. Jest za to możliwe rozpoznawanie czyichś stanów, uczuć, a tym samym zrozumienie, co dzieje się w głowie i sercu innej osoby. Myśli nie przypominają słów, ale ciągi skojarzeń. Ktoś, kto ma wprawę w magii, potrafi dotrzeć bardzo głęboko, badając obce umysły. Może sięgnąć wspomnień.

– Tak jak wy – szepnęła March.

Hypnos urwał i pokiwał głową.

– Tak jak my – przyznał. – Chcę cię nauczyć opanowywania rozbieganych myśli tak, by nikt nie mógł wdrzeć się w twój

umysł.

– Sądysz, że grozi mi coś podobnego? – spytała. – Tutaj, w Aislingen?

Fer rozmawiał z nią tak, jakby wcale nie była omamiona. Czy mimo wszystko domyślał się, że zdołała obejść ich czary? A teraz planował coś, czym na powrót ją zniewoli?

– Masz być wiedźmą, prawda? Tego chciałaś.

– Tak – odparła bez wahania, choć w zasadzie nie była już pewna. W pierwszej chwili, jeszcze nim przeniosła się do Aislingen, była gotowa pięściami wybić Callenowi z głowy bzdury o magii, potem, kiedy już jej doświadczyła, zachwyty mieszał się w niej z obawami. W każdym razie potrzebowała magii w tej chwili; może gdy to wszystko się skończy (a ona jakimś cudem przeżyje), będzie miała dość czarów na całe życie.

– W takim razie – powiedział Hypnos – musisz być gotowa na to, że ktoś kiedyś może zechcieć wdrzeć się do twojego umysłu. Ci, którzy praktykują magię, są narażeni na spotkania z różnymi istotami. Jest tak dlatego, że używając mocy, wzmacniasz własną aurę, a tym samym przyciągasz byty karmiące się energią. Trzeba wiedzieć, jak się przed nimi chronić.

Pokiwała głową.

– Mam nadzieję, że się tego nauczę – powiedziała już bez silenia się na zgrywanie otumanionej.

Usiedli naprzeciwko siebie. Hypnos rozpałił kadzielnicę i gdy słodkawy dym wypełnił świątynię, przemówił głębokim, spokojnym głosem.

– Rozluźnij się. W trakcie ćwiczenia będę starał się wyczuć twój nastrój i w pewien sposób wejść do twojej głowy. To coś podobnego do ostatniego ćwiczenia, gdy uczyłem cię odbierać doznania z aury. Teraz sięgniemy głębiej. Nie martw się, nie

będę poszukiwać prywatnych wspomnień, choć musisz być gotowa na to, że pewnego dnia ktoś może zechcieć to zrobić.

W odpowiedzi jedynie kiwnęła głową. Miała nadzieję, że nie wyczuł jej niepokoju. Wątpiła, że uda jej się teraz rozluźnić.

– Sięgnij znów do źródła swojej mocy – polecił fer. – Ona jest po to, by dodać ci pewności siebie. Nie wydobywaj jej z brzucha, pozwól jej tam zostać i cię ogrzewać.

Jak zwykle March zamknęła oczy. Natychmiast poczuła znajome ciepło, które rozlewało się w żołądku. Oczami wyobraźni widziała je teraz jako złocistą kulę, małe słońce wewnątrz niej samej. Zaczepnęła mocy. Nagle poczuła dotyk – nie na ciele, bardziej na aurze. Zorientowawszy się, skąd pochodzi to uczucie, nie uchyliła powiek. Wiedziała, że to Hypnos próbował dostać się do jej umysłu. Skupiła uwagę na świetlistej kuli. To ona ją chroniła. March pozwoliła jej się rozszerzyć, najpierw na cały brzuch, potem na klatkę piersiową; wreszcie energia utworzyła okrągłą skorupę wokół całego jej ciała.

– Oj! – syknął Hypnos. Dopiero wtedy otworzyła oczy. Fer machał ręką, jakby coś go zabolalo. – Poparzyłaś mnie! – Powiedział to bez wyrzutu. Wydawał się nawet zadowolony.

– Poparzyłam?

– Twoja aura stała się gorąca jak rozgrzany piec.

– Ale ja tego nie poczułam!

Nie wiedziała, co myśleć. W pierwszej chwili uznała, że powinna się cieszyć, skoro jej moc stała się tarczą. Za to kolejny wniosek ją przeraził. Co, jeśli to rozgrzanie aury było zapowiedzią samozapłonu?

– Instynktownie wiedziałaś, co robić – oznajmił Hypnos. – Prawie ci się udało.

– Prawie?

– Owszem. Widziałem to, co ty. Kulę podobną do słońca. Miałem zatem wgląd w to, o czym myślałaś. Odruchowo

skupiłaś się na wizji tak, by oczyścić umysł z wszelkich innych doznań. Następnym razem nie rozmyślaj o tym, jak wygląda twoja moc. Lepiej, by przeciwnik o tym nie wiedział. Skup się na jakiejś błahostce, na przykład butach albo... podłodze.

To wydawało się o wiele trudniejsze. March nigdy nie umiała zbyt długo myśleć o bzdurach tego typu. Jeśli coś ją pochłaniało, to zwykle miało związek z czymś nieprzyjemnym, ale przynajmniej ważnym.

– Spróbujmy jeszcze raz, dobrze? – poprosił łagodnie Hypnos. Jego życzliwość też ją niepokoiła. Tę myśl musiała jednak natychmiast odrzucić. Fer nie powinien do niej dotrzeć.

Zamknęła oczy. Ponieważ nie wiedziała, jak myśleć o czymś nieistotnym, postanowiła wrócić wspomnieniami do czegoś, co dla Hypnosa nie miałoby znaczenia. Wyobraziła sobie pana Clifforda i ostatnią lekcję angielskiego. Gdy fer wkradł się znów do jej aury, już odtwarzała w głowie sceny, które rozgrywały się, gdy nauczyciel opowiadał o *Śnie nocy letniej*. Nie wiedzieć czemu, twarz mężczyzny zamieniła się nagle w twarz Isel, która coś krzyczała, a potem zastąpiła ją matka.

March naraz się poruszyła. Wizja uciekła. Gdy otworzyła oczy, Hypnos wpatrywał się w nią z uśmiechem.

– Widzisz, jak to działa? – spytał.

– Nie rozumiem.

– Znów udało mi się zajrzeć do twych myśli. Widziałem niewyraźne obrazy. Takie, które cię osłabiły.

– Ale myślałam o czymś, co nie powinno cię obchodzić...

– Nie, nie, to nie tak. Przypomniałaś sobie rzeczy, które obchodziły *ciebie*, w dodatku najpewniej takie, które cię boją. To wystarczy, by wróg zyskał nad tobą przewagę.

– Co dokładnie widziałeś?

– To nieistotne. Przerwałem kontakt, zanim mogłem wniknąć głębiej. Pamiętaj, że ja jestem przyjacielem, nie wrogiem.

*Przyjaciel...* Niemal wzdrygnęła się z obrzydzeniem na to słowo.

– Okay, spróbujmy jeszcze raz – poprosiła, jednak Hypnos się nie zgodził.

– To zły pomysł – powiedział. – Powinnaś dbać o swój umysł, nie wolno go przemęczać. – Urwał, po czym zniechęcająco dodał: – Masz dziś spotkać się z królową.

Prawie jęknęła, słysząc tę wiadomość.

– Jak to? – spytała, nie siląc się na ukrycie strachu.

– Dawno się nie widziałyście – westchnął Hypnos. – Czy to źle, że chce cię zobaczyć?

March prawie zaczęła się jękać.

– To... oczywiście... Nie, w porządku – zreflektowała się. – Chętnie się z nią spotkam. – Kłamstwo chyba jej nie wyszło, bo nawet nie była w stanie się zaśmiać.

Patrzenie w twarz fera jedynie wzmagało jej niepewność. Teraz wszystko zaczęło mieszać się jej w głowie. Znał jej tajemnicę czy nie? A jeśli tak, to dlaczego właśnie teraz uczył ją, w jaki sposób zablokować dostęp do swojego umysłu? Przecież teoretycznie powinien chcieć uczynić ją bezbronną.

Opuszczała już świątynię, gdy poraziła ją nagła myśl. A może Hypnos próbował dać jej wskazówkę? Może celowo nauczył ją ochrony wspomnień, by przygotowała się na spotkanie z Wyrd? Posłała mu jeszcze jedno spojrzenie. Mimo wszystko pytanie, jakie cisnęło jej się na usta, zachowała dla siebie.



– Nie wiem... To byłoby dziwne – stwierdził Piątek, gdy podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami. W ciągu ostatnich dwóch dni nie pojawiał się w jej komnacie. Zachowywał się,

jakby go obraziła, a ona sama nie miała bladego pojęcia czym. Teraz, gdy wreszcie przyszedł, nawet nie zająknął się na temat ostatniej rozmowy, zupełnie jak gdyby wymazał ją z pamięci.

– Dlaczego dziwne? – spytała March. – Wydaje mi się, że on w pewien sposób... – Nie wiedziała, jak ubrać to w słowa, by nie zabrzmieć żałośnie. – No, chyba mnie polubił.

Piątek prychnął z politowaniem.

– Myślisz, że dla fera z Aislingen jakaś ludzka dziewczyna jest wystarczająco ciekawa, by okazać jej coś więcej niż chwilową życzliwość? Po tym wszystkim, czego tu doświadczyłaś, powinnaś dawno się nauczyć, że podstawowa zasada w relacjach ze skrzydlatymi brzmi: „Nie ufaj”.

– Nie jestem głupia – warknęła.

– Więc się tak nie zachowuj. Tutejsze fery *nigdy* nie polubią ludzi.

– Czyżby? – podchwyciła March. – A co z moją matką? A co z matką Callena?

Kot wskoczył na stolik, by zerknąć jej prosto w oczy. Przez chwilę była przekonana, że próbuje zbadać, czy nie znalazła się na nowo pod wpływem zaklęć.

– Chyba nie myślisz w takiej chwili o romansach – ofuknął ją.

– O romansach?! – uniosła się. – Mówiłam tylko o... o przyjaźni!

– O przyjaźni? – Piątek zeskoczył zgrabnie ze stolika i mruknął: – Jesteś rąbnięta. Fery z Aislingen i ludzie nigdy nie będą przyjaciółmi, ale całe szczęście, że nie myślisz o nim w *ten* sposób. W końcu mogłabyś chyba zostać dziewczyną Callena.

Rozeźlona March miała ochotę kopnąć kota prosto w tłusty zadek.

– I kto tu jest bezmyślny? – warknęła. – To ty nie masz nic lepszego do roboty, tylko głądzić od rzeczy?

– Dobrze już, dobrze, koniec żartów – rzucił. – Nie dbam o to, czy tamten fer chce ci pomóc, czy nie, skoro, o ile wszystko dobrze pójdzie, pojutrze już nas tu nie będzie. Mam tylko nadzieję, że...

Nagle otworzyły się drzwi komnaty. Piątek wskoczył w ramiona March z takim impetem, że przewrócił ją na łóżko. Ona za to, najpierw zszokowana, szybko zaczęła udawać, że tylko się z nim bawi. Głaskała go, na co ten mruczał jak zwyczajny kot. W drzwiach stała Ilya. Nigdy dotąd nie weszła do komnaty tak gwałtownie.

– Ten kot? – zapytała. – Przecież on należy do naszej pani.

– Sam do mnie przyszedł – odparła March, podnosząc się na łokciach. Ilya groźnie zmrużyła oczy. To był pierwszy raz, gdy March widziała ją okazującą gniew. Zdumiała się, że zwiewna ferini w ogóle ma jakiegokolwiek uczucia.

– Nasza pani chce cię wiedzieć – oznajmiła. March nabrała nagłej pewności, że mina, jaką przybrała Ilya, oznaczała tylko jedno: ferini czekała, aż władczyni zniszczy dziewczynę. I cieszyło ją to. Nawet ją... A wydawała się dość neutralna.

– Teraz? – odparła March.

Ilya jedynie skinęła głową. Gdy wyszła, dziewczyna wtuliła się w futro Piątka.

– Już po mnie – szepnęła.

– Niekoniecznie. Jest siedemdziesiąt procent szans, że przeżyjesz. No, może trochę mniej.

Żart kota był jeszcze bardziej beznadziejny niż zwykle.

March opuściła Dom Gości i ruszyła ścieżką prowadzącą do pałacu. Chwiała się na rozedrganych nogach. Piątek, który najpierw jej towarzyszył, szybko znikł, pomrukując, jakby chciał jej życzyć powodzenia.

Tym razem królowa nie czekała w ogrodzie. Zasiadała na tronie w głównej sali. Wzrok miała utkwiony w drzwiach



wejściowych, najwyraźniej w oczekiwaniu na gościa. Jej ruchy, zwykle płynne, zdradzały pewną nerwowość.

– Ponoć mój kot się z tobą zaprzyjaźnił – oświadczyła, widząc wchodzącą March. Choć jej usta ułożyły się do uśmiechu, nie wyglądała na szczególnie zadowoloną.

– Przeszedł do mnie któreś nocy – odparła March.

*Szybko się dowiedziałaś, lisico* – pomyślała.

Wyrd wstała tak gwałtownie, że w pierwszej chwili March przeraziła się, że królowa usłyszała jej myśli. A przynajmniej, jak mówił Hypnos, wyczuła jej pogardę.

– Chodź – powiedziała władczyni. – Potrzeba mi nieco rozrywki, a przy okazji chciałabym porozmawiać o twoim treningu.

Ruszyły w głąb pałacu. Przeszły przez ścianę i znów znalazły się w korytarzu, gdzie zewsząd wyskakiwały portale. Obawy March znacznie wzrosły, gdy otworzyło się przed nią przejście do prywatnej komnaty królowej. Choć opanowywała drżenie, serce waliło jej jak młotem, czoło miała mokre. Szybko wytarła je ręką. Cokolwiek się stanie, już nie zdoła temu zapobiec.

Wyrd nie zwlekała i od razu zajęła swoje miejsce. March powoli usiadła naprzeciw niej, próbując sobie przypomnieć każde słowo z dzisiejszej lekcji z Hypnosem. O czym miała myśleć? O czymś nieistotnym, tak?

– Więc jak ci idzie? – odezwała się królowa, wybijając ją tym samym z rytmu. Sama nastrajała już harfę.

– Nie narzekam.

Władczyni się zaśmiała, czy może raczej prychnęła.

– Sądziłam, że uznasz magię za dar – oznajmiła.

March tylko pokręciła głową. Nie potrzebowała od Wyrd żadnych darów, skoro magia i tak była jej pisana.

– Tak, podoba mi się trening – przyznała, wpatrując się w struny poruszane miarowo palcami królowej. Badała ich długość, kolor, sposób drgania, wmawiając sobie, że wszystko

to ją ciekawi. Byle tylko nie myśleć o tym, co było dla niej istotne.

– Hypnos spełnia się w swej roli? Czym się dziś zajmowaliście?

Władczyni wypowiedziała te pytania nagle, jak gdyby przypuszczała atak. Jej ton nie znosił sprzeciwu, a mimo to March nie odpowiedziała od razu. Zawahała się, po czym skłamała:

– Czary, zaklęcia. Tak naprawdę uczą mnie wielu rzeczy teoretycznych.

Nie patrzyła w oczy królowej, bojąc się jej hipnotycznego spojrzenia. Nagle spod palców Wyrd popłynęła muzyka. Była niczym cios – gwałtowna, mocna. Zdezorientowała March. Przestrzeń wokół dziewczyny zaczęła tańczyć, podłoga jakby osunęła się spod stóp. Rozpoczęła się walka.

Dźwięki agresywnie próbowały wedrzeć się do umysłu March. Wyrd była wściekła. Nie oczy ją zdradzały, nie słowa ani nawet nie ruchy, ale coś, co płynęło z jej wnętrza, nerwowość, która czaiła się pod skórą. Harfy nie dało się oszukać, muzyka współgrała z emocjami.

March nie była w stanie odgadnąć przyczyn złości władczyni, lecz jedno rozumiała na pewno: miała przewagę nad królową Aislingen. Czerpała ją z faktu, że Wyrd się denerwowała, i choć dziewczyna sama była niespokojna, zmusiła własne ciało do rozluźnienia. Skupiona na mocy w swoim brzuchu, ale nie wyobrażając jej sobie jako złotej kuli, wykrzesowała nieco pewności siebie.

– Co sądzisz o naszym kraju? – ciągnęła rozmowę władczyni, wygrywając coraz weselszą melodię, jednocześnie zdradzając rosnącą niecierpliwość.

– Podoba mi się tu, jest naprawdę... cudownie. – March starała się pamiętać o graniu otumanionej, co było w tej chwili piekielnie trudne.

Wyrd westchnęła. March miała wrażenie, że głos królowej odkleił się od ust i rozbrzmiał tuż przy jej uchu. Niczym robak próbował się przez nie przedostać.

– Pamiętasz coś ze swego poprzedniego życia? – To pytanie było podstępne. Automatycznie przywołało w głowie March obrazy. Z jakiegoś powodu pierwszym był ogon Piątka. Ledwo o nim pomyślała, od razu zablokowała umysł, skupiając się na brzęczących strunach. Tak niewielki skrawek wspomnień nie mógł chyba za wiele powiedzieć Wyrd.

– Niewiele – odparła głosem, który brzmiał dziwnie odległe. Miała nadzieję, że nadal tylko udaje oszołomioną, a nie zaczyna faktycznie taka być.

*Powietrze – pomyślała. Czemu przypomina wodę, marszczy się i...*

Zrobiła głębszy wdech i zmrużyła oczy. W zasięgu jej wzroku pozostawały znów jedynie struny.

– Moje dawne życie było tylko snem – powiedziała, przekonana, że właśnie to musi usłyszeć władczyni. – Tutaj żyję naprawdę.

Czy Wyrd wywęszyła kłamstwo? Możliwe, ale nawet jeśli tak było, nie dawała tego po sobie poznać.

– Ilya mówi, że nie chcesz jeść. – Mimo że królowa starała się nadać swojemu głosowi odrobinę troski, w jej ustach dał się słyszeć głównie wyrzut.

March się zaśmiała.

– Ona chyba mnie nie lubi – stwierdziła. Muzyka ponownie stała się agresywniejsza, próbowała uderzyć jej do głowy niczym wlewane na siłę wino, ale ona nie poddała się jej. *Struny, struny, struny...* Myślała tylko o nich, liczyła je.

– Cóż – ciągnęła władczyni. – Sądziłam, że miałaś wcześniej problemy z jedzeniem. Ty lub ktoś ci bliski.

– Nie – zapewniła szybko March, natychmiast odpędzając z myśli twarz Isel. Widziała ją tylko przez ułamek sekundy. To

na pewno za mało, by królowa mogła coś wyczuć.

Nagle Wyrd urwała.

– Popatrz na mnie – poprosiła. Właściwie zabrzmiało to bardziej jak rozkaz.

Gdy tylko March uniosła wzrok, poraziło ją spojrzenie ametystowych oczu. Jej głowę mimowolnie nawiedził kolejny obraz: twarz Hypnosa. Uznawszy to za niebezpieczne, szybko przywołała znów wizję strun. *Jedna, dwie, trzy...*

Znienacka królowa odwróciła głowę i klasnęła w dłonie. March poruszyła się niespokojnie, gdy komnatę wypełniła mgła. Bała się, że władczyni wezwała strażę, ale gdy mgła opadła, okazało się, że po prostu przeniosła je do sali tronowej. Dziewczyna rozchyliła usta w zdumieniu. Czyżby Wyrd próbowała zademonstrować jej swoją moc, powiedzieć: *Spójrz, nie potrzebuję żadnych kluczy, by dostać się, gdziekolwiek zapragnę?*

Królowa uśmiechnęła się. Jej radość – udawana czy nie – również zastanawiała March.

– Możesz odejść – powiedziała władczyni.

– Teraz? – Dziewczyna nie umiała ukryć zdumienia. Nie rozumiała, dlaczego Wyrd tak prędko złożyła broń.

– Teraz – odparła królowa, znów brzmiąc po części, jakby wydawała rozkaz.

March opuściła komnatę zupełnie zmieszana. Wygrała czy przegrała? Wprawdzie ochroniła swe wspomnienia, ale czy Wyrd i tak nie zdołała w jakiś sposób do nich dotrzeć?

Miała wrażenie, że przez całą drogę do Domu Gości wstrzymywała oddech. Głośno wciągnęła powietrze dopiero, gdy zamknęła za sobą drzwi komnaty.

Niepewność uczyniła ją bezbronną. Jeśli prawdziwy atak miał dopiero nadejść, nie wiedziała, czy zdoła się obronić. Była za to pewna – bo wcześniej, choć o tym wiedziała, nie w pełni

to do niej docierało – że każda walka, jaką przyjdzie jej stoczyć w Mieście Snów, będzie walką o życie.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ostatnie dwa dni, jakie pozostały do święta, nie przyniosły w zasadzie nic szczególnego. Spokój martwił March o wiele bardziej, niż gdyby fery znów ją zaatakowały. Im więcej czasu mijało od jej ostatniej rozmowy z Wyrđ, tym częściej wracała do niej myślami, na nowo analizując każde wypowiedziane słowo. Wciąż miała nadzieję, że w żaden sposób nie zdradziła się przed władczynią, a mimo to prześladowało ją przeczucie, że ta wszystko wie i tylko czai się jak kot, by w odpowiednim momencie dopaść ofiarę.

Jeśli już mowa o kotach, Piątek upierał się przy innym, bardziej prozaicznym wytłumaczeniu niezmaćconej atmosfery.

– Wyrđ szykuje się do obchodów święta – stwierdził, gdy rozmawiali zamknięci w sypialni March. – Podczas sabatów wszystkie fery wydają się odległe i nieobecne.

– To może być cisza przed burzą – odparła March, wciąż przypominając sobie uśmiech, jaki pośląła jej władczyni.

– Nie przesadzaj – westchnął kot. – Ona na pewno niczego nie podejrzewa. Jej stosunek do mnie ani trochę się nie zmienił. Nadal pozwala mi spać w swojej komnacie i głaska mnie za uchem. Szczerze mówiąc, zaczęło mnie to delikatnie wkurzać.

– Robi to, żeby uśpić naszą czujność. – March obstawała przy swoim.

Piątek westchnął i rozciągnął się, jak gdyby faktycznie nie miał żadnych zmartwień.

– Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, nie zaatakuj nas przed obchodami. A po nich już nas tu nie będzie. Skup się na

zadaniu.

Obmyślali plan działania, kiedy tylko mieli czas, a więc nieczęsto. Mając za ścianą Ilyę, obawiali się spędzać w sypialni więcej niż kilkanaście minut razem. Wszelkie rozmowy odbywali więc ukradkiem, spotykając się na chwilę tam lub w innych ustronnych miejscach. W rezultacie tego plan był szczątkowy, czym Piątek zdawał się wcale nie przejmować.

– Czarownice nie potrzebują szczegółów – stwierdził. – Trzeba tylko mniej więcej wiedzieć, co robić, a reszta przyjdzie sama.

March miała szczerą nadzieję, że tak właśnie będzie. Na razie ustalili tyle, że Piątek spróbuje jeszcze raz zdobyć pieczęć Wyrd, a potem pójdą wspólnie do Biblioteki Snów, po drodze – co już dopowiedziała sama March – modląc się do wszystkich możliwych bóstw, by ich nie zauważono.

– Jest jeszcze jedna sprawa – oznajmił Piątek tonem kogoś, kto długo zapominał o czymś istotnym, a gdy już sobie przypomniał, było bardziej niż za późno. – Muszę cię zmartwić.

– Co znowu?

– No... nic takiego, ale wydaje mi się, że wejść do tej Biblioteki nie będzie tak łatwo.

– To już ustaliliśmy – odparła powoli March.

– Niekoniecznie. – Kot nerwowo pomachał ogonem. – Ostatnio włóczyłem się trochę za Wyrd. Poszła do Biblioteki, a gdy chciała tam wejść, drzwi tak jakby do niej przemówiły.

March wstrzymała oddech. Gadające drzwi... Pewnie powinna była się tego spodziewać.

– Co to znaczy, że *tak jakby mówiły*?

– No... Charczały i brzmiały, jakby się odgrażały. To chyba język ferów, no nie? Dobrze nie słyszałem, bo stałem w oddali.

– Więc żeby wejść do Biblioteki Snów, będę musiała... będę musiała... – Następane słowa precyzyjnie się jej przez gardło



z pewnym trudem. – Gadać z drzwiami? I to w języku ferów?

– Wybacz, ale sam nie wiem. Obawiam się, że tak, choć mam nadzieję, że do ciebie drzwi przemówią po angielsku.

Zrezygnowana March miała ochotę mocno w coś walnąć. Jeśli Piątek miał rację, być może cały plan spali na panewce.

– Nie przejmuj się – spróbował ją pocieszyć. Bez większego rezultatu. – Magiczne przejścia działają w magiczny sposób, ale bez oszukiwania. Jeśli drzwi Biblioteki Snów będą zamknięte, to na pewno nie tak, żebyś nie miała szansy ich otworzyć. Przy odrobinie sprytu... chyba się uda.

March tylko pokręciła głową. Nawet najszczerza wiara w powodzenie nie mogła zapewnić im zwycięstwa. Życie zbyt często ją zawodziło, żeby miała nagle uwierzyć w coś przeciwnego. A magia niewiele w tej kwestii zmieniała. Jeśli już, to raczej komplikowała sprawy.

– Pozostaje jeszcze Irma – stwierdziła dziewczyna.

Piątek zamarł ze sterczącym ogonem.

– Irma? Co z nią?

– Jeszcze zanim mnie otumanili, przyśniła mi się. – Opisała kotu swój sen. Mimo że na początku nic z niego nie pamiętała, dziwnym trafem teraz potrafiła powtórzyć każde słowo.

– No tak, to w jej stylu – westchnął Piątek, po czym, jakby się zorientował, że powiedział o jedno słowo za dużo, zalał towarzyszkę morzem nieskładnych słów o magii, osobowości i zmianach. March nie pozwoliła jednak zbić się z tropu.

– A więc znaliście się dobrze – uznała w bardzo kategoryczny sposób. Nie pytała. Teraz już po prostu wiedziała. – Ty i Callen knujecie coś razem. Knuliście od początku.

– Uważasz mnie za wroga? – warknął kot.

– Nie. Po prostu za kogoś, kto ukrywa część prawdy – odparła March. – I nie martw się – uspokoiła go, nim zaczął protestować – nie będę cię o nic pytać. Przynajmniej na razie.

Nie była głupia, dobrze wiedziała, że i tak nic by jej nie powiedział.

– Ale musisz mi wyjaśnić, jaki związek z czarem ma to, co się dzieje – dodała. – Irma wspomniała, że muszę poszukiwać jakiegoś złota.

Piątek dłużej się namyślał. Nerwowość nie spłynęła z niego od razu.

– Nie wiem – stwierdził. – Na pewno nie chodzi o pieniądze. Większość czarownic się nimi nie przejmuje.

– Tyle sama zdążyłam się domyślić.

– No co? – Kot się nastroszył. – To twoje złoto. Sama go sobie szukaj.

– Lepiej dla ciebie, żebym je znalazła – zauważyła. – Bo inaczej wszyscy jesteśmy martwi.



W dzień święta atmosfera w Aislingen znacznie się zmieniła. Część ferów przechadzających się po kamiennych ścieżkach wydawała się zamyślona. Ferze dzieci, które zwykle bawiły się w powietrzu, nieco ucichły. Uroczysty nastrój nie udzielił się chyba tylko Ilyi, która bez słowa weszła do sypialni March i postawiła na jej stoliku tacę z jedzeniem.

– Dziś nie wolno ci opuszczać domu – oznajmiła, patrząc na March wzrokiem, który na powrót wydawał się pozbawiony emocji. – Nasze obrzędy nie są przeznaczone dla ludzi, a nawet dla ferian, mimo że jesteście w połowie naszej rasy.

– Nie ma sprawy – odparła March. – Zawsze uważałam religijne ceremonie za stratę czasu.

Ilya zatrzymała się w pół drogi do drzwi.

– Nasze rytuały nie są zwykłe – zastrzegła nadal monotonnym głosem. – One są prawdą.

– Wszyscy tak mówią. – March machnęła ręką. – Ludzie też. Ferini zaśmiała się, raczej z March niż z jej słów.

– Nie zrozumiesz tego – oświadczyła i wyfrunęła z komnaty.

– Nie potrzebuję was rozumieć – wycedziła March, gdy za ferinią zamknęły się drzwi. – W ogóle mnie nie obchodziecie!

Kłamała. W rzeczywistości pragnęła lepiej poznać fery – i to nie tylko dlatego, że zawsze lepiej być blisko wroga. Nie mogła zaprzeczyć, że skrzydlaci ją fascynowali. Ich kraina, ich magia, ich wierzenia, nawet sam fakt, że istnieli – to wszystko wywoływało jej ciekawość. Poza tym, czy tego chcieli, czy nie, była jedną z nich.

Miała chyba zbyt wiele czasu na rozmyślanie, bo zaczęła przywoływać w głowie twarz ojca. Widząc go po raz pierwszy w wizji, nie zastanawiała się nad tym, kim dla niej był. Pochłonięty ją inne kwestie. Zresztą patrzyła na niego oczami matki. Czuła jedynie przenikającą całe ciało miłość, taką, o jakich czyta się w romansach i która ponoć w rzeczywistości nie istnieje. Tamten fer... jej ojciec... też musiał kochać Emmę Sky, skoro był w stanie tak wiele dla niej poświęcić. I zrobił to. Historia bez happy endu...

Dlaczego fery były właśnie takie? Dlaczego tak zazdrośnie i bezwzględnie strzegły swoich tajemnic? Były... Cóż, były po prostu złe. To nie ulegało wątpliwości. Za to jej ojciec musiał być inny. Na pewno taki był – a może nawet wciąż jest, może żyje...

Ucieszyła się, słysząc za drzwiami znajome drapanie i miauczenie. Pojawienie się Piątka rozproszyło jej ponure myśli, za to kot wszedł do sypialni raczej ze smętną miną.

– Liczyłem na kawalek gęsi, ale kuchni pilnują chyba lepiej niż Biblioteki Snów – oznajmił.

– Fery jedzą mięso podczas swoich świąt? – March była trochę zdumiona. – Myślałam, że skoro są tak uduchowione...

– Wegetarianizm nie należy do ich rozlicznych zalet... albo wad, zależnie od kontekstu... – Piątek przez chwilę się zastanawiał. – Poza tym, jak dobrze wiesz, lubią zabijać i całkiem nieźle im to wychodzi. – Rozprostował łapy i przeszedł się po sypialni. – À propos śmierci, jesteś gotowa na dziś?

Szybkość, z jaką przeszedł od umierania do tego, co ich dziś czekało, zmartwiła March. Wcale nie była przygotowana. Sporo o tym myślała poprzedniej nocy, ale jakoś nie przyszedł jej do głowy żaden sposób, by przygotować się do walki na śmierci i życie.

– Nie jestem – odparła.

Piątek wyszczerzył zęby, a przynajmniej zrobił coś, co byłoby wyszczerzeniem zębów, gdyby miał ludzką szczękę.

– Ani ja – przyznał – za to skoro jesteśmy w dwójkę, to... No... – Myślał nad czymś, co mogłoby ją pocieszyć. Najwyraźniej jednak z tego zrezygnował. – W każdym razie dwoje to z całą pewnością więcej niż jedno.



Aż do wieczora spokój w Mieście Snów jeszcze się pogłębiał. Obejmował krainę jakby partiami. Wreszcie ustał nawet śpiew ptaków, których obecności March zdawała się nie zauważać, póki nie zamilkły. Gdy wyrzała przez okno, ze zdumieniem odkryła, że cała okolica opustoszała. Dotąd fioletowe niebo zbladło, stając się niemal zupełnie białe, a po motylach i pszczołach nie było ani śladu.

– Co się dzieje? – przerażona zwróciła się do Piątka, który drzemał teraz na jej łóżku. Byłaby skłonna podziwiać jego spokój, gdyby przy okazji jej nie wkurzał. – Kolory jakby znikły i nikogo nie ma...

– To tylko odnowienie. – Kot przeciągle ziewnął i zmienił pozycję.

– Co?

– W krainach ferów panuje wieczne lato – Piątek zaczął tłumaczyć po części przez sen. – Na czas sabatów pogoda nieco się zmienia, żeby czary mogły się odnowić. Fery wierzą, że świętując początek i koniec pór roku, w pewien sposób dogadują się z Naturą, która w zamian zsyła im ciepło.

– Bzdury – westchnęła March.

– Też bym tak uważał, gdybym w życiu nie przeczytał ani jednej książki o Jaarze i planie astralnym. Można ci więc wybaczyć ignorancję.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Mów jaśniej.

Zniecierpliwiony Piątek prychnął.

– To bardzo proste – zaczął wyjaśniać. – Aislingen wyodrębniło się z Jaaru i obowiązują w nim te same prawa co tam. Poza tym Miasto Snów istnieje na granicy ze światem astralnym, gdzie wszystko można jeszcze łatwiej dostosować do własnego widzimisie. Chcesz mieć wiosnę? Proszę bardzo, zrób ją sobie. Wolisz lato? Pstryk, włączone. Pewnie są i tacy, co wolą zimę. Trudno mi powiedzieć, bo nie zadaję się z wariatami. A przynajmniej nie zadawałem, do czasu aż poznałem Callena i ciebie.

March zignorowała jego ostatnią uwagę i ponownie wyjrzała przez okno. Teraz na zachodnim horyzoncie pojawiło się różowe światło. Wpełzało na niebo powoli, niepewnie walcząc z dominującą bladością.

– Wydaje się, jakby fery znikły – szepnęła.

Ni stąd, ni zowąd Piątek – uznawszy pewnie, że już nie zaśnie – wskoczył na parapet.

– Ale nie znikły – odrzekł. – Spójrz.

Wskazał głową horyzont, z którego nadchodziło światło. Po odległej ścieżce kroczył pochód czegoś, co przypominało owady. Kolorowe skrzydła zlewały się w paletę barw – ze wszystkich części ciał ferów to je najlepiej było widać z oddali.

Do uszu March dobiegła pieśń – spokojna, ale mocna, wyśpiewywana wieloma głębokimi głosami. Sprawiała, że różowa łuna wzrastała, podążając tuż za orszakiem. To fery ją sprowadziły, a teraz wyznaczały jej trasę.

– Dokąd one idą? – spytała March.

– Do świątyni. Jak być może zauważyłaś, ona znajduje się na wschodzie. Ostatnie silne słońce już zaszło, więc fery z powrotem przywołują jego blask. Na tym polega odnowienie.

Pochód był już na tyle blisko, że dało się dostrzec idących. Na czele kroczyła Wyrd w obszernej purpurowej sukni. Jej podwójne skrzydła jaśniały najmocniej ze wszystkich. W ręku dzierżyła srebrne berło ozdobione półksiężycem. Tuż obok szedł Khonsu, a po ich prawej i lewej stronie Lei i Leila.

Pieśń stała się głośniejsza. Ściany Domu Gości reagowały na nią, lekko się trzęsąc. Nie tak, jak gdyby miały się zawalić, ale raczej jakby próbowały stworzyć do muzyki ferów własny taniec.

– Co to święto ma wspólnego z wodą i ogniem? – zastanawiała się March. Dostrzegła w dłoniach Leili misę z wodą, a Lei dzierżył pochodnię.

– Chodzi o życie i śmierć. Słońce *umiera* na zachodzie, który jest związany z wodą, a ona przywraca je do życia. Dzisiejsza noc będzie najkrótszą w roku. Po niej teoretycznie dni powinny się skracać, ale w Aislingen nigdy do tego nie dochodzi. Tutaj nie pozwolą latu umrzeć.

Różowa łuna objęła już niemal całe niebo, na którym dodatkowo niczym bezgłośnie fajerwerki rozbłyskiwały teraz złote światła. Fery pojedynczo wchodziły do świątyni. Trwało

to bardzo długo. Gdy ich śpiew wreszcie ucichł, Piątek zeskoczył z parapetu.

– Zapytam jeszcze raz – powiedział. – Jesteś gotowa?

March patrzyła na niego z rosnącym napięciem.

*Nie* – przemknęło jej przez głowę.

– Tak – powiedziała.





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie ruszyli od razu. Woleli zaczekać jeszcze kilka chwil, by mieć całkowitą pewność, że wszystkie fery są już w świątyni.

– Nie wolno przerywać zaczętego rytuału, więc nie będą mogli zaatakować nas w trakcie – oznajmił Piątek. Teraz i on, choć wcześniej tak rozluźniony, wydawał się zdenerwowany.

March wcale się nie odzywała. Każda sekunda dłużyła jej się w nieskończoność, a jednak, gdy Piątek w końcu polecił jej otworzyć drzwi, miała wrażenie, że stało się to zbyt szybko. Wyciągnęła scyzoryk ze spodni. Od tej chwili nie mogła już wypuścić go z rąk. Gdy schodzili po schodach Domu Gości, czuła się nieco odrealniona, jakby ktoś trzepnął ją w głowę. Nagła myśl kazała jej się zatrzymać.

– A co z innymi? – wyszeptała, blednąc.

– Jakimi innymi?

– Chodzi mi o pozostałych mieszkańców tego domu. Co, jeśli nas zobaczą?

Za późno naszła ją ta refleksja. Wcześniej nie zastanawiała się, czy ktoś oprócz niej tu mieszkał, a teraz wydało jej się to pewne. Liczba niedopiętych punktów ich planu zaczęła ją przerażać.

– Nie ma żadnych innych – zapewnił ją Piątek. – Dom Gości to tylko element gry. Ma sprawiać wrażenie czegoś w rodzaju hotelu, żebyś czuła się bezpieczniej. Fery rzadko goszczą u siebie więcej niż jednego człowieka naraz, chyba że muszą wykazać się kurtuazją i zorganizować spotkanie polityczne. Nigdy nie robią tego podczas świąt. Jesteś jedynym gościem, jedynym człowiekiem, nie licząc więźniów w Bibliotece.

Słyszając ostatnie słowo, March natychmiast się zreflektowała. W jej głowie pojawili się Callen i Alogos.

– Idziemy – zarządziła.

Gdy opuścili Dom Gości, musieli zmierzyć się z wszechogarniającą pustką. Aislingen wydawało się martwe, jakby zatrzymane w czasie. Nerwowość, która od początku towarzyszyła March, zamieniła się w przerażenie. Ze wszystkich sił walczyła ze strachem. Szła wyprostowana i tylko rozbiegane oczy zdradzały jej obawy.

– Musimy po prostu dostać się do pałacu – szepnął Piątek.

Ta instrukcja – na pozór prosta, bo przecież Ametystowy Sen znajdował się zaledwie kilka minut drogi stąd – nagle wydała się March wręcz niewykonalna. Zmierzając do pałacu, trzeba było przecież przejść obok świątyni.

Żadne nie kwapiło się, by pójść przodem. Wreszcie March, z trudem opanowując drżenie nóg, ruszyła jako pierwsza. Piątek trzymał się tak blisko, że ciągle plątał się jej pod nogami.

Przechodząc obok świątyni, nie odezwali się ani słowem. March bała się nawet odetchnąć. Ściany budowli buczały, jak gdyby kryły w sobie budzącego się do życia smoka, który w każdej chwili mógł się wykluć, rozsadzając jajowaty dach.

Kiedy świątynia była już za ich plecami, dostali nagłego przyspieszenia. Zmierzali w stronę pałacu tak szybko, jak to tylko było możliwe, jednocześnie nie biegnąc. March odezwała się dopiero, gdy dotarli do ogrodów. Na otwartej przestrzeni trudniej było się ukryć, tu czuła się bezpieczniej.

– Jest jakoś cicho, nie wydaje ci się? – zastanawiała się.

– Znowu zaczynasz – westchnął Piątek. – Zawsze, jak się tak gada, przychodzą kłopoty.

Dziwnym trafem drzwi pałacu stały otworem. To też wydało się March podejrzane, ale dała sobie spokój z komentarzami.

Gdy wchodzili do środka, ścisnęła scyzoryk tak mocno, że pobielały jej palce.

Rozejrzeli się po sali tronowej. Pusta nie była już tak piękna, jej barwy wyblakły, jakby nieobecność Wyrd pozbawiła je intensywności. Walające się po podłodze skarby w pewien sposób straciły wartość.

– Zastanawiam się, co to za przedmioty – powiedziała March, upewniwszy się, że są sami. Nie wiedziała, dlaczego akurat to pytanie przyszło jej na myśl. Może po prostu chciała nieco się rozluźnić.

– To dary od ludzi. Część została skradziona, co raczej nie robi ferom różnicy. – Piątek spojrzał na nią poważnie. – Pójdę po pieczęć, modląc się po drodze, żeby Wyrd nie miała jej przy sobie.

March zadrżała z obawy. *Przestań zachowywać się jak wystraszona małolata* – skarciła się w myślach.

– Dlaczego dopiero teraz się nad tym zastanawiasz? – warknęła. – Co, jeśli ją zabrała?

– Jakoś się włamiemy. Masz swoje czary. – Piątek wskazał pyszczkiem scyzoryk, chyba sam nie wierząc w to, że magia March mogłaby na wiele się zdać przy ferzych blokadach. – Teraz czekaj na mnie i nie marudź. Jakby co, krzycz.

– Jasne – prychnęła March. – A niby jak miałbyś mi pomóc?

– Nijak. Ale przynajmniej będę wiedział, że trzeba wiać.

Po złożeniu tego zapewnienia o braku lojalności wskoczył w ścianę. Teraz pustka wydała się March o wiele bardziej nieprzejednana, a strach dał o sobie znać z jeszcze większą siłą, powodując gwałtowniejsze bicie jej serca. Przypuszczała, że w tej chwili każdy szelest byłby w stanie przyprawić ją o palpacje.

Powiodła wzrokiem po zgromadzonych skarbach. Spora ich część z pewnością została wykonana przez ludzi. Wśród nich znajdowała się nawet lampka nocna. Trudno było powiedzieć,

do czego miałyby przydać się ferom, które zamiast elektryczności używały magii.

Wreszcie na podłodze rozległy się odgłosy lepkich łapek. March spojrzała na Piątka. Na jego szyi znów wisiał srebrny łańcuszek z jaśniejącą kulą.

– Czy jest sens, żebym cię pytała, jakim cudem sam wkładasz ją sobie na szyję?

– Nie – odparł szczerze. – Mam trochę ludzkich zdolności manualnych, ale gadanie o nich w najkrótszą noc jest zbyt nudne, kiedy czeka cię walka na śmierć i życie.

Kazał jej podejść do ściany. Gdy przez nią przeszli, znaleźli się w dobrze znanym March korytarzu. Ze wszystkich stron otwierały się przejścia, barwne i ponure, wielkie i małe. Płynęły w powietrzu, lśniły, zachęcając do wejścia, po czym znikwały, ustępując kolejnym.

– Trzymaj się blisko mnie – polecił Piątek. Grzbiet miał wyprostowany, wzrok skupiony na jednym punkcie. – Zaraz wchodzimy.

Z oddali sunęło ku nim coś, co przypominało olbrzymią pajęczynę. Tworzące ją nici rozwarstwiały się i poruszały, wciąż zmieniając kształty. March wzdrygnęła się na ten widok, jednak ruszyła za Piątkiem, gdy ten wkroczył w pajęczynę.

Nic nie poczuła – żadnego oblepiania, żadnych pajaków we włosach. Przestrzeń po prostu się zmieniła, ukazując im długi korytarz zatopiony w ciemnogrnatowej poświacie. Chłód, który tu panował, miał jakby dwa wymiary: po części atakował całkiem fizycznie z zewnątrz, a z drugiej strony wkradał się niemal do samego szpiku kostnego i wywoływał jeszcze inne, wewnętrzne zimno. U końca korytarza znajdowały się tylko jedne drzwi.

– Tam idziemy – powiedział Piątek. March rozglądała się po kamiennych ścianach, spodziewając się, że w każdej chwili coś może z nich wyskoczyć.

Drzwi, przed którymi stanęli, były metalowe. Blokująca je zasuwka wyglądała na niezwykle ciężką. Mimo to March spróbowała ją podnieść. Ledwo jej dotknęła, drzwi owionęła gęsta mgła, rozmywając ich kształt. Dziewczyna odsunęła dłoń jak oparzona, gdy na środku drzwi powstała wyrwa, która otworzyła się na wzór ust. Popłynęły z niej słowa wypowiedane głosem ani męskim, ani żeńskim.

*Kim mogę być, powiedz mi.  
Jedną masz szansę na odpowiedź.  
Inaczej nie otworzysz drzwi.*

*Oto zagadka, dobrze postuchaj.  
Gdy ciemno jest, widzisz mą twarz  
I słyszysz głos, gdy szepczę do ucha.*

*Przychodzę tylko, gdy ciebie nie ma.  
Daję dar wizji, płaczę ci zmysły.  
Słońce prowadzi mnie do zapomnienia.*

March była tak rozgorączkowana, że bała się stracić coś ze znaczenia słów. Dokładnie je przeanalizowała. Piątek posyłał jej niepewne spojrzenie. Milczał, sam chyba nie mając żadnego pomysłu na rozwiązanie zagadki.

– Czy może jesteś... – Urwała. Nie, to byłoby zbyt proste, ale noc, wizje, plątanie zmysłów...

Zaryzykowała.

– Jesteś snem? – spytała.

Piątek głośno przełknął ślinę. March utkwiła przerażone spojrzenie w drzwiach, które wróciły do poprzedniej formy, a potem...

Otworzyły się.

– Niemożliwe – wyszeptał kot.

Trudno było uwierzyć w to, że za tym szczęściem nie krył się jakiś podstęp. *Ale czasem trzeba się bać, a i tak zrobić to, co się powinno* – March przypomniała sobie słowa kota. Nie zwlekając, przestąpiła próg Biblioteki Snów. Zdumienie zalało ją wtedy jeszcze większą falą.

Dotychczas sądziła, że Biblioteka to tylko przewrotna nazwa więzienia ferów. Za to teraz okazało się, że pomieszczenie faktycznie przypominało bibliotekę. W blasku ciemnogrnatowego światła, takiego samego, jakie panowało w korytarzu, widać było niezwykle wysokie regały, które zamiast książek wypełniały różnokolorowe kule. Niektóre były małe, inne ogromne, najpotężniejsze musiały ważyć kilkaset kilo. Wszystkie bez różnicy więziły w sobie światła. Za szklanymi taflami unosiły się barwne mgiełki. Część miała żywe, wesole kolory, inne były ponure, jakby zamieszkiwał je sam mrok.

– To... koszmary? – zastanawiała się na głos March.

– I marzenia senne – dodał Piątek. – W zasadzie to jedno i to samo: narzędzia zniewalania. Jak widzisz, mają ich tu setki, tysiące, a żadna z tych kul... to znaczy żaden z kluczy nie jest podpisany. Wiesz, jak zdobyć te, które cię interesują?

March potaknęła. Pamiętała słowa Alogosa: by znaleźć konkretny klucz, trzeba było pomyśleć o osobie, do której należał.

– Proponuję, żebyś najpierw zabrała swój – oznajmił kot.

– Dlaczego?

– Cóż, w teorii chodzi tu o magię quasi-altruistyczną, tudzież tylko-na-wpół-alterocentryczną. No, innymi słowy o to, że najpierw trzeba zadbać o własny tyłek.

– Okay... W takim razie myślę o sobie i... Aaach!

Coś niespodziewanie uniosło ją w górę. Scyzoryk wypadł jej z ręki. Zawisła dobre dziesięć metrów nad podłogą, skąd spoglądał na nią przerażony Piątek. Ta sama siła rzuciła nią

nagle w kierunku ściany. Nim wydzierająca się wniebogłosy March uderzyła w twarde kamienie, tajemnicza moc zatrzymała ją tuż przy regale, naprzeciw niewielkiej, wypełnionej brązową energią kuli. *Jej* klucz. Wyciągnęła po niego drżące dłonie. Siła delikatnie popchnęła ją w stronę kuli, a potem, gdy March miała ją już w rękach, pozwoliła jej opaść.

– Gdzie jesteś?! – zawołał Piątek. Osłupiała March nie odpowiedziała od razu. Zreflektowała się, gdy krzyknął głośniej.

– Tutaj!

– Ja też jestem *tutaj* – prychnął kot. – Tyle że w *moim* tutaj ciebie akurat nie ma.

Odwróciła się w stronę, z której dobiegał jego zniecierpliwiony głos. Zahaczyła łokciem o jedną z kul. W obawie przed upuszczeniem własnej nie zdołała jej pochwycić. Szklany klucz spadł na ziemię, z hukiem się roztrzaskując. Sparaliżowana strachem March patrzyła, jak uwolniona mgła formuje się w powietrzu na kształt dziwnej istoty. Jej ciemne kontury rozplływały się, a ogromną głowę, brzuch, ręce i nogi pokrywało mnóstwo oczu: zaropiałych i wielkich, wciąż otwierających się i zamykających. Usta potwora zszywała gruba nić. Istota bulgotała coś, próbując je otworzyć. Wreszcie szwy pękły, trysnęła krew, a z obrzydliwej paszczy dobył się okrzyk bólu.

March przygotowała się do ucieczki, ale wtedy monstrum rzuciło się na nią. Krzyknęła, pewna, że ją udusi. Zamknęła oczy, szykując się na cios...

...który nie nadszedł. Gdy March uchyliła powieki, potwora już nie było. Za to u końca regału stał Piątek. Kilkoma susami podbiegł do dziewczyny i upuścił na ziemię scyzoryk, który trzymał w pyszczku.

– To nie był twój koszmar – oznajmił. – Nie mógł cię zranić.

Z głębi pomieszczenia rozległ się odgłos przypominający oddech.

– Wygląda na to, że rozbijając kulę, obudziłaś kogoś – powiedział kot.

March wstała, by ruszyć w stronę głosu. Tam musiał być też Callen.

– Trzeba...

– Nie – przerwał jej kot. – Po pierwsze musimy znaleźć klucze, ten twojego znajomego i chłopaka.

– Ach, tak, tak, racja. – Nie myślała trzeźwo. – Callen nie jest moim chłopakiem! – warknęła, uświadamiając sobie nagle, co powiedział Piątek.

– Skąd wiesz, kogo miałem na myśli?

March zamknęła oczy, próbując sobie przypomnieć głos Alogosa. Tym razem była przygotowana na to, co miało nadejść. Gdy nieznana siła poderwała ją w powietrze, dała się jej prowadzić, płynąc między regałami.

Duża, złota kula świeciła już z daleka. Leżała na samej górze niemal zupełnie opustoszałego regału.

– Chyba nie zdołam jej unieść! – zawołała March do Piątka, który teraz uważnie ją śledził.

– Więc po prostu ją zrzuć. W końcu i tak ma się rozbić.

– Dobra! Odsuń się! Uwaga...

Z całej siły popchnęła kulę. Ta potoczyła się do końca regału i ze świstem spadła na podłogę. Po chwili rozległ się donośny huk.

– Brawo! – ucieszył się Piątek. – Swoją drogą, ciekawe, kto będzie po nas sprzątał. Mam nadzieję, że nasza dobra kumpela Ilya.

March opadła na ziemię i nasłuchiwała odgłosów z nadzieją, że tym razem odezwie się Alogos. Gdy tak się nie stało, ponownie zamknęła oczy i pomyślała o Callenie. Znow wędrowała w powietrzu między regałami. Kula chłopaka była



mała, a energia w niej miała odcień nieprzeniknionej czerni. March zabrała ją i teraz – ze scyzorykiem w kieszeni, swoim kluczem koszarów w jednej dłoni i kluczem Callena w drugiej – zwróciła się do Piątka:

– Prowadź.

– Nie rozbijesz jego kuli?

– Nie. Chcę to zrobić, gdy już przy nim staniemy. Mam nadzieję, że dźwięk pomoże mu się obudzić.

– Na to bym nie liczył...

– Zobaczymy. Zresztą... Chwilę! – Nagle March zdała sobie sprawę z czegoś istotnego. – A co z moją kulą? Skoro pokonałam Strażnika, to chyba wcale nie powinno jej być, prawda?

Kot zastanowił się.

– Mówiłaś, że twój przyjaciel też rozbił swoją kulę, a jednak na nowo go zniewolono. Może twój nowy klucz zaczął się tworzyć w chwili, gdy cię omamili? Na wszelki wypadek na razie jej nie rozbijaj. Kto wie, co może się w niej kryć.

Po tych słowach Piątek poprowadził ją do końca Biblioteki. Widok, który ujrziała za wyjątkowo długim regałem, w pierwszej chwili całkowicie ją poraził. Wzdłuż obskurnej ściany ciągnął się rząd łóżek. Niemal na każdym z nich, w wypłowiej pościeli, ktoś leżał. Ludzie i fery, nieprzytomni, pogrążeni w głębokim śnie. Można by pomyśleć, że umarli, gdyby nie fakt, że wielu co pewien czas się poruszało. Nad ich głowami kłębiły się energie, których blask oświeślał twarze – część z nich była wynędzniała, inne wydawały się radosne i spokojne. Strumienie energii wpływały do uszu, oczu i nosów leżących.

March nie znajdowała żadnych słów. A więc tak fery traktowały swoich więźniów...

– Chodźmy – powiedział Piątek. Szybko wędrował wzdłuż łóżek, nie oglądając się na leżących, za to March nie potrafiła

powstrzymać się od spoglądania na ich twarze. Wiedziała, że ten widok już zawsze będzie ją prześladował. Gdyby tylko mogła, rozbiłaby wszystkie klucze, zniszczyła całą Bibliotekę i uwolniła zaklętych.

Łóżek było zdecydowanie mniej niż kluczy. Zastanawiała się dlaczego. Myśli opuściły jej głowę dopiero, gdy stanęła przed łóżkiem Callena. W pierwszej chwili byłaby go nie poznała. Był jeszcze bledszy niż wcześniej, jego twarz oblewał pot. Trząsał się jakby w gorączce. March odruchowo wyciągnęła rękę, by otrzeć mu czoło.

– Nie – powstrzymał ją Piątek. – Jeśli go dotkniesz, przeniesiesz się do jego koszmaru. Najpierw zbij kulę. Wtedy wszystkie złe sny uwolnią się naraz, a on będzie mógł sam z nimi walczyć.

March uniosła kulę i z całej siły roztrzaskała ją o podłogę. Energia wystrzeliła w górę, ale zamiast formować się w kształty, stopiła się z tą, która krążyła nad głową Callena. Połączone, zagotowały się i zgęstniały. Wbrew nadziejom March chłopak wcale się nie poruszył.

– Teraz czekamy – powiedział Piątek.

– Trzymaj się – dodała dziewczyna, patrząc na leżącego.

Wtedy tuż za ich plecami rozległ się inny głos.

– A teraz odwróć się i rzuć broń – rozkazał.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Zwlekała z odwróceniem się. Rozpoznała ten głos. Starając się ukryć scyzoryk w rękawie, powoli spojrzała za siebie. Lei i Leila stali naprzeciwko niej z wyciągniętymi athame.

– Dobrze się bawiłaś? – zaśmiała się różowa ferini. – Bo ja bawiłam się świetnie, obserwując cię, ale teraz gra skończona.

– Miau? – pisnął Piątek. Lei natychmiast skierował ostrze w jego stronę.

– Ne próbuj udawać, kocie – warknął. – Dobrze wiemy, kim jesteś.

Piątek pozostał niewzruszony, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

– Czyżby? – odparł. – Biorąc pod uwagę waszą inteligencję, odkrycie prawdy zajęło wam niezwykle długo.

– Myślisz, głupcze, że rozgryźliśmy was dopiero dziś? – zaśmiała się niebieski fer. – Przed królową nic się nie ukryje.

– Próbowaliście obudzić jednego z naszych najzacieklejszych wrogów – dodała Leila. Jej skrzydła zamigotały. – Mamy zatem pewność, że od początku planowaliście zamach stanu.

– *Zamach stanu* – prychnął Piątek. – Uwielbiacie to określenie.

March widziała już dziś zbyt wiele, by wciąż się bać. Przeciwnie, nabrała teraz większej odwagi i wystąpiła do przodu. Z ostrza Leili posypały się iskry.

– Callen Malloway miałby stanowić dla was zagrożenie? – spytała, szczerze zdumiona, wskazując na chłopaka. Ten jęknął, zmagając się ze swoimi koszmarami. – Szesnastolatek, który...

– On nie ma szesnastu lat! – zagrzemiał Lei. – Mój bratanek...  
– Urwał, gdy jego towarzyszka syknęła. Było już jednak za późno.

– Bratanek? – March zamrugnęła, kompletnie zbita z tropu. Spojrzała na Piątka. Wcale nie wyglądał na równie osłupiałego. Ba, zdawało się, że wiedział na ten temat o wiele więcej od niej. Zresztą potwierdził jej podejrzenie, gdy tylko się odezwał.

– On przyszedł tu tylko po to, co mu się należało.

– Co właściwie mu się należało? – syknęła Leila. – *Nasza magia, nasz świat, nasza krew?* To mu się należało?! Czy wasz świat jest za mały?! Mało macie *swoich*, ludzkich spraw?! – Złodzieje! Pasożyty! Słabe, mizerne zwierzęta! – wyrzucała z siebie obelgi jak wymiociny, twarz nabrzmiała jej z nienawiści.

Sierść Piątka się zjeżyła. March przenosiła wzrok z kota na fery i z powrotem. Była wściekła na nich wszystkich. Każdy okłamał ją w ten czy inny sposób. Skąd mogła wiedzieć, kto i czy w ogóle mówił prawdę? Może i Callen faktycznie chciał tylko ją wykorzystać?

– Nienawidzę waszego świata równie mocno, jak wy mojego!  
– krzyknęła, czując w brzuchu gotującą się energię.

– Nie udawaj! – zawołał Lei. – Za późno na kłamstwa! Poznaliśmy wasze plany, March Sky, plugawa córko plugawej matki!

Zacisnęła zęby. Chciała teraz zmieść fera zaklęciem, a jeśli magia by zawiodła, wbić mu ostrze prosto w serce.

– Ona o niczym nie wiedziała – próbował tłumaczyć Piątek. – Nie macie prawa jej atakować. Społeczność...

– ...niczego nie może – dokończyła za niego Leila. – Właśnie dlatego tak długo czekaliśmy: by mieć powód do wyeliminowania was wszystkich. Mamy dowody na to, że nas zaatakowaliście.

- A Społeczność przymknie oko na nasze działania, jak zwykła to robić - dodał Lei. - Nie chcą pójść z nami na wojnę.

- Nie wolno wam nas zabić - odrzekł Piątek. - Jedyne królowa może wydać wyrok.

- Pani przybędzie tu, gdy tylko dopełni się rytuał - zapewniła Leila. - Chętnie zaczekamy. Jak myślisz, jaką podejmie decyzję? Zostaniecie naszymi pierwszymi ofiarami na koniec, jak i na początek lata.

Usta ferini ułożyły się w szyderczy uśmiech.

- Zobaczymy, co w sobie kryjesz, kocie - powiedziała i jednym ruchem athame sprawiła, że Piątek wzbił się w powietrze. Miauczając i wierzgając, sunął w jej kierunku.

March wyrwała się, by mu pomóc, ale zakłęcie Leia zablokowało jej ruchy. Musiała stać w miejscu i przyglądać się scenie. Nie była w stanie nawet krzyczeć.

Piątek zawisł na wyciągnięciu ręki Leili. Ferini wyprostowała palce i po chwili w jej dłoni znikąd pojawiła się pusta szklana kula. Przerażony kot milczał, gdy Leila przyłożyła mu ją do czoła, z którego natychmiast zaczęła wypływać ciemna energia. Kula wypełniała się koszmarami.

March nie mogła dłużej czekać. Musiała jakoś przezwyciężyć paralizujący czar. Nie była w stanie użyć rąk, więc została jej tylko jedna opcja: umysł.

Zamknęła oczy. *Isel* - to była pierwsza osoba, o której pomyślała. Energia Biblioteki nie porwała jej w górę, więc fery nie mogły mieć klucza jej przyjaciółki. Zresztą dlaczego miałyby... To był głupi wybór. W takim razie może... *Emma Sky*... Nadal nic. Widocznie kuli matki już tam nie było. Dobrze, więc... *Wyrd* - pomyślała.

Podłoga zatrzęsała się, a znajoma siła - tym razem jakby zwielokrotniona - poderwała dziewczynę aż pod sam sufit i zaczęła miotać nią na wszystkie strony.

March krzyczała. W dole też rozległy się wrzaski. Fery wymierzały ostrza w górę, ale March poruszała się zbyt szybko, by zdołały w nią wycelować.

Ściany oddalały się i przybliżały. March w zawrotnym tempie latała między regałami, mijając kolejne kule. Zrozumiała, że popełniła ogromny błąd. Chcąc dosięgnąć klucza koszmarów władczyni, naraziła się na atak samej Biblioteki.

Nagle tuż obok jej ucha świsnął pomarańczowy promień. Lei wrzasnął.

– Wstrętny śmieciu! – Rykowi towarzyszył donośny pisk kota, który zaraz ucichł.

Kolejna fala energii popłynęła w stronę March. Tym razem była żółta, należała do Leili. Siła Biblioteki przestała miotać dziewczyną i zawiesiła ją między regałami, czyniąc z niej łatwy cel dla ferów. March zrobiła więc jedyną rzecz, jaka przychodziła jej do głowy. Zaczęła ściągać kule i ciskać je wprost w głowy przeciwników.

TRZASK! W dole rozeszła się fioletowa mgła, z której wyłoniła się stara kobieta o potarganych włosach i rzuciła się na Leia. TRZASK! Wielogłowy potwór o paszczach przypominających jamochłony próbował kąsać Leile.

– Nie! – krzyknął uciekający Lei. – Idiotko! Nie masz pojęcia, co robisz!

March nie słuchała. Rzuciła w błękitnego fera kolejną kulą. Gdy ta się roztrzaskała, cała Biblioteka w mgnieniu oka pograżyła się w żółtej mgle. Wirowały w niej złociste drobinki, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zamieniły się w burzę piaskową. March opędzała się od pyłu osadzającego się na całym ciele i wpychającego się w nozdrza. Jeśli to był koszmar, wydawał się aż nadto realny.

I nagle wszystko się skończyło. March, przecierając oczy, zdała sobie sprawę, że znalazła się już na podłodze. Biblioteka znów zatopiona była w ciemnogrnatowym blasku.

Zdezorientowana dziewczyna z trudem dochodziła do siebie. Mnóstwo myśli naraz zalało jej głowę. Powinna odnaleźć Piątka, powinna ratować Callena, powinna walczyć, powinna uciekać. Nie zdążyła się ruszyć, gdy odnalazły ją fery. Lei szedł z jednej strony, Leila z naprzeciwka. Ostrza ich athame odbijały światło szklanych kul.

March zamknęła oczy. Mimo obaw pomyślała znów o królowej.

– Nie wysilaj się – zadrwiła Leila. – Odcieśliśmy ci dostęp do kul.

– Jeden ruch, a zginiesz – ostrzegł Lei. – Mamy już pozwolenie. Zaryzykujesz, by to sprawdzić?

Zatrzęsa się z gniewu i rozpacz. Nie chciała znów trafić do koszmaru, gdzie pewnie objęto by ją tym samym czarem co Alogosa. Chyba wolałaby zginąć...

Tak, śmierć z pewnością była lepsza od wiecznego więzienia. Skoro wszystko stracone, niech ją zabiją!

Zaczęła powoli się podnosić, gotowa na ich atak, może ból, a może bezbolesną śmierć, ale wtedy podłogą coś wstrząsnęło i dziewczyna na powrót upadła.

Na twarze ferów wypłynął strach. Athame w ich dłoniach zadrżały, gdy wstrząs się powtórzył. Przy kolejnym kule na regałach groźnie się zachybotwały. Wtedy March zrozumiała już, że ciężkie odgłosy oznaczają kroki. Coś się zbliżało, coś wielkiego i zapewne groźnego.

Znów spróbowała wstać, tym razem opierając się o regał. Fery straciły zainteresowanie nią. Z ich min wnioskowała, że rozmawiały w myślach. Lei wzbił się w powietrze i wylądował obok towarzyszki.

– Gdzie jesteś? – usłyszała nagle March. Głos był znajomy i tak wyraźny, jakby ten, do kogo należał, stał tuż obok.

– Alogos?! – zawołała, nie przejmując się ferami. – Słyszysz mnie?!



– Zamilcz! – warknęła Leila.

– Nie mów – odrzekł głos. – *Pomyśl.*

Najpierw nie wiedziała, o co chodzi, lecz szybko zrozumiała. Zamknęła oczy i wyczuwszy obecność przyjaciela, wysłała mu obraz.

– Już wiem – powiedział. – Idę.

Wstrząsy przybrały na sile. Niepewne fery ściśle przylgnęły do siebie ramionami. Czubki ich athame zalśniły mocniej, jakby zaraz miała wylecieć z nich energia.

Alogos był tuż-tuż. Teraz regały trzęsły się bez ustanku. March zaczęła się obawiać, że lada chwila, a wszystkie kule spadną z nich i się potłuką, uwalniając więcej koszmarów. I ona sama czuła strach przed Alogosem. Kim właściwie był? Olbrzymem, potworem? Wraz z ferami utkwiała wzrok w końcu regału, skąd nagle wychylił się koński łeb.

Tak olbrzymiego konia jeszcze nigdy nie widziała. Sięgał grzbietem do połowy regału. Jego sierść wydawała się świetlista niczym słońce, a potężne kopyta, którymi mógłby wybić dziurę wielkości drzwi, błyszcząły niczym złoto, choć nie padało na nie żadne światło. To wszystko sprawiło, że March nie od razu zwróciła uwagę na jego łeb, z pięć razy większy od normalnego, a gdy już to zrobiła, wszystko się wyjaśniło. I jednocześnie skomplikowało.

– Ja pier...

To *był* jednorożec. Z całą pewnością.

Alogos zarżał.

– Miło cię poznać – powiedział, patrząc na nią. Nie poruszył ustami, jego słowa na wzór myśli uformowały się w głowie March. Odpowiedziała w ten sam sposób, choć jej przekaz łączył w sobie kilka wiadomości: *Nie wierzę, że to się dzieje, Ale... jak to możliwe?* i *Mnie też miło.*

Fery, chyba tylko z braku lepszego pomysłu, wystrzeliły w jednorożca zaklęciami. Popełniły wielki błąd. Róg Alogosa

załśnił, kule wrogich energii zatańczyły wokół niego, po czym powiększyły się, świecąc oślepiającym blaskiem.

March poczuła gniew przyjaciela. Alogos gwałtownym ruchem zwrócił energię w stronę regałów. Huk wstrząsnął Biblioteką. Siła uderzeniowa w ułamku sekundy zmiotła klucze koszmarów z połowy półek. W przestrzeni zawirowały miliony drzazg i odłamków szkła.

– Nie! – zawołała March, pamiętając o Piątku. – Tu gdzieś jest mój przyjaciel! – Spróbowała przesłać myśl Alogosowi. Chyba się nie udało, bo ją zignorował.

– Schowaj się za mną – polecił.

Nie mogła nie posłuchać, bo kolejne strumienie energii ferów pędziły już w ich stronę. Tym razem były silniejsze, a mimo to Alogos znów zdołał je pochwycić i zwrócić nadawcom. March w porę zakryła uszy, ale teraz nie dobiegł ich żaden hałas. Usłyszała za to zrozpaczoną Leilę.

– Lei! Nie!

Odwróciła się. Błękitny fer leżał na podłodze w kałuży krwi. Leila pochylała się nad nim, próbując go ocucić, ale to nie trwało długo. Gdy pojęła, że zginął, wstrząsnął nią niewyobrażalny gniew. Z okrzykiem bojowym uniosła się nad regały, jej rozszalałe oczy zionęły nienawiścią. Wystarczył jednak ruch rogu, by ugodzona energią jednorożca ferini upadła na zgliszcza pozostałe po regałach.

Alogos spojrzał na March.

– Nadchodzą inni. Pora stąd odejść.

– Nie mogę – odparła, z trudem przesyłając mu myśli. Była spanikowana. – Moi przyjaciele... Piątek! Piątek! – wołała.

Wśród gruzów coś się poruszyło i po chwili wyłonił się spomiędzy nich czarny pyszczek. March rzuciła się na pomoc. Odgarnęła kawałki regałów, które przysypały kota. Był poturbowany, ale cały.

– Och – jęknął, próbując wyprostować łapy. – Chyba straciłem kolejne życie... A to co?! – ożywił się na widok jednoroźca.

– Później – odparła March. – Musimy pomóc Callenowi.

– Słucham? – odezwał się Alogos. – Co masz na myśli? Chyba nie zamierzasz tu zostać?

– Nie mogę odejść. Muszę uratować przyjaciela. Wspominałam ci o nim...

Jednorożec przyglądał się jej przez chwilę. Nie umiała odczytać jego myśli. Może dlatego, że trochę ją onieśmielał.

– Pięć minut – powiedział nagle.

– Co?

– Tyle ci daję. Fery niedługo się tu zjawią i będzie ich o wiele więcej. Jestem w stanie stworzyć portal i nas przenieść, ale nie będę czekać w nieskończoność.

Z łóżek dały się słyszeć kolejne oddechy. March spojrzała w tamtą stronę. Niszcząc regały, Alogos odsłonił leżących więźniów, którzy zaczynali się budzić.

– Ale... jak to? To za mało czasu – odparła, patrząc znów na jednoroźca. – Przecież...

– Przecież co? Myślałaś, że będziemy ze sobą na śmierć i życie? Działam zgodnie z umową. Pomogłem ci w walce ze Strażnikiem, a ty mnie uwolniłaś. Reszta to już kwestia mojej dobrej woli. Nie chcę, byś zginęła, ale nie dam się pojmać. Masz mało czasu.

March nie znalazła na to żadnej odpowiedzi. Wściekła, po prostu się odwróciła i ruszyła ku więźniom. Skoro właśnie taki był Alogos... skoro tego chciał...

– Co jest? – spytał Piątek, który pokuśtykał za nią.

– Nic, ratujemy Callena – rzuciła.

– Wydajesz się zdenerwowana...

Miała ochotę go zwyzywać. On też był winny. Odłożyła jednak gniew na później.

– Nie budzi się – stwierdziła, stając przy łóżku chłopaka. –  
Co robić?

– Cóż, jeśli koszmar jest zbyt silny, może go zabić. No, chyba  
że ktoś pomoże mu w walce i...

Tyle wystarczyło. Nie słuchając dłużej Piątka, March  
zdecydowała. Dotknęła zimnego czoła Callena i natychmiast  
wciągnął ją jego sen.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Wpadła w noc. Początkowo niczego nie widziała, a gdy wreszcie kształty zaczęły wyłaniać się z mroku, od razu rozpoznała miejsce, do którego trafiła.

– Samotna siedemnaście – szepnęła. – Sierociniec.

Jej słowa zamieniły się w lekki, złocisty podmuch i pofrunęły ku metalowej bramie. Zamek zachrząścił i po chwili drzwi się otworzyły. Budynek zaświecił oczami okien, łypiącymi groźnie w jej stronę. Cóż, dzięki światłu mogła przynajmniej lepiej się rozejrzeć. Tuż obok niej stał Callen. Choć był tak blisko, wydawał się odległy – nawet nie próbowała do niego przemówić, spodziewając się, że jej nie usłyszy. Patrząc na niego, miała wrażenie, jakby oglądała film lub scenę wyjętą z czyichś wspomnień. Osowiały i smutny, Callen bez zastanowienia ruszył przed siebie. Ona poszła za nim.

Bała się. O ile wcześniej od dziwnie powykręcane go budynku biła ponurość, teraz zdawało się, że to on sam tworzył tę bezkresną noc, jakby wypływała spod jego drzwi i okiennic.

*To tylko sen – pomyślała. Tylko iluzja.* Nie miała czego się bać. Trzymała się blisko Callena, który wciąż nie mógł jej zobaczyć. Zdawało się, że wiedział, dokąd iść.

Ścieżka była długa, z dziur w porozbijanych płytkach chodnikowych zionęła pustka. Wyrwy w nich były niczym niewielkie czarne dziury, które mogłyby wciągnąć przechodnia i uwięzić już na zawsze. Rzadkie krzaki porastające ogród zdawały się wyciągać liście, jakby błagały o wodę. March odwróciła od nich wzrok i skupiła się na drzwiach sierocińca. Callen pociągnął klamkę.

Zapach był wstrętny – zgnilizna, alkohol, przypalone mleko. Gdy tylko March pomyślała o tym ostatnim, spojrzała na stojący w kącie stary piec. Jego białą blachę pokrywały czarne plamy.

Zwróciła się ku schodom. Kręte, brudne i zakurzone, wiodły na niknące w mroku piętro. U ich stóp stała kobieta. Miała ciemną garsonkę sięgającą kolan, włosy starannie zaczesane w kok i przewiązane granatową wstążką, jak u małej dziewczynki. Była wysoka, wyższa od przeciętnego człowieka, a jej twarz miała surowy wyraz.

– Pójdiesz ze mną – zwróciła się do Callena.

Ten nie protestował i bez słowa wspiał się za nią po schodach. Znaleźli się w długim korytarzu. Po obu stronach ciągnęły się rzędy identycznych drzwi. Nieznajoma otworzyła pierwsze z prawej i kazała Callenowi wejść. March wślizgnęła się tuż za nim.

Znaleźli się w niewielkim, zaciemnionym gabinecie. Kobieta zajęła miejsce za małym biurkiem, na którym stała tylko jedna lampka. Swojemu gościowi wskazała krzesło naprzeciwko. Gdy Callen usiadł, nieznajoma otworzyła szufladę biurka i bezszelestnie położyła na blacie plik kartek. March podeszła bliżej, by się im przyjrzeć.

*Emerald Isinbir-Callen*

*Data urodzenia: 7 listopada 1950*

*Matka: Angelina Callen*

*Ojciec: Isinbir dé Aislingen*

*Skazany za: zamach stanu*

– Wiesz, kim jestem, Emeraldzie? – spytała kobieta. March sądziła, że się przesłyszała. Jeszcze raz spojrzała na datę urodzenia mężczyzny. To niemożliwe, by to Callen był Emeraldem. Musiała zająć jakaś pomyłka.

– Julia Roy – odparł bez wahania znudzonym tonem. – Wysłanniczka Społeczności do spraw Aislingen.

– I prowadząca tę placówkę – dodała tamta.

Callen się zaśmiał.

– Placówkę? Raczej więzienie...

Kobieta zastanawiała się przez kilka chwil. March patrzyła, jak na jej czole pogłębia się długa, podłużna zmarszczka.

– Tak, właściwie można tak powiedzieć – przyznała. – Wiesz, za co cię skazano?

Chłopak założył ręce na piersi. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Za pochodzenie? – spytał z udawaną uprzejmością.

Julia Roy pozostała niewzruszona.

– Nie – oznajmiła. – Próbowalesz dostać się do Biblioteki Snów i uwolnić więźniów. Chcialesz zachwiać porządkiem, który dawno temu ustaliliśmy w porozumieniu ze wszystkimi krainami zamieszkanymi przez fery.

– Być może ktoś powinien w końcu to zrobić – stwierdził Callen, wzruszając ramionami.

Kobieta nie odpowiedziała. Wpatrywała się w chłopaka tak, jakby przez jej głowę przepływało mnóstwo myśli. Potem wzięła do ręki długopis i zaczęła odhaczać coś w dokumentach, jednocześnie tłumacząc:

– Nie będę pytać, dlaczego to zrobiłeś. Zdawałeś sobie sprawę, co cię za to czeka.

March wciąż spoglądała na datę urodzenia. Może ktoś się pomylił, zapisując ją? W takim razie dlaczego kobieta jej nie poprawiła?

– W tym miejscu zostaniesz objęty ścisłym nadzorem. Społeczność obłoży cię klątwą, która zablokuje twoją moc. Zaklęcie sprawi też, że nie będziesz się starzeć. Przed światem na pięćdziesiąt lat pozostaniesz wychowankiem tego domu.

Dopiero wtedy wszystko się wyjaśniło. March chciała usiąść; szok który przeżyła, był chyba jeszcze większy niż ten, który



towarzyszył odkryciu magii i świata ferów. Ten... *chłopak* naprawdę był staruszką zaklętą w ciele nastolatka. Tak bardzo ją oszukał!

– Zmienimy też twoje imię – ciągnęła pani Roy. – Emerald nosi w sobie zbyt wiele magicznej mocy... Pomyślmy... – Przekreśliła coś w dokumencie. – Callen, nazwisko panięskie twojej matki, się sprawdzi. Imię po ojcu też usuniemy... Isinbir... Tak, dostaniesz w zamian nazwisko po wiedźmach, które się tobą opiekowały.

Callen niespokojnie się poruszył. Pani Roy zdawała się rozumieć, o co chodzi.

– Nie – oznajmiła stanowczo. – Nie będziesz mógł się z nimi widywać. Dla ich własnego dobra lepiej, by nie utrzymywały z tobą kontaktu.

Nie mrugnął nawet okiem, jakby wcale mu na tym nie zależało, ale March, która przyglądała się teraz z bliska jego twarzy, dostrzegła nieznaczną zmianę: grymas bólu kryjący się pod maską obojętności.

Zapatrzyła się w jego hipnotyczne spojrzenie. Wciągało ją. Po chwili cała przestrzeń znów zatoneła we mgle. W ciemności unosiły się tylko błyszczące oczy chłopaka. Gdy twarz ponownie się pojawiła, Callen siedział już w innym pomieszczeniu.

To było prawdziwe więzienie. Nie miało zamkniętych cel ani krat w oknach, nie pilnowali go strażnicy, ale nie ulegało wątpliwości, że było więzieniem. March przeczuwała, że budynek ma własną tożsamość. Obskurne ściany, z których dawno już zeszła większość farby, ścisnęły się, jak gdyby próbowały udusić mieszkańców, okna – choć szeroko otwarte – nie wpuszczały świeżego powietrza.

Callen siedział przy biurku, czytając coś. March pochyliła się nad dokumentem. To, na co patrzył chłopak, wyglądało jak wycinek z encyklopedii, wycinek dotyczący jej matki.

## EMMA SKY

*Urodzona w 1898 roku, autorka licznych artykułów nt. ferów w prasie nieprzynależących. W latach 20. XX w. ślad o niej zaginął. Odnalazła się dopiero w roku 2000, wciąż młoda. Przybyła z noworodkiem. Nie pamiętała niczego z dawnego życia.*

Z twarzy March odpłynęła krew, dziewczyna sądziła, że zaraz zemdleje. 1898... Znów przyglądała się tylko cyfrom, studiowała każdą z nich z osobna. Nie... Nie, to nie było możliwe, nie mogło być.

Callen wstał. March z szeroko otwartymi ustami podążyła za nim wzrokiem. Położył się na niedbale zasłanym łóżku, skrzyżował ręce na piersiach i zamknął oczy. Nagle tuż przy szafce nocnej pojawił się drugi Callen. March podskoczyła na jego widok. Jego sylwetka wydawała się nieznacznie bledsza od leżącego ciała. Duch – aura, cokolwiek, czym był – podszedł do okna.

– March Sky – szepnął wyraźnie. – March Sky... March Sky...

Powtarzał te słowa jak mantrę, lecz nic się nie działo. March ogarniał coraz większy strach. Przypomniała sobie o czasie. Pięć minut, które dał jej Alogos, pewnie dawno już minęło. Nie mogła jednak przerwać wizji, zresztą nawet nie wiedziałyby jak.

Nagle szyby w oknie pękły. Trzask rozerwał ciszę. Do pokoju natychmiast wpadła pani Roy. Spojrzała na leżącego chłopaka.

– Wracaj! – krzyknęła. – To nie ujdzie ci płazem!

Rzuciła się na łóżko, próbując go ocucić. Callen otworzył oczy i wyciągnął rękę.

– March – szepnął znowu.

Teraz wyraźnie zwracał się do niej, stojącej tutaj. Pani Roy również spojrzała w jej stronę. I wtedy twarz kobiety zaczęła się zmieniać. Rysy się wyostrzyły, oczy rozjarzyły, ciemny kok ustąpił brudnym, potarganym włosom koloru rdzy. Zamieniła się w Strażnika Koszmarów.

Rozczapierzone palce sięgnęły szyi March. Odepchnęła je i z całej siły kopnęła upiora w brzuch.

– Jednego już pokonałam! – ostrzegła. – I ciebie też załatwię!

Szarpiąc się, padły na podłogę. Callen wciąż leżał, cały się trzęsąc. Widząc go, March tym bardziej przeraziła się biegnącym czasem. Czy Alogos wciąż czekał? A może pojawienie się potwora oznaczało, że znów dopadły ich fery?

Strażniczka uderzyła ją w twarz. March poczuła ostry ból. Po chwili z policzka zaczęła spływać gęsta krew, która wypełniła jej usta. Nie, nie może znów zacząć się topić! Skumulowała całą moc. Odnalazła ją w każdym zakamarku ciała, już nie tylko w brzuchu. I zaatakowała. Pochwyciła ręce potwora z taką siłą, że mogłaby je połamać. Odepchnęła od siebie Strażniczkę. Ta, wściekle rycząc, uderzyła plecami o krzesło. March wykorzystała ten moment, by doskoczyć do Callena.

– Wstawaj, rusz się! – błagała, klepiąc chłopaka po twarzy. – Słyszysz?

Strażniczka podniosła się i ruszyła w jej stronę. Teraz z jej czoła sączyła się czarna maź, która spływała po nosie, przypominając krwawe łyzy. Potwór złapał dłoń Callena, który nagle mocniej rozsunął powieki. Bezwiednie wyciągnął rękę, z której trysnęła czerwona energia. Strażniczka wrzasnęła, gdy poraziła jej twarz.

Przestrzeń znów się zmieniła. Mgła wróciła, teraz zimna i otrzeźwiająca. Koszmar ustąpił i wszystko wokół zalało granatowe światło.

Trafili z powrotem do Biblioteki Snów. March nie miała czasu, by kontemplować to, co się stało. Teraz wokół niej latały strzępki drewna i szkła. Zewsząd rozbłyskiwała energia, a z oddali dobiegł ją głos Wyrda.

– A więc znów się spotykamy, *przyjacielu*.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Władczyni się śmiała, choć nie wyglądała na zadowoloną. Zjawiała się w Bibliotece w otoczeniu kilkudziesięciu ferów. Suknię miała pomiętą, co musiało znaczyć, że królowa zdążyła już wziąć udział w walce. Jej głos rozbrzmiewał w głowie March, więc dziewczyna bez trudu domyśliła się, że Wyrd rozmawia z Alogosem.

Biblioteka była doszczętnie zniszczona. Wszędzie rozbłyskiwały czary, które odbijały się od energii płynącej z rogu Alogosa. Jednorożec wytworzył tarczę ochronną między sobą a przeciwnikami. Po jednej stronie stały fery z obnażonymi athame, po drugiej bosa postacie w koszulach nocnych – bezbronne, ale wyraźnie wściekłe. Więźniowie... Większość już się przebudziła. Nienawistnie łypali na królową.

– March – odezwał się cichy głos Callena. Stojący obok Piątek podskoczył.

– Udało się! – zawołał.

– Cicho – szepnęła March, podnosząc się. Musiała podsłuchać rozmowę Alogosa i Wyrd.

– Dopiąłeś swego – oznajmiła władczyni. Najwyraźniej starała się ukryć głębokie rozczarowanie, lecz jej myśli zdradzały więcej niż to, co chciała przekazać. – Przyznaj, jak długo szukałeś kogoś, kto ci pomoże?

– Czas to wartość względna – stwierdził jednorożec. – Kto jak kto, ale ty doskonale powinnaś to rozumieć.

March uderzył fakt, że Alogos nie okazywał ani krztyny strachu czy choćby niepokoju. Rozmawiał z królową jak równy z równym, a może nawet uważał się za silniejszego od niej.

Niewykluczone zresztą, że tak właśnie było – fery wciąż uderzały w jego złotą tarczę coraz silniejszymi zaklęciami, a ta ani drgnęła. Energia nieprzerwanie wpływała z wielkiego rogu.

– Zatrzymajcie atak – rozkazała Wyrd. – Tym sposobem ich nie pokonamy.

Rozbłyskujące zaklęcia natychmiast ustały. Fery ucichły i jedynie Leila wciąż łkała nad ciałem Leia. Więźniowie, na wpół przytomni, w szeregu ustawiali się przy Alogosie.

– March – odezwał się znów Callen. – Powinniśmy...

– Nie. – Przyłożyła palec do ust. Oczy Wyrd zalśniły, gdy spojrzała w ich stronę.

– Twoja przyjaciółka nas podsłuchuje – przesłała kolejną myśl królowa. – Czyżby była taliesinką?

March nie była pewna, czy dobrze usłyszała ostatnie słowo.

– Nie jest taliesinką – odparł Alogos. – Nie zapominaj o tym, kim jestem *ja*.

– Ach, tak, Alogos, niedoszły książę Wielkiego Karkadannu – oznajmiła Wyrd ze znużeniem. – Ciebie może usłyszeć ktokolwiek, jeśli sobie tego zażyczysz. Ty i nasz mały buntownik macie coś wspólnego. On też uważał się za księcia.

March posłała Callenowi oburzone spojrzenie. Oto ujawniała się przed nią jego kolejna tajemnica, jego i Alogosa. Nie była pewna, jak wiele podobnych prawd będzie jeszcze umiała udźwignąć. Mimo to słuchała – musiała wiedzieć wszystko.

– Jesteś zdziwiona? – Wyrd rozpoznała jej niepewność i wbiła w nią drwiące spojrzenie. – A więc naprawdę o niczym nie wiedziałaś... Może to i lepiej, że możesz nas usłyszeć i poznać się na swoich *przyjaciółkach*. Swoją drogą, March Sky, wykazałaś się sporą siłą, lecz jeszcze większą głupotą. Łatwo cię oszukać. Nie tylko oni to zrobili, ale także ja. Czy naprawdę sądziłaś, że udałoby ci się tu włamać, gdybym na to nie pozwoliła?

Wszystkie mięśnie w ciele March skurczyły się w złości. Władczyni ciągnęła:

– Już wtedy, gdy cię do siebie wezwałam, wszystko rozumiałam. Wiedziałam, że czar przestał działać, wiedziałam o kocie. – Przeniosła wzrok na pokiereszowanego Piątka, który choć nie mógł usłyszeć tych słów, zjeżył sierść pod jej spojrzeniem. – Poznałam wasze plany. Zostawiłam klucz niestrzeżony, a drzwi Biblioteki zaklęłam tak, by bez trudu was przepuściły. Musisz przyznać, że nawet dziecko podałoby odpowiedź na moją zagadkę.

– Ale jednego nie przewidziałaś – wycedziła March. – Że zniszczymy to miejsce, uwalniając wszystkich więźniów.

– Nie sądziłam, że zniszczenia będą tak wielkie, to prawda. Wiedz jednak, że popełniłaś straszliwy błąd. Nie ja będę cię z niego rozliczać. To ludzka, wiedźmia Społeczność nie da ci za to spokoju.

– Jeśli wróci do swego świata – zauważył Alogos, który od dłuższego czasu milczał. Napięcie po obu stronach jego tarczy wzrastało, gdy fery i więźniowie gniewnie wpatrywali się w siebie nawzajem.

– Och tak – odparła królowa, mrużąc oczy. – *Jeśli wróci...* Teraz! – zawołała nagle.

Energia skumulowana w athame ferów wybuchła. Nikt – chyba łącznie z nimi samymi – nie spodziewał się, że do tego dojdzie, ale w barierze Alogosa powstało kilka wyrw. W mgnieniu oka zaczęły się rozrastać, aż tarcza znikła.

Zapanował chaos. March, wyrzucona nagle z umysłów jednoroźca i Wyrd, z trudem odnajdowała się w hałaśliwym zgiełku walk. Wszędzie wokół wystrzeliwały kolorowe energie ferów, uderzając o deski i ściany, kilku bezbronnych więźniów – którzy mimo wszystko mieli w sobie dość sił i chęci odwetu, by rzucać się na fery – padło bez świadomości na podłogę.



Callen pociągnął March za rękę, w której trzymała scyzoryk. W drugiej wciąż miała klucz swoich koszmarów. Bordowa energia, przypominająca gęsty strumień krwi, przefrunęła tuż nad jej głową.

– Walcz, March! – zawołał Piątek, uskakując przed kolejnym zaklęciem. – Użyj czarów!

Kot zanurkował wśród gruzu. March wyrwała rękę, którą wciąż ścisnął Callen. Próbował gdzieś ją zaprowadzić, ale ona przystanąła. Nim którekolwiek zdążyło się odezwać, nad głowami przeleciał im potężny, szklany odłamek. March schyliła się, po czym wstała na wyprostowanych nogach, obiema rękami ściskając scyzoryk.

– Wewnętrzny ogień, tak. – Callen pokiwał głową, jakby czytał jej w myślach. Ledwo go dosłyszała wśród krzyków walczących.

Wyciągnęła ostrze przed siebie i wycelowała w grupę frunących w ich stronę ferów. Gniew był ogromny. Już jej nie obchodziło, skąd się brał. Była wściekła na wszystkich. Mała, ciemna kula w jej brzuchu urosła, próbując zablokować jej czary, ramię, które skaleczył Strażnik, zapiekło na nowo. Ale March zamieniła ból w siłę. Uderzyła.

Gorąca energia zelektryzowała jej palce. Z ostrza buchnął ogień, formując się w strumień, którym March wywijała niczym wstęgą, parząc atakujące ją fery. Te uciekały, wrzeszcząc, ich skrzydła się dymiły. Wśród nich pojawił się Hypnos. Jego zaklęcie nie ugodziło. Posłał niedawnej uczennicy minę, której ta nie potrafiła zinterpretować. Potem się oddalił.

Nie przerywając strumienia, March spojrzała na Alogosa. Bez najmniejszego wysiłku odpędzał się od wrogów. Jego róg bez ustanku lśnił, gdy wypuszczał z niego zaklęcia. Jediną godną go przeciwniczką była Wyrd.

Królowa podleciała wysoko – tak, by jej twarz znalazła się na równi z oczami jednoroźca. Całe jej ciało zaczęło się skrzyć, jej aura przybrała odcień czystego fioletu. Energia wydawała się identyczna do tej, która otaczała Miasto Snów. Wyrd stała się wcieleniem całej krainy. Wyciągnęła ręce nad głowę, splotła dłonie, w których trzymała berło. Krzyknęła, a jej głos rozdarł przestrzeń na kawałki. Z rąk władczyni wytrysnęła energia, od której Biblioteka rozbłysła, jakby eksplodowała w niej bomba. March poczuła gorąco na twarzy.

Róg Alogosa załśnił jeszcze mocniej. Zakłęcie jednoroźca spotkało się w pół drogi z zaklęciem królowej. Gdy się zderzyły, płomienne iskry rozsypały się po podłodze, zapalając zniszczone regały.

Walka między ferami i więźniami ustała. Niemal wszyscy – w milczeniu, z zachwytem i przerażaniem na twarzach – wpatrywali się w jaśniejącego węża stworzonego z połączonych energii władczyni i jednoroźca. Tylko nieliczne fery wciąż jeszcze siłowały się z atakującymi je więźniami. Ci poruszali się niczym zombie, lecz gdy już dosięgali przeciwników, z niebywałą siłą wyrwali im z rąk sztylety.

Nagle rozległ się koci wrzask. March odwróciła głowę od Alogosa i Wyrd i natychmiast dostrzegła Piątka wgryzającego się w nogę Leili. Próbował chyba przejąć klucz swych koszmarów. Rozwścieczona ferini uniosła athame.

– Nie! – krzyknęła March. Przez jej palce znów przepłynął ogień. Nim jednak zdążyła poparzyć nim Leilę, athame ferini zanurzyło się w grzbiecie kota.

Dłonie Leili zapłonęły. Wrzeszcząc z bólu, ferini podniosła się i kopnęła rannego Piątka, odrzucając go na znaczną odległość. Kot uderzył o ścianę.

March o niczym już nie myślała. Rzuciła się ku Piątkowi, a Callen biegł wraz z nią. Wokół pokiereszowanego ciała kota

wykwitła czerwona plama. March gorączkowo szukała źródła rany w poplamionym, lepiącym się od krwi futrze.

– Nie, to boli – jęknął kot, gdy ją znalazła.

– Ove – wyszeptał nagle Callen. March nie rozumiała, co to miało znaczyć: czy wypowiadał zaklęcie, czy po prostu wydał bliżej nieokreślony dźwięk. W jego oczach zalśniły łzy. – Trzymaj się.

Piątek stęknął.

– Coś wymyślimy, tylko... tylko... – March sama nie wiedziała, co chce powiedzieć. Bezradnie rozkładała ręce nad kotem.

– Jeśli dobrze liczę, a... to... w mojej sytuacji... nie jest łatwe... – Piątek nie tracił humoru, mimo że z wielkim trudem cedził każde słowo. Dla March żadne z nich nie brzmiało ani odrobinę zabawnie. – To moje... ostatnie życie... Przykro mi, Callen. – Jego wzrok, który zaczął już stawać się mętny, spoczął na chłopaku. Potem kot błądził nim przez chwilę, aż trafił na March. – Pomyśl o mnie... Weź kulę... Leila zdążyła... tylko wspomnienia. One... – Zaczął rzeźzić. – One ci wyjaśnią...

W jednej chwili życie uszło z jego oczu jak dym ze zgaszonej świecy. Wypełniła je pustka.

Callen załkał. Ale March nie znalazła czasu na ani jedną łzę. Odłożyła klucz swoich koszmarów, by móc łatwo wrócić w to samo miejsce, a w dłoni zostawiła tylko scyzoryk. *Leila!* – pomyślała nienawistnie. A potem...

*Piątek...*

Po śmierci Leia blokada, jaką on i jego siostra nałożyli na March, musiała zniknąć, bo siła Biblioteki znów uniosła dziewczynę. Z wysuniętym athame, wściekła, sunęła już w stronę ferini. Leila zorientowała się o tym za późno. Nie zdążyła wykrzesać energii. March dopadła ją i powaliła na ziemię. Nie myślała teraz o rzucaniu czarów. Kontrolę przejął instynkt, który towarzyszył jej niemal przez całe życie, na

długo nim poznała magię. Mogłaby zabić przeciwniczkę gołymi rękami.

Zdezorientowana ferini najpierw poddała się sile dziewczyny. March zacisnęła wolną rękę na jej szyi. Jednak moc Leili szybko wróciła. Ferini grzmotnęła przeciwniczkę w brzuch, tak że March oczy prawie wyszły z orbit. Scyzoryk wypadł jej z dłoni.

Zaczęła znów uderzać, bijąc na oślep. Leila bez trudu unikała większości ciosów. Kopnęła kulę, która potoczyła się i zatrzymała przy ciele Leia. Widząc je, March na nowo poczuła się słabo.

*Scyzoryk* – pomyślała. Musiała się do niego dostać. Leżał zaledwie kilka stóp od niej, ale Leila przygwoździła jej ręce do podłogi. Szamotały się przez kilka chwil. Nagle przed oczami March stanął Hypnos. Spojrzał na nią, po czym niby przypadkiem kopnął scyzoryk tak, by mogła go dosięgnąć. Leila nie od razu dostrzegła, że March znów go ma, dzięki czemu dziewczyna zdołała wzbudzić moc, niewielką, lecz wystarczającą, by porazić ferinię. Skierowała zaklęcie na jej twarz.

Leila wrzasnęła, chwytając się za przypalony policzek. March, rzuciwszy przelotne spojrzenie Hypnosowi, który od razu zniknął, sięgnęła znów po klucz Piątka. Na nic nie czekając, pomyślała znów o swym własnym i już sunęła z powrotem do miejsca, w którym zostawiła ciało kota. Teraz już go tam nie było. Callen trzymał je w rękach i, ukryty za Alogosem, wołał w stronę March. Schowała scyzoryk, zgarnęła kulę i podbiegła do niego.

– Szybko! – zawołał. – Ten jednorożec stworzył portal!

Alogos i Wyrd zakończyli walkę. Znów oddzielała ich od siebie złota tarcza, a w ścianie otwarty był przypominający wir portal, w którym znikali więźniowie.

– March Sky, zapraszam – głos Alogosa odezwał się w jej głowie.

Po raz ostatni obejrzała się na pobożowisko. Wiele ferów leżało bez życia pośród gruzów, kilku więźniów również nie żyło. Wyrd patrzyła na nią tak samo jak wtedy, gdy spotkały się po raz pierwszy: ze spokojem i rodzajem wyższości. Dwa fery przesyłały jej leczniczą energię. March znalazła w sobie jeszcze dość siły, by posłać władczyni pełne pogardy spojrzenie, a potem – zrozpaczona jak nigdy, ale z poczuciem gorzkiego zwycięstwa, mając obok siebie Callena, który wciąż ścisnął martwe ciało Piątka – weszła w stworzony przez Alogosa portal.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

– Teraz możecie podjąć decyzję.

To były pierwsze słowa, jakie usłyszała March po przeniesieniu. Wypowiedział je Alogos, tym razem sprawiając, że usłyszeli go wszyscy. Stał na niewielkiej łące, a jego skóra jaśniała w pełnym, ostrym słońcu. Za sobą miał srebrzysty strumień. Woda nie poruszała się, jakby zamarzła w czasie.

W powietrzu po obu stronach Alogosa unosiły się dwie pary drzwi – jedne drewniane, ozdobione pnącą się rośliną, drugie oszklone, z metalową gałką. Jednorożec tupnął kopytem, po czym jedne i drugie szeroko się otworzyły. Więźniowie natychmiast ruszyli w ich stronę. Większość wybierała te drewniane.

– Niech zgadnę – powiedziała March, patrząc na Alogosa. – Te ukwiecone prowadzą do świata magicznego, a te zwykłe do mojego?

– Zgadza się – odparł. – Jak widzisz, więźniowie wybierają Jaar. Pewnie chcą tam szukać lepszego życia. A ty? Jeśli nazywasz świat ludzi swoim, chyba już zdecydowałaś?

– Ja być może też chciałabym pójść do Jaaru – oznajmiła. Callen odwrócił się i uniósł na nią zapłakane oczy. Widok martwego Piątka w jego ramionach był nieznośny. Jej serce przeszył nowy ból, jakby dopiero w pełnym słońcu dotarło do niej, że kot nie żył. – Być może, kiedyś – powtórzyła – ale jeszcze nie teraz. Najpierw powinnam wrócić do świata ludzi i uporządkować w nim swoje sprawy.

– Wiesz, że będzie nas ścigać Społeczność – przemówił Callen w zwykły sposób. Słyszał rozmowę z jednorożcem, ale

najwyraźniej nie był pewien, jak w niej uczestniczyć. – Właśnie dlatego więźniowie idą do Jaaru. Tam łatwiej się ukryć. Jeszcze nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiliśmy, ale...

– Nie mam zamiaru uciekać – przerwała mu March. – Zbyt długo musiałam to robić. Zresztą właśnie od tego się zaczęło. Od ucieczki. A teraz chcę wrócić.

Ostatnia z chudych postaci znikła za drzwiami prowadzącymi do świata magicznego. March miała na razie dość magii, choć wiedziała, że po tym, co się wydarzyło, pewnie już nigdy się od niej nie uwolni. Gdyby tylko mogła, zostałyby tutaj, w miejscu, które wydawało się zawieszony w czasie, już na zawsze.

– To przestrzeń pomiędzy – oznajmił Alogos, rozumiejąc jej myśli. – Nie wolno ci tu zostać. To miejsce zniknie, gdy ja odejdę, i nie zdołasz wrócić do swojego świata, a gdybym cię tu zostawił, nigdy byś nie żyła. Nie naprawdę.

Ostatnie słowa Alogosa zabrzmiały jak pouczenie. March zmrużyła oczy. Nie miał prawa mówić do niej w ten sposób.

– Jesteś księciem, tak? – spytała szybko.

– Owszem – przyznał bez większej dumy.

– I uznałeś, że nie trzeba mi tego mówić, tak? Zresztą, nie przyznałeś się nawet, że jesteś jednoroźcem!!

Złość wzrastała, ale teraz March okazywała ją w inny sposób niż zwykle, bez unoszenia się i zaciskania pięści. Przejęła nad nią kontrolę i chłodno wypuszczała ją z siebie partiami. Callen z niepokojem przenosił wzrok z niej na jednoroźca i z powrotem.

– Nie uznałem, jak widzisz – odparł miękko Alogos. Nie musiał niczego dodawać. March doskonale wiedziała, za kogo ją miał. Wcale nie różnił się w postrzeganiu ludzi od ferów. Jedyne, co wpływało na jego podejście, był fakt, że potrzebował jej pomocy, aż do teraz. – Byliśmy tylko więźniami, ja i ty, trochę pozbawionymi osobowości. Gdybym



powiedział ci prawdę, niczego by to nie zmieniło, a moje sprawy są ostatecznie tylko moimi.

– March, chodźmy już – odezwał się Callen.

– A ty? – March odwróciła się do niego. – Nie jesteś lepszy od niego. Też mnie oszukiwałeś. W ogóle masz zamiar pójść ze mną czy do Jaaru?

Otworzył szerzej oczy, zdumiony pytaniem.

– Z tobą, oczywiście, że z tobą...

Wzrok March znów powędrował w stronę Piątka. Jego łapy zwisały bezwładnie, nikt nie zamknął mu jeszcze oczu. Dziewczyna przypomniała sobie o kulach, które bezwiednie ścisnęła w dłoniach. Piątek chciał, by poznała jego wspomnienia. Nie wiedziała jednak, jak rozbić kulę na miękkiej trawie.

– Nim odejdziemy, mam do ciebie jeszcze jedną prośbę – zwróciła się do Alogosa. – O ile to możliwe w tym miejscu, chciałabym dostać się do czyjegoś klucza koszmarów. Mógłbyś go dla mnie rozbić?

Zależało jej na tym, by zobaczyć te rzeczy teraz, a potem, opuszczając to miejsce, mieć je już za sobą. Położyła kulę przed jednorozcem.

– Proszę bardzo – odrzekł ten i nastąpił na nią złotym kopytem.

Szkoło pękło i wszystko owionęła mgła koloru szarego piasku. Kształty, które po chwili się z niej wyłoniły, były dla March znajome. Wiedziała, że znalazła się w Domu Czarownic, mimo że wyglądał inaczej. Był zdecydowanie ładniejszy, zadbany, a na parapetach czystych okien rosły kolorowe kwiaty.

Brama otworzyła się przed nią samoistnie. March wpłynęła przez nią do ogrodu. Poruszała się tak swobodnie, jak gdyby nie miała ciała, a była nieskrępowaną świadomością. Nie wiedziała, czy Callen i Alogos jej towarzyszyli; miała wrażenie, że jest sama.

Przez salon, do którego wpadało mnóstwo światła, popłynęła schodami w górę. Nie musiała zgadywać, dokąd zaprowadzi ją wizja. Drzwi pokoju Irmy otworzyły się bez naciskania na klamkę i zamknęły, gdy March znalazła się w środku.

W zasadzie pokój niewiele się zmienił, ale wszystko wydawało się teraz o wiele świeższe, chyba dzięki obecności Irmy. Bo ona tu była. Siedziała w fotelu, młoda, piękna, z tym samym spojrzeniem, które pojawiło się, gdy March widziała ją we śnie. Nie była sama. Naprzeciw niej, na łóżku, siedział wysoki mężczyzna – mężczyzna ze zdjęcia. Głowę miał nieco spuszczoną, czarne włosy, nieco przerzedzone na jej czubku, połyskiwały w dochodzącym zza okna świetle słońca.

Oboje byli wyraźnie smutni.

– Nie powinniśmy byli tego robić – oznajmiła Irma. – Nie powinniśmy byli... Teraz przyjdzie nam odpokutować nasze winy. Nie ma odwrotu. – Pokręciła głową i zakryła twarz dłońmi, ale nie zapłakała.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Uniósł wzrok na towarzyszkę. Jego dłoń powędrowała ku jej policzkowi. Pogłaskał go niemal z nabożnością, jakby sądził, że dotyk sprawi, że Irma Malloway się rozplynie.

– Szukaliśmy tylko naszego złota... – szepnął. – Jeśli mamy ponieść karę, niech tak się stanie. Poniesiemy ją razem.

Słyszając o złocie, March wstrzymała oddech. *Złoto... Znajdę je, a potem wrócę...*

W spojrzeniu mężczyzny dostrzegła coś znajomego. Zrozumiała, co to jest, gdy jego nogi i ręce nagle się skurczyły, plecy wydłużyły, a twarz zmieniła kształt i pokryła się czarną sierścią. Towarzyszył temu kobiecy głos:

– Ove Heksensonie, za świętokradztwo, którego się dopuściłeś, Rada Wiedźm odbiera twą moc i skazuje cię na życie w skórze kota. Zaklinamy cię przez liczbę dziewięć. Dziewięć węzłów, dziewięć magicznych słów, dziewięć żyć.

Głos długo odbijał się echem w głowie dziewczyny. Nagle spojrzała na ścianę. Wisiał na niej kalendarz. Data była nader jasna: rok 1936, PIĄTEK 13.

Przez kilka chwil March słyszała tylko głucho bicie własnego serca, co ją zdziwiło, bo przecież była pewna, że znalazła się poza ciałem. Każde uderzenie zdawało się mocniej odciskać w jej umyśle prawdę. *Ove Heksonsonie... Ove!* Callen wołał wtedy umierającego Piątka po imieniu, jego prawdziwym imieniu. Kot był człowiekiem... czarownikiem...

Wszystko znów zasnuła mgła. Po chwili wyłoniła się z niej postać kobiety w średnim wieku. Wydawała się przygaszona i zmęczona. Kolorową chustką otarła z czoła pot. W jej kasztanowe włosy zaplątały się zeschnięte liście i małe gałązki. To musiała być druga z sióstr Malloway. March nie pamiętała jej imienia.

– Nie żyje – powiedziała dosadnie, twardo, lecz zaraz potem jej głos się załamał. – Biedactwo... Nic nie mogłam zrobić.

– Och, Cleto, nikt nie będzie cię za to obwiniać... – Irma objęła siostrę.

– Jasne, że nie – odparła tamta. – Boję się tylko... boję... jak powiemy to temu malcowi?

Oczy wiedźmy wypełniły łzy. Gdy opadła na krzesło, Piątek podszedł do niej i dotknął nosem jej drżącej dłoni.

– On śpi – powiedział. – A kiedy się obudzi, sam z nim porozmawiam.

Gdy March była tak ciekawa rozmowy, że nie mogła doczekać się ciągu dalszego, mgła rozpanoszyła się po pomieszczeniu. Piątek wyłonił się z niej ponownie, ale bez czarownic. Siedział na stole, wpatrując się przenikliwie w kilkuletnie dziecko. Chłopiec miał jasne włosy, a jego wielkie oczy lśniły. Niewiele zmieniły się od tamtej pory.

– Czy zrozumiałeś, co powiedziałem? – spytał poważnie kot.

Callen pokiwał głową. W rękach miał kilka kolorowych kredek. Jedną z nich zaczął rysować na białej kartce czerwoną postać. Pierwszym szczegółem, jaki stworzył, były ogromne skrzydła. March zdumiała jego spokojna reakcja na wieść o śmierci matki. Zapatrzyła się w obrazek, którego kontury zaczęły ją wciągać. Zamrugła i nagle stała się świadkiem znacznie gwałtowniejszej sceny.

Przerażona Irma wbiegła do salonu. Wyglądała teraz na o kilkanaście lat starszą.

– Emerald! – zawołała. – Wielkie nieba, on to zrobił!

Cleto – teraz z posiwiałymi już włosami – zamarła z pękiem ziół w dłoni, spodziewała się najgorszego. Piątek wychylił pyszczek znad miski z wodą.

– Co się stało? – zapytał.

– On tam przeszedł! – krzyknęła Irma. – Przedostał się do Aislingen!

Zioła wypadły z rąk Cleto i miękko wylądowały na podłodze.

– Na górę! – zarządziła starsza wiedźma. – Trzeba rzucić czar!

Cała trójka popędziła po schodach. March ruszyła za nimi, ale nie widziała momentu rzucania zaklęcia, bo wtedy ponownie ogarnęła ją mgła. Nim przestrzeń się zmieniła, usłyszała wyraźnie słowa Cleto:

– Fery nie będą miały tu wstępu, ani one, ani ich magia. Jeśli Callen wróci i będą próbowały go ścigać, nie zdołają się tu przedrzeć. Od teraz nasz dom będzie jedynym bezpiecznym miejscem w Finfolk.

Wszystko ucichło, mgła zgęstniała. March sądziła, że wizja już się kończy, gdy znalazła się w nowym miejscu. To nie był już Dom Czarownic, ale pokój szpitalny. Na łóżku, w białej pościeli, leżała stara kobieta. March była niemal na sto procent pewna, że to była Irma – Irma, która umierała.

Dziewczyna czuła to całą sobą, a obraz napełnił ją niewypowiedzianym smutkiem.

W nogach łóżka, zwinięty w kłębek, miarowo oddychał czarny kot. Skąd się tu wziął? Dlaczego lekarze się na to zgodzili? Może Piątek wykorzystał jakąś sztuczkę.

– Nadal nie mam od niego żadnych wieści – oznajmiła słabym głosem czarownica. – Chyba tak już zostanie...

Piątek wstał i miękko podszedł do wezglowia łóżka.

– Nie martw się. Zajmę się nim.

– Będziesz musiał – westchnęła czarownica. – Bo ja... Sam rozumiesz...

Słowo „umrzeć” nie przeszło jej przez gardło. Piątek bez słowa wpatrywał się w jej twarz. Irma zamknęła zmęczone oczy – już po raz ostatni. Szpitalną salę wypełnił chłód, gdy niewidzialny duch czarownicy uniósł się i zniknął, zabierając ze sobą całe jej ciepło. Kot... Owe... rozprostował łapy i długo wpatrywał się w pomarszczoną twarz wiedźmy. Dopiero gdy w pełni do niego dotarło, że odeszła, zaszlochał.

Mgła raz jeszcze wzbiła się w powietrze, przynosząc kres utkanej ze wspomnień wizji.

March już wiedziała. Stała na jasnej polanie, mając wrażenie, że zewsząd otacza ją mrok. Puste spojrzenie kierowała w dal, dobrze wiedząc, że nic stamtąd nie przyjdzie – ani teraz, ani w przyszłości. Nie liczyła na żadną pomoc. W żaden sposób nie skomentowała tego, co zobaczyła. Zabrakło jej słów.

– Przechodzimy – zdecydowała i nie czekając na Callena, otworzyła drzwi prowadzące do świata ludzi.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Znów Finfolk. Mogłaby przysiąc, że miasteczko ani trochę się nie zmieniło od chwili, gdy widziała je po raz ostatni, zupełnie jakby czas wcale tu nie płynął, gdy ona była w Aislingen. Taka sama ponura noc wisiała nad dachami niskich budynków. Gdyby nie to, że Callen stał tuż obok niej, pomyślałaby, że jej pobyt w Mieście Snów był tylko przywidzeniem.

Próbowała jakoś przetrwać wspomnienia Piątka. Wszyscy mieli przed nią tak wiele tajemnic. Na nowo poczuła nieprzepartą falę złości. Już nie potrafiła jej powstrzymać. Odwróciła się do Callena.

– To twoja wina – wycedziła. Nie przejmowała się tym, że te słowa go zabolą. Miała nadzieję, że tak będzie.

– Moja... – zaczął zląkniony.

– Owszem, twoja. Twoja i nikogo innego.

Callen spuścił głowę.

– Wiem – przyznał, tym samym odbierając jej możliwość zadania kolejnego ciosu. Bo skoro sam uważał się za winnego, co jeszcze mogła zrobić?

Ruszyła przed siebie. Dopiero wtedy zorientowała się, że są niedaleko parku. Drzewa poobwieszano licznymi połyskującymi plakatami. Z każdego z nich spoglądała czyjaś twarz. March nie zatrzymywała się nawet po to, by rzucić na nie okiem. Callen z trudem dotrzymywał jej kroku.

– Dokąd idziesz? – spytał.

– Do Domu Czarownic, to chyba oczywiste. Podobno tam jest bezpiecznie. We wspomnieniach Piątka widziałam, jak Cleto biegła rzucić czar. – Urwała i szybko dodała: – Ach nie,

przepraszam, we wspomnieniach *Ovego*, bo chyba tak się nazywał.

Wiatr rozwiewał jej włosy, gniew kipiał, gdy stawiała szybkie kroki.

– A więc już wiesz... wszystko widziałaś – powiedział Callen.

Zacisnęła usta, by nie zakląć na cały głos.

– Nie wszystko – warknęła. – Resztę opowiesz mi po drodze. – Minąwszy kolejny plakat, skręciła w ulicę Starego Buka. – Dlaczego Piątka skazano na bycie kotem?

Nawet w jej własnych uszach to pytanie zabrzmiało dziwnie.

– Podobno popełnił jakieś świętokradztwo? – dodała.

– To długa...

– Mam to gdzieś. Więc?

Callen westchnął.

– Irma i Ove wierzyli w alchemię. To nauka o zamianie ołowiu w złoto, tyle że jak dotąd nikt nie wpadł na sposób, w jaki można doprowadzić do reakcji. W Meksyku znajduje się stara świątynia, w której podobno przechowano wiele danych na ten temat. Włamali się do niej i wykradli jakiś drogocenny przedmiot. Niestety, nie tylko nie znaleźli odpowiedzi na pytania alchemików, ale pech chciał, że międzynarodowa Społeczność miała oko na to miejsce. Oskarżono ich o działanie na szkodę świata wiedźm. Ove stał się kotem, a Irmie zabroniono opuszczać Finfolk.

– Skazali ich za kradzież jakiegoś artefaktu? – zdumiała się March. – I to na taką karę?

– Wiem tyle, ile sami mi powiedzieli – odparł Callen.

– To złoto ma coś wspólnego z tym, o którym mówi zaklęcie Irmy?

Chłopak ociągał się z odpowiedzią.

– Tego nie wiem – oznajmił wreszcie z pewnymi obawami, jakby sądził, że March zdenerwuje się na każde jego „nie



wiem” i że na pewno mu nie uwierzy. Ona jednak nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo jej głowę bombardowały kolejne pytania.

– To miało miejsce w latach trzydziestych – powiedziała, wchodząc na drogę główną. Przechodzili teraz blisko miejsca, gdzie pokłóciła się z Isel. – Wszyscy jesteście o wiele starsi. To nienormalne.

– Siostry Irma i Cleto żyły podobnie jak ludzie. Jeśli chodzi o Piątka, jak wiesz, miał dziewięć żyć. Mnie z kolei długo przetrzymywano w Aislingen. Nie starzałem się.

– A ja? – spytała March z obawą. Miała nadzieję, że na to chłopak znajdzie inne wytłumaczenie. Niestety okazało się, że było jeszcze bardziej pokręcone.

– W twoim przypadku chodzi o matkę – odrzekł. – Mówiłem ci już, i było to prawdą, że poszukiwałem kogoś podobnego do siebie. Wiedziałem, że w Finfolk aktywność ferów jest podwyższona, i przypuszczałem, że prędzej czy później trafi tu ktoś taki jak ja. Gdy po raz pierwszy cię zobaczyłem, po prostu wiedziałem. Piątek zdobył informację o tym, jak się nazywasz. Dokładnie poznałem biografię twojej matki, badałem każde źródło, jakie wpadło mi w ręce. Wychodzi na to, że ferom nie podobało się, jak pisała o nich w prasie nieprzynależących.

– Nie podobało im się, co pisała. – March prychnęła. – I to ma tłumaczyć ich atak?

– Wiesz, jestem pewien, że to nie podobało się wszystkim magicznym istotom, tyle że twoja matka nie mogła o tym wiedzieć. Nie sądzę, żeby fery źle ją traktowały. Myślę, że rzuciły na nią same przyjemne zaklęcia i bardzo długo przetrzymywały w Mieście Snów. Tam poznała twojego ojca. Nie wiem, jak dalej potoczyła się historia, ale mam swoją teorię.

– Teorię? – Głos March nagle złagodniał. Zwolniła, pozwalając Callenowi zrównać ze sobą krok.

– Myślę, że twoi rodzice byli bardzo zakochani, a królowa tolerowała ten związek, póki Emma nie zaszła w ciążę.

– Zgadza się. Widziałam to w wizji... innej wizji, potem ci opowiem... Więc sądzisz, że Wyrd się zemściła?

– Na pewno. Odebrała jej pamięć tego, kim była, i rzuciła z powrotem do świata ludzi tuż po tym, jak się urodziłaś. Emma Sky się nie zestarzała, ale z kompletnie zmienioną historią zamieszkała w Londynie.

Słyszając to, March nie mogła sobie wybaczyć, że jej relacje z matką były tak złe. Coś jednak nie pasowało jej w tej historii.

– Ona uważa, że mnie przygarnęła – przypomniała. – Jak to możliwe?

– Nie wiem. Być może to kolejna ferza sztuczka. A może coś jej się poplątało. Silne zaklęcia mogą wywołać trwałe zmiany w mózgu.

March rzuciła Callenowi ostre spojrzenie. Przechodzili obok Samotnej. Wspomnienie goniącego ich dozorca na moment zupełnie zmroziło dziewczynę. Przyspieszyła.

– Gdzie w tym wszystkim jesteś ty? – spytała. – Odnalazłeś mnie, śledziłeś i wplątałeś w tę aferę. Dlaczego Lei nazwał cię swoim bratankiem, dlaczego Wyrd śmiała się, że jesteś księciem?

Chłopak miał nietęgą minę.

– Tylko tym razem nie kłam – ostrzegła go March.

– Nie będę – odparł cicho. – Więc... Moja matka również była w związku z ferem. Nie mam pojęcia, jak to wyglądało. To, co już ci opowiedziałem o tym, jak w lesie znalazła ją Cleto i próbowała jej pomóc, no i jak wreszcie matka umarła... to była prawda.

Mówił tak, jakby bardzo starał się nie okazywać żadnych emocji.

– Krew ferów – zaśmiał się. – Być może ty też, tak samo jak ja, długo zastanawiałaś się, czy coś z tobą nie tak, ale nie wiedziałaś co. To *ich* siła. Ten tajemniczy zew, który po prostu się uaktywnia i nie możesz z nim walczyć. W końcu wyciągnąłem prawdę od Ovego. Od pierwszej chwili zapragnąłem dostać się do Aislingen. Okazało się, że portal umieszczono w drzewie, tym rosnącym na środku naszego parku. Przeszedłem tam ukradkiem i... już nie wróciłem.

– Co to znaczy, że nie wróciłeś? Przecież tu jesteś.

– Nie wróciłem do czasów, które znałem. Nigdy nie spotkałem już Irmy ani Cleto. Fery zastosowały swoją starą sztuczkę. Omamiły mnie, sprawiając, że się nie starzałem, a czas płynął mi niezwykle szybko. Sądziłem, że spędziłem w ich świecie nie więcej niż rok, a gdy wróciłem...

Głos mu się załamał. March pozwoliła mu na chwilę wytchnienia, po czym zadała kolejne pytanie.

– Fery cię wyгнаły. Dlaczego?

– Na początku traktowały mnie podobnie jak ciebie. Uczyły mnie magii. Zamieszkałem z Leiem i Leilą, którzy byli...

– Rodzeństwem twojego ojca, wiem. I co dalej?

– Wtedy nie wiedziałem wszystkiego. Wmawiali mi, że ojciec nie żyje. Któregoś dnia odkryłem jednak prawdę, a była o wiele bardziej szokująca, niż sądziłem. Przede wszystkim ojca wygnano, zabraniając mu kiedykolwiek wrócić do Aislingen. Wyrwano mu też skrzydła.

March się wzdrygnęła.

– Co? – jęknęła.

– To praktyka stosowana przez tirnańskie fery. Wiesz, wspominałem ci o nich. Zamieszkują Tir-na-Nog, krainę w Jaarze. Oczywiście samo w sobie jest to szokujące, ale musisz wiedzieć jeszcze jedno: fery w Aislingen nie stosują tej

kary względem każdego mieszkańca ich krainy. Ona dotyczy jedynie rodziny królewskiej.

W tym momencie March omal się nie przewróciła, wkraczając na bruk kolejnej ulicy.

– A więc dlatego Wyrd nazwała cię księciem?

Callen pokiwał głową.

– Lei, Leila i Isinbir byli dziećmi Wyrd. Oczywiście królowa ma ich wiele. Każdy z jej potomków ma prawo do tronu. Ukrywali przede mną moje pochodzenie w obawie, że zechcę dostać więcej, niż chcieli mi dać.

– Słusznie się bali – zauważyła March.

– A ty nie chciałaś więcej? – odrzekł nerwowo Callen.

– Znając ich? Wolałabym nie dostać nic i mieć święty spokój. Chłopak spuścił z tonu.

– Cóż, to ty... Ale ja uznałem, że nie mogą ze mną pogrywać. Zebrałem niewielką... armię, raptem kilkanaście czarowników i wiedźm. Zaatakowaliśmy Bibliotekę, by dostać się do klucza koszmarów Wyrd. Oczywiście się nam nie udało.

– Lei i Leila zesłali cię tutaj, do sierocińca?

– Który jest tak naprawdę więzieniem dla zdrajców Aislingen – dodał Callen.

– To dlatego tak się boisz wuja i ciotki? Dlatego, że tak cię potraktowali? Pamiętam, że cały się trząsłeś, kiedy ich po raz pierwszy spotkaliśmy.

Chłopak milczał przez chwilę.

– Tak – odparł. – Ich moc jest potężna... To oni zesłali mnie z powrotem do świata ludzi, to oni nałożyli na mnie klątwę, są zdolni do tworzenia najgorszych koszmarów... Ale teraz, gdy Lei zginął... Cóż, myślę, że moja ciotka dłużej nam nie zagraża. Kiedy umieszczono mnie w sierocińcu, Irma i Cleto już nie żyły. Został mi tylko Piątek i w zasadzie razem z nim wpadłem na plan, jak się z tobą porozumieć. O tym już ci

opowiedziałem. Użyłem projekcji astralnej, żeby przeniknąć do twoich snów i... reszta to historia.

Po wysłuchaniu go March nie odzywała się ani słowem. Trudno było jej uwierzyć, że poznała już całą prawdę. Musiała poukładać ją sobie w głowie. Nie sądziła, że prędko zacznie znów ufać Callenowi na tyle, by nie podważać jego słów.

Ruszyli w stronę ulicy Ostatniej. Tam ciemność gęstniała. W powietrzu wyraźnie dało się coś wyczuć – teraz, gdy March wiedziała już, jak badać aurę, zrozumiała, że to energia Domu Czarownic. Jego magia sączyła się na ulicę.

Dziewczyna szybko pokonała leśną ścieżkę wiodącą do bramy, ale moment otwarcia jej wolałaby odłożyć w czasie. Wiedziała, co ją czeka: będzie musiała znów patrzeć na ciało Piątka, pochować je... A potem wszystko się zacznie, tak wiele, wiele rzeczy do zrobienia...

– March... – głos Callena wyrwał ją z rozmyślań. – Widziałaś ten plakat?

Coś w jego tonie mówiło jej, że zbliżają się kłopoty. Spojrzała na płot, gdzie również zawieszony był plakat – taki sam jak na drzewach w parku i słupach telegraficznych. Zrozumiała, dlaczego twarz na nim wydała jej się znajoma. To była jej twarz.

## ZAGINIONA

### *March Sky*

*Policja prosi o pomoc w znalezieniu szesnastoletniej dziewczyny. March Sky ostatni raz była widziana wieczorem 9 czerwca. Dziewczyna jest niskiego wzrostu (ok. 1,2 m), ma ciemne, długie i proste włosy. Zwykle nosi ciemne dżinsy i czarne podkoszulki. Prawdopodobnie zabrała ze sobą plecak. Ktokolwiek ma informacje na jej temat, proszony jest o kontakt z policją pod wskazanym niżej numerem telefonu.*

March zaniemówiła. Osłupiała wpatrywała się w plakat, mając wrażenie, że uchodzi z niej całe powietrze. *Matka!* Musi natychmiast do niej iść i powiadomić ją o sytuacji. Zrobiła krok do tyłu i rozgorączkowana wpadła na Callena. Klucz koszarów, o którym już niemal całkiem zapomniała, wypadł jej z ręki.

– Nie! – wrzasnęła.

Widziała to jak na zwolnionym filmie. Kula upadła i rozbiła się na tysiące kawałków, a każdy wędrował w innym kierunku, na zawsze oddzielając się od całości. W przestrzeń wzbijała się gęsta, brązowa mgła. Bez końca wyływała z każdego ze lśniących odłamków, formując na tle czarnego nieba coś, co przypominało słupek. Sięgał o wiele dalej niż najwyższe drzewa w lesie. March była pewna, że lada chwila usłyszą wyjąca syrenę. Zamiast tego do jej uszu dotarł o wiele gorszy odgłos.

To był ryk dzikiego zwierzęcia, a może nawet całego stada dzikich zwierząt. Dochodził z góry, jakby coś sunęło ku Finfolk wprost z chmur. Przerażeni March i Callen spojrzeli w jego stronę.

– O cholera! – krzyknął chłopak, gdy z dymiącego słupa wystrzeliło coś w rodzaju szponiastych łap, tak wielkich, że uderzenie jednej mogłoby zniszczyć cały Dom Czarownic.

Callen otworzył bramę. Wtedy ryk rozległ się ponownie. Z góry zaczęła sunąć ku nim głowa – jedna, druga, trzecia. Szyje wyrastały ze słupa, paszcze zbiły się ciasno i rozwarły szeroko, ukazując utkane z mgły, a mimo to ostre zęby.

March poczuła ciągnięcie za rękę. Callen próbował poprowadzić ją do bramy, ale w chaosie było to niemożliwe. Wszystkie paszcze zaatakowały naraz, mknąc ku ziemi, wprost do miejsca, w którym stali.

Odruchowo osłonili się rękami. March niczego nie poczuła. Słyszała tylko krzyki – swój własny i Callena, a potem jej

nozdrza wypełnił smród siarki połączonej ze zgnilizną. Gdy cofnęła ramię, którym zasłoniła twarz, ujrzała znów mgłę, nieuformowaną w żaden kształt. Unosiły się w niej tylko drobinki pyłu, a po smoku nie było śladu, zupełnie jakby pękł, zanieczyszczając całe Finfolk swoimi wnętrznościami.

– Callen? – March próbowała odszukać chłopaka.

– Tutaj! – Jego dłoń zamigotała wśród mgły.

Wtedy rozległ się jeszcze jeden głos.

– Ja też tu jestem. I byłoby miło, jakbyś na mnie nie leżał. Ledwo co wróciłem do żywych i ani mi się śni znowu zdychać.

Nie mogła w to uwierzyć. To musiał być sen, nic innego jak sen...

A jednak, gdy mgła opadła i całkowicie znikła, na ziemi, tuż przy bramie do Domu Czarownic, March dostrzegła czarnego kota.

– Piątek! – zawołała jednocześnie z Callenem.

– Tylko bez uścisków – zastrzegł kot, próbując ustać na drżących łapach. – Wciąż czuję się trochę... nieżywo. Chyba źle policzyłem sobie życia... Tak czy inaczej, nie cieszcie się na zapas. Radziłbym wam dobrze się rozejrzeć i sprawdzić, czy wszystko zostało takie, jak było.

– Nie rozumiem – odrzekła March, zawiedziona, że nie dał jej ani chwili, by nacieszyć się tym, co uważała za cud. – Przecież wszystko jest normalne...

– To też? – Piątek łapą docisnął do ziemi niesiony wiatrem plakat. Callen przeczytał jego treść, po czym z przerażeniem wypisanym na twarzy wręczył go March.

Zdjęcie pozostawało bez zmian, za to opis diametralnie się zmienił.

## POSZUKIWANA

*March Sky, podejrzana o zabójstwo rówieśnika, Callena Mallowaya, jest poszukiwana listem gończym przez policję*

w całym kraju. Poniżej podajemy cechy charakterystyczne poszukiwanej. Prosimy, by nie podejmować prób schwytania jej na własną rękę. Może okazać się niebezpieczna.

Krew uderzyła jej do głowy. Słyszała tylko miarowe pulsowanie, a sama traciła oddech. Zdawało jej się, że ktoś walnął ją w głowę czymś ciężkim. Ona miałaby kogoś zabić? Miałaby być *niebezpieczna*? U dołu podano jej rysopis wraz z wiekiem i wszystkimi szczegółami, nawet dokładniej niż w ogłoszeniu, które przeczytała wcześniej.

– Ale... przecież... – wyjąkała.

– Bez obaw! – zawołał Piątek, po czym zaczął mówić niezwykle rzeczowo jak na okoliczności. – Po prostu wpadliśmy w nowe szambo. Fery nie dadzą nam teraz spokoju. Wygląda na to, że w kluczu koszmarów March znajdowało się zaklęcie, które rzucono na całe miasto. Przewyciężenie go nie będzie takie łatwe, ale przynajmniej mamy swój azyl.

Spojrzał na dom. Callen, nie mniej zszokowany od March, również zerknął na budynek.

– Za mną – rozkazał kot, przechodząc przez bramę jako pierwszy. Callen ruszył za nim, prowadząc March, która nie umiałaby chyba teraz samodzielnie ustać na nogach. Stawiała kroki niepewnie, chwiejnie, jakby zmierzała w stronę przeznaczenia, którego ze wszystkich sił starała się uniknąć.

Koszmar zaczął się na nowo.





# SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIEĆTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY